

Maczek Stanisław - Od podwody do czołga

Wspomnienia wojenne

1918_#1945

Tom

Całość w tomach

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 1996

‘pa

Tłoczono pismem punktowym
dla niewidomych w Drukarni
Związku Niewidomych,
Warszawa ul. Konwiktorska 9

Przedruk z wydawnictwa „Orbis Books (London) L\$t\$d”, Londyn

1984

Pisał A. Galbarski,
korekty dokonały
K. Markiewicz
i E. Chmielewska

‘st

Żołnierzom moim z lotnej, szturmowego, kawalerii i 1 dywizji pancерnej książkę
tę poświęcam

‘rp

Autor

‘rp

„Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachował życie, ten straci
Ojczyznę i życie; a kto opuści Ojczyznę, aby bronił Wolność z narażeniem życia
swego, ten obroni Ojczyznę, i będzie żyć wiecznie.”

‘rp

Mickiewicz

„Księgi

Pielgrzymstwa Polskiego”

‘rp

‘pa

‘ty

Przedmowa Autora

do drugiego wydania

‘ty

W pierwszym wydaniu „Od podwody do czołga” podałem żołnierskie sprawozdanie z
działań naszych tak w kraju, jak i na obczyźnie.
Nakład pierwszego wydania przez firmę „Tomar” w Edynburgu i jej wydawcę śp.
Antoniego Herbicha jest już od dawna wyczerpany.

Obecne drugie wydanie nakładem

„Orbisu” dotrze do rąk czytelników w czterdziestą rocznicę walk Pierwszej Dywizji Pancerniej o wyzwolenie Europy. Wdzięczny jestem „Orbisowi”, że dzięki niemu moje wspomnienia znajdują znów chętnych czytelników w kraju i na Zachodzie. Chciałbym, by młode pokolenie Polaków знаło prawdziwą historię walki wojsk polskich na obczyźnie o wolność i niepodległość narodu polskiego, która, mimo że nie ma „ostrego strzelania”, trwa nadal.

‘rp

Stanisław Maczek

‘rp

‘pa

‘tc

Przedmowa

‘tc+

Wydarzeniem są te wspomnienia wojenne jednego z najtęższych polskich dowódców drugiej wojny światowej, twórcy i dowódcy pierwszej „lotnej” kompanii na podwodach w zaraniu naszej niepodległości, pierwszego dowódcy jednostki pancerno_motorowej w wojsku polskim w przededniu ostatniej wojny, w kampanii wrześniowej i francuskiej, pierwszego dowódcy naszej pierwszej dywizji pancerniej w wyzwoleniczej kampanii we Francji, Belgii, Holandii, w zwycięskiej ofensywie końcowej na Wilhelmshaven. Jakże bogaty ten zawód wojskowy młodego Polaka chorwackiego pochodzenia, akademika lwowskiego, polonisty „filozofa” (ze szkoły Twardowskiego), którego mobilizacja austriacka wyrwała z szeregów naszego Związku Strzeleckiego i zamieniła w „strzelca tyrolskiego” z doborowego pułku „Kaiser Jaeger”. Dała mu w wyniku znakomitą choć twardą szkołę przez lata wojny górskiej, wymagającej w najwyższym stopniu energii fizycznej i moralnej, zręczności, wytrzymałości, przytomności umysłu, sztuki wyzyskania terenu, rzutkości, odwagi osobistej i dowódczej, inicjatywy na każdym szczeblu. A tej inicjatywy, od razu poważnie wykraczającej poza zwykłe ramy stopnia nigdy nie zabraknie młodemu oficerowi_intelektualiście, gdy z upadkiem Austrii znajdzie się błyskawicznie w szeregach powstającego wojska polskiego, poszukując od razu okazji, by bić się za ukochany Lwów. Co uderza w jego życiu wojskowym, to niestrudzona praca myśli wciąż złączona z wolą walki, nie słabnąca w najkrytyczniejszych sytuacjach, w których niejednokrotnie natchnienie przychodziło mu z pomocą.

Ale książka ta to nie tylko pamiętnik świetnego i szczęśliwego żołnierza, który nigdy humanistą być nie przestał. Jest od początku do końca relacją doskonałego znawcy wojskowego rzemiosła, który zagadnienia nowoczesnej wojny nie tylko do gruntu przemyślał, ale i eksperymentował od młodości. Sam tytuł: „Od podwoły do czołga” zawiera w sobie pewną syntezę: poszukiwanie uparte jedynej drogi do zwycięstwa w nowoczesnej wojnie, zaskoczenia przez połączenie szybkości z potęgą działania – zatem w warunkach polskich 1918 r. z siłą ogniową broni samoczynnej przy osłonie strzelców. Wtedy z braku motorów improwizuje por. Maczek „lotną” swą kompanię na podwodach i pokazuje, czym może być taka jednostka przez zwiększoną szybkość ruchów i spotęgowaną energię bojową, skoro wchodzi w walkę nie utrudzona marszami. Po tej kampanii przychodzi jego „batalion szturmowy” także na wozach, w ramach 1. dywizji kawalerii. Myśl ta sama, która się w tejsze kampanii zaznaczy w zagonie samochodowym na Kowel; ale będzie to improwizacja doraźna. Idzie o stworzenie jednostek szybkich stałych, o wielkiej sile działania. Przyszłość w tym wskazują Liddell Hart (1927Ñ), Fuller (1928Ñ), de Gaulle (1934Ñ), Sikorski (1935Ñ). Wyrastają wielkie jednostki szybkie i pancerne w Niemczech i w Sowieciech. A gdy wreszcie utorowała sobie i u nas drogę myśl powiększenia szybkości kawalerii przez jej zmotoryzowanie a jej potęgi działania przez czołgi i stworzenia kawalerii pancerniej, na tego świetnego piechura pada wybór jako dowódcy pierwszej takiej jednostki zmotoryzowanej z przydaniem czołgów; jemu przypało zademonstrować stawiając

czoło całemu XXIII korpusowi pancerno_motorowemu nieprzyjaciela, jak wielką rolę, niewspółmierną ze stosunkiem sił obustronnych mogła być odegrać w tej kampanii nasza bitna i liczna kawaleria, gdyby obok tej 10 brygady kilka innych zdołano w porę zmotoryzować i upancernić. A już była jakby ostrzegawcza książka Guderiana:

„Achtung, Panzers”. Swoim i obcym mówiła: tej potędze nic się nie oprze. Maczek pokazał, że można szczupłymi siłami skutecznie ją szachować.

Cudownym był zbieg okoliczności, dzięki któremu gros brygady Maczka znalazło się po przejściu granicy na Węgrzech, stamtąd wywędrowało szczęśliwie do Francji, tutaj łącznie z wyewakuowanymi oficerami i szeregowymi formacyj czołgowych stanowiło mocną podstawę do sformowania dywizji pancerno_motorowej. W samych początkach jej tworzenia, gdy ostatnia wielka bitwa o Francję brała obrót krytyczny i żądano od nas wprowadzenia tej dywizji w akcję z alternatywą: oddania świeżo otrzymanego sprzętu i broni dla jednostki francuskiej, gen. Maczek z nieomylnym swym instynktem żołnierskim znalazł wyjście - sam poszedł do walki z reprezentacyjnym niejako, kombinowanym oddziałem i zaznaczył krwawo udział swej brygady. Jej gros i trzy bataliony czołgów zostały na tyłach i choć bez sprzętu znalazły się w Wielkiej Brytanii. A później, pojedynczo czy grupkami dołączać zaczęli ci spod Montbard, i cudem prawdziwym sam generał po nowym epizodzie swej Odyssei, o którym daje pasjonującą opowieść.

Grunt że było z kogo stworzyć mocne kadry dywizji pancernernej w W. Brytanii. Brakowało dwóch rzeczy dość istotnych: ludzi i sprzętu. Tymczasem wobec grożącej inwazji trzeba było wejść jako pełnowartościowe jednostki bojowe w skład sił mających bronić tej wyspy. Wszystko musiało się zamienić w brygady i bataliony przewożonej piechoty, w składzie I Korpusu W.Şp., zanim napływ sprzętu nie pozwolił na przejście do pierwszej fazy motoryzacji, a wreszcie, zimą 1941, ukazały się pierwsze czołgi, dosłownie jako nagroda dla naszych spieszonych czołgistów za doskonałą postawę żołnierską. Odtąd szybko dojrzewa koncepcja naszej dywizji pancernernej - i dowódca korpusu patrzył na postępy w tym kierunku z uczuciem, że to się dokonuje rzecz wielka a zarazem i z niepokojem, że ten żarłoczny noworodek cały korpus pochłonie. Pochłaniał istotnie zgodnie z etatami gros elementu kadrowego i specjalistów, a gdy zawiodły rachuby na wydobycie z Rosji niezbędnego żołnierza na uzupełnienie, pochłonał w końcu i same bratnie oddziały. Ale dojrzała w ciągu trzech lat dywizja tak wyćwiczona, zżyta i zgrana, jakby się składała nie z żołnierzy tułaczy cudem tu pozbieranych, ale ze starego, zawodowego regularnego wojska, wyposażona w sprzęt tak potężny, jak marzył sobie przed laty w odważnej książce „Vers l'arm-ee du m-etier” pułkownik de Gaulle. I taki był na jej czele dowódca, jakiego wyobrażał sobie wtedy - nie w odległym, głębokim schronie przy lampce naftowej czekający na zestawienie wiadomości, ale sam na polu walki, bezpośrednio, osobiście ją prowadzący - dodajmy, że jak Maczek pod Falaise z czołgu dowodzenia, głosem - a w nocy śpiący w wygrzebanym pod czołgiem dole.

Całość książki napisana jest porywająco. Ale kampania w Normandii przedstawiona przez gen. Maczka to fragment epopei. Tylko że roi się on od tak rzeczowego, prozaicznego pozornie materiału jak numery korpusów i dywizyj niemieckich, z którymi nasza pancerna musiała przez trzy dni prowadzić samotnie walki na wszystkie strony, liczby czołgów i dział zniszczonych, jeńców wziętych - i liczby strat własnych, ciężkich, wielokrotnie mniejsze od niemieckich; za każdego żołnierza polskiego zabitego lub rannego pod Falaise paru Niemców było w niewoli, a drugie tyle zabitych czy rannych. Był w tym zadziwiający zbieg okoliczności, że to polskiej dywizji przypadło być - jak wyraził się marsz. Montgomery - korkiem zatykającym butelkę z Niemcami - ale było może i przewidywanie, że ten polski korek cały ich napór wytrzyma. A był i inny zbieg okoliczności: że wśród dywizji niemieckich, potrzaskanych tu przez naszą dywizję pancerną - była 2 dywizja pancerna, z którą biła się brygada Maczka pod Wysoką w pierwszych dniach kampanii wrześniowej. Odwet był jednak nie tylko na niej i na kilku innych - elicie niemieckiej broni pancernernej. To był punkt, w którym rozstrzygały się losy kampanii na Zachodzie. I w tym właśnie punkcie broń polska odniosła druzgocące zwycięstwo.

Podobnie jak generałowi Andersowi, zwycięzcy spod Monte Cassino, tak i generałowi Maczkowi, zwycięzcy spod Falaise, zarzucają niekiedy w Kraju i na

emigracji, że wojska swego nie oszczędzili w tych i innych bitwach. Straty w dywizji gen. Maczka były duże, bolesne, ale nie większe niż w dywizjach sprzymierzonych, a pomszczone sowicie. A na teorię wojny bez narażania się na straty daje on dobitną odpowiedź. Istotnie, nie wolno cofać się przed perspektywą strat, gdy nie tylko honor narodu naszego w grze, ale sprawa nasza, którą tylko czyn żołnierski utrzymywał na powierzchni. A nie wypełnienie zadania aby strat nie ponieść byłoby zatraceniem tych ogromnych wartości moralno_politycznych, które wytworzyła Polska walcząca w Kraju i na obczyźnie. Generał Maczek widział to z przedziwną jasnością i szedł po tej linii bez wahania - jak tego Kraj od nas oczekiwał i żądał. Aż do uroczystej chwili, gdy uczestniczył w akcie bezwarunkowej kapitulacji Niemców, a dywizja jego została wyznaczona do zajęcia Wilhelmshaven.

Ten triumf żołnierza nie był triumfem sprawy polskiej. Pierwsza dywizja pancerna przestała niebawem istnieć. Ale żyć będzie zawsze w miłującym wspomnieniu narodu. I nie tylko Polaków. Wraz z jej dowódcą, przy końcu jego książki, odbywamy dwukrotnie jej drogę przez Francję, Flandrię, Holandię - raz wśród walk, drugi raz szlakiem cmentarzy żołnierskich i wiernej pamięci ludności miast i miasteczek przez tę dywizję kiedyś oswobodzonych - i wdzięczności przekazywanej tam już następnym pokoleniom.

Jest to wspaniała karta naszych dziejów, nie tylko wojskowych. Pamiętnik ten jest cennym źródłem historycznym i historyczną powieścią „niekłamana w niczym”. Tym więcej, że jest pisany z głęboką miłością tej swojej dywizji, z prawdziwie bratnim uczuciem dla swych towarzyszy broni każdego szczebla, wdzięcznością dla każdego kto dopełnił powinności, uznaniem każdej zasługi, wyrozumiałością dla błędów, szczerą sympatią dla sprzymierzonych, przełożonych i kolegów brytyjskich i kanadyjskich. Raz tylko znajdzie się tu zgrzytnięcie zębami. Bardzo zrozumiałe. Pisał to żołnierz z duszą dowódcy, kochany przez swych żołnierzy, gorący Polak i dobry, szlachetny człowiek. Niechże ten raport z jego żołnierskiego zawodu złożony narodowi znajdzie się w ręku tysięcy Polaków.

,rp

Gen. M. Kukiel

‘rp

‘pa

‘tc+

Część Iã

Lata sielskie_anielskie

‘tc

‘tc

Rozdział 1ã

Wstępã

i kilka słów o sobie

‘tc

Od podwoły do czołga! - Tak!

Od wozu drabiniastego, zaprzęgniętego w silne konie w latach 1919ż8§#20Ñ, przewożącego 6_ciu do 8_miu morowych chłopaków, uzbrojonych w kb i granaty ręczne - ponad wszystko w ochotę do walki.

Poprzez półciągarówki i ciężarówki samochodowe, przewożące każda kilkunastu niemniej morowych ułanów czy strzelców konnych w roku 1939 - ale już z bogatym dodatkiem broni przeciwpancernej i lekką okrasą czołgów lekkich i artylerii - aż do ciężkiej, ale jak szybkiej i zwrotnej dywizji pancерnej w latach 1944ż8§#45 z jej Cromwellami i Shermanami, niszczyicielami czołgów i sextonami artylerii samobieżnej!

Oto na przestrzeni jednego ćwierćwiecza od 1919 do 1945 roku przeżycia wojenne żołnierza polskiego w jednostkach, które można by objąć wspólną nazwą jednostek

szybkich, w których szybkość i ruchliwość była założeniem, a siła dezyderatem i dążeniem, zanim się zrealizowała w ostatnim etapie.

Czy naprawdę była taka prosta linia rozwojowa - podwoda - samochód - czołg?

Chyba nie!

Na taką jednak linię najłatwiej mi nawiązać moje wspomnienia osobiste, które tak często stają się wspomnieniami oddziały przeze mnie dowodzonego, że nieraz trudno je rozgraniczyć.

Może nie najbardziej błahym szczegółem dla mych wspomnień jest, że urodziłem się w Małopolsce Wschodniej, w powiecie lwowskim, fakt, który nadał dużo kolorytu moim przeżyciom wojennym w latach

1918ż8§#20 i 1939 r. Kształtowała mnie, mój charakter, moją mentalność, a nawet poniekąd i moją sylwetkę żołnierską ta sama rzeczywistość przedwojenna przed rokiem 1914 i potem lata wojny do 1920 roku. Ta sama rzeczywistość w Małopolsce, która urabiała równolegle typ akademika lwowskiego i krakowskiego, typ przyszłego legionisty i typ oficera rezerwy armii austriackiej. Z tej samej ławy szkolnej czy uniwersyteckiej - jeden znalazł się w legionach - drugi w c.k. austriackim pułku. Wychowała nas ta sama wielce patriotyczna i prężna atmosfera uczelni wyższych i średnich zakładów naukowych w Małopolsce, to samo rozczytywanie się najpierw w Sienkiewiczu, a potem w mistrzach „Młodej Polski”: Kasprowiczu, Wyspiańskim, Żeromskim i innych. I jak przez chorobę wieku dziecinnego przechodziliśmy wszyscy od Skrzetuskiego do Kmicica, od Judyma do Rozłuckiego itd.

Żeby jeszcze bardziej zagmatwać obraz mej sylwetki, oto jako student „uniwerku” lwowskiego (mówiliśmy

„słuchacz”) odbyłem przeszkolenie i pierwsze ćwiczenia w Związku Strzeleckim i tylko z powodu przedwczesnego powołania mnie do armii austriackiej nie dostałem się do legionów, ale zostałem

„strzelcem tyrolskim”. 4 lata studiowałem na Uniwersytecie Lwowskim filozofię ścisłą pod kierownictwem dużej miary pedagoga prof. Twardowskiego i polonistykę u profesorów Bruchnalskiego i Kallenbacha. Dla polonisty pracowałem nad filozofią Sebastiana Petrycego, filozofa XVII wieku, który przekładając na język polski Platona i Arystotelesa, przekład opatrywał na marginesie obszernym komentarzem. I komentarz ten, mimo przemożnego wpływu Św. Tomasza z Akwinu, odsłaniał wiele oryginalnych myśli naszego polskiego filozofa. Ale, żeby wyłowić te błyski oryginalności, trzeba było dla porównania przedrzeć się przez grekę Platona i Arystotelesa i łacinę Tomasza z Akwinu. Ogrom benedyktyńskiej pracy! Gdy oddałem tę pracę w seminarium prof. Kallenbacha, podczas dyskusji nad nią, gdy tezy me były sprzeczne z poglądami jedynie wtedy drukowanej pracy prof. Stanisława Kota o Petrycy, miałem po mej stronie dwóch kolegów, późniejszego prof. Wacława Komarnickiego, zmarłego w Londynie po wojnie i dra Włodzimierza Jampolskiego, mego serdecznego przyjaciela, redaktora „Kuriera Lwowskiego”, rozstrzelanego przez Niemców we Lwowie w 1943 roku.

W roku 1913ż8§#14 pracowałem głównie w seminarium prof. Twardowskiego nad tematem z zakresu psychologii uczuć:

„Wyraz uczuć w literaturze”.

Dość oryginalne przygotowanie dla przyszłego oficera i dowódcy różnych szczebli na wojnie jednej i drugiej?

Pierwszą wojnę światową przetrwałem „sportowo” i z pewnym rozmachem w formacjach wysokogórskich i narciarskich pułku tyrolskiego, w którym w miarę postępu wojny, coraz mniej było Tyrolczyków, a coraz więcej bliskich mi pokrewieństwem krwi Kroatów. Dziadek mój był pochodzenia kroackiego. Byłem w moim batalionie jedynym oficerem Polakiem - nie wolno mi więc było być najgorszym - mnożyły się wstążeczki odznaczeń, ale i rosło doświadczenie w walkach górskich.

Do końca mej służby wojskowej byłem szczęśliwym, gdy teren na mapie zaczynał się gmatwać i czernić warstwicami - najlepiej mi się wtedy wojowało. Przydało mi się to i na Podkarpaciu w

1918ż8§#19 roku i na Podhalu w

1939, a nawet pod Falaise w

1944.

A z polskim problemem, już nie abstrakcyjnym, zetknąłem się z powrotem dopiero na wiosnę 1918 r., podczas 3_miesięcznego urlopu na dokończenie mych studiów uniwersyteckich.

Już zaczynała się rysować budowla, zwana monarchią austro_węgierską, i kilku młodych oficerów w mundurach legionistów i armii austriackiej zebrało się w jednej z kawiarni lwowskich z arcyważnym zagadnieniem, co i jak na wypadek załamania się Austrii. Był z nami por. Nitman i Felek Daszyński, Hofman i Stark i K. Schleyen i kilku innych, których nie pamiętam. Ale urlop mój wcześniej się skończył niż monarchia austro_węgierska. Do

„spisku” już nie dołączyłem, gdyż koniec wojny zastał mnie daleko i wysoko, bo ponad 3000 metrów w Alpach austriackich - w pułku, który wciąż chciał wygrać wojnę dla Austrii. Dzięki zupełnemu brakowi wiary w to zwycięstwo, a dobremu opanowaniu nart, jeszcze tego samego dnia, w którym przyszła wiadomość o załamaniu się frontu na dole, znalazłem się w Trydencie i dalej jakimś ewakuowanym pociągami w Wiedniu. Mętne wiadomości o sytuacji w Małopolsce - pierwsze odgłosy walk we Lwowie - i przesadzone wieści o trudnościach wydostania się z Wiednia na wschód radziły przedzierać się w „cywila”. To też zrobiłem i pożegnawszy się serdecznie z bardzo mi oddanym ordynansem osobistym, którego patriotyzm ukraiński wzywał do formacji „siczowych” - udałem się do Krakowa. W Krakowie chciano mnie wcielić do oficerskiego oddziału pilnującego magazynów, gdyż na razie nie formowano oddziałów frontowych - po prostu z braku szeregowych, gdy oficerów było pod dostatkiem.

Chcę się dostać do walczącego Lwowa, do „mego” Lwowa, a gdy linia Przemyśl_Lwów jest przecięta przez Ukraińców - próbuję dostać się od południowej strony przez Podkarpacie. Toteż dzień 14 listopada zastaje mnie w długim ogonku oficerów do raportu dowódcy garnizonu Krosno. Wszyscy uszeregowani według rangi: kapitanowie, porucznicy, podporucznicy, podchorążowie - a na szarym końcu ja, wprawdzie już „oberleutnant” wedle ostatnich mianowań listopadowych, ale w cywilnym ubranku.

Siwy pułkownik Swoboda przechodzi od jednego do drugiego, wysłuchując niekończącej się litanii; ten prosi o przydział do Krosna, tamten o urlop, o superrewizję itd., aż do mnie, proszącego o przydział do formacji odchodzącej najprędzej na odsiecz Lwowa. Na to z jowialnym uśmiechem chwyta mnie pułkownik w ramiona, mówiąc: „Wreszcie mam dowódcę kompanii odsieczy - gotowej do odmarszu, ale dotychczas bez dowódcy”.

Jeszcze tego samego dnia obejmuję dowództwo kompanii krośnieńskiej, bo tak się będzie nazywała. Co za pierwszorzędnych chłopaków w niej zastałem! Podporucznicy i podchorążowie: Kulczycki z Krosna i Bartosz z Jasła, obaj z armii austriackiej, legionista ze Szczypiórna, Czerniatowicz i legionista Szmidt ze Lwowa. A strzelcy? Pół na pół stary żołnierz z przeróżnych frontów i zdarzeń armii austriackiej czy legionów, i chłopcy nieletni, niedorostki, wprost z ławy szkolnej lub spod opiekuńczych skrzydeł matki. Chłopacy z Krosna i Odrzykonja, Potoka i Jasła. Był zapał, entuzjazm i gdy rano, witając się z kompanią, a nie znając dobrze polskich regulaminów i zwyczajów, rzucałem kompanii okrzyk „ochota jest - chłopcy?”

- to w gromkiej odpowiedzi

„ochota jest panie poruczniku” - było tyle kapitału zaufania, że na wszystko można było się odważyć z taką kompanią. Nic, że połowa nie umiała używać sprzętu bojowego - nawet ładować karabinu; nic, że taki student inteligent z Krosna, gdy w pierwszym boju wygarnął wręcz na kilka kroćcy z karabinu, to na widok osuwającego się ciała rozbeczał się na głos i trzeba było niemal bitwę przerwać, by go uspokoić; nic, że ubrane to było pozał się Boże, a uzbrojone jeszcze prymitywniej; nic to wobec tej ochoty, tego zapału, który zrozumie tylko ten, kto przeżywał podobne chwile w tym jedynym listopadzie 1918 roku w Polsce.

A w kilka dni później, 20 listopada, ruszyła wyprawa na odsiecz Lwowa. Ruszyła na Sanok, gdzie złączyła się z kompanią porucznika Bolka Czajkowskiego, kompanią, która przebiła się z bronią z Borysławia, w której duszą i sercem był porucznik inżynier Szczepanowski, ze znanej polskiej rodziny pionierów przemysłu naftowego. Złączyła się też z kompanią sanocką, dowodzoną przez oberlejtanta kawalerii Leszka Pragłowskiego, w czarnych salonowych spodniach, gdyż wypadki zaskoczyły go na jakimś five o'clock'u w okolicy Sanoka. Z kompaniami tymi

przyszła cała paka pierwszorzędnych żołnierzy i dowódców, którzy znajdują się potem w mej kompanii lotnej, a potem w baonie szturmowym, jak podchorąży Zygmunt Zawadowski, wielkiej miary „zabijaka”, wypadowiec o bujnej już przeszłości kawalerzysty w legionach, a przedtem wiertacz naftowy na Trynidadzie. Jak ppor. Tyszkiewicz. Jak podchorąży K. Michalewski, oddany mi żołnierz we wszystkich formacjach, którymi dowodziłem - dziś zamieszkały w Detroit, w Stanach Zjednoczonych.

Jak podchorąży Mrówka z Krosna, jak podchorąży Stradin, Gruzin nie mówiący po polsku, jak wybitni podoficerowie z Haczowa: Kielar, Stepek Szajna, Szponar, Wojtun, Bienia i inni.

‘tc

Rozdział 2ã

Wyprawa na Chyrów

‘tc

Szcęście żołnierskie jest od początku z nami.

W nocy z 20 na 21 listopada na stację kolejową Ustrzyki Dolne na linii kolejowej Sanok_Chyrów z dwóch stron wjeżdżają 2 pociągi, jeden nasz, z improwizowanym opancerzeniem przednich wagonów, obsadzony przez mych chłopaków - drugi ukraiński z batalionem siczowników i baterią dział polowych. Chłopcy moi, ostrzeżeni przez polskich kolejarzy, są szybsi i po krótkiej utarczce, w której kb i ręczne granaty wzięły po raz pierwszy udział - pociąg ukraiński opanowany, a z nim pierwszy prezent - 4 działa polowe oddane naszej grupie. Telegraficznie wezwana obsada artyleryjska z Krakowa, złożona z samych oficerów i podchorążych, pozwala za trzy dni uruchomić pierwszą baterię polską w naszej grupie. Pierwszy sukces działa cuda i po szeregu potyczek już z końcem listopada zdobywamy węzeł kolejowy Chyrów. Grupa nasza, zasilona batalionem 20 p.p. (cwancygerzy z Matką Boską - jak nazywaliśmy we Lwowie ten pułk jeszcze austriacki) uderza w kierunku na Sambor, by jak najprędzej odciążyć Lwów, o który nam wszystkim tak chodzi.

„Główne natarcie” - jakby się to dziś nazywało - prowadzi ten świeży batalion, wsparty tą baterią i naszą pancerką, mocno już podciągniętą przez wmontowanie na lory dwóch dział i wzmocnienie częściowego opancerzenia w warsztatach kolejowych. Ale batalion z elementem rekruckim utyka w natarciu na Felsztyn, pierwszy przedmiot w drodze na Sambor. Zalega w ogniu artylerii ukraińskiej i dalekich ogni ckm.

Coraz dalej do Lwowa - coraz dalej do Sambora, a nawet do tak bliskiego Felsztyna, którego kominy dymią poza wzgórzem.

Temperament ponosi nas młodych dowódców, którym dotychczasowe sukcesy uderzyły jak woda sodowa do głowy. Zbieramy się razem i idziemy do dowódcy, płk Swobody, z nielada propozycją, a raczej niezwykłą prośbą, by powierzył dowództwo w ręce energiczne i młode. Ja jestem mówcą, a por. Pragłowski upatrzony na tego dowódcę.

Płk Swoboda, starszy rangą i wiekiem, którego wypadki wyciągnęły z emerytury na jakieś stanowisko administracyjne w armii austriackiej - człowiek pełen patriotyzmu i dobrych chęci, ale wstrząśnięty teraz niepowodzeniem akcji, warunkuje swą zgodę od tego, jak większość oficerów grupy na to się zapatruje. Zwołana odprawa oficerska daje nieznaczną większość pułkownikowi Swobodzie. Przeważa duża ilość oficerów artylerii, użytych jako obsługa dział w baterii i ona decyduje. Wobec tego proszę pułkownika o energiczne rozkazy do dalszej akcji. Rozkaz jest energiczny, ale tylko w formie i trybie rozkazującym. Oto to, czego nie dokonał cały batalion

20 p.p. - ma wykonać teraz jedna kompania krośnieńska, dotychczas odwodowa. Ale cóż robić - po tej formie niemal buntu z powodu ślamazarskiej akcji - powiedzieć, że to przerasta zadanie jednej kompanii? Trzeba płacić za pierwszą chęć buntu choć z tak szlachetnych pobudek. Zabieram się do wykonania. Zbieram kompanię i dyrygując jeden pluton wzdłuż toru kolejowego, który będzie wsparty ogniem naszej pancerki, sam resztę kompanii prowadzę, już przesłonięty

zapadającym zmrokiem, wijącą się dolinką między wzgórzami, z których ukraińskie ckm za dnia tak się nam dawały we znaki.

Kierunek wybrany jest kompletnym zaskoczeniem dla Ukraińców - jak i natarcie nocne, bezpośrednio po utknięciu natarcia dziennego. Wychodzę łatwo na tyły stacji kolejowej przygotowanej do obrony, ale tylko w kierunku Chyrowa. Wzięci jeńcy, 3 ckm, jedno działo

75ż7šmm przygotowane do strzału na wprost wzdłuż toru kolejowego.

Poszło naprawdę łatwo, jak bardzo często w kryzysach bitwy. Obie strony je przeżywają równocześnie i baon ukraiński był w takim samym stanie wyczerpania jak nasz baon 20 p.p.

Ale na tym nasz zryw ofensywny skończył się. Na długie tygodnie zimowe zalegamy w Chyrowie, trzymając miasto i klasztor jezuitów na Bąkowicach, gdy Ukraińcy siedzą naokoło na wzgórzach, waląc w nas z dział i ckm.

Tracimy nawet przejściowo Chyrów i znowu go odbijamy, już jako wzmocniona grupa brygadiera Minkiewicza.

Chyrów miał się stać nie tylko punktem przejściowym w marszu na Lwów. Stał się dla nas na długie dni i noce - tygodnie i miesiące zimowe - naszym garnizonem, naszymi leżami zimowymi, jakby określił Sienkiewicz, Zbarażem, od czasu do czasu obleganym przez Ukraińców. Jedynie szosa i tor kolejowy na Ustrzyki_Sanok łączyła nas z polskim zapleczem.

Ale często zapominało się, że to wojna. Szkoliło się naszych ochotników i doskonaliło w użyciu wszelkiej broni. Nieraz trzask rkm i ckm w wąwozie szkolnym zlewał się w jeden ton z seriami karabinów maszynowych w akcji. A gdy śniegi pokryły wzgórze, wśród ćwiczących na przeciwstoku narciarzy często wybuchał pocisk artyleryjski, przenoszący zabudowania klasztorne.

Sielanka jeszcze bardziej ludząca wieczorami na

„kwaterach”. Kompania borysławska, krośnieńska i sanocka nowo stworzona kompania ciężkich karabinów maszynowych, której byłem dowódcą - złączyły się w batalion strzelców sanockich, pod dowództwem por. Skiby, adwokata z Małopolski. Cały baon zakwaterowany był w klasztorze na Bąkowicach, na południowym skraju Chyrowa. Słynny zakład naukowy Ośo. Jezuitów - dziwnych i nad wiek wyrosłych dostał wychowanków, rozmieszczonych plutonami po sypialniach. Oficerowie mieli swoje pokoje, w których pełno było i gwarno przy kartach i kieliszku, przy rozmowach głośnych, śpiewach, muzyce, bo był i fortepian, i skrzypce.

Nieraz alarm nocny tak nie męczył jak te „nocne rodaków rozmowy”. Piło się tego, wszystkie fasony akademickie na wzór korporacji i wojskowe z trzech armii, protegowały ten zwyczaj. Byliśmy młodzi - bardzo młodzi! Nie piłem tylko wtedy, gdy miałem na „oku” jakąś wyprawę, wypad czy rozpoznanie, albo gdy „w kościach” czułem, że coś się gotuje. Szanowano tę moją abstynencję, bo mimo oficjalnego dowodzenia komp. ckm byłem specjalistą od ciągłych wypadów i mir mój ustalił się wśród kolegów.

Nie wiem, czy to ta atmosfera listopada 1918 r., która nas zlepiała, czy wspólne przejścia wojenne, które pachniały zawsze przygodą, nieraz pisana przez wielkie „P”, czy też życie w kupie, jak w domu akademickim, sprawiły, że koleżeństwo osiągnęło najwyższy poziom. Pamiętam, jak z nieudanej wyprawy, bo i takie się zdarzały, wróciłem ostatni i bardzo późno, gdyż trzeba było jakiegoś naszego rannego wyciągnąć z opresji - zastałem skonsternowanych kolegów. Oto jeden z nas, por. Zalewski, dostał nerwowego szoku i powtarzał w kółko „Maczek nie wrócił”. I gdy przemawiałem do niego i uspokajałem jak dziecko, przez długi czas dostawałem odpowiedź - „nie - nie, to nie ty - Maczek nie wrócił”.

Ale były i godziny poważne, rozmów i dyskusji nie kończących się, które znowu przypominały mi dom akademicki we Lwowie na Łozińskiego 1. Problemy zawiłe roztrząsane przy syku lampki spirytusowej (primusem zwanej) - dla zagotowania wody na herbatę.

I godziny artystyczne, gdy któryś z nas na fortepianie melodiami wyczarowywał Lwów, a por. Czerniatowicz, nasz skrzypek, targał strunami naszej uczuciowości. On to po wypadzie na Smereczną, skomponował jakiś zlepek kujawiaków, który nazwał

„Smereczna_marsz”. Pozytywną stroną było, że poznawaliśmy się nawzajem - swe wartości i słabizny - co tak ułatwiało potem dobór ludzi do zadań i do specjalnych oddziałów.

Jedyną formą ofensywną pozostały wypadki. Raczej płytkie, dorywcze, z garstką mych dobranych, uzbrojonych w ręczne granaty, gdyż miałem słabość do tej broni, hukiem i efektem łatwo stwarzającej zaskoczenie. Wypadki, by wziąć jeńca, usunąć jakiś dokuczliwy karabin maszynowy, by niepokoić, by udawać siły, których nie było. Pamiętam jeden z takich wypadków o formie i zasięgu głębszym, gdyż go szczegółowo wypracowałem.

Oto Chyrów, obsadzony przez siły dwóch do trzech baonów z dwoma dyonami artylerii, broni się jako izolowany ośrodek oporu, wiszący zaopatrzeniem w żywności i amunicję na jednej linii kolejowej Chyrów_Zagórz. Ale na tyłach naszych, na wzgórzach wzdłuż linii kolejowej, siedzą luźne grupy ukraińskie, rwące nasze linie zaopatrzenia. Jedna z takich grup, kilkanaście ż7škm na zachód od Chyrowa, podciągnęła baterię haubic tak, że tor kolejowy w tym miejscu znalazł się w zasięgu skutecznego ognia artylerii i systematyczne ostrzeliwanie zaczęło hamować nasze dostawy. Dostałem od bryg. Minkiewicza problem ten do rozgryzienia.

Przez cały tydzień, noc w noc, w śniegu po pas brnąłem z patrolem na różne punkty górskie, godzinami leżałem na śniegu, gdy wysyłany przeze mnie oddział w innym miejscu starał się sprowokować ogień tej baterii, aby ustalić dokładnie stanowisko jej na tyłach ukraińskich. Wreszcie zafiksowałem ją ponad wszelką wątpliwość. Znajduje się w dolinie poza wsią Smieczną na skraju lasu, który zbiega stromym stokiem z grzbietu górskiego. Jest szansa wydostania się w nocy na ten grzbiet pomiędzy dwiema placówkami ukraińskimi i druga z rzędu dukta leśna sprowadzi wprost w dół na baterię.

Korzystając z możliwości doboru ludzi, wybrałem ponad 100 z por. Szafranem jako moim pomocnikiem. Całość przebrana na wierzch na płaszcze w świeżo „wyfasowaną” bieliznę, by nie odcinać się w nocy od tła śniegu, poprowadziłem gęsiego pomiędzy ubezpieczeniami ukraińskimi, sam na szpicy z kilkoma zgranymi ze mną chłopakami, by nikt mi zmyleniem trasy lub przedczesnym strzałem nie sknocił planu.

Ostrożny i uciążliwy marsz w głębokim śniegu po stokach zjadł większą część nocy i już prawie dniało, gdy z rozpaczą stwierdziłem, że musiałem minąć tę kierowniczą dukę leśną. Głęboki śnieg wypełnił przestrzeń dolną, w której odległość od pni wyraźnie zarysowuje dukę, a rozłożyste gałęzie w górze z okapami śniegu zamazują ten obraz.

Trzeba było zawracać - na szczęście nie daleko - by wreszcie odkryć zawiana śniegiem dukę, którąśmy minęli.

Dukta odnaleziona!

W głębokim śniegu, potykając się o wykroty drzew powalonych, zbiegamy kupa w dół. Zanim dobiegliśmy do stanowisk dział, odezwał się jakiś ckm ukraińskich ubezpieczeń, wyraźnie waląc na ślepo, wprost przed siebie, nie orientując się jeszcze, skąd nadciąga zagrożenie.

Zaalarmowana i zdezorientowana obsługa dział wybiega ze wsi, prowadząc konie do dział, by je wycofać w tył. Wpada wprost w nasze ręce. Zdobyte działa wraz z końmi uprowadzamy jako zdobycz.

Nie obchodzi się jednak i bez strat. Mamy kilku rannych, między nimi por. Szafrana z przestrzeloną piersią. Jesteśmy głęboko na tyłach ukraińskich, ale ani dział, ani rannych powrotną drogą po stromych stokach nie przeprowadzimy. Decyduję się przebić główną drogą, wijącą się w wąwozie aż do doliny rz. Strwiąż i toru kolejowego. Liczę na szybkość i na ogólną dezorientację w szeregach ukraińskich. Jest pewne ryzyko, że się możemy postrzelać z wysłaną przeze mnie częścią oddziału, która miała nad ranem natarciem frontalnemu na część stanowisk ukraińskich u wylotu wąwozu odwrócić uwagę od naszego zamierzonego powrotu poprzednią drogą grzbietem górskim. Mamy szczęście. Strzelanina, sprowokowana tym natarciem, milknie zanim dochodzimy do stanowisk ukraińskich. W dobrym czasie odwraca uwagę. Podch. Zawadowski ze szpicą zaskakuje od tyłu nie spodziewających się z tego kierunku uderzenia i bez straty bierze do niewoli pluton ukraiński z dwoma ckm i już bez trudu, triumfującą kolumną ze zdobytymi haubicami maszerujemy na Chyrów.

A że na górach był głęboki śnieg, a w dole roztopiony i błoto, więc nie wyglądamy całkiem na nieskalane duchy - w pobrudzonej bieliźnie, wdzianej na płaszcze.

Tak to wojowali moi ochotnicy z Haczowa, Krosna i Odrzykonia, z każdym dniem wyrastając z amatorów_ochotników na otrzaskanych w boju wiarusów. Front pod Chyrowem w równej mierze zasilany nowymi oddziałami z obu stron, coraz bardziej sztywniał - dla Ukraińców jako ubezpieczenie południowego skrzydła - dla nas ubezpieczenie sił pod Lwowem i we Lwowie, a co najważniejsze odciążenie wciąż ciężko walczącego Lwowa.

Jak to wyglądała ta nasza wyprawa ochotnicza na odsiecz Lwowa z punktu widzenia nieco szerszego, powiedzmy operacyjnego? Ale nie od stolika sztabowego wyższych dowódców, ale od nas, zapalonych młodych poruczników czy podchorążych, prących do uwolnienia Lwowa?

Z początku bardzo naiwnie, niemal dziecinnie. Jak nie możemy dostać się do Lwowa wprost z zachodu przez Przemyśl_Gródek Jagielloński, to dostaniemy się od południa od Podkarpacia. Przecież jesteśmy odsieczą Lwowa. Potem gdy wleźliśmy do Chyrowa i utknęli, spowaźniliśmy, a z nami i nasze zadanie. Ubezpieczamy Lwów od południa, właśnie od Podkarpacia, i wiążemy poważne siły ukraińskie, które zwolnione mogłyby zaważyć w bitwie o Lwów. A potem gdy Lwów_miasto coraz bardziej dawał sobie radę sam, cel operacyjny komplikował się. Stańliśmy na rozdrożu. Na lewo pierwotny cel Lwów - na prawo zagłębienie naftowe z tysiącami uświadomionych narodowo robotników polskich, którym tylko rzucić broń i zorganizować i powstanie nowa siła.

Na tyle lat przed Stalingradem, ma się rozumieć w ogromnym pomniejszeniu, niemal astronomicznym, stańliśmy przed podobną sytuacją jak Hitler: Moskwa - czy Baku? Za dużo było wśród nas borysławiaków i Małopolan ze wschodu, by ten drugi problem stale nas nie nęcił.

Oto w te zimowe miesiące w Chyrowie powstała wśród nas myśl radykalnego rozwiązania tego problemu.

Jakkolwiek front w samym Chyrowie był „twardy”, to boki jego, a szczególnie południowo_zachodnie zalesione wzgórza były „miękkie”, czego dowodem sukcesy naszych wypadów na Słochynie, Teleśnicę i na Smereczną.

A tę Teleśnicę czy Smereczną można, wykorzystując drogi obchodzące od południa Chyrów i Sambor, osiągnąć przez wzgórza Schodnicy - sam Borysław. Były tylko uskrzydlić dobrany oddział, a świetne warunki śnieżne w tej porze roku prosiły się o taki „kulig” saniami. Po zwalczeniu małych oddziałów, jakie jedynie mogliśmy spotkać na naszej drodze, jednym tchem znajdziemy się w Borysławiu. Dużo amunicji i ręcznych granatów i pokaźny zapas karabinów, a z miejsca zwielokrotnimy nasze siły w Borysławiu i zaważymy na ogólnej sytuacji.

Ja miałem poprowadzić ten wypad. Gdy więc por. inż. Szczepanowski z borysławiakami opracowywał plan, co się zrobi w tym mieście, ja ze swoimi zająłem się technicznym przygotowaniem takiego ruchomego oddziału na wozach - pierwszej idei prymitywu motoryzacji oddziału.

Powrót bryg. Minkiewicza z urlopu i jego zastrzeżenia, że ogołocenie Chyrowa z 200 do 300 doborowych żołnierzy zmniejszy wartość obrony węzła, przekreśliły ten plan.

Kto miał rację, brygadier czy my, trudno bezstronnie dziś ocenić, ostatecznie wykonanie tylko mogło to obiektywnie stwierdzić, a do niego nie doszło.

Szkoda!

Jedno jest pewne: idea oddziału szybkiego na wozach, w tym wypadku na saniach, z dobranym elementem żołnierskim, choć stworzonego może dla jednego specjalnego zadania, pierwszy raz zarysowała się jasno w naszych myślach i pragnieniach i wypłynęła ona znowu jak tylko okoliczności na to pozwolą.

‘tc

Rozdział 3ã

Lotna Kompania powstajeã
i staje się użyteczna

‘tc

W kwietniu 1919 zlużowała nas na odcinku chyrowskim 3 dyw. legionowa, a baon strzelców sanockich przesunięto pod Lwów do rejonu Sądowej Wiszni.

„Były znaki na niebie i na ziemi”, że coś nadchodzi większego, pełne oczekiwania i naprężenia były umysły nas młodych. Już nawet nie przesunięcie na któryś z odcinków obrony Lwowa, co kilka miesięcy temu było szczytem naszych marzeń, ale coś poważniejszego wisiało w powietrzu. Skończy się nasze dreptanie na miejscu, nasze małe sukcesy, tu jakaś górka zdobyta, tam wieś zajęta, kilka ckm lub garstka jeńców, nawet te działa z takim triumfem przeprowadzone przez front.

Ciągnęła nas przestrzeń,

„awantura” na większą skalę, myśl ruchu nieprzerwanego. Na wierzch wylazła przysypana żalem i goryczą, że jej nie wykonano - idea uderzenia oddziałem na wozach na Borysław. Czy wiedział o tym ówczesny dowódca 4 dyw. piech., gen. Aleksandrowicz, i jego szef sztabu płk Tyszkiewicz, czy wyczuł te nastroje? Wezwano mnie do sztabu dywizji i zaproponowano, by wobec rozwiązania baonu strzelców sanockich i wcielenia częściowo do 18 p.p. a częściowo do 37 p.p. - wyciągnąć mych

„szturmowców” i stworzyć ruchomy oddział na szczeblu dywizji. Ile było w tym myśli płka Tyszkiewicza, a ile mojej, ile wzorów istniejących a znanych nam w armii austriackiej

„Jagd commando”, trudno mi dziś powiedzieć. Gotów jestem w całości zasługę tej idei oddać płkowi Tyszkiewiczowi i sztabowi

4 dyw. piech., gdyż dzięki ich pomocy i energii w pierwszych tygodniach organizacji oddział ten powstał. A powstanie pretensjonalnej nieco i zawilej nazwy tego oddziału najlepiej określało nadzieje związane z tym nowym tworem: „Lotna kompania pościgowa 4 dyw. piech.”, potem „Lotna kompania szturmowa”. Pretensjonalna, ale może nie w złym znaczeniu, bo żołnierz lubi takie nazwy specjalne jak: szturmowy, lotny, pościgowy i chętnie za nie płaci krwią na polu bitwy.

Tak w przeddzień niemal ofensywy majowej w 1919 r. z rejonu pod Lwowem, powstała moja

„Lotna”.

Organizacja prosta.

Oficerowie, poczet dowodzenia, mały zwiad konno.

4 plutony strzeleckie na zarekwirowanych częściowo wozach, częściowo na silnych wozach taboru po_austriackiego. Uzbrojenie kb i dużo ręcznych granatów ofensywnych (austriackie Stielgranaten).

Silny pluton ciężkich karabinów maszynowych, 4 ckm i 2 moździerze, wkrótce wzrośnie do

8 ckm przez uzupełnienie ze zdobyczy.

Zebrałem wokół siebie wszystkich znanych mi zgranych w wielu akcjach ochotników z całego baonu strzelców sanockich. Dostałem zapewnienie z dywizji, że będę miał pierwszeństwo w uzupełnianiu mych stanów, gdy zajdzie potrzeba, najlepszymi żołnierzami oddziałów dywizji. Lotna kompania powstała naprawdę z doboru.

Jeszcze dziś pamiętam skład dowódczy. Dowódcy plutonów: por. Kulczycki, por. Witek, por. Czerniatowicz, podch. Zawadowski, a plutonu ckm por. Walasek.

Połowa maja 1919 r.

Zaczęło się.

Od świtu strzelanina, huk dział, mijają nas kolumny piechoty i artylerii.

Jesteśmy w odwodzie.

Po południu rozkaz z dywizji do marszu. Podsuwają nas na wysokość wysuniętego rzutu sztabu dowódcy 4 dyw. piech.

Mamy być osłoną sztabu.

Już tak kiedyś w niedawnej przeszłości było.

Idę piechotą obok dowódcy i jego szefa sztabu, szosą, oblaną słońcem i staram się przypomnieć sobie. Tak, już tak było z tą osłoną sztabu pod Chyrowem, w drugiej akcji na ten węzeł kolejowy na Podkarpaciu. Wezwał mnie wtedy nowy dowódca grupy bryg. Minkiewicz. Wobec wejścia do akcji dwóch świeżych baonów „beselerczyków” - baonów

„regularnego” wojska - mam ściągnąć w tył moich

„ochotników”, gdyż oddział mój będzie ochraniał linie komunikacyjne grupy. A już widziałem to nowe wojsko i aż mi oczy się świeciły do ich nowiutkich niemieckich

mundurów i oporządzenia bojowego, do porządeczku i dyscypliny. Cóż wobec nich moi kochani chłopcy_ochotnicy, ubrani pół po wojskowemu, a pół po cywilnemu. I za zaszczyt chciałem sobie poczytać, że będę oto pożyteczny dla takiego regularnego wojska polskiego!

Ale już drugiego dnia - jaka zmiana! Wzywają mnie znowu do sztabu pracującego w wagonach kolejowych. Oto baony zaległy w frontalnym natarciu w dolinie rzeki Strwiąża i nie można ich ruszyć ku przodowi. Tymczasem zakreśla się ruch przeskrzydający batalionu ukraińskiego, który w przedłużeniu wychodzi wprost na sztab grupy. Mam wobec tej sytuacji przedłużyć ma kompanią lewe skrzydło natarcia i przez zajęcie i utrzymanie za wszelką cenę dominującego wzgórza w tym rejonie, ubezpieczyć i skrzydło i sztab grupy. Trzymanie tej góry jest rozstrzygające w obecnym położeniu.

Szybko podciągam mych ochotników i przesuwam pod osłoną wysokiego nasypu toru kolejowego, za którym zalegli

„beselerczycy”. Nie podoba mi się i boli zaobserwowany fakt jakiegoś nieznanego mi dotychczas sposobu walki. Żołnierze leżą dobrze ukryci i wysuwając karabiny ponad głowy, na oślep w przód strzelają.

Nieostrzelany, surowy rekrut!

Dałem się nabrać poprzedniego dnia wyglądem i energicznym stukaniem w obcasy.

Tymczasem oddział mój posuwa się szybko po stoku góry.

Szczęście żołnierskie z nami!

O ułamek minuty przed Ukraińcami osiągam grzbiet. Szybko wyrzucone 2 ckm sieją długimi seriami w masę nierozwiniętego baonu ukraińskiego, którego ubezpieczenia minęły nas w lesie, idąc w skośnym do nas kierunku. Po kilku minutach batalion w rozsypce - rozpryskuje się formalnie na grupy żołnierzy, zbiegających z powrotem w dół, pozostawiając na miejscu zaskoczenia 5 ciężkich karabinów maszynowych i kilkunastu zabitych i rannych.

Zadanie wykonane.

Utrzymanie wzgórza „za wszelką cenę” nie będzie już trudne.

Ale nie dają mym myślowi spokoju ci na dole, strzelający sponad głowy. Przecież oni nigdy nie odczepią się od tego zbawienego nasypu toru kolejowego, nie ruszą naprzód i nie zdobędą Chyrowa.

Chwila walki wewnętrznej. Czy to aby nie będzie niewykonaniem rozkazu „trzymania” góry? Zostawiam jeden pluton mój ze zdobycznymi ckm, a sam z resztą kompanii zbiegam w dół w ślad za uciekającymi Ukraińcami. Bez dalszej walki, wkrótce znajduję się na głębokich tyłach i dochodzę do szosy i toru kolejowego i rzeki, ale już poza pozycją obronną Ukraińców - między nimi a Chyrowem. Zapadająca szybko w górach noc sprzyja mi. Wpadają mi teraz w ręce niemal bez walki grupki oddziałów, wozy z zaopatrzeniem, jakiś dowódca niedużej rangi, zdaje się porucznik, ale robi się pewien ruch, padają poszczególne strzały. Szukam oparcia i przyjaciela w terenie. Obsadzam ckm pagórek zamykający w tym miejscu dostęp szosą i torem, nastawiam moje ckm korzystając z jasnej nocy księżycowej do strzału na wprost tak, jak w tych warunkach można to było zaimprovizować. Sam grasuję z kompanią na szosie, wyłapując co się da i przygotowując zasadzki plutonów w razie wycofywania się Ukraińców na Chyrów. Przygotowania moje wieńczy nad ranem sukces. Wycofujący się oddział ukraiński, zaskoczony ogniem z ckm z mej reduty, a ręcznymi granatami z zasadzek i gromkimi hurra całego oddziału, rozprasza się, nie podejmując zupełnie walki. Droga na Chyrów otwarta.

Jeszcze w tym samym dniu zajmę go z patrolem mym na saniach, wyprzedzając grubo oddziały grupy.

Ale wracam do lotnej i do Drohobycza.

Takie to myśli spod „Chyrowa” przeżywam maszerując obok szefa sztabu 4 dyw. piech., płka Tyszkiewicza i przez chwilę nie słyszę nawet, że mi coś przedkłada, coś co brzmi jak przedłużenie mych wspomnień:

„...przecież oni taką robotą nigdy nie wezmą Drohobycza”.

Tak jak wtedy tamci - Chyrowa!

Czyżby identyczna szansa dla mego oddziału? Wysuwam ją propozycję. Znam Drohobycz i jego okolice jak własną kieszeń. Kończyłem gimnazjum w tym mieście, jako harcerz dużo się nawałęsałem po tych polach.

Dostaję pozwolenie w formie rozkazu: pomoc pułkowi czołowemu w opanowaniu miasta.

Podciągam prędko wozy z moim oddziałem do ostatniej przesłony terenowej, która osiągnęły oddziały w natarciu. Dzielę kompanię na mniejsze oddziały szturmowe z granatami ręcznymi i wskazuję w terenie przedmioty, łatwe do osiągnięcia po zapadnięciu zmroku. Zmrok w międzyczasie zapada. Zapewniam sobie ogień artylerii na pewne partie skraju miasta, więcej dla odwrócenia uwagi niż dla bezpośredniego zysku.

Sam z dwoma plutonami posuwam się znanym mi podejściem terenowym, omijając miasto od wschodu i kierując się najkrótszą drogą na rejon dworca głównego i olbrzymiej

„odbenziniarni” przylegającej do niego. Dalekie światła, świsty lokomotyw świadczą o gorączkowej ewakuacji.

Gdy wpadam w pierwsze zabudowania przedmieścia, z daleka, z różnych punktów miasta zrywa się gwałtowna strzelanina. Wpada w to huk artylerii własnej. Tym lepiej. Mnie się udało przeniknąć bez zatrzymania. Rzucamy już teraz żmudne przełazenie płotów i murów i biegniemy szybko ulicą główną dworcową, byle prędzej do dworca. Jesteśmy młodzieńczo prężni i nierozważni. Ktoś nuci „Hej kto Polak na bagnety” i za chwilę wszyscy dra się wniebogłoso. Ale zamiast zgubnych następstw, ma to raczej zbawienne. Tupet nasz paraliżuje reakcję Ukraińców, wprowadzając wśród nich istny zamęt. Otwierają się drzwi i okna i wylatują z domostw uradowani Polacy, chcą pomóc, dają wiadomości, prowadzą. Dopiero na samym dworcu kolejowym dochodzi do krótkiej walki na ręczne granaty. Zatrzymujemy 3 pociągi pod parą. Na jednym wywożona artyleria, na pozostałych cenny sprzęt zdemontowany z odbenziniarni.

Zanim zebraliśmy się o świcie dnia następnego, oddając miasto oddziałom dywizji, zmiana sytuacji ściągnęła nowe zadanie dla kompanii lotnej i to do natychmiastowego wykonania. Oto, posuwająca się równolegle na południe 3 dywizja legionowa na kierunku Chyrów_Borysław, została zatrzymana w górzystym i zalesionym terenie Schodnicy koło Borysławia. A 9 pułk ułanów jako oddział łącznikowy między obydwoma dywizjami, uwikłał się w walki w kompleksie zalesionym między Drohobyczem a Borysławiem i stracił swego dowódcę majora Bartmańskiego, co zahamowało tym bardziej ruch pułku. Wobec tego, kompania lotna ma uderzyć wzdłuż szosy Drohobycz_Borysław dla odciążenia sytuacji przez przeskrzydlenie oporu Ukraińców.

Wciąż jesteśmy w terenie mego dzieciństwa. Znam każdy zakręt szosy na Borysław, każde wzgórze i zalesienie. Ponadto Borysław ma specjalną wartość uczuciową dla nas - kilka miesięcy przedtem chcieliśmy głębokim zagonem z Chyrowa zająć go i wyzyskać element polski w tym mieście.

Dziś mamy ten oddział ruchomy, który już sprawdził swą wartość bojową w walce o Drohobycz. Oto szanse zrealizowania dawnego planu choć w odmiennych warunkach. Szybko posuwa się kolumna wozów, poprzedzana konnym zwiadem. Omijam od wschodu kompleks lasów, w którym ma się znajdować 9 pułk ułanów i ze zwiadem osiągam ostatni horyzont przed miastem, do którego pierwszych zabudowań dzieli nas jeszcze około 3 kilometrów.

Przez lornetkę obserwuję duży ruch na skraju zabudowań.

Szosa ku nam sunie nieprzerwana kolumna, raczej zwarta masa - strumień ludzi. I ciszę przerywa nagle odgłos setek syren, szybów naftowych i dzwonów w kościołach.

To nie Ukraińcy!

To masa robotników polskich naftowych na wieść o zajęciu Drohobycza, sama rozbraja oddziały i instytucje ukraińskie i wychodzi na spotkanie żołnierza polskiego. Chwila, która na zawsze pozostanie w mej pamięci: to słońce majowego dnia na szosie do Borysławia i to słońce w stęsknionych sercach prostych ludzi, witających oswobodzicieli.

I jak Lwów i wiele miast i miasteczek przedtem i potem, ludność Borysławia, stolicy zagłębia naftowego polskiego, stwierdzała manifestacyjnie swą polskość!

Ulegliśmy stokrotnej przemocy!

Rozdrapano mój oddział, każda polska rodzina chciała gościć i poić jednego z mych chłopaków. A chłopcy z Borysławia w cywilnych ubrankach z zaimprovizowanymi opaskami biało_czerwonymi, ze zdobycznymi karabinami objęli samorzutnie ubezpieczenia i narzucili się na przewodników dla mych patroli dla nawiązania łączności z 3 dywizją i z 9 pułkiem ułanów. Wymogłem jedynie tyle, że obiecano mi w razie alarmu lub nowego rozkazu syrenami zawiadomić, by mi „zniesiono” mych żołnierzy na oznaczony plac alarmowy.

Gdy na drugi dzień na rozkaz dywizji kolumna ruszała na Stryj, długiego czasu trzeba było na świeżym powietrzu i przy wstrząsie pędzących wozów, by chłopcy moi byli znowu... żołnierzami.

Ale jeden zawód był oczywisty. Nie danym mi było naprawdę walczyć w Borysławiu, ani przedtem w zimie, ani teraz na wiosnę.

‘tc

Rozdział 4ã

Wyścig lotnej do Zbrucza

‘tc

Szybkie wysunięcie się kompanii lotnej na m. Kałusz - przez Stryj, zajęty już przez nasze oddziały - zaskoczyło zupełnie Ukraińców! Obrona ich na południowo_wschodnim brzegu Łomnicy, była w trakcie obsadzania przez baon siczowy. Duży most na rzece, konstrukcji drewnianej, był przygotowany do zniszczenia w oryginalny sposób: oto w dwóch miejscach mostu przygotowano sterty suchego łatwo palnego materiału i skrzynie ręcznych granatów. Gdyśmy podeszli do mostu, jedna sterta bliższa nas buchała już jasnym płomieniem, druga była jeszcze nie zapalona. Na naszą szpicę zbiegająca do mostu posypał się grad pocisków z domostw przeciwległego brzegu. Mimo dwóch rannych, kaprale Wojtuń i Bienia podbiegają do palącej się sterty i osłonięci ogniem pierwszych karabinów z naszego brzegu zaczynają rzucać do wody palące się bierwiona drzew, a przede wszystkim skrzynie z granatami. Za nimi szybko przebiegł przez most pluton podch. Zawadowskiego już bez strat i właściwie na tym cała potyczka się skończyła. Niezorganizowany jeszcze do obrony batalion rozpełzający się właśnie w terenie dla obsadzenia stanowisk, zupełnie zaskoczony „nieprzepisowym” tempem, dał za wygraną i ścigany ogniem naszym uchodził na wschód.

Droga na Stanisławów była otwarta.

Jeszcze przed tym miastem, wychodzące z „podziemia” PŞoŞw wyszło na nasze spotkanie. Sam środek miasta był już wolny, funkcjonowało PŞoŞw i uzbrojona straż obywatelska. Na przedmieściach jeszcze ociągali się z reakcją Ukraińcy. Na zaimprovizowanym przez ochotników pociągu, który podjechał naprzeciw nas, wjechałem do miasta z częścią kompanii, reszta prędko dołączyła w wyścigu z 9 p.uł.

Miasto było wolne i w sposób entuzjastyczny dawało temu wyraz.

Jeszcze tego dnia, częścią oddziału zająłem nieuszkodzony most na Dniestrze pod Niżniowem, odsuwając możliwość reakcji ukraińskiej daleko od tego miasta. Po wkroczeniu do Stanisławowa położenie na jakiś czas ustabilizowało się. Weszliśmy w upalny, suchy czerwiec i kompania lotna objęła dozоровanie Dniestru dla ubezpieczenia dywizji od obszaru Pokucia, utrzymanego wciąż przez Ukraińców. Równało się to wywczasom, zasłużonemu przez żołnierzy odpoczynkowi. Nadeszła kontrofensywa ukraińska, która zepchnęła oddziały na linię Żórawna i rozkaz ściągnął kompanię z tego lotniska do odwodu dywizji. Jako pierwszy punkt przeznaczenia osiągnęliśmy wioskę Czerniów, u stóp wzgórza dominującego w promieniu kilku kilometrów nad płaszczyzną, aż po Dniestr. Klucz pozycji 4 dyw. piech. niedaleko m. Żórawna. Był dokuczliwy upał, rozleźliśmy się w oczekiwaniu na obiad po chałupach wiejskich, na czas, by ukryć się przed burzą, która z ulewą i gromami przyleciała od rzeki Dniestru. I zaledwie ostatnie grube krople deszczu przestały bębnić po szybach domostw, a palące słońce z powrotem oblało płaszczyznę, nadlecieli gońcy wystraszeni z

„taborów” naszych, że Ukraińcy uwijają się wśród wozów i zajęli już wschodnią część wsi. Burza bowiem zastała nas w sytuacji wejścia do wsi od strony frontu trzymanego przez jakiś oddział dywizji tak, że nasze „tabory” były chwilowo najbliższej tego frontu.

A oto co się stało.

Jakiś nienajpodlejszy batalion siczowników, zdaje mi się kołomyjski, wyzyskał sprytnie burzę i ulewę i zaskoczył obsadę polską reduty, a teraz posuwa się przez wieś, połykając niejako nasze części taborowe. Nie było czasu na wymyślne manewry. Odruchowe przeciwuderzenie jednego plutonu lotnej likwiduje zagrożenie we wsi. Teraz jeden pluton na wprost - na redutę, wsparty ogniem wszystkich ckm por. Walaska. Pozostała część kompanii rusza szybko pod osłoną wysokiego nasypu kolejowego, by uderzyć na wzgórze ze skrzydła. Tylko oddział bardzo zgrany, z oficerami, którzy rozumieli się w mig, mógł wykonać to uderzenie z tej rozlazłej przed chwilą kupy żołnierzy, kryjących się przed burzą po domach.

Ale poszło!

Jak z nieba, teraz już jasnego po burzy, odezwały się w czas działa panczerki polskiej, która wyjechała z zakrętu toru zaalarmowana przez dywizję stratą wzgórze. A chłopaki mych plutonów poszli jak w dym źli, że przerwano im obiad, a ponoć Polak jak głodny to zły.

Reduta została odbita z taką szybkością, z jaką nogi żołnierza mogły zdążyć po stromym stoku, ze stratami minimalnymi, gdyż szybki ruch prędko wprowadził ich w martwe pole, w stosunku do wysoko porozstawianych ckm ukraińskich.

Gdy na grzbiecie wzgórze byłem zajęty porządkiem obsady, gdyż za dużo zgęściło się żołnierzy w jednym miejscu, jak na wściekle teraz odgryzającą się baterię ukraińską, zziajany goniec wzywa mnie w dół do panczerki, do jakiegoś wysokiego dowódcy.

Zbiegam.

Z kb przewieszonym przez plecy, z dwoma ręcznymi granatami za pasem, osmolony i obłocony i w tej groźnej postaci melduję się u dowódcy, który podjechał na front na pancerce.

Był nim Komendant Józef Piłsudski. Piszę „Komendant”, bo takim był dla mnie z czasów mych studiów uniwersyteckich we Lwowie, z czasów Związku Strzeleckiego. Tak go tytułowałem w jedynym osobistym zetknięciu się w r. 1913, gdy w lokalu Związku na ul. Kadeckiej we Lwowie meldowałem się jako wartownik na służbie. Znajomość zresztą jednostronna - Piłsudski nie pamięta - bo skąd mógł pamiętać jednego ze swych młodych strzelców, zaprawiających się w niedziele i wieczory w kunszcie rycerskim.

Melduję się więc przepisowo, szarżą, nazwiskiem etc. i zdaję relację z bitwy. Oczy Piłsudskiego lustrują mnie badawczo, wreszcie z uśmiechem odzywa się: „Ale to groźnie wyglądacie, poruczniku - ale z tą górą to załatwiliście się szybko - trzymajcie tylko ją zanim nadejdą oddziały waszej dywizji.” Spocony więcej tym meldowaniem się, niż całą bitwą, opuszczam pociąg. W kilka tygodni potem dostaję awans za wybitny czyn na polu bitwy. Ale coś w sztabie w górze sztabowcy wyraźnie pokiwali, bo zostaję mianowany porucznikiem, którym już byłem od listopada zeszłego roku.

Kończy się więc na razie na ogromnym honorze awansu na polu walki, a weryfikacja w następnym roku naprawia ten błąd i zostaję kapitanem z datą wsteczną tej czerwcowej bitwy.

Incydent ten ma głębsze następstwa.

Ileokroć los mnie styka z marszałkiem Piłsudskim, tyleokroć w rozmowie wypływa mój groźny wygląd z ręcznymi granatami za pasem spod Czerniowa. Nie wiem, czy w tyle lat później, gdy brałem udział w ostatniej wileńskiej grze wojennej, prowadzonej przez Marszałka, cień spod Czerniowa nie zaważył na wysunięciu mego opracowania na czoło innych, przez życzliwsze ustosunkowanie się do tego porucznika z ręcznymi granatami. W każdym razie tak mi się wtedy zdawało, może w mej skromności, gdyż w opracowaniu mym niczego mądrzejszego nie napisałem w porównaniu z innymi współtowarzyszami gry wojennej.

Lotna stała się pupilką dywizji. Gdy mijała pułki piechoty czy artylerii, towarzyszyły jej radosne i przyjazne okrzyki. Mimo tego, że uzupełniając się, ogałacała nieraz z najlepszych żołnierzy inne oddziały, co nie zawsze wyrabia popularność.

A już dwa oddziały, 9 pułk ułanów i dyon rozpoznawczy rotmistrza Riessa, stale współpracujący z lotną, specjalnie zaprzyjaźnił się z tymi „ułanami” na wozach, mimo zaciętej nieraz, choć szlachetnej rywalizacji. Robiliśmy sobie nawzajem różne kawały, jak to bywa nieraz w najbardziej kochającej się rodzinie. Pamiętam jak po bitwie pod Kałuszem, gdy otworzyła się wolna droga na Stanisławów i oddział przedni kawalerii miał czołowy pluton lotnej, jak wtedy dowódca plutonu otworzył ogień ckm na wyimaginowanego nieprzyjaciela na skraju jakiegoś lasu i zreflektował tym zbyt rączo podążających kawalerzystów i w ten sposób nie dał się ubiec. Współpracując z 9 pułkiem ułanów, miałem możliwość poznania i zaprzyjaźnienia się z dowódcami szwadronów i plutonów jak: z rotmistrem Komorowskim, dowódcą szwadronu ckm, który nie był jeszcze wtedy „Borem”, opromienionym sławą dowódcy armii krajowej, z porucznikiem Tatarem, który zginął potem w wypadku samochodowym w czasach pokojowych, por. Wanią i ppor. Rzepką i wielu, wielu innymi.

Rotmistrz Borkowski, dowódca pułku po majorze Bartmańskim, zaproponuje mi potem wcielenie lotnej jako szwadronu do pułku. Bardzo zaszczytna propozycja, świadcząca o uznaniu dla tego piechura, ale mnie za bardzo smakowała moja „mołojeczka” swoboda, bym chciał się podporządkować!

I wzięcie lotnej i jej dobre nazwisko wychodziło już poza ramy dywizji. Była wymieniana w rozkazach, nazywano ją strażą przednią dywizji, nawet dostała się do komunikatu „frontu”.

To wszystko spowodowało, gdyśmy doszli do m. Buczacza, specjalną wizytę z dywizji gen. Żeligowskiego. Przyjechał ze sztabu ppłk Jaruzelski z prośbą, by mnie pożyczono jako „specja” od wypadów do przeprowadzenia wypadu na klasztor w Jazłowcu. Działo się to na tydzień mniej więcej przedtem, zanim szarża pod tym miastem okryje sławą 14 pułk ułanów Jazłowieckich.

W klasztorze tym, pod skrzydłami sióstr Urszulanek, schroniła się garstka pańienek ze sfery ziemiańskiej, między nimi dwie córki tegoż pułkownika Jaruzelskiego i zachodzi obawa, że zanim ruszy nasza dalsza ofensywa, zostaną one ewakuowane wraz z siostrami Urszulankami. Sformowano już nawet specjalny oddział do tego wypadu, trzeba go jednak „fachowo” poprowadzić.

Wezwany do sztabu, zapaliłem się do projektu, ale pod dwoma warunkami. Wypad poprowadzi lotna, po drugiej dopiero nocy, bo pierwszą rezerwuję sobie na rozpoznanie terenu.

Tyle „szumu” narobiono koło nas, że nie chciałem ryzykować akcji w nieznanym terenie i warunkach i z nie swoim żołnierzem.

Na wywiad dobrałem sobie niezawodnych mych sierżantów Kielara i Szponara, z podchorążych Kazia Michalewskiego i zdaje się Mrówkę.

Podejście jarem zakrzewionym nie przedstawiało specjalnych trudności, nawet samo dojście do klasztoru, którego ogród owocowy, obwiedziony wysokim murem, schodził niemal do strumyka. Trudniejsze będzie ubezpieczenie całego wypadu i wyewakuowanie na wozach kogo się tylko da z sióstr i pańienek.

Wobec tego stworzyłem dwa oddziały: jeden por. Czerniatowicza, a drugi podch. Zawadowskiego, z zadaniem wyjścia energicznego na dwa grzbiety obejmujące jak ramionami z dwóch stron zabudowania klasztorne i zaangażowanie się w bitwę do czasu, jaki mi był potrzebny. Sam poprowadziłem resztę kompanii, przemykając się jarem wprost na klasztor. Zaskoczona przez nas, a wypatrzona poprzedniej nocy placówka, nie zdążyła oddać strzału, a już przeskakiwaliśmy wysoki mur klasztorny, gdy ostra strzelanina z obu stron upewniła nas, że plan „gra” i uwaga Ukraińców skupia się na tych dwóch grzbiętach, którymi nacierają moje plutony.

Prędko wyłożyłem o co chodzi przełożonej klasztoru, zachowującej spartański spokój w tej sytuacji. Podciągnęliśmy podwozy i zaczęliśmy ewakuację.

Koło samego klasztoru wywiązało się trochę strzelaniny, która wyciągnęła mnie w przód do ubezpieczeń.

Gościnnie „występ” udał się w zupełności; mieliśmy nie więcej jak dwu do trzech lekko rannych, ale za nic w świecie nie mogłem sobie potem przypomnieć ani jednej twarzyczki tak romantycznie wybawionych panien. Nowy zryw ofensywy wysunął nas znowu na czoło dywizji. Buczacz_Czortków_Husiatyń, małe potyczki, małe sukcesy i tak dotarliśmy do rzeki Zbrucz.

W jesieni wraz z dywizją przerzucono nas na Wołyń.

Gdy dzisiaj patrzę w przeszłość przeszło 40 lat temu, jestem pełen podziwu dla żołnierza_ochotnika, którym dowodziłem od pierwszych dni listopada 1918 r. - do końca

1919 r., żołnierza, który stawał się nim nieraz dopiero w pierwszych walkach, bez poprzedniego przygotowania i metodycznego szkolenia. Od pierwszej chwili, gdy ci starsi wśród nich, ostrzelani już na niejednym froncie orzekli, że „ich porucznik umie chodzić między kulami” - co miało być i komplementem dla zachowania się osobistego w boju i dowodzenia nimi - od tej chwili dali mi całe swe serce i zaufanie.

Jak łatwo to było dowodzić, wami, kochani moi chłopcy z lotnej, jak łatwo mieć sukcesy. Wy z Krosna, Odrzykonja, Haczowa i Sanoka i wy tak bliscy mi ze Lwowa i Borysławia.

‘tc

Rozdział 5ã

Bez własnego oddziału

‘tc

Na zimę 1919ż8ş#20 r., wyciągnięto mnie „czasowo” do oddziału operacyjnego frontu gen. Listowskiego. Szefem sztabu był ppłk dypl. Marian Przewłocki i jego to była myśl. Szefem oddziału operacyjnego był major Jabłoński, który zginie przy końcu kampanii jako dca 11 p. ułanów. „Czasowo” przedłużyło się do wiosny 1920 r. W oddziale operacyjnym przeszedłem ofensywę kijowską, ale już po reorganizacji w sztabie 2 armii gen. Raszewskiego i doczekałem się Budiennego. Z pasją i temperamentem „dowodziłem” na mapie chorągiewkami, oznaczającymi ruch jego brygad i naszych oddziałów. Rozumiałem i mogłem wczuć się w psychikę gen. Raszewskiego, oficera b. armii pruskiej, gdy którejs nocy zbudziłem go ważnym meldunkiem o niepowodzeniu któregoś z pułków kaw. płka Dreszera. Na mój meldunek otrzymałem zdziwioną odpowiedź: „co mi pan porucznik melduje za głupstwa, przecież był pan obecny, gdy Dreszerowi dawałem rozkaz rozbicia tej bandy Budiennego, a pan tu plecie o cofaniu się”. Nie rozumiał stary generał, by rozkaz bez względu na stopień realności, miał być niewykonany. Wkrótce potem, gdy Budienny, mimo tych i innych rozkazów stale robił postępy i groził rozerwaniem frontu południowego, zdarzyła się gratka wyrwania się od wojowania na mapie. Kpt. Benedykt, szef oddziału II armii, przyłapał i odcyfrował depeszę Budiennego, alarmującą wyższe dowództwo, o zupełnym braku amunicji, szczególnie artyleryjskiej, a podająca dokładne rozlokowanie brygad w rejonie m. Korca. Zmontowano koncentryczne uderzenie wszystkim co II armia miała do dyspozycji. Z północy z lasów ludwipolskich miała uderzyć 6 dywizja piech., a z zachodu wzdłuż osi Równe_Korzec 3 dywizja piech. legionowa gen. Berbeckiego, ubezpieczona od południa działaniem 9 pułku ułanów. Ponieważ koncentracja sił naszych nie nastąpiła przed natarciem, ale miała nastąpić dopiero w pobliżu przedmiotu natarcia, tj. w rejonie Korca, troską d_cy armii była olbrzymia luka między podstawami wyjściowymi obu dywizji, która miała się dopiero zmniejszyć w miarę posuwania się natarcia. Zatrzymano wobec tego załadowywanie ostatnich dwóch baonów 4 dywizji piech., jednego z 37 p.p., a drugiego z 18 p.p., które jako ostatnie miały odejść za dywizją na front północny pod Głębokie. Dodano do tego jedną baterię szkolną 75ż7şmm i wyładowujący się właśnie szwadron ckm 11 pułku ułanów i ja miałem objąć dowództwo nad tą grupą, z tytułu znajomości oddziałów 4 dyw. piech. Tak stworzona grupa miała wiązać natarcie obu dywizji, uderzając przez Międzyrzecz Korzecki - na Korzec. W ostatniej chwili dowództwo objął świeżo przybyły do sztabu z 6 armii major szt. dyn. Wolf, a ja zgłosiłem się na ochotnika jako adiutant, by znajomością dowódców w oddziałach pomóc

Wolfowi w dowodzeniu. Jedyłą moją ambicją było dorwać się znowu do linii, do prawdziwych zdarzeń na froncie, a nie, na nie mniej prawdziwych zresztą, na mapie.

O świcie, zdaje się dn. 1 lipca 1920 r., ruszyła nasza grupa łącznikowa na Międzyrzecz Korzecki, zdobyła go i bardzo energicznie prac naprzód i spychając oddziały kozackie, w późnych godzinach popołudnia docierała do zachodnich domostw miasta Korca, rokując szybkie nawiązanie łączności z 6 dywizją piech. i 3 dywizją legionową i pełny sukces tak zamierzonej operacji.

O tym czasie nastąpiły dwa po sobie biegnące zdarzenia, które diametralnie zmieniły cały obraz. Najpierw otrzymaliśmy ogień artylerii z północy z kierunku spodziewanego ruchu 6 dyw. piech., a potem z południa przyleciał z patrolem 9 p.uł. podch. Wieleżyński, jeden ze znanych mi borysławiaków z listopada 1918 r., z następującym meldunkiem. Przysłała go na własną odpowiedzialność por. Adam Epler, dowódca baterii 3 p.a.l., znany mi dzielny artylerzysta spod Chyrowa, z ostrzeżeniem, że gen. Berbecki całkiem nie zamierza uderzać na Korzec i że negatywnie ustosunkowuje się do rozkazów armii. W jego obecności dał rozkaz dowódcy straży przedniej dyw. ppłkowi Bończy_Uzdowskiemu, z chwilą zetknięcia się z Kozakami i po wymianie strzałów - natychmiastowego powrotu do Równego. Dodatek był jeszcze bardziej pesymistyczny: oto podch. Wieleżyński ledwie dotarł do nas, wobec zarysowującego się manewru kozackiego okrążającego naszą grupę od południa.

Ładna sytuacja!

A oto baony zmachane całonocnym marszem i całodniową poważną akcją. Trzeba działać szybko. Proponuję odskoczyć na północ na lasy ludwipolskie, gdzie połączymy się z 6 dyw. piech., jeśli już nadciąga, a w każdym razie w lasach nie damy się rozbić kawalerii. Jeśli „już nadciąga”, gdyż w tym czasie wysłane rozpoznanie stwierdziło obecność małych oddziałów kozackich, od których przedtem już otrzymaliśmy ogień artylerii.

W każdym wypadku lasy te pokrywają duży obszar aż z powrotem do rz. Horyń i są idealnym terenem do wycofania się.

Ale mjr sztabu gen. Wolf, przy najlepszych zapewne chęciach, nie miał doświadczenia bojowego i zastosował jeden z przeżytków regulaminu austriackiego, który na wypadek cofania się stosował w nieskończoność idące „szufladki”, „schwarm_weise zur~uck”; jedna drużyna cofa się, druga strzela i tak do znudzenia, aż się skończy pole ćwiczeń w garnizonie, albo nerwy i siły człowieka na wojnie. I to w terenie zupełnie otwartym, 30 kilometrów od Horynia. Baony z dobrym żołnierzem niemal do zmroku stosując tę metodę, zaczęły się wycofywać. Taka taktyka stwarza mnóstwo niespodzianek taktycznych i psychologicznych. W pewnym momencie powstało zamieszanie w oddziałach. Wówczas mjr Wolf, dzielnie zresztą reagując dla zapobieżenia panice, wysłał mnie w przód do plutonu 37 p.p., który jako straż tylna osłaniał odskok szwadronu ckm 11 p. ułanów. Gdy co sił w koniu podskoczyłem do plutonu i powtórzyłem rozkaz, dowódca tegoż, nie znany mi na nieszczęście podoficer, rzucił zjadliwą uwagę: „to tak łatwo dawać takie rozkazy z konia”. Tak mnie to ubodło i rozgniewało, że zeskoczyłem z konia i zostając z plutonem odpowiedziałem, że pokażę, że taki rozkaz można dać też pieszo.

Objąłem dowództwo nad eksponowaną strażą tylną i wysuwając się w wysokim zbożu do przedniej linii, po daniu kilku wskazówek, by nie strzelać, aż na mój rozkaz, zacząłem obserwować przedpole. Do dziś zostało mi z tych wrażeń z rozległych pól Ukrainy i Wołynia uczucie, że największym wrogiem naszym były wtedy te wysokie zboża pokrywające pola. Jak to okopać się z możliwym polem ostrzału, jak przeciwstawić się szarżom kawalerii, gdy dla oddania strzału trzeba było stanąć, a wyjątkowo klęczeć. Te zagubione plutony i drużyny nie widzące się nawzajem i bez łączności ogniowej, w morzu falującego bujnego zboża bogatej ziemi ukraińskiej czy wołyńskiej! A w zmiennej sytuacji nie było czasu na spreparowanie odpowiednio tego terenu do obrony.

Falisty teren pod Korcem umożliwił podejście skryte kawalerii do ostatniego grzbietu o jakieś 600ż7śm przed nami. Zza tego grzbietu wysuwały się co chwila do połowy wysokości jeźdźca sylwetki kawalerzystów, krzyczących coś w naszą stronę i wymachujących szablami ponad głowami, jakby dla zastraszenia nas a dodania sobie odwagi. I szybko chowały się potem za grzbiet pagórka. Ledwie

pomyślałem: „ale nie mają zbytnej ikry do szarży”, gdy z za grzbietu wyrwała się w karierze jakaś setka kawalerzystów. Krzyknąłem:

„uwaga ognia” - i sam stojąc oddałem strzał, a zdając sobie w tej chwili sprawę, że padł w ogóle tylko ten jeden mój strzał, rzuciłem się na ziemię. Obsypany w tej chwili odpryskami ziemi spod kopyt koni, które przeleciały z obu stron obok mnie, uprzytomniłem sobie, co się stało. Oto gdy uwaga moja była przykuta do sylwetek ukazujących się i znikających za grzbietem Kozaków, nie wytrzymały nerwy przemęczonych żołnierzy i nie związanych więzami zaufania z tym „sztabowcem”, który przyjechał tu nie wiedzieć po co! I albo na widok zrywającej się szarży Kozaków zaczęli wyłamywać się z szeregu w tył, albo nawet o ułamek minuty przedtem, powstając i odchodząc w tył, sprowokowali szarżę Kozaków dotychczas tak powściągliwych.

Leżałem w zbożu cały zamieniony w słuch, gdy o kilkadziesiąt kroków droga przeciągały jakieś oddziały, nie mogąc doczekać się zmroku, gdyż słońce leniwie chyliło się ku zachodowi.

Jeszcze przed zmrokiem zajechała niedaleko bateria kozacka i oddała kilka strzałów.

Potem i to ucichło, a dochodziły tylko głosy rozmów, śmiechów, krzyków rozłażących się wszędzie żołnierzy. A gdy noc zapadła, jasny księżyc w pełni bardzo utrudnił możliwość wymknięcia się.

Podniosłem się ostrożnie i z karabinkiem owiniętym w mundur i bez czapki, by sylwetką nie zdradzić się, brudami wiodącymi ku wsi zacząłem wolno, wolniutko oddalać się, by nie zdradzić się zbyt widoczną ucieczką. Odezwały się jakieś krzyki rzucone w moją stronę, na które nie reagowałem i oddalałem się nie przyspieszając kroku, choć wszystko we mnie parło, by biec.

Ognie w wsi i tęskne pienia kozackie z góry przesadziły o dalszej drodze w tym kierunku. Jakimiś mokradłami i zaroślami zacząłem obchodzić wieś, aż po kilku godzinach takiej ostrożnej

„operacji” znalazłem się w lesie. W tym lesie, do którego instynkt samozachowawczy ciągnął mnie od Korca. Teraz już nabrałem pewności siebie i z mniejszą ostrożnością, ale większą szybkością, zacząłem maszerować, wybierając drożyny wiodące na zachód lub północny zachód, w lesie wysokopiennym, z plamami poświaty księżycowej, cedzonymi poprzez liście. Było tak dziwnie, ta cisza naokoło - i we mnie - po hałasie i emocjach całego dnia to odprężenie, że już odpowiadam tylko za siebie.

Gdy zaczęło świtać, zaszyłem się w gęste krzaki i spałem dobrych kilka godzin, budzony od czasu do czasu odgłosami ciągnących oddziałów i dalekiego ognia artylerii.

Drugiej nocy zmieniłem taktykę wiedząc o tym, że lasy nad Horyniem naszpikowane są koloniami polskimi. Zaszedłem do pierwszej izolowanej chaty i tam nakarmiony i napojony, maszerowałem już od punktu do punktu podawany z rąk do rąk, od przewodnika do przewodnika. Gdy po trzech nocach dotarłem do Równego, miasto ze sztabem armii i 3 dywizją legionową było już niemal zamknięte przez oddziały Budiennego. W sztabie przywitano mnie serdecznie, cieszą się, bo miano mnie już za straconego, gdy mjr Wolf z resztkami grupy wrócił z niefortunnej wyprawy. Ale nie było czasu na cackanie się. Sytuacja była poważna. Powierzono mi dowództwo nad dwoma baonami zbiorowymi ad hoc uformowanymi, z zadaniem osłony Równego od zachodu i przydzielono, o dziwo, pluton pancerny o trzech czołgach francuskich.

Czy popełniłem wielką herezję używając czołgów tak, jak użyłem je w tych dniach na początku lipca 1920 r.? Otóż, nie ufając tej zbieraninie w baonach, a nie mając żadnych środków dowodzenia i łączności, przejeżdżałem z plutonem czołgów z odcinka jednego baonu do drugiego, sam siedząc na zewnątrz na ogonie czołga. Zapobiegałem w ten sposób wciąż powstającym kryzysom na tych odcinkach. W jednym tylko wypadku czołgi te naprawdę strzelały i ukazaniem się odrzuciły natarcie kozackie. W większości wypadków były raczej moralnym poparciem. I gdy ściśle w 20 lat później, w czerwcu przy odwróceniu znad Marny we Francji, czołgi me były tak samo oblepione przeważnie przez Senegalczyków, to myślałem sobie, czy nie byłem wtedy w

1920 r. takim samym prymitywem murzyna na czołgu. Ale „czołga” temu, kto mi powie, jak wtedy w

1920 r. w mej sytuacji mogłem lepiej użyć tych aż 3 czołgów!
Rozwiodłem się obszernie nad tym epizodem, nie tylko ze względu na koloryt specjalny tego przeżycia, bo nie często jest się przejechanym czy przeskoczonym przez szarżę kawalerii, ale dlatego, że incydent ten zaważył mocno na dalszym losie. Oto miałem już dosyć i sztabu i tego dorywczego dowodzenia nieznanymi żołnierzami, chciałem z powrotem swoich żołnierzy, których będę nazywał „chłopakami” i z którymi zwiąże mnie obopólne zaufanie. Gdyby to „lotna” była ze mną pod Korcem, czy do pomyślenia byłby ten cały incydent? Muszę wrócić do linii, muszę mieć swój oddział, jeszcze doczekam się rewanzu.
W nocy cała „załoga” Równego przebiła się do Aleksandrii i wkrótce sztab armii znalazł się w Łucku. Wkrótce potem, wysłany jako oficer łącznikowy z armii do grupy gen. Krajowskiego, nie mogę wrócić do sztabu swego z powodu odcięcia przez Budiennego dróg wiodących na północ. Melduję się we Lwowie u gen. Iwaszkiewicza, prosząc o danie mi szansy stworzenia własnego oddziału na wozach.

‘ty

Rozdział 6

Baon szturmowy

1 dyw. kawalerii

im. kpt. Maczka

‘ty

‘tt

Rozdział 6ã

Baon szturmowyã

1 dywizji kawaleriiã

im. kpt. Maczka

‘tt+

Nie ma żadnych zastrzeżeń co do stworzenia takiego oddziału na wozach, ruchliwego odwodu wyższego dowództwa. W ramach armii gen. Iwaszkiewicza działała w ofensywie majowej

1919 r. „lotna”, nastawienie więc dla stworzenia podobnego lecz większego oddziału jest na wszystkich szczeblach sztabu armii pozytywne. Wyjeżdżam do Jarosławia z pierwszymi rozkazami organizacyjnymi, do dowódcy ośrodka zapasowego pika Kamionki_Jarosza. Narzucony mi tam plan organizacji i szkolenia, obejmujący okres czasu kilku miesięcy, nie jest realny wobec palącej sytuacji na frontach, gdy Budienny podchodzi pod Lwów. Interwencja moja powtórna u gen. Kesslera, szefa sztabu gen. Iwaszkiewicza, wyciąga mnie ze wszystkim co się dało wycisnąć z ośrodka, razem około 400 żołnierzy, z Jarosławia pod Żółkiew. W kilka dni później rozkaz dowództwa 6 armii kieruje mnie jako ubezpieczenie lwowskiej dywizji piechoty na Mosty Wielkie. W małych potyczkach oddział mój ni to baon, ni to zbieranina 3 kompanii z dwoma tylko ckm, gdyż reszta wciąż gdzieś w transporcie, forsuje dopływ Bugu i dostaje rozkaz zajęcia dominującego wzgórza 289 ponad miejscowością Oserdów, dla przesłonięcia przegrupowania się dywizji piechoty.

I oto pierwszy promyk tego szczęścia żołnierskiego spod Chyrowa i „lotnej”. Osiągam szpicą i dwoma ckm krawędź tej góry z chwilą, gdy od północnego wschodu, niemal w kolumnie, posuwa się brygada kozacka. Celny ogień ckm na 800ż7śm w stłoczonych kawalerzystów daje mi pełny rewanz za tę szarżę pod Korcem.

Wprawdzie zapoczątkowuje ona tylko bitwę, gdyż brygada bolszewicka rozwija się szybko i przy wsparciu artylerii i ognia taczanek z obu skrzydeł przechodzi częściowo do szarży, ale nim to nastąpi, wokół wzgórza 289 siedzą już twardo 2 kompanie i ośmielone pierwszym powodzeniem, nie dadzą się już zepchnąć ze wzgórz.

Pierwsza bitwa baonu

„szturmowego” wygrana.

Nie jest to ogromny sukces, ale dla słabo przeszkolonego rekruta, w pierwszej bitwie z kawalerią, jest to ogromne podniesienie wiary w siebie i zapału. Od tej chyba chwili zaczyna się wyrabiać żołnierz szturmowego baonu.

Zluzowani w nocy przez oddział lwowskiej dywizji piechoty, przechodzimy do wsi Dzibułki, gdzie zastaje nas rozkaz organizacyjny dowództwa 6 armii. Zmienia on zasadniczo naszą przyszłość.

Zostajemy wcieleni do pierwszej dywizji jazdy gen. Rómmla, jako baon szturmowy tej dywizji.

Dowódca dywizji ma zapewnić nam potrzebny okres czasu na reorganizację i oddać do dyspozycji ułanów w proporcjonalną ilość oficerów i podoficerów_ułanów, którzy z tego lub innego powodu stracili konie. Ma też zapewnić wozy etc. Równocześnie z tym rozkazem zaczynają napływać ze wszystkich stron te uzupełnienia.

Jakkolwiek „tradycja” baonu szturmowego, to zaledwie kilka dni bitew czy potyczek, ale już ustaliły się pewne formy organizacyjne, wobec tego decyduję się przemieszczać element rekrucki z piechoty z tymi uzupełnieniami z kawalerii. NIE mając innego szybszego sposobu, wprost z drogi niejako kieruję uzupełnienia do istniejących kompanii.

Doprowadza to do czegoś w rodzaju buntu. Przychodzi do mnie bardzo liczna delegacja podoficerów z kawalerii, bo około 30. W imieniu wszystkich st. wachmistrz któregoś z wielkopolskich pułków oświadcza:

„że oni ostatecznie mogą się zgodzić walczyć na piechotę, ale nigdy się nie zgodzą, by ich mieszać razem z piechotą”.

Moment bardzo krytyczny, od niego zależy „być albo nie być” baonu, zanim jeszcze naprawdę powstał. Stoję otoczony kołem przez podoficerów, przy mnie mój oddany podch. Mrówka z „lotnej”, który po szpitalu dostał się do ośrodka. Muszę zachować spokój, choć kipi we mnie. Zwracam się więc spokojnie do wachmistrza ze słowami: „no to jak nie - to proszę zdjąć pas i oddać go podchorążemu.

Podchorąży Mrówka odprowadzi wachmistrza do sądu polowego dywizji za odmówienie wykonania rozkazu”. Cisza jak makiem zasiał, wachmistrz oddaje pas - a ja odczekawszy moment psychologiczny, zwracam się do reszty: „no, a kto jeszcze nie zgadza się, by go mieszano z piechotą?” Gdy nie pada ani słowo, wyrwam pas podchorążemu i rzucam go wachmistrzowi ze słowami: „a to daliście się nabrać młokosom, a teraz nikt za wami - zabrać pas i marsz do oddziału”.

Tak w zarodku zgasł sztuczny antagonizm - piechota czy kawaleria i nigdy już w batalionie zlepionym z obu czynników nie wybuchnie.

A st. wachmistrz, dzielnie sobie poczynając pod Warężem, był jednym z pierwszych odznaczonych w baonie.

Podobna sytuacja powtórzy się jeszcze w 23 lata później, w okresie organizacji 1 dyw. pancerniej, gdy trzeba będzie stopić w jedno kawalerzystów i pancerniaków. Tym razem pancerniacy nie zechcą walczyć razem z „kobyłarzami”. Ale i ten bunt rozwiązałem psychologicznie

- bez sądu polowego.

Ostatecznie młodszy ludzie nie są winni, gdy padają ofiarami zbyt wyłącznych haseł, że tylko kawaleria, czy tylko pancerniacy itd.

Następnego dnia, gdy przyjechał do mnie gen. Rómmel, baon był już sklecony i podzielony na grupy wyszkoleniowe, ćwiczył użycie ręcznych granatów, obsługę lkm i ckm etc. Gen. Rómmel rozumiał, że potrzebuję czasu, ale zastrzegając się, że w obecnej sytuacji nie może mi go dać więcej jak 2 do 3 tygodni na przeszkolenie i zgranie batalionu. „Bóg zapłać i za to” pomyślałem. Ale jeszcze wieczorem tego dnia rozkaz operacyjny 6 armii określił zadanie batalionu na dzień następny: współdziałając z 6 brygadą kaw., przełamać front 24 dyw. sowieckiej pod Warężem, dla utworzenia drogi dywizji kawalerii, w ślad za Budiennym, kierującym się do bitwy warszawskiej.

Mogłem śmiało zameldować, że baon absolutnie nie jest zdolny jeszcze do takiej akcji, lub jakiegokolwiek akcji.

Ale czy naprawdę mogłem w gorącej, palącej sytuacji połowy sierpnia 1920 r.?

Jeszcze było ciemno, gdy kolumna wozów baonu mijała na szosie na Waręż 8 pułk ułanów z grupą oficerów, w ciemnych długich płaszczach austriackich, bo noc była chłodna, z rtm. Krzeczunowiczem, dowódcą pułku na czele. Na osi marszu baon

wyprzedzał zwiad kawaleryjski, a na ogonie dołączyła przydzielona bateria 6 d.a.k.

Nastrój jak przed wypadem nad ranem, gdy niewyspanie i uczucie chłodu przejmującego miesza się z uczuciem tremy i niepokoju, zanim pierwsze strzały wszystkiego nie wyrównają.

Ale już całkiem rozedniało, gdy podskoczyłem do rozpoznania przybitego celnym ogniem ckm na północnym skraju lasu, ze wzgórz panujących z obu stron m. Waręża. Jakaś jedna, potem druga bateria sowiecka zaczęła się pastwić nad odsłoniętym odcinkiem szosy wypadającej z lasu.

Przede mną Waręż, wciśnięty w kotlinę między obsadzonymi przez sowiecką piechotę wzgórzami. Gdzieś daleko na wschód mała strzelanina na kierunku posuwania się 7 bryg. kaw. Nie jesteśmy sami! Między wzgórzami, z których siekł ogień ckm sowieckich a lasem, przestrzeń otwarta, lekko pofałdowane zboża, kartofliska, kukurydza, jak to te typowe małe chłopskie pólka. „Około 1200ż7mś” fachowo we mnie ocenia „karabiniarz” maszynowy - odległość skutecznego ognia ześrodkowań ckm. Nie łatwo będzie się oderwać od tego skraju lasu z nieopanowanym jeszcze elementem żołnierskim.

Podciągam przez gońców dowódców komp. i obserwatora artylerii i daję rozkazy do rozwinięcia się czołowych kompanii z obu stron szosy. Oderwanie się oddziałów od lasu będzie wsparte wszystkimi ckm batalionu i nawałą ogniową baterii d.a.k. Szkoda, że nie doszła jeszcze druga połowa ckm, obiecana przez armię.

Gdy zauważam na twarzy jednego z młodych dowódców kompanii, znanego mi dopiero kilka tygodni, zbytnią wrażliwość na pociski świszczące nad głowami, podnoszę się i stojąc na szosie kończę wydawanie rozkazów, choć nie bardzo mam do tego ochotę i czuję pretensjonalność i bezsensowność tego, ale czymś trzeba poderwać morale. Skutek jest błyskawiczny. Młody chłopak wstaje też, kończy się na tym, że wracam do rowu ściągając za sobą porucznika.

Ze stratami, nawet mniejszymi niż przypuszczałem, odrywają się obie kompanie od skraju lasu i paczkami, wykorzystując sfałdowania i pokrycia, wolno zyskują na terenie. Wreszcie są już w połowie drogi między lasem a wzgórzami, a nawet na lewym skrzydle więcej zaawansowani, mimo że skrzydło wisi w powietrzu, ale większe sfałdowania terenu umożliwiają częściowo skryte podejścia.

Tu już zalegają na dobre.

Zbliża się kryzys bitwy i pierwszym jego objawem jest cisza ze strony naszej baterii, objaśniona potem meldunkiem, że bateria ma jedno działo zdemontowane, brak amunicji i na rozkaz odchodzi do swego dywizjonu. Ale też i aktywność nieprzyjaciela nie przechodzi stopnia umiarkowanego. Gdzieniegdzie rozrywa się pocisk artyleryjski na rozciągnięte oddziały, więc już nie tak wrażliwe. Od czasu do czasu zaszczekają wściekle to stąd, to stamtąd ckm.

Słonko przygrzewa mocno.

Ogień sowiecki wyraźnie słabnie.

Czyżby to coś znaczyło?

Wykorzystanym już przez czołowe oddziały podejściem podsuwam kompanię odwodową z zadaniem poderwania do natarcia lewego, więcej zaawansowanego skrzydła baonu. Zanim to się rozwinie, melduje się u mnie obserwator innej baterii podesłanej na miejsce tej, która odeszła. I w letnie, skwarne, zachęcające do drzemki południe, rzadko przerywane pojedynczymi strzałami, do których słuch się już przyzwyczył jak do ćwierkania świerszczy polnych, wpada wściekła nawałnica ognia baterii, ześrodkowanego przez lewe skrzydło batalionu, zsynchronizowana z ogniem wszystkich ckm. Kompania odwodowa, która podeszła już do pierwszej linii, podrywa lewe skrzydło, a potem cały już baon, waląc ze wszystkich broni, szybko połyka przestrzeń do wzgórz.

Takie zaskoczenie - właściwie bez zaskoczenia?

Nigdy nie doszedłem, czy w tej chwili załamanie się oddziałów

24 dyw. sowieckiej, uchodzącej za „żelazną”, było wynikiem rodzaju fizycznego czy psychologicznego. Faktem jest, że dopiero gdy zajęliśmy m. Waręż, wyłamując dziurę we froncie sowieckim, i zajęliśmy oba wzgórza zwracając się frontem na

boki, znaleźliśmy się wobec reakcji sowieckiej w formie silnych kontrataków, które już im nie wyszły.

Waręż był zdobyty. Droga na tyły zagonu Budiennego otwarta.

Kilku zabitych, kilkunastu rannych nie było zbyt wysoką ceną za sukces tak potrzebny dywizji - sukces, który w kilka tygodni później gen. Rómmel, przemawiając do żołnierzy baonu, nazwał Raclawicami baonu.

Dotkliwą była jeszcze tej nocy strata kuchni polowych i wozów baonu.

A stało się to tak:

Waręż był ważny nie tylko dla dywizji naszej kawalerii, był również ważny dla Budiennego i dla 24 dywizji piech. sowieckiej, która ciągłymi kontratakami przez resztę dnia starała się zrzucić nas w dół i zamknąć drogę. Toteż, gdy jeszcze w jasny pod_wieczór dostałem przez rtm. Morawskiego ze sztabu brygady rozkaz zejścia z pozycji i ruszenia w ślad za 6 brygadą kaw., która już przeszła przez Waręż na Tyszowce, wyjaśniłem, że przed zapadnięciem zmroku jest to niemożliwe. Gdy się ściemniło i ustał kontakt z nieprzyjacielem, zacząłem ściągać swe oddziały.

Pogoda się zmieniła, padał rzęsy deszcz. Długo ściągałem zmęczonych żołnierzy, by wreszcie pieszo, bo wozy wciąż jeszcze nie nadciągały, ruszyć. Po pewnym czasie natknąłem się na Kozaków i musiałem zmienić kierunek na więcej zachodni, w ślad za kawalerią, która też tak skręciła. I wtedy od tyłu doszedł do mnie meldunek 9 p.uł., który miał osłaniać tabor dywizyjny, że zaraz po wyjściu z Waręża część taborów została napadnięta przez Kozaków. Częścią spieszono baonu zawracam, ale zastaję już tylko pobojuwisko: zniszczone wozy, kuchnie polowe, w tym wszystkie mojego batalionu.

W szumiącej ulewie, w rozpaćkanym błocie traktu na Komarów został baon sam, bez łączności, bez zaopatrzenia i bez możliwości ruchu natychmiastowego naprzód wobec straty wozów.

Dopiero rano nawiązałem kontakt z dowódcą 9 p.uł., majorem Dembińskim, który nie miał też łączności z dywizją i podał mi tylko w jakim kierunku pułk się przesuwają.

Pozostało więc jedynie na własną rękę rekwirować wozy i konie. Procedura bardzo uciążliwa w rejonie walk, gdyż ludność przezorna z góry ewakuowała wszelkie konie do lasów i ustronnych miejsc.

Tak udział bojowy batalionu szturmowego w bitwie pod Komarowem skończył się na tym pożytecznym jedynie preludium.

Ściągnięci do Zamościa, zaczęliśmy dopiero okres organizacji i szkolenia, który nam był obiecany jeszcze w Dzibułkach.

Okres tych kilku tygodni postawił na nogi batalion. Nie wiem jakim cudem, ale znajdowało się coraz więcej podoficerów i żołnierzy „lotnej” kompanii, którzy zamiast do swego oddziału ze szpitali i z urlopów wracali do baonu. Znalazło się kilku oficerów z ppor. Zawadowskim i podch. Michalewskim. Adiutanturę objął oficer spod Chyrowa ppor. Alojzy Bartosz.

Doszły wreszcie: reszta ckm i moździerze, no i inowacja na wzór Budiennego - taczanki. Baon szturmowy 1 dyw. kawalerii imienia kpt. Maczka, bo tak głosiła urzędowo pieczęć oddziału, był na szczycie swej formy i ochoty bojowej.

Ale już większych działań nie mieliśmy. Z dywizją kaw. osiągnęliśmy rz. Słucz i tam na południe od Zwiąhla zastał nas koniec wojny polsko_bolszewickiej.

Skończył się okres mego życia, który więcej pachniał „Trylogią” Sienkiewicza, niż „Na zachodzie bez zmian” Remarque'a i kolorytem swych zdarzeń raczej nawiązywał do tych przebrzmiałych starych lat.

Po skończeniu działań wojennych, przez okres przeszło pół roku byliśmy wciąż baonem szturmowym, ale wyraźnie nie wiedziano co z nami zrobić.

Nie mieściliśmy się w nakreślonych ramach organizacyjnych wojska polskiego, które wyraźnie i ostro zakreśliły z jednej strony pułki piechoty, a z drugiej kawalerii. Psuliśmy jasność i prostoliniowość organizacyjną, jako ani to, ani tamto, a byliśmy za mało konserwatywni i tradycyjni.

W końcu nas rozformowano. W dobrych dopiero kilka lat później wypłynęła myśl tworzenia batalionów strzelców dla większych jednostek kawalerii.

Nowo powstały 1. baon strzelców w Chojnicach przejmie tradycję bojową „baonu szturmowego kpt. Maczka”, a młody oficer tego baonu, kpt. Henryk Piątkowski, zbierze dzieje wojenne baonu jako historię oddziałową, bodajże pierwsza praca pisemna tego późniejszego dowódcy, oficera sztabu i pisarza wojskowego.

‘pa

‘tc

Część IIã

Niewyszumiała młodość

‘tc

‘ty

Rozdział 1

Obejmuję dowództwo

10 Brygady Kawalerii

‘ty

‘tt

Rozdział 1ã

Obejmuję dowództwoã

10 Brygady Kawalerii

‘tt

Gdy z końcem października 1938 r. dostałem w Częstochowie depezę z Warszawy o mianowaniu mnie dowódcą 10 bryg. kawalerii, byłem wyraźnie zaskoczony. Z początku nie rozumiałem w ogóle o co chodzi; potem nie wiedziałem czy się cieszyć, czy nie, być dumnym, czy się smucić. Ostatecznie szmat czasu upłynął od lotnej i szturmowego baonu, od tego młodzieńczego „Sturm und Drang Periode”, od idei oddziałów szybkich, od improwizacji i szukania nowych dróg. Byłem w tym okresie 18_tu lat pracy pokojowej, nie licząc krótkich przydziałów do sztabów, kolejno dowódcą batalionu piechoty w 26 p.p. we Lwowie, skończyłem doszkalający roczny kurs Wyższej Szkoły Wojennej pod kierownictwem znanego francuskiego pika Faury. Byłem rok zastępcą dowódcy pułku 76 p.p. i przez 5 lat dowodziłem z wielką satysfakcją 81 pułkiem strzelców grodzieńskich im. króla Stefana Batorego. Dużo nauczyłem się i sam i od nieocenionego mego dowódcy dywizji i przyjaciela gen. Franciszka Kleeberga. I nie mniej nauczyłem się od tych maluczkich podwładnych mych różnego stopnia wojskowego. Przygotowanie solidne, wsparcie ogniem artylerii i karabinów maszynowych, organizacja, więcej wiedzy niż sztuki, przewidywanie, „czego nie masz w głowie - żołnierz będzie miał w nogach” itd. Jednym słowem solidna, porządna praca, ani szparki na improwizację. I to doświadczenie może najważniejsze, że bez względu na postęp techniczny, wynalazki i ulepszenia, nie zmienia się w niczym psychologia, dowodzi się zawsze żywym, normalnym, przeciętnym człowiekiem, którego tylko specjalne okoliczności wynoszą czasem na wyżyny bohaterstwa. A od 4 lat byłem zastępcą dowódcy 7 dyw. piech. w Częstochowie - dowódcą piechoty dywizyjnej jak to się nazywało. Z zagadnieniem jednostek szybkich spotykałem się tylko w literaturze wojskowej, dorywczo połykając wiadomości o włoskich jednostkach szybkich, a potem groźnym rozwoju ich w Niemczech i w Rosji w postaci dywizji pancernych i korpusów moto_mech. Jedynie, gdy byłem kierownikiem ćwiczeń dywizyjnych na mapie czy w terenie, starałem się dodawać improwizowane oddziały przewożone. Nazywano to moim „hobby”, a wiadomo, że tylko Brytyjczyk jest dyletantem w swym zawodzie, a specem w „hobby”. Byłem więc raczej dyletantem na tym polu. Ale rozkaz - rozkazem, pojechałem do Warszawy, jak mi kazano, meldować się u szefa Sztabu Głównego gen. Stachiewicza, poprzedniego mego dowódcy dywizji z pierwszego roku mego przydziału do 7 d.p. i u ministra Obrony Narodowej gen. Kasprzyckiego.

W sztabach uzyskałem, oświetlany z różnych stron, pierwszy obraz 10 bryg. kaw. - jednostki, z którą zostałem odtąd związany jak w małżeństwie na złe i na dobre - do końca mej służby wojskowej - poprzez 3 kampanie: wrześniową 1939 r. w Polsce, francuską w 1940 r. i aliancką w 1944_#45 r.

Otóż 10 bryg. kaw. była pierwszą jednostką polską całkowicie zmotoryzowaną. Z tradycji była brygadą kawalerii, z istoty brygadą motorową. Gdy, jadąc do Warszawy, snułem w myślach mirażę jednostki rasowej, zaczepnej, choćby miniatury dywizji pancernej, to rzeczywistość oblała mnie raczej zimną wodą. Oto jednostka defensywna o szybkości straży pożarnej, tyle, by na czas zlokalizować pożar to tu, to tam. Brygada w tej koncepcji była raczej próbą defensywnej odpowiedzi na grozę jednostek szybkich - dywizji pancernych nieprzyjaciela. Próba, gdyż stosunek góry wojskowej był wciąż jak do eksperymentu. I tak gen. Stachiewicz zaznaczył mi, że brygada nie „wykazała się” na ostatnich ćwiczeniach międzydywizyjnych i jeśli na następnych ćwiczeniach nie uda mi się wykazać jej użyteczności, to próby trzeba zaniechać. I nie wiem, ile było w tym chęci zdopingowania mnie, a ile wątpliwości prawdziwej co do tej jednostki. Zaś gen. Kasprzycki, raczej entuzjasta tej jednostki, kłopotał się głównie długością kolumny. Była pod tym względem pewna psychoza, że gdy brygada w jednej kolumnie ogonem będzie w Warszawie, to nosem już uderzy np. o Poznań. Bano się tych 600 maszyn w marszu, gdy potem 4000 maszyn w dywizji pancernej nigdy nie stwarzało problemu. Stąd dla skrócenia długości kolumn pomysł „przyczep”, groźnego dla szybkości i zwrotności brygady wroga. Na szczęście już ujemne doświadczenia z Zaolzia przekreśliły tę inowację. Najbardziej rzeczowych uwag jak i potem pomocy udzielił mi gen. Regulski w tym trudnym dla mnie okresie. Ale nie mniej sytuacja tak wyglądała na ogół, że przez mniej wtajemniczonych byliśmy uważani za niezgrabny twór, którego działanie może być zatrzymane przez drużynę piechoty z działkiem ppanc. lub z flaszkami z benzyna, lub za rasową jednostkę pancerną, która żelazem i ogniem przejedzie się gładko po wszystkich przeszkodach. W rzeczywistości nie byliśmy ani jednym, ani drugim. Podkreślam to nie jako słowa krytyki w stosunku do naszej góry wojskowej w Polsce. Nie mam materiału dostatecznego, by twierdzić, że w ubogich warunkach lat 1938_#9 było nas stać na coś lepszego czy większego. I nie piszę artykułu rzeczowego na ten temat. Zbyt łatwo jest być mądrym, arcymądrym, po fakcie! Z Warszawy udałem się bezpośrednio na Zaolzie, gdzie brygada była w „akcji” - czasowo skoncentrowana w rejonie Bielska.

Jak mnie przyjęto?

Raczej nadzwyczaj gorąco.

Nazwisko dowódcy baonu szturmowego 1 dyw. jazdy z r.

1920 (oficjalnie na pieczętkach oddziału nazwa była „Baon szturmowy kpt. Maczka”) nie było obce większości oficerów kawalerii. Moje pokrewieństwo z kawalerią przyjęto jako oczywiste. Może jako ubogiego krewnego, ale zawsze krewnego!

Ja ze swej strony z miejsca starałem się jasno i uczciwie określić mój stosunek. Objeżdżając oddziały z oficjalną pierwszą wizytą, krótkie swe przemówienie do oficerów ująłem w 3 slogany mniej więcej tak:

staję na baczność przed Waszą bojową tradycją;

uznam każdy „fason” kawaleryjski, za który uczciwie zechcecie płacić krwią na polu walki;

będę tępił wszelkie zmanierowanie i fanfaronadę, gdy pod zewnętrznym gestem kryć się będzie pustka.

Trudno mi było wtedy określić jak te słowa były przyjęte. Obawiałem się, że jako kawalerzyści są zbyt dobrze wychowani, by mi okazać aprobatę lub dezaprobatę.

Gdy we wspólnych walkach zlepiliśmy się w jedno, od wielu z nich usłyszałem jak dobre wrażenie na nich zrobiło takie postawienie sprawy.

Dopiero na miejscu na Zaolziu, w zetknięciu się z oddziałami zdałem sobie wyraźnie sprawę czym jest ta motorowa brygada.

I widziałem ją tak.

Podstawowe 2 pułki kawalerii, tj. 24 pułk ułanów i 10 pułk strzelców konnych, przewożone na samochodach ciężarowych, przedstawiały wartość dwóch baonów

piechoty, które nie wycieńczane długimi przemarszami i idące do walki bez balastu tornistra czy plecaka, mogą dać element dużo bardziej wartościowy w boju niż normalny baon piechoty. Późniejsze doświadczenie wojenne dorzuciło jeszcze, że przerzucanie samochodami nocą da tym oddziałom choć prymitywną namiastkę snu, którego piesze oddziały nie zaznają i przesunie wydatnie w czasie kres wytrzymałości fizycznej i nerwowej. Organiczne działa przeciwpancerne, duża ilość motocykli dla rozpoznania i łączności i pluton tankietek dadzą w sumie większą elastyczność i swobodę w różnych formach walki. Oddziały nie miały broni stromotorowej, ale ją otrzymały jeszcze przed wybuchem wojny, nie bez mej interwencji, w formie moździerz 81ż7śmm.

Jakby nie było - i w szybkości i w wyposażeniu bojowym - jakie to już spotęgowanie tego, czym był mój baon szturmowy z r. 1920 na podwodach. Dla dalszego rozpoznania miała brygada dywizjon rozpoznawczy, wyposażony w motocykle i tankietki, tj. raczej nowoczesne taczanki niż broń pancerna. Dostatecznie giętki instrument, ale czy wystarczająco silny?

Reszta zbalansowana w następujący sposób.

PO stronie siły uderzenia:

batalion czołgów 7.T.P. i mieszany dywizjon artylerii motorowej obiecywał wiele możliwości dla poparcia manewru.

PO stronie obronnej:

dywizjon przeciwpancerny o 18 armatach 37ż7śmm i bardzo dobrze zmotoryzowany batalion saperów zaporowych dawał rzetelne widoki na efektywne przeciwdziałanie zagonom jednostek pancernych.

Piętą achillesową dla walk na szerokich frontach było ubóstwo w stacje radiowe i ich niedoskonałość!

Zorientowawszy się w istocie brygady, postawiłem sobie zadanie dla brygady na najbliższą przyszłość:

zjeździć (wyszkolenie motorowe), co już było w części wykonane,

zgrać w akcjach (wyszkolenie bojowe na szczeblu brygady),

zwiększyć siły - przez nacisk na wyszkolenie elementarne bojowe w oddziałach, w myśl zasady jeszcze z lotnej komp. i baonu szturmowego, że byle kogo na wozach wozić nie warto.

Zewnętrzne, formalne zapięcie na ostatni guzik oddziałów nie wymagało już dalszej pracy, jako zasługa mego poprzednika dowódcy brygady płka dypl. A. Trzaski_Durskiego.

Nie wchodząc z żadnego punktu widzenia w ocenę akcji na Zaolziu, fakt skoncentrowania całej brygady, która tylko „od święta” na manewrach jako tako się zbierała, garnizonami rozrzucona od Rzeszowa poprzez Łańcut, Przemyśl aż po Kraśnik (24 p.uł.) i Stryj (dyon art.), i użycie jej nie tyle do działań bojowych, których tam prawie nie było (wyjątek - przełęcz Zdziarska), ile do ruchu - wyszedł może naszej brygadzie na dobre.

Gdy po krótkiej przerwie nastąpiło w marcu 1939 r. postawienie brygady w gotowość bojową przez powołanie rezerwistów i częściową koncentrację w rejonie Rzeszowa, starałem się wykonać postawione sobie zadania: zgrać, zjeździć i podnieść stan wyszkolenia bojowego.

Cel został osiągnięty:

- przy wybitnej pomocy mego sztabu, którego oficerowie: szef sztabu mjr dypl. Franciszek Skibiński, rtm. dypl. B. Mincer, nieco później kpt. dypl. L. Stankiewicz i rtm. A. Pierogorodzki, jak też oficer łączności kpt. Grajkowski, a nawet i szef kancelarii por. F. Ferenstein byli zagorzałymi patriotami tej motorowej jednostki, jakkolwiek swój patriotyzm w różny sposób objawiali,
- przy wybitnej pomocy dowódców: dowódcy 24 p.uł., płka dypl. K. Dworaka, kolegi i przyjaciela z ławy szkolnej Wyższej Szkoły Wojennej, mjra Święcickiego, dowódcy dyonu

rozpoznawczego, mjra dypl. Stachowicza, dowódcy dyonu przeciwpancernego, i później nieco przybyłego z baonem saperów, niestrudzonego dowódcy mjra J. Dorandta.

Okres kilkumiesięczny nie został zmarnowany i bezsprzecznie podniósł pod każdym względem wartość bojową

10 bryg. kaw. Za to wybuch wojny

1 września 1939 r. zastał brygadę pod innym względem niebezpiecznie osłabioną.

Otóż na kilka tygodni przed 1 września, została przeprowadzona zmiana roczników rezerwistów, dając nam element mało wyszkolony, ale co jeszcze boleśniesz, brygada była bez swego baonu czołgów i bez trzeciej baterii artylerii w dywizjonie. Obie te jednostki miały dojść do brygady w mobilizacji, ale de facto nigdy nie doszły, zostawiając na cały okres walk dywizjon artylerii bez jednej baterii; osiem luf, strasznie mało na brygadę o ambicjach większych działań, a zamiast baonu czołgów 7.T.P., o których cuda słyszeliśmy, tylko jedną kompanię szkolnych, zużytych Vickersów (zdaje się tylko 9 sztuk) i jedną kompanię T.K.S., którą słusznie uważaliśmy raczej za „taczanki” niż czołgi.

Tak to z miejsca brygada została ukrócona o jedną trzecią artylerii i o dwie trzecie czołgów, a więc o dobrą połowę swej siły uderzeniowej!

Było to najboleśniesz tym bardziej, że zupełnie niepotrzebne. Nie wiem jakie fatum w mobilizacji, rwanej bombardowaniem lotniczym, pozbawiło brygadę jej siły uderzeniowej! Byliśmy jak osa, której wyjęto żądło: jeszcze bzyka, kołuje, grozi ukłuciem, ale śmiertelnego ciosu już nie zada.

Czyż zamiast siły „bluff” nie będzie z musu najważniejszą naszą bronią?

‘tc

Rozdział 2ã

Wybuch wojny.ã

Bitwa Brygadyã

w Beskidzie Wyspowym

‘tc

W połowie sierpnia brygada w porządku i w dobrej formie przeszła do rejonu Krakowa, do dyspozycji armii Kraków, gen. Szyllinga, jako odwód armii.

Nastawiony przez dowódcę na kierunki operacyjne Pszczyna, Bielsko, Zawiercie, Katowice, objeżdżiłem ze swym szefem sztabu teren, rozpoznając go i nawiązując łączność z dowódcami dywizji na odcinkach, a to: z gen. Borutą_Spiechowiczem, gen. Mondem i gen. Sadowskim.

29 sierpnia otrzymałem z armii jeszcze jedną alternatywę - Nowy Targ. 30 więc sierpnia, pozostawiając Skibińskiego do opracowania wyników naszego rozpoznania z dni poprzednich, przeprowadziłem rekonesans

„Beskidu Wyspowego” i nawiązałem kontakt z dowódcą 1 pułku KŞoŞp ppułkownikiem Wójcikiem. Wieczorem przywiozłem moją ocenę terenu na wypadek zagrożenia armii od południa, co wobec wiadomości o koncentracjach niemieckich na tym kierunku, zdawało się bardzo prawdopodobne.

Ale mimo tych wiadomości, przygotowań na mapie i w terenie, wybuch działań wojennych o świcie dnia 1 września był równym zaskoczeniem dla tych wśród nas, którzy stanowczo twierdzili, że do wojny nie dojdzie, jak dla tych, co lada dzień jej wybuch prorokowali. Jedni mówili „a jednak”, a drudzy „a mówiłem”, co w ogólności stwarzało ten sam obraz zaaferowanych i zaskoczonych wypadkami ludzi. Dosłownie „zaskoczonych”, bo nalot niemieckich samolotów na Kraków nie ominął też kilkoma bombami rejonu zakwaterowania oddziałów brygady, nie wyrządzając zresztą żadnych strat w ludziach czy sprzęcie.

Po prostu taka „oryginalna” pobudka o świcie dnia 1 września, przerywająca okres niepewności, który dla brygady zaczął się już w marcu.

Jeszcze tego samego dnia rano, gdzieś koło godziny #/8Ñ, rozkaz dowódcy armii rzucał nas do natychmiastowej akcji.

Niemcy uderzyli o świcie 1 września 1939 r. na całym odcinku armii. Wobec zaznaczającego się od pierwszej chwili oskrzydlenia od południowego zachodu przez silny związek pancerno_motorowy w kierunku na Nowy Targ i Chabówkę, osłaniany jedynie przez 2 baony KŞoŞp z jedną baterią art. i oddziałami obrony narodowej, dowódca armii rzuca swój odwód operacyjny 10 bryg. kaw. z zadaniem

osłony skrzydła południowego i tyłów armii Kraków. W szczególności brygada ma nie dopuścić, by nieprzyjaciel wyszedł z wąwozów górskich i w tym celu ma opóźnić jak najdłużej na kierunkach wyprowadzających na Myślenice i Dobczyce, nie pozwalając na wyjście na północ od tych miejscowości w teren otwarty i trudny do osłony, a przez który przechodzą główne linie komunikacyjne armii. Oto rozkaz z zadaniem dla brygady do 5-dniowej zażartej bitwy w Beskidzie Wyspowym z przeciwnikiem, który nazwany „silnym związkiem pancerno-motorowym”, w miarę zdobywania przez nas jeńców i dokumentów, zaprezentował się nam kolejno jako 2 dywizja pancerna, potem 4 dywizja lekka, wreszcie po zidentyfikowaniu 1 dyw. górskiej jako pełny XXIII korpus pancerno-motorowy z 14 armii gen. Lista, rzucony jako południowe kleszcze okrążenia armii Kraków. Czyż przy dodaniu absolutnej przewagi niemieckiej w powietrzu będzie przesadą określić stosunek sił co najmniej jako 10 / 1? Ale te dane narastały dopiero z biegiem bitwy, gdy sukcesy nasze zaczęły liczyć nieprzyjaciela. W tej chwili w myśli pozostało jedno: „jak najdłużej” i nazwy dwóch miejscowości Myślenice i Dobczyce. A że głębokość terenu do opóźniania nie przekraczała na jednym kierunku 20-27 km, a na drugim 30, nakazem chwili stało się działać szybko, by jak najdalej na południe i najskuteczniej zatrzymać pierwszy impet niemiecki.

Dlatego, zostawiając dyrektywy do ruszenia brygady memu szefowi sztabu, sam z kapitanem dypl. Stankiewiczem i kilkoma motocyklistami na pełnym gazie udałem się do m.p. dowódcy pułku KŚoŚp, ppłk Wójcika. Z drogi jeszcze, po ponownym rozważeniu sytuacji, przekazałem przez motocyklistę rozkaz Skibińskiemu, by na czoło kolumny brygady wysunął jeden szwadron przeciwpancerny do mej dyspozycji, z przeznaczeniem do Skomielnej Białej. Zdawałem bowiem sobie sprawę jak bezbronny jest baon KŚoŚp, a jeszcze więcej baon Obrony Narodowej bez dział przeciwpancernych, albo dostatecznej ich ilości, wobec zagonu pancerno-motorowego. Ważnym zdawało mi się utrzymanie jakiegoś frontu, przesłaniającego rozwinięcie się brygady z dwóch długich kolumn, przywiązanej do dróg bitych, a z trudnością zejścia w teren górzysty i zalesiony. Jakie uczucia przeżywałem w tej krótkiej jeździe pełnym gazem szosą do Zakopanego wzdłuż toru kolejowego, którym tylokrotnie jeździłem na wakacje letnie od dzieciństwa, a potem na narty w sezonie zimowym, jeszcze ostatni raz w zimie

1938-39 r.?

Zdumienie, że już w pierwszej godzinie wojny, okazała się potrzeba użycia odwodu operacyjnego armii? Raczej nie! Takie niespodzianie prędkie rzucenie mego oddziału do akcji przeżywałem, choć na niskim szczeblu dowodzenia, od pierwszych dni mego doświadczenia wojennego.

Przypomniało mi się Żórawno z

1919 r., gdy ściągnięcie na odpoczynek do odwodu oznaczało zaimprovizowany szturm i Waręż z

1920 r., gdy po otrzymaniu kilkunastu dni na organizację baonu szturmowego, jeszcze tej samej nocy otrzymałem rozkaz do natarcia. C'est la vie et c'est la guerre - i tak już jest na wojence, że przewraca często i dobrze i źle przemyślane plany i projekty!

Dość skłębione myśli zagłuszała raczej satysfakcja, że oto jadę na czele tak szybkiej jednostki, która z kwater pod Krakowem, w kilka godzin po ruszeniu, będzie się biła już gdzieś pod Tatrami. Satysfakcja z zadania samodzielnego i tak rasowego dla jednostek szybkich „osłony skrzydła i tyłów armii”. Satysfakcja z wagi tego zadania dla całości, zadania, które pozostawia tyle pola do inicjatywy. Nigdy nie lubiłem przesuwania mnie od punktu do punktu, krępowania szczegółami wykonania, dyktowania mi nie zawsze najfortunniejszego rozwiązania. Jasno postawione zadanie, choćby trudne, byle wyraźnie określało, czego się ode mnie chce!

I w myślach powtarzałem słowa rozkazu „jak najdłużej” i „linia Myślenice-Dobczyce”.

A jeszcze bardziej osobiste uczucia? Zrozumiała trema pierwszego, po tak długim zastoj, występu na „serio”. Czy podołał ja i moi oficerowie wszystkich stopni, czy podoła mój ułan i strzelec konny, pancerniak i artylerzysta itd.? Czy podoła cała brygada, mimo głębokiego przeświadczenia, że chociaż osłabiona (łudziłem

się, że tylko chwilowo, gdyż lada dzień z mobilizacji dołączy organiczny batalion czołgów i trzecia bateria artylerii), brygada jest jednostką zgraną, pełną zapału i „ochoty” jak niegdyś „lotna” i baon szturmowy w latach 1918_#1920 r. Byle tylko mieć to „szczęście żołnierskie” co w tamtych latach, bo bez tego promienia słońca trudno jest wojować.

Co do jednego w sferze prywatnego mego życia byłem spokojny. Drobne me dzieci, pod opieką mej żony, dzielnego towarzysza broni, miały udać się, jak umówiliśmy się, na naszą osadę rolną na Wołyń, gdzie nie będą narażone na braki aprowizacji. Rozstrzygał o tym fakt, że rodzina moja dopiero tygodnie przedtem przeniosła się do Rzeszowa i nie zapuściła jeszcze korzeni w tym obcym dla siebie mieście. A na osadzie rolnej byli starzy wiarusi moi z 1918_#20 r. i osada oficjalnie zwała się „Maczki Wołyńskie”, były serca przywiązane do nas nie tylko ich, ale i ich rodzin.

Czyż nie tak było w „Trylogii” Sienkiewicza? Jak zawodnym okazać się miało to wszystko, wkrótce mieliśmy się przekonać. Ale czy wobec ogromu tragedii, która zbliżała się do naszych domostw, można było cokolwiek przewidzieć? Jak się okaże, Opatrzność Boska mądrzej i lepiej pokierowała losami mej rodziny. Dobre wojsko te dwa baony KŞoŞp, a nawet ci pełni zapału, choć niemal z gołymi rękami górale, za starzy lub za młodzi do wojska regularnego, a z ochotą zapełniający kompanie Obrony Narodowej.

Nie zawiedli.

Około południa, gdy znalazłem się u ppłka Wójcika, sytuacja rozwijała się następująco:

Od świtu w efekownych utarczkach z Niemcami, zdobywając nawet jeden czołg, hamują postęp Niemców i w tej chwili na kierunku Chabówki są jeszcze daleko na przedpolu, a na kierunku Jordanowa opóźniają ich wyjście ze Spytkowic, trzymając jako klucz pozycji górę Wysoką. Sam to naocznie stwierdziłem, gdy po dołączeniu szefa sztabu wyszedłem z nim na stok tego wzniesienia. Ale i odetchnąłem z ulgą, gdy zawarczały w dole silniki 9 armat przeciwpancernych, które już złapał w Skomielni mój rozkaz natychmiastowego obsadzenia góry, gdyż zachodnie stoki góry, łagodnie spadające ku wsi, aż prosiły się o masowe natarcie czołgów.

Bariera wzgórz z punktami obserwacyjnymi zasłaniająca rokadę Jordanów_Skomielna_Chabówka, bariera tak konieczna dla rozwinięcia się i zorganizowania do bitwy brygady, była teraz silnie trzymana. Jeszcze tego samego dnia, zasilona na odcinku

„Góra Wysoka” dywizjonem 24 p.uł. przy wsparciu ogniem dyonu naszej artylerii, odeprze ze stratami poważnymi pierwsze natarcie czołgów niemieckich i ustali sytuację do dnia następnego.

Gdy więc szef sztabu z oficerami sztabu zaczęli dla porządku „smażyć” ten pierwszy bojowy rozkaz ogólny brygady, zbierający i porządkujący wszystkie dotychczas ustnie wydane rozkazy, miałem chwilę czasu, by pogłębić me rozważania „operacyjne”.

Już w ćwiczeniach wiosennych brygady na południe od Rzeszowa, w terenie podkarpackim, wykłwiała się pewna „doktryna” walk opóźniających dla jednostki takiej jak nasza brygada, w obliczu przyjmowanej wielkiej przewagi pancernej i artylerii przeciwnika.

Można ją było tak ująć:

Zrezygnować z góry z dalekich obserwacji i obstrzału, gdyż w takich warunkach przeciwnik vice versa będzie miał idealne warunki dla zadokumentowania swej przewagi w ogniu art. i czołgach. Przyjmować wobec tego bitwę raczej w terenie o krótkich horyzontach, wciągając przeciwnika w wawozy i defil~e, w których trudno mu będzie bez straty czasu rozwinąć się, w cieśniny, w których długo przeciwnik będzie bił się z nami poszczególnymi palcami, a nie kułakiem. Dla tym większego zysku na czasie i dla wymuszenia na nim respektu dla nas, szukać ciągle okazji do „odgryzienia się” krótkimi wypadami czy przeciwuderzeniami. Tym albo go się zmusi do ostrożności, która pociąga za sobą stratę czasu, albo narazi się go na ciągłe niespodzianki, które też działań nie przyspieszą. Zdawałem sobie dobrze sprawę, jak wielkie wymagania stawia taka metoda dowódcom wszelkiego szczebla, wymagania silnych charakterów do poświęcenia się włącznie.

Rozumieliśmy się w sztabie, zgranym i dobranym, rozumieliśmy się z dowódcami wszystkich szczebli.

Gołe na ogół i w dalekiej obserwacji stoki góry Wysokiej i góry Ludwiki, które panowały nad całym terenem, łatwo dostępne dla czołgów, nie były dobrą pozycją w myśl tej doktryny. Ale jak zawsze każda teza taktyczna ma swą antytezę, tak i tu znalazły się powody, które mimo tego kazały mi przyjąć pierwszą bitwę na tej pozycji.

Dałyby się one ująć w następujący sposób: duży zysk terenowy dla Niemców, a dla nas strata bolesna tych kilku kilometrów, wobec krótkości przestrzeni do odskoku. Trzeba by bowiem oddać bez bitwy całą dolinę rzeki Skawy.

Rozzuchwalenie przeciwnika zbyt łatwym sukcesem, a więc brak respektu dla nas, które mogło przerodzić się w zbyt śmiałe i szybkie, a przez to groźne działania jednostek niemieckich.

Obawa przed nieuniknionym

„bałaganem”, gdyby równocześnie oddziały brygady zajmowały pozycje w tyle, a oddziały KŚoŚp i Obrony Narodowej musiałyby być wycofywane, by nie narazić je w odosobnieniu na rozjechanie przez czołgi niemieckie.

Tak doszło do bitwy o górę Wysoką.

Zainaugurowana 1 września po południu natarciem czołgów 2 dywizji pancernej, odpartym przez ułanów, kopistów i Obronę Narodową, a głównie przez nasze świetne armatki 37z75mm i artylerię motorową, rozwijała się poprzez resztę dnia 1 i cały dzień 2 września, coraz większymi masami rzucanych czołgów i piechoty zmotoryzowanej i narastającym wsparciem artylerii, które przekroczyło w ostatnim natarciu

6 dywizjonów artylerii lekkiej i średniej. Obsada góry trzymała się kapitalnie. Zniszczono na pewno 45 czołgów niemieckich. Płk Deskur, zastępca dowódcy 24 p.uł., przeciwnacierał szwadronem ułanów na zmotoryzowaną piechotę towarzyszącą czołgom, poniósł straty od ognia czołgów, ale brawurą swą zahamował rozpęd natarcia.

Ostatecznie pod wieczór 2 września straciliśmy sam szczyt góry, spędzając ogniem ześrodkowanym naszych 2 baterii czołgi, które zapędziły się poza grzbiet w kierunku rzeki Skawy.

Straty były bolesne i w pułku białych ułanów i w oddziale Obrony Narodowej. Kilka naszych działek przeciwpancernych zostało rozjechanych na swych stanowiskach przez czołgi. Zabici obserwatorzy artylerii i dowódca dywizjonu artylerii motorowej mjr Żmudziński.

Trzeba będzie mym oficerom dużo hartu i zaciętości, by sprostać do końca zadaniu, które tak krwawo się zaczynało.

Rekompensatą były: straty dużo większe po stronie niemieckiej, zysk dwóch dni dla wykonania trudnego zadania i ogromne podniesienie morale własnego żołnierza, który przekonał się, że można bić, i to dobrze, Niemców.

Nie udał się wypad nocny z 1 na 2 września na Spytkowice, wieś długa, w której zmasowała się duża ilość oddziałów niemieckich. Gdy montowałem ten wypad, zameldował się u mnie dowódca 12 p.p. płk Strażyc z baonem swym (sąsiad z zachodniej strony) z prośbą, bym go użył do tego, gdyż to ich rejon ćwiczeń przed wojną. Znają każdy kawałek terenu, więc mają większe szanse. Z niewiadomych mi przyczyn wypad się opóźnił i doszedł do skutku już po świtaniu, nie uzyskując zamierzonego efektu, a przemęczając jeden szwadron 24 p.uł., który manifestacją od frontu odciągał uwagę przeciwnika od właściwego kierunku wypadu. Za to udała się interwencja lotnictwa własnego. Kilka „Łosi” zbombardowało zmasowanie wojsk niemieckich w Spytkowicach - na moją prośbę - via d_ca armii. Szkoda, że tak mała ilość samolotów!

W tym samym czasie, gdy na odcinku płka dypl. K. Dworaka toczyła się zażarta bitwa z czołgami niemieckiej drugiej dywizji pancernej, na odcinku południowym dowodzonym przez ppłka Wójcika, a zamykającym kierunek na Chabówkę, sytuacja była dużo lepsza. Wychodząca jakaś nowa wielka jednostka niemiecka, którą wkrótce zidentyfikujemy jako 4 dywizję lekką, wyplątywała się mozolnie z trudności terenowych, nie ułatwionych chyba przez zniszczenia saperów i pod wieczór 2 września podeszła dopiero pod obronę KŚoŚp.

Było to objawem pocieszającym dla nas, ale nie należy przeciągać struny, by nie pękła. Prędko więc ustaliłem ze sztabem i dowódcami na odprawie dalszy plan działania.

Z doliny rzeki Skawy, rokadowej do kierunku naporu niemieckiego, prowadzą na północ

3 drogi ciasnymi stosunkowo wąwozami do wysokości m. Pcim Mszana. Są to: 1) Jordanów Łętownia_Pcim, 2) Skawa_Naprawa_Lubień_Pcim i 3) Zabornia_Rabka_Mszana.

Od tej wysokości (Pcim) - prowadzą już tylko dwie drogi. Jedna na Myślenice, druga na Dobczyce z tym, że na wschód od tej drugiej drogi otwierają się możliwości terenowe obejścia kierunku na Dobczyce i wyjścia szerokim łukiem na tyły armii. Stąd kierunek ten uważałem operacyjnie za bardziej niebezpieczny dla wykonania mego zadania.

W tej chwili jednak, wieczorem dnia 2 września, groźnym zaznaczył się kierunek natarcia

2 dyw. pancernej i wymagał specjalnej mej troski, gdy na kierunku na Mszanę u ppłka Wójcika sytuacja jeszcze nie „dojrzała”.

Kierunek na Myślenice był krótszy, dający nam tylko około

20-75 km przestrzeni dla wypełnienia zadania wstrzymania Niemców. Dawał on Niemcom w pierwszej fazie od rzeki Skawy do m. Pcim możliwość operowania dwiema osiami i przez szybkie osiągnięcie Myślenic możliwość oddzielenia brygady od taktycznego skrzydła armii, reprezentowanego przez 12 p.p. w rejonie Makowa. Co ważniejsze, na tym kierunku osiągnęli już Niemcy, wprowadzając drogą okupioną sukces, ale zawsze sukces w formie zdobycia góry Wysoka i byli rozwinięci do dalszego działania.

Dlatego, pozostawiając kontrolę nad ruchem 4 dyw. lekkiej ppłkowi Wójcikowi z jego dwoma baonami K&S, Obrona Narodowa, organiczną baterią 75 mm, a wzmocnionego tylko z brygady działami przeciwpancernymi - postanawiam całością 10 bryg. kaw. przeciwstawić się w dniu następnym 2 dyw. pancernej. Wysunięty na rzekę Skawę dywizjon rozpoznawczy osłania wycofanie się 24 pułku ułanów i oddziału Obrony Narodowej i umożliwia zebranie ogromnie wyczerpanych fizycznie i nerwowo żołnierzy w Jordanowie. Oddziały te otrzymały zadanie bronienia nazajutrz kierunku Jordanów_Pcim, który oceniłem jako drugorzędny. Osłania też organizowanie obrony na kierunku głównym Skawa_Pcim koło m. Naprawa przez 10 pułk strzelców konnych, wsparty całością artylerii, tj. dywizjonem motorowym. Oba zgrupowania: 10 strz. konnych i 24 p.uł. organizują obronę u wejść do wąwozów w miejscach trudnych tak dla rozwinięcia czołgów, jak do wsparcia natarć masą artylerii.

Dobra rokada przez Pcim umożliwiła działanie odwodów, którymi są na razie kompania czołgów Vickersów i komp. tankietek, a które zostaną zasilone przez dywizjon rozpoznawczy, gdy o świcie zejdzie z linii przesłaniania.

Cały ten sprytny manewr, którego autorstwo było zbiorowe, moje i całego mego sztabu (jak zawsze w dobrze funkcjonującym dowództwie) - dał bardzo dobre wyniki. Dobrze wstrzelana artyleria niemiecka, gdyż zdobyciem za dnia góry Wysoka osiągnęli oni dobre punkty obserwacyjne, panujące nad całą doliną Skawy, obłożyła stanowiska dywizjonu rozpoznawczego o świcie, dosłownie w kilka minut po wycofaniu się dywizjonu. A potem długo i nerwowo artyleria obkładała różne punkty „geograficzne”, skrzyżowania dróg, lasy i miejscowości, szukając przeciwnika, który znikł tak tajemniczo. Przenikające rozpoznawstwo niemieckie wpadało w zasadzki i pułapki. W próżni bowiem, między rz. Skawą a właściwą pozycją, grasowały patrole dywizjonu rozpoznawczego i 10 strz. konnych, w których wyrabiał się talent i doświadczenie jednego z najlepszych zagończyków i dowódców w przyszłej dywizji pancernej, por. Wasilewskiego, późniejszego dowódcy 10 strz. konnych, ale już nie na koniach, a nawet nie na samochodach! Jego to śmiałość i zaczepne zwroty dały nam pierwszych jeńców, między nimi oficera niemieckiego z sytuacją wyrysowaną na mapie, z której po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, że mamy przed sobą dwie dywizje pancerne: 2 dywizję panc. z góry Wysokiej i 4 dywizję lekką, wyciąganą na Chabówkę. Jeszcze w tym samym dniu 3 września zestrzelony przez baterię przeciwlotniczą brygady lotnik niemiecki z klucza, który z wielkim hukiem, ale bardzo nieszkodliwie bombardował kolumnę brygady na

szosie zakopiańskiej, dał w prezencie jeszcze jedną mapę z wyrysowaną sytuacją z dużą kolumną za obiema dywizjami pancernymi, oznaczoną jako dywizja górską. Korpus pancerno_motorowy gen. Kleista odsłonił w ten sposób, nie pozostawiający żadnej wątpliwości, swe oblicze. Jeśli dodam do tego, zarysowującą się od pierwszego dnia niemiecką taktykę podpalania domów w miejscu, do którego doszli wieczorem i na razie zupełną pasywność w nocy - miałem wierny obraz brutalnej masy niemieckiej

10_krotnie przewyższającej nasze siły, która jak pożar szalejący w lesie dymem i ogniem zaznaczała pod noc dokąd doszli i gdzie są, co nie było i bez wyraźnych korzyści dla naszych zamiarów i ruchów.

Od tego dnia zaczęły się w brygadzie objawy opanowywania sytuacji pod noc i optymistyczne jej trwanie do późnych godzin popołudniowych. Potem kryzys za kryzysem, przeżywany z tęsknym spoglądaniem na słońce i na wskazówki zegarka - „byłe do wieczora, a potem jakoś się pozbieramy i wyplątamy”.

Nakreślony powyżej plan ogólny działania, teren i rozciągłość brygady, rwanie łączności przez działania przeciwnika - wszystko to wymagało wielkiej ruchliwości czy elastyczności dowodzenia. Nie można z założonymi rękami siedzieć w swym m.p. i czekać na meldunki, bo mogą nie przyjść lub przyjść za późno, albo przyjść w formie zgoła nieoczekiwanej, np. czołgów niemieckich. Trzeba być i tu, i tam - wszędzie gdzie sytuacja groźna lub każdej chwili może stać się groźna, ale trzeba i być w swym m.p., by łapać rwące się nieraz nici łączności lub by nie zaślepić się sukcesem lub grozą na jednym kierunku, a stracić wgląd w całość. A sytuacja staje się groźna nie tylko przez zachodzące fakty fizyczne, ale i przez objawy czysto psychologiczne, jako następstwa tych faktów. Żaden meldunek, najlepiej redagowany nie odda tego, co rozmowa w cztery oczy z dowódcą podległym

- widok żołnierza pełnego entuzjazmu lub depresji. Żywym człowiekiem na papierze dowodzić nie można!

Aby móc pozwolić sobie na taką elastyczność dowodzenia, trzeba mieć przede wszystkim sztab dobrany i dobrze zgrany. I taki dzięki Bogu miałem. Cały sztab dowództwa 10 bryg. kaw. stał się w krótkim czasie jedną zżyłą rodziną, jakkolwiek łączył takie odrębne indywidualności jak szefa sztabu mjra dypl. Franciszka Skibińskiego, jak rtm. dypl. Bogdana Mincera, jak kpt. broni pancernej Ludwika Stankiewicza, jak szefa regulacji ruchu rtm. Anatola Pieregordzkiego, szefa łączności mjra Jana Grajkowskiego i kwatermistrza mjra dypl. Maleszewskiego oraz oficerów łącznikowych pułków - por. Ziółkowskiego z 24 p.uł. i por. Wąsowskiego z 10 strz.kon. Byliśmy jak zgrana obsada jednego czołgu. Dopiero później, częściowo już po upadku Francji, a wreszcie po skończeniu działań wojennych, różne charaktery różnie reagowały na wypadki, przerastające ich wytrzymałość psychiczną.

Toteż, gdy w sztabową mapę, cudnie zarysowaną optymistyczną sytuacją jak to dzielnie bijemy się z całym niemieckim korpusem pancerno_motorowym, trzasnął pierwszy piorun, że obrona 10 strz.kon. załamuje się pod obuchem natarcia 2 dywizji pancernej - wyskoczyłem jak w ogień do pułku pod Naprawę. W ślad za sobą kazałem skierować pod osłoną plutonu z dywizjonu rozpoznawczego kompanię czołgów Vickersów.

Nomen_omen. Z tym powiedzeniem

„wyskoczyłem jak w ogień”, bo gdy dojechałem do dowódcy pułku, znalazłem się z nim i jego adiutantem w silnym ogniu artylerii. Zostałem dowódcę i oficerów wstrząśniętych następującą sytuacją. Po sukcesach rannych na przedpolu obrony, pułk od południa odpierał natarcia niemieckie, które z godziny na godzinę przybierały na sile, tak ognia wspierającej artylerii, jak i ilości wprowadzonych czołgów i piechoty zmotoryzowanej. Gdzieś koło godz. #/16Ñ, gdy odwód pułku nastawiał się do interwencji na prawym skrzydle, gdzie wzdłuż szosy natarcie niemieckie zyskiwało z wolna na terenie, na skrzydle lewym, opierającym się o las na stromym skalistym urwisku, piechota niemiecka, jak się później okazało z dyw. górskiej, przeskrydliła szwadron 10 strz. konnych i zaczęła go spychać w dół ku szosie. Sytuacja bardzo krytyczna, gdyż oba ruchy przeciwnika bardzo groźne dla obrony, a reagować można tylko jednym szwadronem odwodowym dzielnego rtm. Tomkowicza. Oddałem dowódcy pułku płkowi Bokszczaninowi kompanię

czołgów Vickersów, by mógł przeciwuderzyć na prawym swym skrzydle, podrywając do uderzenia czołowy, trzymający się zresztą dzielnie szwadron, co pozwoliło na użycie rtm. Tomkowicza do zlikwidowania obejścia przez góry.

Energicznie i z furją przeprowadzone te dwa równoczesne przeciwuderzenia odrzuciły Niemców i zażegnały pierwszy w tym dniu kryzys bitwy. Pierwszy, gdyż drugi, poważniejszy, w swym zasięgu na przyszłość zastałem w sztabie, gdy z tryumfem przywiozłem wiadomość o uratowanej sytuacji.

Kryzys ten był na kierunku Chabówki. Niemcy wyraźnie i z uporem przez działanie na całym froncie, angażując nie tylko czołowe 2 dywizje pancerne, ale i części podciąganej dywizji górskiej, dążyli do pełnego sukcesu, którym mogło być tylko przerwanie się przez naszą przesłonę i wyjście na tyły armii Kraków.

Oto pułk KŚoŚp, walcząc od rana z 4 dyw. lekką bardzo skutecznie, przy zmianie jakichś stanowisk został zaskoczony przez czołgi niemieckie, stracił Chabówkę i zbiera się poza m. Mszana, meldując duże straty i przemęczenie oddziałów, będących

3 dni i 3 noce w ciężkiej akcji.

Sytuacja w przeciągu 24 godzin bardzo się zmieniła.

Nie tak groźną jest w tej chwili 2 dywizja panc., skazana na posuwanie się wąwozami, a od Pcima - jedyną drogą na Myślenice, wijącą się w wąwozie. Dywizja ta, od 3 dni w boju, poniosła poważne straty w czołgach i ludziach i na górze Wysokiej i pod Naprawą - aż po Myślenice włącznie, nie ma dogodnego terenu do rozwinięcia się, może zbierać tylko mozolnie małe sukcesy taktyczne.

W przeciwieństwie do tego, 4 dyw. lekka wychodzi już z pierwszej partii wąwozów w teren dużo dogodniejszy dla siebie, z możliwością przeskrydlenia oddziałów brygady i utorowania sobie drogi na tyły armii.

Zagrożenie może być uratowane jedynie pełną reakcją brygady.

Stąd decyzja:

zostawić na kierunku myślenickim 10 p.strz. z baterią art. i szwadronem przeciwpancernym pod dowództwem mego zastępcy płka Łodzi_Michalskiego,

resztę zaś brygady:

24 p.uł. - w tym dniu naciskany mało, więc względnie wypoczęty, komp. czołgów Vickersów, komp. tankietek, dywizjon rozpoznawczy, dywizjon przeciwpancerny bez baterii, dywizjon art.mot. bez baterii, batalion saperów - przerzucić nocą łukiem przez Myślenice_Dobczyce na Mszanę i tam wraz z pułkiem KŚoŚp z baterią art. uderzyć na 4 dyw. lekką.

Uderzyć - czy nie bluff, wobec tego, że równowartość bojowa 3 baonów będzie wsparta tylko dwiema bateriami art. i właściwie tylko jedną kompanią czołgów? Co za ubóstwo! Ale i bluff da co najmniej zysk na czasie - a o to chodzi.

Jeszcze za dnia, gdy byłem na odcinku 10 strz. konnych, zaszły dwa wypadki w kwaterze głównej brygady. Pierwszy - to nalot eskadry lotniczej niemieckiej, która zbombardowała, w tym wypadku już z pewnymi stratami w ludziach i sprzęcie, moje m.p., tj. miejsce postoju dowództwa brygady. Drugi - to fałszywy alarm o ruchu kolumny motorowej niemieckiej z Jordanowa na Pcim, przy czym czołowe elementy miały już być w pobliżu m.p. dowództwa. Szef sztabu energicznie zareagował wszystkim co było pod ręką, by ubezpieczyć się z tego kierunku. Na szczęście rzekoma kolumna niemiecka okazała się częścią pustych wozów 24 p.uł., odsuwanych w tył.

Zawsze takie same zmartwienia z tym m.p. Albo obierze się go w punkcie najbardziej

„markantnym”, zwykle na przecięciu dróg, by w szybko zmieniających się sytuacjach i nerwówce łatwo było znaleźć sztab motocyklistom lub dowódcom z ważnymi meldunkami i być wtedy narażonym na wszelkiego rodzaju bombardowania lotnicze lub artyleryjskie (trzeba przyjąć, że przeciwnik podobnie jak my odczytuje mapy), albo zaszyć się gdzieś w ustronie, w miejsce niełatwo dostępne i być omijanym przez motocyklistów i wysłanych oficerów sztabu, ale i tak niekoniecznie chronionym od bombardowania przeciwnika.

Z dwojga więc złego niech już będą te „markantne” miejsca z dopustem bożym bombardowań, ale z większymi szansami dowodzenia bitwą.

Nocny przemarsz przeszło

60⁷7⁵km dla jednostek pancerno_motorowych, bez świateł z powodu zagrożenia lotniczego, jest już sam w sobie ciężką pracą. Ale wyczynem będzie przepchanie kolumn drogami w wąwozach bez możliwości zejścia z drogi, szczególnie dla sprzętu ciężkiego, przez te nieprawdopodobne zatory samochodów, wozów o zaprzęgu konnym, ręcznych wózków dziecięcych, uciekającej z płonących wiosek ludności. Kolumna motorowa co chwila utyka, posuwa się z szybkością nieraz nóg, pracujących ciężko na czołe regulatorów ruchu i oficerów sztabu. W pewnych momentach na długie minuty i kwadransy zastyga w bezruchu wobec większych węzłów i pogmatwań. Dodać do tego trzeba przemęczonych śmiertelnie kierowców wozów i naloty choćby rozpoznawcze i ciągną ich grozę. Była to istna Golgota dla plutonu regulacji ruchu, ich energicznego dowódcy rtm. Pieregorodzkiego, szefa sztabu brygady i oficerów, którzy w tym pomagali. Z pełnym respektem wspominam dzisiaj tę ich tak koszmarną pracę, gdy trzeba było bezwzględnie usuwać z drogi wozy chłopskie z biednym dobytkiem albo resztkami jego w pośpiechu na wozy piętrownym - w imię twardego obowiązku wykonania swego zadania żołnierskiego. Obraz nocy myślenickiej pełen istotnej tragedii ludzkiej trudno wymazać z pamięci. Opowiadano mi, jak już przy końcu działań wojennych, jeden ze starych mych żołnierzy, waląc seriami rkm w uciekających Niemców, powtarzał z zaciętością: „za Warszawę, za obozy koncentracyjne” i na końcu „za szosę myślenicką”.

Z powodu tych trudności marszowych, zamierzone na dzień

4 września działanie ofensywne wyszło dopiero koło południa i w formie zredukowanej tylko do oddziałów 10 bryg. kaw. Gdy bowiem przed świtem jeszcze odnalazłem ppłka Wójcika, naocznie przekonałem się, że baony KŚoŚp, dla których noc była wyplątywaniem się w walkach z trudnej sytuacji, są w stanie kompletnego wyczerpania fizycznego, niezdolne do natychmiastowego użycia. Mimo tego, uderzenie płka Dworaka, od którego nie odstąpiłem, poparte bardzo wydajnie czołgami Vickersów i tankietkami jak też ogniem dwóch baterii - było zupełnym zaskoczeniem dla 4 dyw. lekkiej, która z osiągniętego grzbietu za wsią Kasina Wielka gotowała się do dalszego skoku. W niespełna 2 godziny Niemcy zostali odrzuceni z grzbietu i oparli się dopiero o teren pod Mszaną.

W tej sytuacji popołudniowej, Dworaka zadowolonego z sukcesu i Wójcika „lizącego rany” i zbierającego swe oddziały z nadzieją na solidny odpoczynek, odjechałem do sztabu brygady. Niepokoił mnie brak wiadomości z rejonu Myślenic, o czym telefonowano ze sztabu, jak też powrót ze sztabu armii mego szefa sztabu z jakimś nowym ważnym rozkazem.

Gdy przyjechałem do nowego m.p. brygady, przesuniętego do Dobczyc, sytuacja przedstawiona mi przez szefa sztabu była taka:

Armia Kraków w odwrocie. Część jej na południe od Wisły tworzy grupę gen. Boruty_Spiechowicza, któremu teraz podlegamy. Zadanie

10 bryg. kaw. w ogólnych zarysach nie zmienione: osłona skrzydła i tyłów grupy. Ale utrzymanie Myślenic, wobec odwrotu grupy na wschód, jest już tylko ważne do nocy z 5 na 6 września. Potem na pewien moment role się zmieniają. 12 p.p. płka Strażyca ma utrzymać rejon do czasu, aż oddziały 10 bryg. przejdą przez Myślenice w ogólnym kierunku na rzekę Dunajec. Istotne zagrożenie jest na południowym wschodzie, gdzie Niemcy obchodzą wiszące w powietrzu skrzydło brygady i mogą odciąć odwrót grupy. Dla sprostania temu trudnemu zadaniu, dowódca grupy zasila brygadę, kierując do rejonu Dobczyc: 156 pułk rezerwowy ppłka Młyńca, który powinien osiągnąć rejon Dobczyce w ciągu

5 września, pułk artylerii ciężkiej, resztę oddziałów KŚoŚp z brygady ppłka Gaładyka, z których baon mjra Kuferskiego dochodzi już do Dobczyc, 2 baony ppłka Strażyca, z zadaniem zafiksowanym jak wyżej.

Jeśli kiedyś snułem marzenia o kompletnym rozbiciu jednej dywizji pancernej (choćby lekkiej!) - to chyba w chwili czytania tego rozkazu.

Zebranie na wschodnim skrzydle brygady: 156 p. rez., 2 baony KŚoŚp i 24 p.uł. - w sumie równowartość 6 batalionów - wspartych wprawdzie tylko 3 bateriami lekkimi (16 dyon p.a.mot. i bateria KŚoŚp), ale za to całym pułkiem artylerii ciężkiej, z jedną kompanią czołgów średnich i jedną tankietką, przy niewielkiej ilości dział przeciwpancernych, dawało ogromne szanse wobec dotychczasowych

niemałych sukcesów, wywalczonych o ile mniejszymi siłami. Piętą achillesową był ten kalejdoskop różnych oddziałów o nierównej wartości bojowej, oddziałów mi nieznanymi i tak rozrzuconych w przestrzeni.

Szczegółowa analiza wykazała, że uderzenie to nie będzie mogło wyjść przed świtem dnia 6 września i to, o ile na czas połapiemy i doprowadzimy na właściwe miejsce oddane nowe oddziały.

Gdy sztab mój dwoił się i troił, by podołać zadaniom szukania i kierowania oddziałów, ja, na zwołanej odprawie oficerów łącznikowych i tych dowódców, którzy mogli zdążyć, wydawałem rozkazy na dzień przejściowy 5 września. Między dowódcami był dowódca nowego baonu KŚoŚp mjr Kuferski, były dowódca kompanii szkolnej, a potem podchorążówki rezerwy przy

81 p.p. za czasów mego dowodzenia tym pułkiem. Kuferskiego znałem bardzo dobrze, wiedziałem czego mogę po nim oczekiwać.

Myśl moja wyłożona na tej odprawie była prosta.

Przejsć na kierunku Mszana_Kasina Wielka do obrony dla przesłonięcia zebrania się sił do natarcia w dniu 6. Dowódca: płk Dworak - siły: 24 p.uł. i baony KŚoŚp ppłka Wójcika, 2 baterie art., dywizjon przeciwpancerny.

Rozpoznać dywizjonem rozpoznawczym kierunki na Skrzydlną, drogi obchodzące obronę od wschodu.

„Odgryźć się” na kierunku Myślenice wypadem mjra Kuferskiego, który z m.

Trzemeśna przejdzie nocą grzbiet górski ciągnący się wzdłuż szosy

Kraków_Zakopane i wyprzedzi zaskoczeniem ze skrzydła wyjście

2 dywizji pancerniej do natarcia, przy równoczesnym współdziałaniu od frontu oddziałów 10 strz. konnych.

‘tc

Część IIã

Niewyszumiała młodość (c.d.)

‘tc

‘tc

Rozdział 2ã

Wybuch wojny.ã

Bitwa Brygadyã

w Beskidzie Wyspowym (c.d.)

‘tc

W ciągu wydawania tych rozkazów wszedł do izby gen. Boruta_Spiechowicz i prosząc bym nie przerywał odprawy, pozostał do jej końca. Wtedy wstał i serdecznie się przywitawszy zapytał, czy biorę odpowiedzialność za te rozkazy. Urażony odpowiedziałem, że

„inaczej rozkazów tych bym nie wydawał”. Ale generał prędko mnie udobruchał. Przez krótki okres czasu, przez który brygada mu podlegała, akcentował do końca wiarę i zaufanie do nas i mimo bardzo trudnych sytuacji jeszcze kilkakrotnie odnajdywał mnie w akcji, by przez kontakt osobisty zrobić, co tylko w tej desperackiej sytuacji zrobić było można. Bardzo ten stosunek do mnie i do brygady ceniłem sobie. Z podobnym objawem spotkałem się dopiero w 1944_#45, gdy dowódca korpusu kanadyjskiego gen. Simonds w ciężkich sytuacjach przyjeżdżał do mnie swym samochodem pancernym i przez nawiązanie kontaktu wiele zawiłych sytuacji rozjaśniał. Obaj, i gen. Boruta_Spiechowicz i gen. Simonds, dużo mieli wspólnego nawet pod względem wyglądu zewnętrznego, ładnej i rosłej sylwetki żołnierskiej i do obu czułem sentyment. Takie osobiste kontakty dowódców wiele ułatwiają na wojnie.

Odprawa skończona. Jeszcze raz na mapie przechodzę z Kuferskim jego drogę wypadu i omawiam szczegóły, dając rady z doświadczenia starego wypadowcy i starszego kolegi. Przez chwilę zdaje mi się, że to manewry 1939 r. i że z tym świetnym oficerem planuję ruch „na niby” na dzień jutrzejszy. I serdecznie go uściskawszy, z ciężkim sercem go żegnam.

Jakże chętnie zamieniłbym się z jego rolą!

Kryzysy pod wieczór tego dnia

4 września w niczym decyzji mej nie zmieniają. Dworak po mym odjeździe od niego odparł dzielnie natarcie 4 dyw. lekkiej, która już ochłonęła po niepowodzeniu w południe tego dnia. Ale drugie natarcie pod wieczór zmusiło 24 p.uł. do odskoku na linię startową tego dnia, tj. wzgórze Kasiny Wielkiej. Wobec zagrożenia obejściem od południowego wschodu, musiał Dworak użyć jednego mniej strudzonego baonu K&Osp dla przedłużenia swego lewego skrzydła.

Dla planowanego natarcia na dzień 6 września nic w tym nie było jeszcze niepokojącego. Dworak dysponował jeszcze przestrzenią do następnego horyzontu, tj. stoków góry Wiśniowej, poza którymi dopiero miały się zbierać oddziały do natarcia w dniu następnym.

Ostateczny bilans uderzenia pod Kasiną, choć siłami niewystarczającymi, był bardzo dodatni. 4 dyw. lekka w tym dniu nie zrobiła ani kilometra naprzód, zyskując wieczorem tyle terenu, ile straciła po południu, i sposób jej ostrożnego angażowania się był dowodem, że nabrała respektu dla przeciwnika.

Kryzys na zachodnim skrzydle brygady na osi 10 strz. konnych był przemijający, zlikwidowany przeciwuderzeniem odwodu własnego. Wobec jednak rosnącego naporu 2 dywizji pancernej świadczył jak przezorną była zamierzona akcja na świt 5 września przez wypad Kuferskiego i działanie pułku strzelców konnych.

Na wysuniętym w kierunku do 10 p.strz. konnych punkcie dowodzenia postanowiłem doczekać wyników akcji o świcie, by z tym większym spokojem przerzucić się potem na oś wschodnią, tam dopatrzeć zebrania sił i wydać ostateczne rozkazy do uderzenia na dzień 6 września.

Obraz byłby niezupełny, gdybym nie dodał do tego 4-dniowego wysiłku brygady, pełnej poświęcenia i odwagi mrówczej pracy saperów brygadowych. Batalion saperów brygady, najlepiej pomyślana i zmotoryzowana jednostka w brygadzie, zapięta rzeczywiście na „ostatni guzik“, dowodzony był z rozmachem i sprężystością przez mjr. Jana Dorantta. W r.

1938 zbudował on dosłownie ten batalion, tworząc etaty personalne i materiałowe do ostatniego sapersa i do ostatniego pilnika i śrubki i teraz miał szczęście dowodzenia swym pierworodnym dzieckiem. Kresem pracy wymaganej w tych ciężkich dniach był kres sił ludzkich, ale jak o naszych saperach mówiono w brygadzie, a potem w dywizji pancernej - saperzy będą pracowali do pełnego wyczerpania sił fizycznych i nerwowych... i jeszcze potem kilka dni.

Groził nam kryzys gorszy - zupełne wyczerpanie materiałów wybuchowych, koniecznych dla saperów. Zaradził temu Dorantt, sprytnie wysyłając swe patrole do wszystkich byłych garnizonów wojskowych, które choć opuszczone i ewakuowane, pozwalały zawsze temu, który wiedział gdzie szukać, znaleźć w różnych magazynach potrzebny materiał.

Pierwsze ranne godziny dnia 5 września po początkowych alarmowych i mętnych wiadomościach, dały wreszcie i te o oczekiwanym sukcesie.

Mjr. Kuferski osiągnął nocą stoki wzgórz, wiszące nad szosą Zakopane_Kraków w rejonie Pcima i potęgą ognia wszystkich swych ckm i 4 dział przeciwpancernych zmiotł formalnie kolumnę samochodów, podwożących niemieckich „panzergrenadiere“ do podstawy wyjściowej do natarcia. Spalił kilka czołgów i kilkanaście samochodów. Na odgłos strzelaniny uderzenie szwadronu 10 strz. konnych odrzuciło wysunięte części dywizji pancernej wzdłuż szosy.

Upewniony, że sukces ten da mi pożądaną zwłokę w posuwaniu się

2 dywizji pancernej i że zawias (Myślenice), łączący brygadę z oddziałami grupy gen. Boruty_Spiechowicza, powinien wytrwać do 6 września, sam via sztab w Dobczycach skierowałem się na wschodnie skrzydło brygady, do zbierających się sił do natarcia.

Pierwszy zimny kubeł na głowę to wiadomość, czekająca na mnie w sztabie, że oczekiwany pułk artylerii ciężkiej o zaprzęgu konnym jest oddalony od nas o 100±75km, więc na czas nie dojdzie. Przy pokaźnej sile „miękkich“ części zamierzonego uderzenia, ta główna podstawa siły ognia i zaskoczenia przez ciężki kaliber pocisków, wyeliminowana z rachunku, tworzyła już zupełnie odmienny obraz.

Drugi kubeł zimnej wody dopełnił reszty. Rozmowa z ppłkiem Młyńcem, dowódcą 156 pułku, a kiedyś też mym podkomendnym w Grodnie, a jeszcze bardziej widok jego

żołnierzy, wlokących się, przemęczonych i wciąż pod wrażeniem bombardowania lotniczego w chwili wylądowania się z wagonów, odebrały mi wszelkie iluzje, że oddziałami tymi będę mógł nacierać na dywizję pancerną.

Wracam do myśli natarcia tylko oddziałami 10 bryg. kaw., które zgromadziłem na lewym skrzydle z ewentualnie jednym baonem K&S&P dla osiągnięcia lokalnego sukcesu i zyskania przez to na czasie. Ale w wypadku tym obronę rozległego grzbietu pod Wiśniową musiałyby objąć 156 pułk rezerwowy, który zupełnie nie gwarantuje mi ani obrony, ani osłonięcia przegrupowania 24 p.uł. i baonu K&S&P do natarcia.

Uległem usilnym prośbom ppłka Młyńca, by w obronie zostawić część 24 p.uł., już ostrzelanego i obytego ze zjawiskami wojny, jako szkielet obrony i poprzetykać go oddziałami 156 p.rez., którego morale rychło się wyprostuje i można będzie potem liczyć na wartość bojową tego pułku. Dla takiego to użycia oddaję ten pułk do dyspozycji płka Dworaka i wyciągam jedynie dywizjon 24 p.uł. z czołgami Vickersami do mej dyspozycji.

Trudno było mi coś innego zrobić.

W tym czasie bowiem sytuacja dnia 5 września, tak ładnie rozpoczęta udanym wypadem Kuferskiego na zachodzie, dojrzewała dla nas w groźny sposób. Na skrzydle zachodnim, gdy dywizja pancerna nie okazywała zbyt dużej aktywności, na styku z

12 p.piech., jakaś jednostka niemiecka z dywizji górskiej czy 7 dyw. piech. osiągnęła przejściowy sukces i grozi zajęciem Myślenic przed wycofaniem się 10 strz. konnych. Przeciwuderzenie 10 strz. konnych „łata” sytuację, ale tylko łata, nie wiadomo na jak długo. W centrum posuwanie się oddziałów 4 dyw. lekkiej zostało przyhamowane zmontowaną obroną wzgórz Wiśniowa przez część 24 p.uł., baon K&S&P i 156 p. rez.

Bardziej na wschodnim skrzydle elementy pancerno_motorowe niemieckie spędzają nasz dywizjon rozpoznawczy i prą na skrzydlną, w teren otwarty na skrzydło i tyły ugrupowania Dworaka, jak na linii komunikacyjne grupy gen. Boruty_Spiechowicza.

Skierowany mój, dopiero co odtworzony odwód, tj. dywizjon

24 p.uł., wzmocniony działami przeciwpancernymi i komp. czołgów, pod dowództwem mjra Deskura, któremu podporządkowuję i dywizjon rozpoznawczy już w opresji, po ciężkiej bitwie osacza ten ruch na północ od Skrzydlniej. Rozpoznanie jednak melduje dalsze oznaki przeskrydlenia nas od wschodu.

Przy trzymaniu się zawiasu Myślenice, poprzez front na Wiśniowej, aż pod Skrzydlną włącznie, sytuacja ta rozciąga siły naszej brygady wzmocnione K&S&P i pułkiem rezerwowym na szerokość 30÷75km z trzema już punktami zapalnymi: Myślenice, Wiśniowa, Skrzydlna.

Trudno nadażyć takiej sytuacji, gdy szybkość przeciwnika jest szybkością motorów, a szybkość dodanych do brygady oddziałów, szybkością strudzonych nóg piechura. Nie dziw też, że w przeciągu 24 godzin lewe skrzydło nasze Kasina_Wiśniowa Góra staje się powoli centrum naszego ugrupowania. A przedza oddziałów rozciągniętych ponad miarę zaczyna się rwać.

Wracając na gwałt pod wieczór do sztabu w Dobczycach, mam wyraźnego pecha - defekt motoru; ani jednego przy mnie motocyklisty, gdyż rozesłałem ich na wszystkie strony z rozkazami. Tracę cenne minuty, kwadrans, dobrą godzinę, maszerując pieszo szosą na Dobczyce, zanim cudem złapany jakiś środek lokomocji podwozi mnie do Dobczyc.

Tu dowiaduję się o całym zamieszaniu w rejonie Myślenic z tym, że po zapadnięciu zmroku, Myślenice już definitywnie są w ręku niemieckim.

Sytuacja zewsząd poważna, trzeba przeciwdziałać szybko, rozesłać do wszystkich oddziałów oficerów łącznikowych i oficerów sztabu, by wyciągnąć oddziały z matni.

Linia Myślenice_Dobczyce, poza którą nie miałem wypuścić zagonu pancerno_motorowego Niemców, wreszcie przestaje obowiązywać. Mówię „wreszcie”, gdyż ściśle wykonanie tego nakazu doprowadziło teraz do tak krytycznej sytuacji brygady i oddziałów przydzielonych. Grupa operacyjna gen. Boruty_Spiechowicza w odwrocie na rzekę Dunajec w nocy minie najbardziej wschodni punkt tej linii, tj.

Dobczyce. NOwe zadanie żąda od brygady zajęcia rejonu Wiśnicza dla dalszej osłony od południa odwrotu grupy.

Wymaga tego też interes całego mego mieszanego ugrupowania, jeśli nie mamy być grupkami odcięci i otoczeni zupełnie przez Niemców, co w tej chwili staje się niemal faktem.

I tak, patrząc od zachodu:

„korek” Myślenice zajęty przez Niemców odcina odwrót 10 strz. konnych, który dostaje ode mnie rozkaz przebijania się w kierunku na Dobczyce, omijając Myślenice od wschodu. Na tej drodze znajdzie swe wozy, na czas wycofane z wawozów. Nie będą teraz balastem w akcji terenem bez dobrych dróg.

Baon Kuferskiego w lepszej sytuacji maszeruje już lasami z Trzemeśni na wschód, terenem nie zagrożonym działaniem czołgów.

Ugrupowaniu Dworaka każe odskoczyć na lasy w rejonie Leszczyny, w wyścigu już z Niemcami, którzy wcisnęli się luką między tym ugrupowaniem, a dyonem 24 p.uł. mjr. Deskura, który wraca do pułku.

Dyon rozpoznawczy osłania od południa rejon Wiśnicza i rozpoznaje dalsze ruchy niemieckie na skrzydle.

Nie można więcej zrobić jak wierzyć, że sytuacja nie pogorszy się jeszcze i że wysłani oficerowie z rozkazami znajdują oddziały, a te znajdują się na czas tam, gdzie potrzeba.

Zapadająca noc poda nam zapewne przyjacielską dłoń!

Pozostało już tylko zebrać i skierować mój „kułak”, tj. kompanię czołgów i tankietek, część dywizjonu przeciwpancernego i gros baonu saperów oraz cały mój sztab do Wiśnicza Nowego, jak rozkaz nakazuje.

Oceniając sytuację, jaka zaistniała jako finał pięciodniowej bitwy w Beskidzie Wyspowym, trzeba przyznać, że była ona wynikiem do kresu przeprowadzonej woli nie wypuszczenia zagonu niemieckiego na tyły armii czy grupy operacyjnej.

Daliśmy dla tego zadania wszystko ze siebie, co dać było można. Dowódcy i sztab, oddziały brygady i oddziały przydzielone - dokonali wysiłku na tym samym wysokim poziomie, za wyjątkiem jedynie jednego oddziału rezertowego, od którego trudno było więcej się spodziewać.

Może sytuacja nasza w nocy z 5 na 6 września byłaby dużo łatwiejsza i poczucie dużo wyższe, gdyby doszło do uderzenia naszego na wschodnim skrzydle, w zakresie jaki planowaliśmy. Ale nie było to w naszej mocy.

Przez pięć dni i nocy ciągłych działań wszystkich oddziałów brygady z przydzielonymi jednostkami tak, że byliśmy raczej okazałą choć dziwnie zlepioną grupą wobec zagonu korpusu pancerno-motorowego, przekraczającego dziesięciokrotnie nasze siły, oddaliśmy tylko 20 do 30÷75km terenu, redukując tempo zagonu niemieckiego do czterech najwyżej pięciu kilometrów dziennie. Nie wypuściliśmy zagonu na tyły i skrzydło armii poza linią Myślenice-Dobczyce, aż z rejonu tego odpłynęły osłaniane przez nas jednostki.

Stosowaliśmy wszystkie formy aktywnego działania: wypadły i przeciwuderzenia, dwoiliśmy się i troili, „sprzedawaliśmy” po kilka razy tę samą kompanię czołgów i skromne dwie baterie artylerii, udając wielką jednostkę pancerną i myląc przeciwnika co do naszych sił i zamiarów.

Choć w chwilowym kryzysie, w co święcie wierzyłem, byliśmy wciąż jednostką zdolną do dalszego użycia.

Zrobiliśmy wielokrotnie więcej, niż jakakolwiek jednostka piesza mogłaby dokonać w tych warunkach i zrobiliśmy dużo więcej, niż na naszym miejscu jednostka konna mogłaby dokazać.

Ten egzamin zapowiedziany na

„manewry” 1939 r. zdaliśmy dobrze w obliczu rzeczywistej wojny.

I żołnierz od ułana, strzelca konnego, pancerniaków motorowych, artylerzystów i saperów i tych złączonych w walkach „Kopistów” bił się twardo i nieustępliwie, bił się z pełnym przeświadczeniem swej wyższości nad Niemcami.

Czy to było mało?

‘ty

Rozdział 3ã

Dunajec, Wisłoka, San
etapami naszego odwrotu
'ty

'tt
Rozdział 3
Dunajec_Wisłoka_Sanã
etapami naszego odwrotu
'tt

Trudny dzień 6 września zaczął się sytuacją niewyraźną w brygadzie. Jeszcze nie połapaliśmy wszystkich oddziałów, a w każdym razie nie doszły jeszcze o tym meldunki. Nie połapaliśmy, gdyż nie miałem pewności, czy oficerowie rozesłani dotarli do oddziałów w tym przekładańcu z oddziałami niemieckimi i czy oddziały wykonały nakazane ruchy. A tu, po osiągnięciu Wiśnicza Nowego przez sztab brygady, nowy alarm przez wystraszonych uciekinierów, że o kilka kilometrów na wschód od nas przez Lipnicę Murowaną posuwa się kolumna zmotoryzowana niemiecka. Zachodziła możliwość, że to własny dywizjon rozpoznawczy, gdyż oddziały całej brygady miały hełmy stalowe niemieckie i czarne skórzane kurtki broni pancernej i nieraz byliśmy brani za Niemców.

Miałem w tej chwili w ręku jedynie baterię artylerii przeciwlotniczej, plutony łączności i regulacji ruchu, wysłałem więc natychmiast rtm. Pierogorodzkiego z kilkoma ochotnikami motocyklistami na rozpoznanie tej kolumny w Lipnicy Murowanej.

Rozpoznanie to świetnie się spisało, doszło opłótkami do samej szosy i obrzuciło nawet kolumnę granatami ręcznymi wprawiając ją w zamieszanie, ale ponad wszelką wątpliwość stwierdziło, że to Niemcy.

Daję rozkaz do obrony Wiśnicza na „jeża” tym co się znalazło pod ręką. Pomocną jest mi konstrukcja tego miasteczka, z czterema ujściami szos, na wszystkie strony świata i murowane solidne budynki. Rozkaz w sam czas, gdyż zaraz po zajęciu stanowiska działo przeciwlotnicze u południowego wylotu nawiązuje walkę ogniową z podchodzącymi czołgami niemieckimi i po unieruchomieniu jednego z nich, zmusza resztę do szybkiego wycofania się. Wypadam do tego czołga, by prędko się przekonać z jakiego oddziału, gdyż od wieczora gnębiła mnie zmoza, że może świeżymi jednostkami pancernymi z obszaru Słowacji osaczają nas Niemcy, co też rzeczywiście działo się, ale nieco dalej ku wschodowi, w stosunku do oddziałów armii Karpaty, w formie świeżo wprowadzonego niemieckiego korpusu górskiego.

Numer pułku 4 dyw. lekkiej w papierach zabitego czołgisty niemieckiego przyjąłem do wiadomości z wyraźną ulgą.

Moja ostateczna decyzja była już łatwiejsza.

Do nadejścia oddziałów brygady Nowy Wiśnicz będzie broniony przez sztab, łączność, regulatorów ruchu, żołnierzy z zaopatrzenia, baterię przeciwlotniczą i każdego, co ma karabin lub ręczny granat w ręku. Poprzedniego dnia przysłane skrzynie mob. z karabinami przeciwpancernymi kazałem rozdać i trwać.

Z okien pierwszego piętra szkoły wyzierały dwie takie długie lufy, ochrona bezpośrednia pracującego sztabu. Kłopot był, że w tej nerwowej sytuacji trzeba było dopiero spokojnie odczytywać załączone instrukcje użycia tej świetnej jak na 1939 r. broni przeciwpancernej.

Do takiego „Alkazaru” zaimprovizowanego wpadł na chwilę dowódca grupy op. gen. Boruta Spiechowicz i był pod wrażeniem naszej determinacji.

Nie było jednak nic innego do zrobienia. W tym „panta rei” Nowy Wiśnicz był w tej chwili jedynym punktem stałym, który dawał widoki opanowania sytuacji, był punktem znanym wszystkim oddziałom; zmiana więc postoju dowództwa wprowadziłaby istny bałagan w ten i tak chaos.

Ale też w tej sytuacji z wielką radością powitałem oficera łącznikowego por. Ziółkowskiego, który awizował nadciąganie całego 24 p.uł. Pułk ten miał wieczorem i w nocy sytuację, na które pomocą nie mógł być ani regulamin walki

austriacki, ani francuski, ani polski, których zwolennikiem był na przemian nieoceniony dowódca pułku, pułkownik dyplomowany Dworak.

Z tej wielkiej opresji wyplątał się dzielnością swych białych ułanów i zjawił się w momencie, gdy sytuacja stawała się krytyczna. Potem nadciągnęła artyleria, potem odnalazł się w nakazanym rejonie 10 strz. konnych i doszły meldunki pocieszające o wycofywaniu się lasami baonów KŚoŚp i pułku 156 rez., nieco bardziej w tyle.

Zjawienie się gen. Boruty_Spiechowicza było zapowiedzią dalszego odwrotu już poza Dunajec, co do którego dokładne rozkazy przyniósł mi później, wysłany do sztabu grupy operacyjnej, Skibiński.

Dzień 6 września wieczorem skończył się identyczną, jeśli nie bardziej jeszcze mętłą sytuacją, jak poprzedni dzień z tym, że zawiąsałem były nie Myślenice, ale Bochnia, a rolę Dobczyc objęło Brzesko. Groziło brygadzie odcięcie od północy, w wypadku zbyt szybkiego odrzucenia przez Niemców straży tylnych grupy operacyjnej gen. Boruty_Spiechowicza. Na wschodnim skrzydle Niemcy uzyskali już zupełną swobodę manewru do odcięcia brygady od kierunku odwrotu na wschód, gdyż weszli w próżnię między brygadę a kogo? Miałem jakieś niesprawdzone wiadomości o oddziałach armii Karpaty, o 24 dywizji piech. i 11 dywizji piech., ale łączności taktycznej nie mogłem z nimi nawiązać. Rozpoznanie moje wszędzie natykało się na Niemców.

Pod wieczór z szefem sztabu i oficerem operacyjnym udałem się do Bochni, by pilnować tego newralgicznego punktu. Stąd wysłałem Skibińskiego do gen. Boruty_Spiechowicza z propozycją pewnych zmian dla kierunku przejścia brygady na wschodni brzeg Dunajca. Narzucona nam oś nie miała żadnych składów benzyny ani stacji benzynowych; była więc bezwartościowa dla jednostki motorowej. Z oficerem sztabu wyprowadziłem ostatnią wycofującą się z zachodu kompanię piechoty na grzbiet bezpośrednio przed zabudowaniami pierwszymi tej miejscowości. Grzbiet ten krył przed obserwacją szosę z południa, którą kierowałem większość moich oddziałów z rejonu Wiśnicza Nowego. Przy tej kompanii, która wkrótce znalazła się w ogniu artylerii niemieckiej i rozwijających się do natarcia oddziałów, wytrzymałem do momentu, który oceniłem jako nie dający już rękojmi długiego przeciwstawiania się. Wtedy dopiero przez oficera sztabu zmieniłem drogę dla reszty wycofujących się oddziałów brygady na podłe dróżki, ale omijające Bochnię od wschodu i długo jeszcze, jak spodziewałem się, nie zagrożone przez Niemców. Zbierała się brygada koło miasta Radomyśla. I znowu w nocy z 6 na 7 było wrażenie, że jeśli w ogóle, to pewnie nie w całości wypląta się brygada z wyraźnego potrzasku. Nawet część sztabu ze mną opłakiwała już szefa sztabu, który mógł „wpaść”, wracając przez Bochnię po jej opuszczeniu przez oddziały, co robiła też vice versa część druga sztabu ze Skibińskim, myśląc o nas.

Do południa dnia 7 września wszystkie organiczne oddziały brygady były zebrane za Dunajcem, mając za sobą ryzykowne przejście przez długi most drewniany na Dunajcu już w biały dzień, nie molestowane - o dziwo - przez lotnictwo niemieckie. Widać miało ono w tym dniu coś ważniejszego niż interesowanie się brygadą, która wedle obliczeń niemieckich nie powinna już być istnieć. Przydzielone oddziały, odebrane rozkazem grupy brygadzie, dołączyły do oddziałów grupujących się na zachodnim brzegu rzeki.

Oddając te oddziały, chciałbym choć dziś podziękować im, a szczególnie trzem batalionom Korpusu Ochrony Pogranicza z ppłkiem Wójcikiem i mjrem Kuferskim na czele, za ich rzetelną pracę żołnierską, za to, że potwierdzili, czym może być w boju ta elita piechoty polskiej. Wtedy brak było na to sposobności.

Gdy się tylko zebrał sztab i uzyskaliśmy połączenie telefoniczne z dowództwem grupy, miałem krótką rozmowę z gen. Borutą. Na zachodnim brzegu Dunajca coś nie wychodziło w planie, dlatego generał zwracał się do mnie z tym, że potem co brygada zrobiła i robi i jak musi być przemęczona ciągłą walką - nie ma on prawa obarczać nas dodatkowym rozkazem, ale wyraża to w formie prośby, by jeśli możliwe, ratować jakimś oddziałem bardzo zagrożoną sytuację na zachodnim brzegu na południowym odcinku. Sformowaliśmy oddział wydzielony, który w czas znalazł się w wyznaczonym miejscu, odbierając gen. Borucie choć jedną z trosk, jakimi w tym dniu miał być do syta obarczony.

Całą noc z 6 na 7 września i do godzin popołudniowych oddziały brygady przebijają się i wyplątywały spośród Niemców, których i od zachodu z kierunku Krakowa i od południa od Tatr, było coraz więcej i więcej.

Na zachodnim brzegu Dunajca oddziały, bardzo już przemęczone działaniami bez przerwy przez sześć dni i nocy, piły jak smoki benzynę i pobierały żywność i amunicję z czekających wozów zaopatrzenia. Nawet Skibiński był w tym dniu dobrodusznie uśmiechnięty, gdy ze sztabu gen. Boruty przywiózł dla mnie najbardziej pożądanym prezentem: przesunięcie brygady do odwodu. A odpoczynku potrzebował na gwałt nie tylko żywy człowiek, ale i niedogładane i nie konserwowane maszyny.

Najbliższa przyszłość zapowiadała się różowo. Robiliśmy nawet przygotowania do improwizowanej ciepłej kąpieli i do porządnego obiadu. Zdaje się szef kancelarii brygady por. Ferenstein przyniósł zasadniczą wiadomość, że będą trzy dania i stół nakryty białym obrusem.

I w taką „sielankę” na rynek w Radomyślu wjechał ppłk dypl. Monwid Olechnowicz ze sztabu armii Karpaty z rozkazem, który z miejsca burzył nasze optymistyczne widoki. 10 brygada kaw. oddana jest do dyspozycji dowódcy armii gen. Fabrycego i dostaje rozkaz natychmiastowego przejścia do dyspozycji jego do Rzeszowa, gdyż kierunek Tarnów_Rzeszów_Jarosław jest zupełnie odsłonięty. Dalsze rozkazy miałem dostać w sztabie armii, dokąd bezzwłocznie miałem się udać, po wydaniu rozkazów brygadzie do przemarszu.

Doszły mnie już wiadomości drogą niezawodną od zaopatrzenia, że Tarnów zajęty przez Niemców, wobec tego zostawiając dyrektywy przesunięcia brygady lasami do rejonu Głogowa (na północ od Rzeszowa), sam wyjeżdżam do sztabu armii, biorąc ze sobą jednego oficera sztabu.

Gen. Fabrycego znaleźć nie mogę, dopiero przy drugiej okazji melduję się u niego osobiście. Ale szef sztabu armii Karpaty ppłk dypl. Morawski, dobry znajomy spod Waręża, wprowadza mnie rzeczowo w sytuację, bardzo dla mnie nieoczekiwana. Na magistrali Tarnów_Jarosław_Lwów nie stoi ani jeden oddział polski, który mógłby przeciwstawić się pancernemu motorowemu wojskom w ich wyścigu do rz. Sanu, który może być przekroczony, zanim oddziały armii zdołają się wycofać. Ostatnie wiadomości donoszą o zajęciu Dębicy przez Niemców. Rzeczą najpilniejszej wagi jest zabiegnięcie drogi temu zagonowi przez brygadę, możliwie jeszcze w rejonie Rzeszowa. Zasadniczo zadaniem brygady jest wygrać dla armii dwa cenne dni 8 i 9 września, potrzebne dowódcy armii na obsadzenie obronnej linii Sanu.

Znowu więc warto jest o co się bić i o coś znowu kłopotać. San wpada do Wisły, chyba to jest ten ogólny polski front, na którym zatrzymamy pierwszy napór Niemców, na dostatecznie duży okres czasu, by doczekać się oznak odprężenia, jako skutku uderzenia Francuzów na linię Siegfrieda. Wracam do Rzeszowa, ubezpieczonego prowizorycznie jakąś lokalną zbieraniną przez ppłka Latawca, komendanta miasta, i czekam na czołowe oddziały.

8 września rano brygada łukiem od północy przez lasy głogowskie zabiega drogę zagonowi niemieckiemu, uprzedzając go o jedną do dwóch godzin w marszu na Rzeszów.

Wobec tego plan jest znowu prosty, byle go tylko wykonać. Jeden dzień 8 września powinna nam dać przejściowa obrona Rzeszowa. Drugi dzień 9 września obrona Łańcuta. Trzeci dzień odskok na Przeworsk.

Wygramy co najmniej trzy dni na czasie, umożliwiając oddziałom armii usadowienie się na Sanie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że trudnościami będą teraz oba skrzydła brygady, wiszące w powietrzu, gdyż w akcji tego opóźniania jestem kompletnie izolowany. Na prawym skrzydle armia „Kraków” w odwrocie za Wisłę skupia i ściąga swe oddziały ku północy, powiększając z każdą godziną lukę między nami. Najbardziej mnie obchodzące lewe skrzydło grupy operacyjnej Boruty - odchodzi mocno poszarpane, straciwszy na Dunajcu gros swej artylerii. A na skrzydle moim lewym, armia „Karpaty” skupia się w kierunku południowym w łuku Sanu w rejonie Birczy, oddalając się od łączności taktycznej z moimi oddziałami.

Faktem jeszcze dramatyczniejszym jest strata mych czołgów. Na piaszczystych traktach, wiodących na Głogów, skończyły się z braku paliwa pozostałe moje „Vickersy” - weterani z okresu szkolenia brygady i pierwszego okresu walki. (Cudem przepchane przez organa kwatermistrzowskie wozy z benzyną pozwola

resztkom tej kompanii dołączyć do oddziałów gen. Boruty). Tak więc, patrząc w oczy rzeczywistości, pozostanie już tylko kompania tankietek por. Ziemskiego, wzmocniona kilkoma wozami por. Polityły, który się do nas dołączył i nią trzeba będzie operować jak czołgami.

W myślach ślę gorące podziękowanie tej dzielnej kompanii Vickersów:

za uratowanie sytuacji pod Naprawą,

za wybitny udział w natarciu pod Kasiną,

za dwojenie i trojenie się na wschodnim skrzydle brygady,

za to, że samą obecnością swą podtrzymywały morale oddziału,

za to, że od najtrudniejszego zadania nie wykręcały się mówiąc, że są tylko starymi, szkolnymi gratami!

8 września jest znowu dniem białych ułanów.

Wysunięci na zachodni brzeg rzeki Wisłok, w warunki terenowe nienajlepsze, gdyż nie mogliśmy zostawić miasta na przedpolu ze względu na składy amunicji i benzyny w trakcie ewakuacji, a tak potrzebne i w tej chwili brygadzie motorowej, rozegrali całodzienną bitwę bardzo zgrabnie.

Rozwinęli całą potęgę swego ognia, wsparci naszymi dwiema bateriami, a zagrożenie na skrzydle swym południowym zlikwidowali dzielnie przeprowadzonym przeciwuderzeniem szwadronu rtm. Radziwiłowicza. Asekurowało ich skrzydło północne pozostawienie pułku 10 strz. konnych na skraju lasu głógowskiego, który wisiał niejako od północy nad szosą Dębica_Rzeszów. Z musu - cnota, gdyż rozwijając się do bitwy z kolumny, zataczającej woltę dla przeciwstawienia się Niemcom, zaaprobowałem takie ugrupowanie, na jakie czas i okoliczności pozwoliły.

Wszystko to razem, dobre działanie 24 p.uł. i wydatna pomoc ogniowa i rozpoznawcza 10 strz. od północy w stosunku do Niemców na szosie, pozwoliły utrzymać miasto do południa dnia następnego, jak też przepchać ogon brygady przez Rzeszów w rejon Łańcuta.

Zdawało się wobec tego, że utrzymanie Łańcuta do nocy z 9 na 10 września nie będzie trudne. Tymczasem 4 dyw. lekka niemiecka zmuszona do rozwinięcia pod Rzeszowem, trzymana frontalnie przez 24 p.uł., a przeskrzydłona od północy przez 10 strz. konnych, rozwinęła się tam, gdzie opór był najsłabszy, tj. na południu i po wejściu do Rzeszowa podeszła pod Łańcut już w szerokim ugrupowaniu. Tak więc, w dniu 9 września zagrożenie południowego skrzydła obrony 10 strzelców konnych zarysowało się już po południu niemal równocześnie z podejściem Niemców pod Łańcut.

Z mego punktu obserwacyjnego na południowym skrzydle sam kieruję ogniem działa 75z75mm, strzelającego na wprost, na obchodzące nas samochody pancerne.

Potem, jak na wojence dawnych, minionych lat, jestem w stanie osobiście skierować kompanię tankietek do uderzenia na skrzydło nacierających na nasz dywizjon rozpoznawczy w Albigowej czołgów niemieckich. Uderzenie to śmiało wykonane przez por. Ziemskiego na skrzydło oddziału pancernego niemieckiego, bijącego się już w miejscowości Albigowa, ma większy skutek niż spodziewaliśmy się. Silną stroną kompanii jest posiadanie na tankietkach kilku najcięższych karabinów maszynowych kalibru

20z75mm, które łatwo przebijają pancerz czołgów niemieckich. Czołgi niemieckie wycofują się pośpiesznie, zostawiając na przedpolu kilka palących się wielkim płomieniem. Reszty dokonuje przeciwuderzeniem na Albigową dyon rozpoznawczy i ześrodkowanie ognia naszej artylerii.

Zażeganie zagrożenia południowego skrzydła nastąpiło w sam czas, gdyż alarm na północnym skrzydle zmusza mnie do rzucenia tankietek kolejno w tym kierunku dla ratowania sytuacji.

Rojno i gwarno było tego wieczora zanim słońce zaszło, a potem gdy ciemność zdawała się przerwać działania, na zamku u pana na Łańcutcie. Nie uszanował dowódca brygady prośby plenipotenty, by uznać neutralność tego historycznego zabytku. I tak niemiecka artyleria będzie waliła w ten markantny punkt geograficzny, więc po cóż utrudniać sobie dowodzenie, a zziązanym gońcom bojowym odszukanie dowódcy - gdzieś w ekonomówce - gdy wszystkie wyraźne drogi prowadzą do pałacu.

Czyż nie jest tradycją najszlachetniejszych zabytków od wieków, że je niszcza potopy i pożogi wojenne? Czyż wmurowana kula z oblężenia szwedzkiego nie dodaje dziś splendoru i pleśni tradycji zabytkom, gdy kiedyś ta sama kula była tylko instrumentem barbarzyńskiego niszczenia? O jednym zapewniłem, że nie będzie Alkazaru, że nie w mym zamiarze bronić każdej cegły pałacu i pogrzebać się pod jego gruzami, że nawałnica wojenna minie szybko jak nawałnica letnia. Mimo więc zaaferowanej miny gospodarza, rozstarasowaliśmy się w kilku salach i pochyleni nad mapami chwytaliśmy sytuację, która zapowiadała się dość goraco. Rojno i gwarno było na zamku, gdy otworzono szeroko podwoje i jadalnie tłumom oficjalistów z rodzinami i ludności z miasteczka, która chroniła się w cieniu pałacu jak za dawnych czasów.

Ślepa nawała artylerii niemieckiej ledwie jednym pociskiem zawadziła o basztę zamku, a całym ześrodkowaniem wpadła w park, w kuchni polowe

24 p.uł. Biedni biali ułani będą dziś bez obiadu. Ze staropolskiej naprawdę gościnności, z zastawionych dla wszystkich stołów, nie mogą korzystać, gdyż rozkaz przynagla ich do ruchu na Przeworsk.

I rojno i gwarno będzie na zamku, gdy go opuści ostatni żołnierz 10 p. strz. konnych, którego garnizonem pokojowym był oto ten kochany Łańcut, a pokoje rozbrzmiewać będą - nie po raz pierwszy w historii - obcą mową gości z „drużyny” panów von Kleista i Lista, składających butną i arogancką wizytę hr. A. Potockiemu.

Zażegnane zostało drugie z kolei zagrożenie obejścia skrzydła obrony od północy, ale dalekie moje rozpoznanie na skrzydle południowym melduje sytuację niewesołą. Oto silne kolumny motorowo_pancerne ominęły nas głęboko od południa i posuwają się w kierunku wschodnim na Radymno. Niemcy mają możliwość uprzedzenia nas na Sanie, a nawet odcięcia naszego odskoku za rzekę.

Decyduję się zebrać brygadę w rejonie Przeworska i zorientować się, czy osiągniemy Jarosław nad Sanem przed Niemcami. Jeśliby to okazało się niemożliwe, trzeba będzie kierować brygadę szerokim łukiem ku północy na przeprawę na Sanie pod Leżajskim.

Ale w sytuacji związania się bojowego w rejonie Łańcuta, odskok na Przeworsk dla części

10 p.strz. konnych jest równoznaczny z ciężkim przebijaniem się w nocy przez miasto. Wbrew bowiem dotychczasowym, tak zbawiennym dla nas zasadom kończenia działań bojowych koło #/7 wieczorem, w tym 9 dniu naszych walk, natarcie niemieckie na Łańcut prolongowane w nocy, przysporzyło niemało kłopotu strzelcom konnym. Część nawet tego pułku, dzielnie bijącego się o swój garnizon, została w nocy zbита z kierunku wycofywania się na wschód. Uchyliła się ona jedynie od zupełnego odcięcia przez Niemców ruchem na północ, dołączając chwilowo do oddziałów gen. Boruty.

Jasne, że to wytężone działanie niemieckie musiało coś znaczyć; tłumaczyłem to chęcią odcięcia nas od odwrotu za San. Wglądu w całość operacji tak strony polskiej jak i niemieckiej nie miałem; widziałem niedużo więcej niż to, co działo się przed naszym nosem.

W nerwowym napięciu przebijaliśmy się przez zatory drogowe do Przeworska. Mamy wolną drogę na Jarosław czy nie?

Zaskoczeniem dla mnie nie jest to, że bijemy się izolowani, mała brygadka na głównej magistrali Kraków_Lwów, że obie armie rozchodzą się w przeciwnych kierunkach, odsłaniając tę najkrótszą drogę na Lwów.

Natomiast bolesnym zaskoczeniem dla mnie i wszystkich mych żołnierzy będzie, gdy po koszmarnej nocy zbierania oddziałów brygady i kierowania na wolny wciąż Jarosław, znajdę niemal kompletną pustkę na tej polskiej linii „Maginota”, czy „Siegfrieda”. Jeden batalion piechoty w samym Jarosławiu, jakieś dwie do trzech baterie za rzeką San, jakieś wiadomości, że tu i tam plątają się jakieś luźne plutony, rzadko kompanie, nie wiedzące nawet co jest ich zadaniem.

Front na Sanie jest fikcją - jest nie mniejszą fata morgana, jak wizja oazy nad źródłem z bujną roślinnością dla strudzonych oczu wędrowca na pustyni. Jeszcze nie chce mi się w to wierzyć! Przecież nie tylko wyimaginowaliśmy sobie tę główną obronę polską na Sanie, której gorąco pragnęliśmy i wierzyli w nią, ale nawet wytyczne dowództwa armii „Karpaty” wyraźnie określały naszą rolę w opóźnianiu, dla dania tych kilku cennych dni na skrzepnięcie obrony na Sanie!

A więc...?

Daję rozkaz wzmocnienia przyczółka mostowego Jarosław częścią 24 p.uł. i armatami przeciwpancernymi i wsparcia 16 dywizjonem artylerii motorowej - całość pod dowództwem ppłka Moszczeńskiego, dowódcy dyonu przeciwpanc., a brygadę kieruję przez długi most na Sanie na wschodni brzeg rzeki. Sam zaś z rtm. dypl. Mincerem jadę wzdłuż rzeki, by się naocznie przekonać, jak to z tą obroną? I rzeczywiście, prócz jednej baterii artylerii na stanowiskach, spotykam tylko luźne grupki wałęsających się i dezorientowanych żołnierzy. Jadąc samochodem szosą na wschodnim brzegu rzeki, gdzieś na północ od Radymna, dostaję serię z ckm o charakterystycznym szczekającym tonie karabinu niemieckiego.

Niemcy na wschodnim brzegu?

Zawracam do plutonu 24 p.uł., który przed chwilą minęliśmy, a który był w drodze do miejsca zbiórki pułku i rozwijam go do natarcia. Opór Niemców jest miękki; dają się stosunkowo łatwo odrzucić na rzekę. Zapewne jakieś rozpoznanie, ale wsparte artylerią, gdyż za chwilę szosa jest w stosunkowo silnym ogniu. Musimy opuścić samochód, którego nie może kierowca uruchomić, a który wkrótce bucha jasnym płomieniem, gdy wycofujemy się w kierunku na Jarosław.

Most w Radymnie wysadzony przez wycofujące się oddziały, ale Niemcy mają teraz wielkie szanse zbudowania nowego. Nie wiem, co się dzieje dalej na południe od Radymna, gdzie są liczne brody, i w samym Radymnie. Myślę o koniecznej reakcji z polskiej strony, 10 brygady od północy i sił polskich z Przemyśla od południa, nie zdając sobie jeszcze sprawy, że żadnych zdolnych do natarcia w tej chwili sił w promieniu kilkunastu kilometrów nie znajdziemy. Tymczasem osadzam w terenie to, co zebrałem na miejscu, a co nie przekracza sił jednej kompanii z kilkoma ckm, dla zahamowania wyjścia Niemców z małego przyczółka nad rzeką. Jedyną pamiątką po tym rozpoznaniu na własną rękę Sanu, pozostał mi samochód zdobyty już wcześniej. Był to niemiecki otwarty „Adler”, którym po stracie swego, będę paradował w czarnej kurtce i hełmie niemieckim, nieraz raczej podobny do oficera niemieckiego.

Wycofując się pieszo z rtm. Mincerem, mam szczęśliwy dzień, bo zabiera mnie na samochód jadący do brygady oficer kurier z dowództwa armii, z rozkazem dla mnie meldowania się w dowództwie we Lwowie i wiezie mnie wprost do Lwowa. Melduję się u gen. Fabrycego, który nie aprobuje mego projektu oddania mi 2 batalionów z Przemyśla dla szybkiego zlikwidowania przyczółka niemieckiego pod Radymnem i zapobieżenia próbom przejścia przez San między Przemyślem a Radymnem i to, zanim Niemcy przeprowadzą swą broń pancerną. Otrzymuję konkretne zadanie dla brygady zamknięcia kierunku z Radymna na Krakowiec, Jaworów, Janów, Lwów. Zadanie to zostaje potem rozwinięte do współdziałania od wschodu z grupą gen. Boruty, która ma uderzyć od północy na Niemców przekraczających San. Bardzo pociągająca idea, ale w sferze zupełnej niewykonalności dla każdego, kto znał w tym dniu rozpaczliwie trudne położenie gen. Boruty. Potwierdzone to zostało jeszcze tej nocy rozmową telefoniczną z generałem, który musiał zatrzymać w rejonie Sieniawy moje Vickersy i część

10 p.strz. konn. z armatami ppanc. dla dodania jak określili

„kręgosłupa” zbierającym się jego resztkom.

Dlatego też do tego natarcia od północy nie doszło, a zadanie dla brygady zostało sprecyzowane jako opóźnianie na osi Jarosław_Jaworów_Janów_Lwów.

‘ty

Rozdział 4

Osłona Lwowa

i obrona Lwowa

‘ty

‘tt

Rodział 4ã

Osłona Lwowaã

i obrona Lwowa

‘tt

12 IX - 17 IX.

Osiłona zaczęła się już właściwie 12 września aktem opóźniania na Jaworów Janów Lwów oddziałów 4 dyw. lekkiej, z której brani jeńcy wciąż numerami pułków identyfikowali tę dywizję.

Opuszczaliśmy Jarosław całkiem nie pod naciskiem Niemców, których natarcia załamały się na obronie przyczółka mostowego przez ppłka Moszczeńskiego, ale z powodu rozpoznania ruchu kolumny pancerno-motorowej, wychodzącej z przepraw na Sanie pod Radymnem. Wymanewrowano nas ruchem na północny wschód, grożąc odcięciem od Lwowa i od zadania.

Znowu paradoksalna sytuacja, gdyż w chwili startu do zadania, jesteśmy już wyprzedzeni przez oddziały pancerno-motorowe niemieckie, posuwające się skośnie z Radymna na Niemirów. Jak przedtem na Rzeszów, tak i teraz, brygada szerokim łukiem ku północy ominęła rejon Krakowca i mimo przymusowej przerwy w lasach Wólka Zapalowska Lipina dla wyczekania na dowóz benzyny - przed świtem osiągnęła wolny jeszcze od Niemców Niemirów. Stąd skierowała się z powrotem na właściwą oś i osiągając Jaworów, zdażyła wysunąć się z tego miasteczka na zachód pod Krakowiec, by zagrozić drogę posuwania się Niemców w punkcie najbardziej dogodnym do obrony między rozległymi stawami i mokradłami, choć w tym wyjątkowo suchym lecie mocno podeschły. Pozostawiony na zachód od Niemirowa dyon rozpoznawczy miał nas osłaniać od północnego zachodu.

Znowu wiew dzieciństwa, lat gimnazjalnych, beztroskich wakacji letnich, spędzanych kilkakrotnie we dworze wuja mego, adwokata ze Lwowa, Karola Czernego, właściciela dóbr Wielkie Oczy, tych samych

„Wielkich Ocy” z „Trylogii” Sienkiewicza. Było nas 4 człopaków, rodzonych braci, (trzech zginęło na wojnie

1914_#1920Ñ) i dwoje dzieci wujostwa. Jeden z nich, to Staszek Czerny, przyszły ppor. w

10 p.strz. konnych w dywizji pancerniej, który w czołgu dzielnie i z humorem przebył całą kampanię 1944_#45 r.

Czy jako młody chłopak, budując w zabawie forty w tych lasach na wydmach piaszczystych, myślałem, że będę się kiedyś bił tu na serio?

Podjechałem na punkt obserwacyjny dowódcy pułku płka dypl. Bokszczanina.

Zasłonięci opłótkami, wśród rzadko rozsianych chłopskich chałup, czekaliśmy na natarcie niemieckie, którego pierwsze akordy uderzały nawałami artylerii ognia na wieś, a szczególnie groblę i młyn nad stawem.

Płka Bokszczanina mało znałem. Przyszedł na pułk zmotoryzowany kawalerii konnej wbrew swojej woli, niemal w przeddzień wybuchu wojny, ale dzielnością i charakterem bardzo dobrze już się zapisał w przeciągu tych dwunastu dni ciężkich bojów. Za krótki był to jednak okres czasu, by był prawdziwym

„motorowcem”. Przyzwyczajeniem dziesiątków lat siedział mocno w tradycji konnego oddziału. I oto zwrócił się do mnie w pewnym momencie ze słowami: „a jednak, jakby to było cudownie i inaczej, gdybym w tej chwili siedział na koniu na czele mego konnego pułku”. Zacząłem pułkownikowi wyliczać kilometry przemarszów pułku od 1 września, ilość bitew i potyczek i osiągnięć bojowych. Zwróciłem również uwagę na tyle mówiący fakt, że po 12 dniach walk z taką przewagą ilościową i techniczną przeciwnika, stoi wciąż na czele pułku niepokoletego i zdolnego do akcji. Zdaje się, że rozumiał to sam dobrze, ale rozum rozumem, a sentyment sentymentem.

Dzień 12 września wygraliśmy przejściową obroną Krakowca przez 10 p.strz.konn. i w nocy trzymaliśmy jeszcze 24 pułkiem uł. pozycję pośrednią w Porudenku.

Wyrzucono nas jedynie siłą z Niemirowa, którego trzymanie przerastało siły dyonu rozpoznawczego.

Resztki tego uparcie wojującego dywizjonu mjra Ksawerego Święcickiego zbierały się w Magierowie. Dobiegł kres życia tego jednego z najmłodszych oddziałów brygady. Pozostałość rozdzielona zasili przetrzebione stany ilościowe pułków 24 uł. i 10 strz.konn.

Gdzieś w tym okresie kryzysów i walk zostałem wezwany do Lwowa, do dowódcy frontu południowego, gen. broni Sosnkowskiego.

Koszmarną jazdą nocną po drogach zapchanych wszystkim, co tylko wojna potrafi wyrzucić na drogi, a po wymiecionych z ostatniego znaku życia na innych odcinkach tak, że ręka stale spoczywała na karabinie w oczekiwaniu złowrogiego „Halt - Leute”, dotarłem do Lwowa.

Jaki to inny Lwów.

Zamarły, przyczajony jak ktoś, kto oczekuje spodziewanego ciosu z rezygnacją. Ciemny, brudny z przemykającymi się chyłkiem postaciami, oświetlony tylko tu i tam wygasającymi pożarami po bombardowaniach.

To nie Lwów z lat 1918_#19, to nie Lwów z roku 1920 - dumny i pewny siebie gród kresowy, kładący się bohatercko na poprzek uderzeniom ze wschodu.

To nie twierdza, zasłaniająca swą pierś Rzeczpospolitą w nadziei, że ta się ocknie - więc trzeba jej dać czas na to ocknienie - jak tyle razy w czasie przebogatej historii tego

„semper fidelis” miasta polskiego.

To nie straż przednia Rzeczypospolitej.

To wprost przeciwnie - walcą się Rzeczpospolita, która ostatnim tchem od zachodu podchodzi do Lwowa, by dać ostatni i tu odpór, już może tylko dla historii.

Tylko gdzieś półotwarta brama i ktoś wypatrujący i wysłuchujący... że może jednak?

Ktoś, podskakujący do mego samochodu z nadzieją w pytających oczach, na widok mej czarnej kurtki pancerniaka, że może jakieś hufce pancerne sprawią jeszcze cud. Ktoś, wtykający ostatnie swe papierosy, czekoladę i owoce dla polskiego żołnierza, ktoś znaczący nas w milczeniu znakiem krzyża świętego.

To już nie straż przednia, ale porzucona w beznadziejności straż tylna. Ale i ja nie chcę jeszcze spojrzeć realnie w oczy rzeczywistości.

Jeszcze nie pobita 10 bryg. kaw., jeszcze jak kiedyś radością napawa świadomość, że bijemy się dla Lwowa, że jak kiedyś w latach 1918_#19 idziemy z odsieczą.

Jeszcze świadomość, że możemy się bić, wypiera i tamuje wszelkie czarne i posępne myśli.

Melduję się u gen. Sosnkowskiego, dowódcy frontu południowego, w tak znanym mi budynku D.O.K. Nr VI (tj. Dowództwie Okręgu Korpusu nr sześć).

Długa rozmowa z generałem, nie załamany, pełnym wiary mimo wszystko w przyszłość. Tematem jest projekt generała, a w każdym razie przez generała stawiany, przebicia się z częścią 10 bryg.kaw. do Przemyśla, gdyż chce objąć osobiście dowództwo nad porzuconymi przez gen. Fabrycego dywizjami, a to: 24 dyw. piech.,

11 dyw.piech. i 38 dyw.rez. i przebić się z nimi z powrotem do Lwowa.

Czy gwarantuję powodzenie tej pierwszej części akcji, tj. przebicia się z nim do Przemyśla?

Przykro mi gasić wiarę i entuzjazm, trudno mi zawieść nadzieje wygórowane.

Ale ta pierwsza część planu jest zupełnie niewykonalna, gdyż nie ma na to ani minimum siły, ani minimum czasu.

Nie część, ale nawet cała brygada jest za słabą dla wykonania tego zadania.

Obrazuję lapidarnie generałowi czym jest w tej chwili brygada.

Dwa pułki kawalerii przedstawiają wartość dwóch przemęczonych batalionów piechoty, o bardzo małych stanach (50_#60% stanów etatowych), artyleria wciąż tych

8 luf, zupełny brak czołgów, Vickersy szkolne ugrzęzły u gen. Boruty, jedna skomasowana kompania tankietek o 10 wozach bojowych robi co może, by je udawać.

Jeszcze czarniej wygląda to w obliczeniu czasu. Nawet jeśli nie będę luzowany przez kogoś, ale wprost odejdę zrywając kontakt z Niemcami i odsłonię Lwów na odcinku Janów_Magierów, to zebranie brygady do akcji, wyposażenie jej

materiałowe do tej akcji, a szczególnie pobranie wciąż kończącej się benzyny i amunicji, wymaga co najmniej 24 godzin czasu. To znaczy, że mogę być gotowy na

świt 14 września z szansami zaczęcia akcji pod wieczór, gdyż tylko nocą mogę wykorzystać czynnik zaskoczenia.

10 bryg.kaw. jest jednostką wciąż zdolną do walki, do ruchliwych manewrów, do uderzenia, którego warunkiem jest zaskoczenie. Efekt zaskoczenia trwa na głębokość kilku kilometrów, przy szczęście

- kilkunastu kilometrów.

Zresztą każde przebijanie się jest zwykle aktem rozpacz, który może się udać lub nie. Gwarancji, że akt ten dowiezie cało generała Sosnkowskiego i to na czas do Przemyśla - dać nie mogę.

Gen. Sosnkowski przyznaje rację moim argumentom. Pewniejszym i szybszym środkiem będzie jego przelot z oficerem sztabu samolotem do rejonu Przemyśla.

Gen. Sosnkowski, w trosce o Lwów, podporządkowuje brygadę gen. Langnerowi, dowódcy obrony Lwowa, z zadaniem osłony Lwowa od północy, gdyż zarówno ostatnia bitwa 10 brygady jak i wiadomości z innych źródeł potwierdzają obchodzenie obszaru Lwowa przez zmotoryzowane oddziały niemieckie na północ od lasów janowskich. W przyszłości gen. Sosnkowski liczy na współdziałanie brygady z dywizjami z Przemyśla, gdy te przebijając się podejną pod Lwów.

W funkcjonującym już sztabie obrony Lwowa zapoznaje się ze szczegółami sytuacji. Ponad wszystkim góruje świeża impresja dopiero co ukończonego boju na ulicy Gródeckiej. Oto po południu dn. 12 września jakieś zmotoryzowane oddziały niemieckie z czołgami czy samochodami pancernymi, które przedarły się pod Lwów z kierunku Rudek i Lubienia, stworzyły kryzys na południowo_zachodnim skraju miasta, opanowany ostatecznie do godz. #/19 tego dnia.

Lwów ma cały szereg luźnych oddziałów piechoty i artylerii, dość trudnych do skoordynowania i jedną dywizję 35 rez. płka dypl. Szafrana, kiedyś dowódcy 41 p. suwalskiego, gdy ja dowodziłem 81 p. strzelców grodzieńskich. Dywizja ta częściowo już jest we Lwowie, częściowo w transportach. Ocena przeciwnika jest następująca: na osi od Gródka Jagiellońskiego, tj. od zachodu napiera jedna wielka jednostka pancerna, zdaje się 2 dyw. panc., przy próbie obustronnego okrążenia Lwowa od południowego i od północnego zachodu przez 4 dyw. lekką, z którą 10 b.k. jest w kontakcie.

Lwów powinien sobie dać radę tym, co w tej chwili zbiera w obszarze miasta. 10 brygadzie przypada zadanie osłony Lwowa od północy i północnego zachodu.

Jak się potem przekonaliśmy, ocena była zbyt pesymistyczna, z przesadą szczególnie co do pancernych oddziałów przeciwnika. W tej chwili na bliższym i dalszym przedpolu, były rzeczywiście tylko 2 jednostki niemieckie: 4 dywizja lekka, okrążająca lasy janowskie i jedna dywizja górską, której część zmotoryzowana stworzyła ten pierwszy kryzys we Lwowie.

Uzgadniam z gen. Langnerem, że wzgląd na zadanie w obecnej sytuacji i na konieczność wypoczynku dla zmęczonych oddziałów brygady, uporządkowanie rozerwanych związków i na materiałowe potrzeby - nakazuje zebrać się w rejonie Żółkwi. Wobec tego gen. Langner podporządkowuje mi te siły polskie, które się znalazły na północ od tzw. Kanału Rządowego, zebrane i dowodzone energicznie przez mego kolegę z Wyższej Szkoły Wojennej płka dypl. Iwanowskiego. Są to zlokalizowane obroną pewnych rejonów:

baon marszowy 53 p.p., który trzyma Żółkiew,

grupa płka Gołaszewskiego - szwadrony piesze zapasowe i szwadron ckm, które trzymają Majdan,

1 zbiorowa bateria 75ż7śmm,

1 improwizowana bateria z O.Z.

6 p.a.c.

i jedynie ruchliwe jednostki:

3 szwadrony kaw. rtm. Murasika z plutonem ckm na taczankach.

Wracając przed świtem do brygady, skierowanej już na Żółkiew, mam już pewne zarysy planu działania, tak wzmocnionej mej jednostki.

Przed wszystkim:

uporządkować oddziały i dać im minimalny czas na odpoczynek,

ugrupować je tak, by zapewniły minimum zadania, tj. osłonę Lwowa od północy - ale:

zachować sobie możliwość do przejścia do działania zaczepnego w stosunku do 4 dyw.lek., opierając się o punkty stałe obrony oddziałów płka Iwanowskiego, w ugrupowaniu których nie wprowadzam żadnych zmian w myśl zasady, że ten, kto dłużej siedzi w terenie, jest pewnie ode mnie mądrzejszy. Wzmocnieniem działań aktywnych brygady mogą być szwadrony konne rtm. Murasika i ewentualnie część artylerii, o ile da się ją uruchomić, co do czego nie mam żadnych danych.

Od świtu 13 września wyłaniały się z lasów janowskich przemęczone moje oddziały, ludzie i maszyny i powoli niemal do wieczora tego dnia, osiągały rejon między Żółkwią a doliną Kanału Rządowego, oddzielającego nas od obrony Lwowa. Tylko w węźle leśnym Janów usadowił się dywizjon 10 strz.kon. pod dowództwem mjra Słatyńskiego i prowadził „harce” z elementami oddziałów niemieckich. A drugi harcownik mjr Rakowski z dyonem

24 p.uł. wysunięty na Rawę Ruską do m. Dobrosina, wciągał w zasadzkę luźne wozy niemieckie, to z oficerem niemieckim, to z kucharzami, to z benzyną i bardzo się zapalił do tej roboty.

Narastały meldunki z rozpoznania szwadronów rtm. Murasika i oddziałów pieszych płka dypl. Iwanowskiego.

Powoli wyjaśniał się obraz.

Jeńcy z kierunku zachodniego od majora Słatyńskiego to odpryski służb technicznych i zaopatrzenia dywizji i korpusu. Jeńcy i materiał zdobyty z kierunku północnego od mjra Rakowskiego i rtm. Murasika - to odpryski oddziałów saperskich i przeciwpancernych 4 dyw.lek., która wyraźnie kieruje się przez Rawę Ruską na Mosty Wielkie, tj. północny wschód i zasłania się przed nami barierą zapór.

Otwiera się niebywała okazja, w oparciu o stały punkt obrony Żółkwi, uderzyć na linie komunikacyjne tej dywizji i przez tę dywersję zahamować jej ruch, którego celu i kresu w tej chwili dobrze nie widziałem.

Nie ucierpi na tym osłona Lwowa od północy i uzyskam przy powodzeniu większą swobodę działania, gdy trzeba będzie zwrócić się na południowy zachód dla współdziałania z grupą przemyską. Żyję tą myślą i pokładam w niej wielkie nadzieje. Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Jest na wojnie prócz woli własnej i wola przeciwnika, która nagina albo całkiem zmienia najładniejsze nawet plany.

Zaczyna się niewinnie - już w nocy z 13 na 14 września lekkim popłochem na naszych tyłach w służbach brygadowych, na południe od Kanału Rządowego, a więc poza pasem mego działania.

Niemcy spędzili jakieś ubezpieczenia polskie na wzgórzach nad Zboiskami, zajęli nawet samą miejscowość kompanią cyklistów, prowadzeni przez oficera w mundurze polskim.

Szef sztabu mjr Skibiński, szanując mój sen, przesunął nasze tyłowe oddziały tak, że nic nam w tej chwili nie grozi. Niepokoi mnie jednak fakt, że główna szosa od nas do Lwowa przecięta, ale nawiązanie połączenia ze sztabem we Lwowie uspokaja mnie, gdyż jakieś oddziały ze Lwowa są już w kontrakcji. Rzeczywiście oddziały te odzyskują Zboiska, ale utykają na stokach dominujących wzgórz. W rejonie tym bowiem, między peryferiami miasta a wschodnim skrajem lasów brzuchowickich, góruje i panuje nad szosą z Żółkwi do Lwowa i nad całym terenem szeroko po Dublanym_Malechów i całą doliną Kanału Rządowego, kompleks wzgórz na zachód od Zboisk, z których najwyższe 324 - jest kluczem do wszelkich działań. Jest to prawdziwy bastion dla obrony miasta i idealna podstawa wyjściowa do natarcia na miasto.

Jeszcze widzę w swej pamięci omówienie wielkiego ćwiczenia w roku 1923 przez gen. Thullie i logiczne przesłanki, wypływające z charakterystyki terenu.

Jeszcze pamiętam, jak kolega major z kresów z byłej armii rosyjskiej, wezwany na początku omówienia do zorientowania nas w terenie, patrząc na sztabową mapę austriacką jeden do

100.000, gubi się w płataninie warstw i szeptem mówi do nas „ot austriacka mapa” i manipulując busolą Bezarda „ot i busola austriacka”, wreszcie z rozpaczą wodząc po ogromnym widoku wzgórz i lasków - „ot i teren austriacki”.

Ale od tego czasu upłynęło całych 16 lat!

Bardzo bym nie chciał, by ten incydent z Niemcami w Zboiskach, wpłynął na zmianę mego planu, ale gdy mimo uspokajających wciąż wiadomości ze sztabu ze Lwowa, Zboiska z powrotem w ręku niemieckim, a rozpoznanie moje utyka ze stratami na tej miejscowości, ślę okrężną drogą szefa sztabu do gen. Langnera, by uzyskać aprobatę przerwania się działaniem częściowym brygady na ten odcinek. Łączność ze Lwowem poprzez Zboiska jest w tej chwili dla mnie pierwszorzędnej wagi. Wydaję w międzyczasie wstępne rozkazy, mające na celu większe skupienie brygady, przez ściągnięcie oddziałów wydzielonych z Janowa i Dobrosina, przerzucenie całego ubezpieczenia od północy na oddziały płk Iwanowskiego i zebranie oddziału wypadowego do akcji na Zboiska. Wygląda on na razie skromnie: szwadron 24 p.uł.; szwadron przeciwpancerny zredukowany do kilku dział; kompania piechoty, która dołączyła do nas z Dublan i wsparcie organicznego dywizjonu artylerii motorowej.

Na dowódcę wyznaczam ppłk Moszczeńskiego, dowódcę dyonu ppanc., i decyduję się na akcję nocną, ze względu na wielką widoczność w podejściu tak do Zboisk jak i do wzgórza 324.

Od świtu 15 września jestem na punkcie obserwacyjnym między Grzędą a Grzybowicami z szefem sztabu, który dołącza wracając ze Lwowa ze zgodą gen. Langnera. Natarcie nocne ppłk Moszczeńskiego wyszło punktualnie o godz. #/2 w nocy, zaskoczyło Niemców i łatwo wyrzuciło ich ze Zboisk, zaległo jednak na stokach wzgórza wobec dobrze okopanej i ukrytej ciężkiej broni przeciwnika. Ściągam trzecią baterię z Żółkwi i kieruję trzy szwadrony rtm. Murasika poprzez lasy, by od zachodu wyszły na ugrupowanie niemieckie.

Akcja bardzo żywa przez cały dzień, ze zmiennym szczęściem dla obu stron, nie daje rezultatu zasadniczego, tj. opanowania wzgórza 324 nad Zboiskami. Daje jako minus poważne straty: odchodzą ranni ppłk Moszczeński i jego adiutant por. Patolski. Tracimy znowu Zboiska. Ale daje pełne rozpoznanie Niemców w tym rejonie. Otóż nie kompania cyklistów na rozpoznaniu, jak dotychczas meldunki głosiły, ale poważna część dywizji górskiej. Jeńcy, wzięci z dwu pułków tej dywizji, 98 p.p. i 99 p.p., mówią o wsparciu czterech dywizjonów artylerii, w co nie bardzo chcę wierzyć, gdyż ześrodkowania ognia artylerii niemieckiej są raczej średniego natężenia.

Później dopiero zrzucone z powietrza zasobniki z żywnością i amunicją dla dywizji górskiej, których część spadła na nasz teren, i dalsi jeńcy, rozwiązują zagadkę: niemiecka dywizja górska jest w kryzysie materiałowym, ze szczupłą ilością amunicji i bez żywności.

Czyż nie analogiczna sytuacja z roku 1920 spod Korca?

Własne ugrupowanie jeszcze bardziej niż wtedy zachęca do koncentrycznego uderzenia. Decyduję się na uderzenie całą brygadą wzmocnioną szwadronami rtm. Murasika i jedną, tym razem polską kompanią cyklistów, przy wsparciu 3 baterii artylerii.

Jeszcze w półmroku, w godzinach przedrannych 16 września, wychodzi natarcie brygady.

10 p.strz. konnych z kompanią cyklistów i szwadronem ppanc. naciera na Zboiska i w przedłużeniu na wschodnią część wzgórza 324.

24 p.uł. z szwadronem ppanc. z Grzybowic na grzbiet Michałowszczyzny i stąd na północne stoki wzgórza.

Kompania tankietek w mej dyspozycji krótkimi wypadami wzdłuż szosy

Grzybowice_Zboiska nawiązuje łączność między oboma natarciami.

Szwadrony rtm. Murasika ze wschodniego skraju lasów brzuchowickich nacierają na tyły niemieckie na zachodnich stokach góry.

Ześrodkowanie ognia 3 baterii w moim ręku.

Natarcie dość łatwo chwyta pierwsze przedmioty natarcia Zboiska i wychodzi na bezpośredni grzbiet nad szosą do Lwowa, jak też na rozciągly grzbiet Michałowszczyzny. Ale poza tym horyzontem - do wieczora może się już tylko poszczycić małymi terenowymi sukcesami. Zdobycie Zboisk kosztuje nas stratę ранego dowódcy pułku ppłk Bokszczanina, który odchodzi do szpitala do Dublan, a dowództwo pułku obejmuje mjr Słatyński. Artyleria niemiecka rozwija okresowo

dużą siłę ognia, już nie wątpię w cztery dywizjony, ale najbardziej uszczypliwe i natrętne są ciężkie karabiny maszynowe, których ognie zmuszają nawet nas na punkcie obserwacyjnym dowództwa brygady i artylerii do pełnego respektu. Wieczorem dnia 16 września, gdy zbieram sztab i oceniamy na chłodno wszystkie elementy, decyzja moja jest bardzo trudna. Wyraźnie nacieramy na dużo silniejszego przeciwnika, mówią o tym jeńcy już z batalionów wszystkich pułków dywizji górskiej, gdyż dochodzą prócz tych z 98 p.p. i 99 p.p. i nowi z 100 p.p. Podkreśla to czterokrotna przewaga ognia artylerii. Przeciwnik ten choć silniejszy broni się zblufowany może naszą natarczywością, a może z powodów zupełnie nam w tej chwili nieznanymi.

Zawodzi z niewiadomych powodów batalion czołgów No. 21, którego dowódca mjr Łucki zgłosił się dnia poprzedniego, a które tak zasadniczo mogły zmienić sytuację, gdyby przyszły. Taki pech - przecież to już drugi raz nie dochodzi do mnie batalion czołgów (pierwszy raz z mobilizacji)! Jak się później okazało, mjr Łucki dostał z góry inne rozkazy.

Nie mogę konkretnie w niczym wzmocnić siły natarcia, prócz silnej woli, że wzgórze 324 musimy zdobyć.

Dyktuje to już obecnie samo zadanie. Sukces natarcia idealnie wiązałyby dwoistość zadania: obronę Lwowa od północnego zachodu (obronę, gdyż przesunięcie się na południe od Kanału Rządowego wiązało już nas z obroną Lwowa), i podanie ręki siłom gen. Sosnkowskiego, którego bitwę nad Wereszycą chwytały nasze uszy w przerwach zgiełku i huku bitewnego na naszym odcinku - jako daleki grzmot nadciągającej burzy.

Burzy - chyba dla Niemców!

Wzgórze zdobyć musimy, więc rozkaz na dzień 17 września jest rozkazem ogólnego natarcia wszystkich sił brygady i oddziałów przydzielonych prócz płk Iwanowskiego, zostawionego w Żółkwi na straży, by od północy nas nie zagrożono. Początek natarcia #/5 rano ale, by nie dać wytchnienia Niemcom i ponieważ Niemcy tak tego bardzo nie lubią, oba pułki moje przeprowadzą w nocy wypadu szwadronami. Wypad szwadronu 10 strz. konnych ma specjalny cel ściśle terenowy - zdobycie i utrzymanie do czasu wyjścia natarcia dziennego małego poprzecznego grzbietu na swym prawym skrzydle, z którego dobrze ukryte ciężkie karabiny maszynowe, uchylające się od obserwacji naszej artylerii, poważnie hamują posuwanie się lewego skrzydła 24 p.uł. z grzbietu Michałowszczyzny. Prosi o to płk Dworak i prośba ta ma wszelkie uzasadnienie taktyczne.

Oba wypadu nocne udały się, dały kupę jeńców i zamieszanie w obronie niemieckiej.

Długo jeszcze w nocy waliła artyleria niemiecka zaporami ogniowymi w pusty teren - do wyimaginowanego generalnego natarcia polskiego.

Nie wiem, przez jakie nieporozumienie, szwadron 10 strz. konnych wrócił z nocnego wypadu, zamiast usadowić się w terenie, lub też usadowił się w niewłaściwym miejscu, mimo tego, że Słatyński meldował wykonanie rozkazu. Skutek - poważne straty lewego skrzydła 24 p.uł. w pierwszych godzinach rannych i zahamowany rozmach natarcia przy starcie.

Długo miałem z tego powodu uraz do Słatyńskiego, bardzo zresztą bojowego i energicznego oficera.

Niemniej w dniu tym wszystkie oddziały brygady współzawodniczyły, by dać wszystko ze siebie. Z uporem i twardością, już nie ułanów i strzelców konnych, a prawdziwych wiarusów elitarniej piechoty - wyłuskiwali jeden ckm po drugim, jedno źródło ognia po drugim. Wspierała ich nasza artyleria ześrodkowaniami ognia, które dowódca kpt. Pawłowski, obok mnie na punkcie obserwacyjnym, przerzucał na żądanie po mistrzowsku z punktu jednego na drugi.

Wyjście szwadronów rtm. Murasika i plutonu motocyklistów z 10 p.strz. konnych z por. Wasilewskim, na lizjerę wschodnią lasu poza wzgórzem

324, wprawiając w zamieszanie posuwanie się odwodowego baonu niemieckiego - zrobiło też swoje.

Około godz. #/16 wzgórze 324 na zachód od Zboisk zostało ostatecznie zdobyte.

Odkonano to wzrokowo i akustycznie, jak na poligonie artyleryjskim, przy natężeniu ognia z obu stron i widocznych sylwetkach żołnierzy, przeskakujących grzbiet, z dochodzącym tu i tam pomrukiem „hurra“.

Góra zdobyta.

Klucz pozycji, przez który dowódca niemiecki płk Schorner, jak się później okazało, zostawiając na peryferii zachodniej Lwowa tylko jeden batalion, reszta, tj. grupą złożoną z dwóch baonów 98 p.p. i dwóch baonów 99 p.p., przy wsparciu artylerii lekkiej i dwóch dywizjonów ciężkich, zamierzał od północy opanować Lwów już od dnia 13 września. Sądząc po jeńcach z 100 p.p. musiał dojść tu jeszcze batalion z tego pułku. Reszta dywizji górskiej była zaangażowana już na Wereszycy przeciw ruchowi sił gen. Sosnkowskiego.

W momencie opanowania góry, na punkt mój obserwacyjny zgłasza się dowódca baonu piech., przysłanego mi przez gen. Langnera na wzmocnienie. Będę miał czym w nocy zluzować zmęczone oddziały.

Coś za dobrze i za gładko się układa.

Jak nie na wojnie!

I rozkaz, który nadchodzi niedługo potem, natychmiastowego przerwania bitwy, zluzowania mych oddziałów przez piechotę, a mego osobistego meldowania się we Lwowie po dalsze rozkazy, jest już alarmujący.

Nie odrywa się dowódcy od bitwy dla byle czego i nie luzuje się oddziałów w bezpośrednim, bliskim kontakcie z przeciwnikiem - za dnia!

I to w momencie, gdy zdawało się, że już może jutro złączymy się z dywizjami gen. Sosnkowskiego, dla którego wreszcie po opanowaniu wzgórza 324, będziemy mogli coś zrobić!

Odzyskaną już najkrótszą drogą przez Zboiska, jadę do sztabu we Lwowie, biorąc ze sobą Skibińskiego i kwatermistrza.

W sztabie obrony Lwowa - w tym samym budynku na Pl. Bernardyńskim - coś się zmieniło!

Nie mury i nie szyby w oknach, wciąż całe mimo nalotów i bombardowania artyleryjskiego. I nie ludzie, wciąż ci sami.

Więc co?

W powietrzu jakieś bezmierne przygnębienie.

Nie ciekawi meldunku o bitwie trzydniowej o wzgórza nad Lwowem, zakończonej przed godziną pełnym sukcesem.

Coś się stało, co przekracza zwyczajne triumfy lub niepowodzenia codziennego życia żołnierskiego na wojnie.

Gen. Langner z pułkownikiem Rakowskim, szefem sztabu gen. Sosnkowskiego, który pozostał we Lwowie, prosi mnie do gabinetu dowódcy.

I o dziwo! Gen. Langner, znany abstynent i „pies” na oficerów nadużywających alkoholu, wyciąga sam z szafy butelkę wiśniówki, nalewa cztery głębokie kieliszki.

Choć godzina #/18 - połykam zawartość mego kieliszka niemal na czczo, zachłystując się srodze. Nie było w tym dniu czasu na posiłki.

Ale jeszcze bardziej zachłystuję się grobowymi wiadomościami.

W nocy z 16 na 17 września Sowiety przekroczyły granicę polską. Zamiar niewiadomy! Na południu na Dniestrze tworzy się przyczółek obronny i na rozkaz Naczelnego Wodza brygada ma natychmiast przejść na południe do rejonu Halicza. Są wszelkie szanse dla brygady prześlizgnięcia się między wojskami niemieckimi a sowieckimi. W razie jednak zetknięcia się z tymi drugimi, pierwszemu nie otwierać ognia, ale wprawdzie wybadać zamiary etc.

Zebrana brygada wokół Jaryczowa.

Zwołani oficerowie na odprawę we dworze mjra Krzeczunowicza, ongiś dowódcy 8 p.uł. w bitwie pod Warężem 1920 r., w tej chwili nie wiem dokąd zapędzonego przez zawieruchę wojenną. Spotkamy go dopiero w Szkocji, by podziękować za kolację i krótkie ugoszczenie przez pozostawionego plenipotentą.

Już w samochodzie, wracając ze Lwowa, „na naradzie wojennej” mojej z szefem sztabu i kwatermistrem, ustaliliśmy, że na razie ani słowa o wystąpieniu Sowieców. Straż przednią poprowadzę sam w samochodzie z szefem sztabu, tuż za trzema tankietkami szpicy, by w razie czego, zorientować się szybko co robić. Nie mogę dać przecież zaskoczyć brygady działaniem wojsk niemieckich czy

sowieckich, ale też nie mogę brać na me sumienie, że przez nierozważny akt sprowokuję wojnę polsko_sowiecką.

Tak naprawdę mało wiedzieliśmy, co się na tym polu dzieje!

Łukiem z Jaryczowa przez Kanał Rządowy na Bóbrkę_Bohorodczany - nocnym marszem posuwa się brygada. Bolesnie kołą oczy oświecone miejscowości, po raz pierwszy po 18 dniach wojny i zaciemnienia.

O ile miłszym byłby trud marszu po ciemku, nawet przy wtórze strzałów.

Szef łączności brygady mjr Grajkowski wpada na świetny pomysł najskuteczniejszego rozpoznania. Na każdej krzyżówce łączy się w kierunku granicy polsko_sowieckiej i o dziwo - łączność nie zerwana. Punkty A i B i C odzywają się głosem polskich telefonistek, że wolne lub że już wojska sowieckie wkroczyły.

Wyjaśnia się, że wojska sowieckie zatrzymały się na noc, o dzień marszu, od osi naszego posuwania się.

Dojdziemy więc niemolestowani. O Niemcach też ani śladu.

O świcie dnia 18 września przejeżdżam przez most na Dniestrze w Haliczu, gdzie wysłany oficer z Naczelnego Dowództwa oddaje mi następnny rozkaz: kontynuować marsz do Stanisławowa, gdzie dalsze rozkazy.

Funkcjonowanie przekazywania rozkazów napawa otuchą, że jest się dowodzonym, że pewnie brygada będzie odwodem ruchomym ogromnego przyczółka mostowego rz.

Dniestr - rz. Stryj, poza którym zbiorą się pokaźne siły polskie.

Całą drogę trapią mnie koszarne myśli.

Taki rozsądny wydawałem się sam sobie, kierując w przeddzień wojny mą rodzinę na wschód na Wołyń, pod opiekę mych osadników, weteranów z r.

1918_#20 i ot - zapchałem ją w paszczę sowiecką.

Co się z nimi stanie?

Stanisławów tak mi znany a taki inny, gdy w godzinach wczesnego ranka szukam Naczelnego Dowództwa.

Jacyś ludzie, nigdy nie widziani przedtem, uwijają się po ulicach, patrząc spode łba na mój samochód. Jeszcze w tym dniu będą próby zatrzymania i rozbrojenia części brygady przez entuzjastów wyzwolenia przez Sowiety. W opuszczonym budynku szkolnym zastaję już tylko płka dypl. Rudkę z pozostawionym hughesowym rozkazem gen. Stachiewicza dla brygady.

Rozkaz równie krótki jak tragiczny i mimo wszystko niespodziewany. Brygada ma przekroczyć granicę polską, pozostając w dyspozycji Naczelnego Wodza. Pozostawia się wybór drogi dowódcy brygady - przejścia do Rumunii lub na Węgry. Jak w półśnie schodzę po schodach. Trapi mnie myśl, czy wskoczyć do mieszkanka matki mej żony i co jej powiedzieć na pytanie, gdzie córka i wnuki.

W tej chwili, szybko, mimo ułomnej nogi zbiega płek dypl. Rudka z góry, wołając: „pułkownik - a wiecie że wasza żona w Stanisławowie?”.

Wsiąść do samochodu i znaleźć się w mieszkaniu matki, wyciągnąć rodzinę niemal z łóżka i dać im kilkanaście minut na zebranie się, załadowanie do samochodu, który żona miała w Stanisławowie - i polecić szoferowi, by łączył do kolumny brygady - było dziełem jednego zrywu myśli i wykonania.

Co się okazało?

Żona moja z dwojgiem małych dzieci, jadąc w drugim dniu wojny z Rzeszowa na Wołyń, jak przedtem ustaliliśmy, była bombardowana po drodze i utknęła w zatorach na dobre pod Tarnopolem. Tam, gdy warunki jazdy na północ „pod włos” były bardzo trudne, posłuchała rady mego oficera z 81 pułku, por. Kazia Chojnowskiego i skierowała się do Stanisławowa, by zobaczyć swą staruszkę matkę. I tu już utknęła, zdecydowana zostać w Stanisławowie, nie mając od 18 dni żadnych wiadomości ode mnie, prócz pogłosek, że brygada wciąż się bije. Widoczny w tym palec Boży, który kierował losami mej rodziny, gdyż żona mogła podzielić los swej siostry, rozstrzelanej potem przez oddziały ukraińskie w służbie niemieckiej.

Przenocowała brygada ostatnią noc w Polsce z 18 na 19 września w Tatarowie, miejscowości letniskowej na Podkarpaciu, dobrze mi znanej z dawnych dobrych lat.

19 września po południu, w kolumnie uporządkowanej jak do defilady, z wszystkimi działami artylerii prócz jednego opornego, które na wirażu stoczyło się do wąwozu i z działkami przeciwpancernymi, których nie rozjechały czołgi niemieckie - stopniała ze stanu ponad 3000 ludzi do stanu poniżej 1500 ludzi - przekroczyła granicę polsko_węgierską.

‘tc

Rozdział 5ã

Węgry

‘tc

W cichej zakarpackiej wiosce, już po stronie węgierskiej, zapadłem w zbawczy, dzień i noc trwający sen. Nie budził mnie warkot silników, ani huk bomb lotniczych i odgłosy ognia artylerii, nie budziły telefony i monotony głos telefonisty, tupot nóg gońców, ani szemrane rozkazy, przerywane głośnymi okrzykami. Nie budziła troska o rodzinę, bo ta była cała i zdrowa w zasięgu kilku kroków.

Tych 18 dni i nocy nieprzespanych lub niedospanych, w ciągłym napięciu nerwów, wyczerpywały mnie do ostatka i stępiły wrażliwość i moc objęcia myślą rozmiarów naszej polskiej klęski.

Spać - spać - i nie myśleć o niczym, to jedno wiedziałem.

Dopiero po kilku dniach wróciły te „kochane” troski i obsiadły jak muchy w wiejskiej chacie, porzucone po jadle naczynia.

Co dalej?

Jak dalej?

Gdzie ta armia polska, przegrupowująca się na związanej aliansem ziemi, braterskiej ziemi węgierskiej? „Polak_Węgier - dwa bratanki”.

Ale już odebrane mi były nawet pozory decyzji. Już na pewien czas nie będę mógł się kłopotać, czy lewym skrzydłem, czy prawym, czy nacierać, czy się bronić! Oto brygadier sztabu generalnego przysłany z Budapesztu, najpierw delikatnie, jak z dziećmi postępując, odebrał brygadzie działa przeciwpancerne. Ponoć jest obawa, że przez wąwozy górskie przesaczą się za nami czołgi przeciwnika. Czyje? A armia węgierska nie ma dział ppanc. Chcecie nam chyba pomóc? Za to objął brygadier brygadę w stan zaprowiantowania i to dobrego. Ale już po dwóch dniach przyjechał z rozkazem, że brygada ma oddać całą broń małokalibrową, żeby uniknąć wypadków przelania krwi polskiej i węgierskiej, gdy żołnierze zaczną rozłazić się po okolicy. Jedyne oficerom pozostawia się broń boczną.

Ta forma troski o nas, o wspólną naszą krew, już mi się całkiem nie podoba. Odmawiam wykonania rozkazu, chyba gdy dostanę go z mego dowództwa lub polskich władz.

Długo trwała konferencja, odroczone do następnego dnia, jeszcze z jednym brygadierem, który nosił inicjały I. B. (Istvan Batory) tak, jak niegdyś pułk piechoty, dowodzony przeze mnie w Grodnie. Odbyła się ona w obecności delegata Poselstwa Polskiego. Ostatecznie Węgry nie miały innego wyjścia jak internować nas, gdyż naciski Hitlera znacznie więcej wkrótce na nich wymoga.

Ale wtedy podzielaliśmy pewne złudzenia.

Za to delegat sztabu węgierskiego, w poufnej rozmowie ze mną w cztery oczy obiecał, że władze węgierskie przymkną oczy i nie będą przeszkadzały w ewakuacji brygady do Francji, byle tylko była ona ostrożna, cicha i przeprowadzana częściami.

Nie było więcej do utargowania!

Ani do dowodzenia.

Po uwzględnieniu mego żądania, by brygada była internowana organicznymi oddziałami wraz ze swymi oficerami, zaczęli nami „dowodzić” przysłani oficerowie węgierscy, kierując do rozmaitych koszar i obozów. Jeśli zapewnienie brygadiera węgierskiego uspokoiło nieco me obawy co do przyszłych losów żołnierzy brygady, to wielka ilość oficerów węgierskich wyraźnie pro_hitlerowskich, nasuwała pewne wątpliwości. Przypominam sobie

takiego pułkownika, który starał się wytłumaczyć mi „absurd” dążenia do Francji na niepotrzebną tułaczkę, gdy cała moja brygada może jak u Pana Boga za piecem przetrwać wojnę w warunkach całkiem znośnych. Argumentował, że szczególnie dziwi się oficerom aktywnym, bo przecież stan oficerski żyje i pada z rządem i państwem, najlepszy dowód, że przestaje otrzymywać gażę. Nie chciał zrozumieć, gdy wprowadzałem poprawkę w jego rozumowanie, że stan oficerski żyje i pada z narodem, a naród polski, choć w takim ciężkim położeniu, nie upadł, czego dowodem, że najmizerniejszy ciura w mej brygadzie chce się dalej bić o Polskę, obojętnie na jakiej ziemi.

Ale równoległe do tego, przyjmowała nas, 10 brygadę kawalerii, przyjmowała i fetowała, poila i żywiła na każdym kroku cudowna ludność węgierska, a radował oczy słońcem oblany krajobraz węgierski. Trudno zapomnieć tyle gościnności i tyle serca.

Gdy w pewnym dniu przesunięto sztab brygady do małego miasteczka, które osiągnęliśmy późnym wieczorem jeszcze naszymi wozami - cała ludność miasteczka wyległa na rynek i w mig

„rozdrapali” nas między siebie. Mnie i mej rodzinie dostał się zasobny i duży dom właściciela poczty. Gospodarze usunęli się do jakiejś komórki, by nam dać najlepsze pokoje. Od stołu stale zastawionego wyborowymi potrawami i winem, prawie się nie wstawalo, bo całe falangi ludzi schodziły się, by nas zobaczyć i powitać.

Gdy po kilku dniach nadeszła chwila rozstania, gdyż postanowiłem się wyrwać spod opieki „aniołów stróży”, przydzielonych oficerów węgierskich i pojechać do Budapesztu, to przemiła para małżeńska, zanosząc się od płaczu, oprowadzała nas po zasobnych spiżarniach i schówkach, pokazując bogactwo zaprowiantowania i błagała byśmy zostali u nich przez całą wojnę, już choćby ze względu na małe dzieci. Serdeczność ich i gościnność nie urwały się i wtedy, gdy eskapada do Budapesztu skończyła się skierowaniem do domu oficerskiego na granicy austriackiej, gdyż na list nasz z podziękowaniem za pobyt u nich, dostaliśmy pocztą całą pakę owoców, wiktuałów i słodczy dla dzieci.

Gdy z obozu mego łapałem nici łączności z obozami, w których umieszczono oddziały brygady, najłatwiej nawiązał ze mną łączność mjr Słatyński. Szef sztabu mjr Skibiński i kwatermistrz Maleszewski wydostali się dość łatwo z Węgier i byli już w drodze do Francji.

Nasz komendant obozu, w randze pułkownika, był wybitnie oczarowany Hitlerem i trzeba było całego tricku, by po kilku tygodniach uciec spod jego opieki.

A stało się to tak.

Żona moja, na którą uprzejmy zresztą komendant rozciągnął też pojęcie internowania, dostała przepustkę do Budapesztu, pod pozorem porady u sławnego lekarza. W Poselstwie Polskim wyrobiła dla nas i kilku oficerów i szofera mego, plutonowego Kochańskiego, fałszywe paszporty z wizami, a co najważniejsze cywilne ubrania. Pakę całą przywiozła ze sobą jako dar jakiejś arystokratki węgierskiej dla biednych internowanych. Uzbrojona w zaświadczenie przyjęcia do szpitala w Budapeszcie i w list tejże pani, że na czas leczenia żony weźmie dzieci do siebie, wyjechała następnego dnia oficjalnie z obozu, odprowadzana z honorami przez wciąż jeszcze bardzo uprzejmego pułkownika.

A wieczorem, przebrani w cywilne ubrania, z mjrem dypl. Bittnerem, rtm.

Pruszyńskim i innymi, przeleźliśmy dziurę w słabo odrutowanym parku, nałożyliśmy nieco drogi pieszo do następnej stacji kolejowej, wobec kontroli przez żandarmów na stacji miejscowej i po prostu wykupując bilety, przez nikogo nie zaczepiani, dojechaliśmy do Budapesztu.

Potem już zręcznie kierowali nami funkcjonariusze naszego Poselstwa, aż do zajęcia miejsca w pulmanie, udającym się do Włoch.

Każda partia żołnierzy 10 bryg.kaw. przechodziła podobne historie, łatwiejsze lub trudniejsze, zależnie od nastawienia oficerów węgierskich, przydzielonych do nas.

I tak:

płk dypl. Dworak zjednał sobie całkowicie pułkownika węgierskiego „też z austriackiej kiedyś armii” i z akademii wojennej „Teresianum” - wspomnieniami światła i cieni c.k. armii austriackiej - i pierwszej wojny światowej.

A mjr Słatyński, choć nie bardzo władał językiem niemieckim, nie mówiąc już o węgierskim, co noc pił na umór z pułkownikiem węgierskim, komendantem swego obozu, utwierdzając przyjaźń polsko_węgierską. I co noc przed godz. #/12 do stołu ich w kasynie oficerskim podchodził wachmistrz żandarmerii z meldunkiem, o której godzinie i na jakim kierunku będą jego patrole; a raczej podkreślając, o której i gdzie ich nie będzie. Na co pułkownik węgierski, nachylając się do Słatyńskiego dorzucał „tylko nie więcej jak trzydziestu”. Tak więc po kilku tygodniach 10 bryg.kaw. motorowej, po kampanii wrześniowej w Polsce i internowaniu na Węgrzech, znalazła się w powolnym i oryginalnym ruchu na „raty” do miejsca nowej zbiórki - we Francji.

‘tb

** ** **

‘tp

Zdaje mi się, że 21 października wieczorem znalazłem się z rodziną na granicznej stacji włosko_francuskiej, już po stronie francuskiej.

Francja!

‘ty

Rozdział 6

**Kampania francuska -
okres organizacji**

‘ty

‘tt

Rozdział 6ã

Kampania francuskaã

1940 r. -ã

okres organizacji

‘tt

W nocy z 21 na 22 października

1939 r. przyjechałem z rodziną do Paryża. O godz. #/10 dnia następnego meldowałem się w sztabie Naczelnego Wodza w hotelu „Regina”.

POd rozkazami gen. Sikorskiego ani w wojnie 1918_#20 r., ani w czasie pokojowym, nie służyłem. Zaczynałem swe studia uniwersyteckie we Lwowie, gdy generał je kończył i byłem małym pionkiem w życiu politycznym młodzieży, gdy gen. Sikorski był już znanym działaczem.

W latach 1925_#26 - generał był dowódcą Okręgu Korpusu Nr 6 we Lwowie, gdy ja po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej, otrzymałem przydział służbowy szefa Ekspozytury Oddziału II we Lwowie. Podlegając w sprawach wywiadu wprost szefowi O.II w Warszawie, byłem zobowiązany do sporadycznych referatów o sytuacji na przedpolu wschodnim

- dowódcy korpusu.

W okresie tym dopiero poznałem generała osobiście, tak podczas mych referatów służbowych, jak i poza służbą.

Gen. Sikorski przyjął mnie bardzo serdecznie. Znał już przebieg kampanii wrześniowej 10 bryg.kaw. i był pełen uznania dla bitności jej żołnierza.

Zaproponował mi objęcie dowództwa 1 polskiej dywizji piechoty, która zaczyna się formować, podkreślając zaszczyt dowodzenia pierwszą jednostką polską na ziemi francuskiej.

Na razie wyznaczył mnie na dowódcę wojsk polskich w obozie Co~etquidam w Bretanii - po gen. F. Bleszyńskim.

Mianowany generałem brygady, objąłem dowództwo obozu, ośrodka głównego formowania oddziałów polskich.

Jak na początek wszystkiego było brak w tym obozie: i kwater i mundurów i uzbrojenia, prócz dwóch rzeczy: walącego ze wszystkich stron elementu ludzkiego,

z którego miały być formowane jednostki piechoty i dobrych rad francuskich, jak z tego zrobić wojsko.

Napływ zaczął się od ochotników, wielce patriotycznych synów emigracji naszej we Francji, a potem i całego świata, od oficerów i podoficerów, ewakuowanych z Węgier i Rumunii, a wreszcie z Polaków z emigracji francuskiej, na którą, za zgodą rządu francuskiego, generał Sikorski rozciągnął prawo poboru wojskowego. Wkrótce zaczęło być bardzo ciasno w obozie, reprezentowanym przez kilkadziesiąt baraków i pojęcie obozu Coëtquidan objęło w dużym promieniu okoliczne biedne wioski bretońskie, dające, jak na okres zimy, bardzo prymitywne i biedne zakwaterowanie w spichrzach i na strychach.

Ale „ochota” była, więc z podziwu godną cierpliwością znosił żołnierz polski te biedne warunki egzystencji, marząc o froncie - jako o szczycie wygod i komfortu. Na warsztacie pracy była piechota i tylko na jej formowanie zgadzały się czynniki francuskie. Była koncepcja tworzenia pułków piechoty polskiej, z których, przez dodanie francuskich pułków artylerii i wojsk technicznych, miały powstać dywizje piechoty. Powodowane to było różnymi względami, słusznymi może częściowo z punktu widzenia francuskiego: jak względy czasu potrzebnego na wyszkolenie, jak wielka ilość dyspozycyjnych oddziałów artylerii francuskiej już gotowej itd. Ale względami nie do przyjęcia przez stronę polską. Wkrótce więc gen. Sikorski wywalczył artylerię i wszystkie oddziały, wchodzące w skład organiczny dywizji piechoty.

Obóz, prócz przerostu administracji francuskiej, naszpikowany był instruktorami francuskimi, o dobrym poziomie instruktorów czasu pokojowego. Konieczne chciano nas nauczyć wojować - nas, z których część była już weteranami pierwszego starcia z Niemcami, ze świeżymi doświadczeniami wojennymi, którymi łaknęliśmy podzielić się z sojusznikami. Dopatrując się niesłusznie powodów klęski polskiej w niedoszonym elementarnym żołnierza - do wyżyn filozofii wojskowej podnoszono manewr sekcji fizylierskiej i grenadierskiej w ramach drużyny piechoty. Wyglądało zupełnie beznadziejnie! Dużo by zrobili takim manewrem w rzeczywistym natarciu na czołgi pod Wysoką lub Kasiną Wielką - lub nawet w natarciu na wzgórze 324 pod Lwowem!

Ale wkrótce umysły bardziej otwarte, jak np. gen. Faury, byłego dyrektora nauk w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, i mego profesora z lat 1923-24, zrozumiały paradoks położenia. I w ramach swych możliwości starali się pomóc, jak się później okaże.

Kiedy narodziła się idea polskiej dywizji pancernej?

Czy już 1 września 1939 r. w bitwie z niemiecką 2 dywizją pancerną pod Wysoką?

Czy też narastała powoli w ciągu zmagania wrześniowych z przygniatającą przewagą pancerną niemiecką?

Czy też na Węgrzech, gdy wolny umysł rejestrował przebieg kampanii wrześniowej i zabłysła nadzieja, że oto gen. Sikorski tworzy wojsko polskie we Francji?

Trudno jest bardzo przypieczętować to jedną datą kalendarzową!

Na pewno poruszyłem to zagadnienie już w pierwszej mojej rozmowie z gen. Sikorskim w Paryżu i, może na podstawie tego, uzyskałem pierwszeństwo dla ewakuacji 10 bryg.kaw. z Węgier - bez jeszcze wyraźnego zaangażowania się Naczelnego Wodza w stosunku do dywizji polskiej pancernej.

I na pewno o niczym innym nie chciałem rozmawiać z gen. Faury, jak o naszych doświadczeniach wrześniowych i o przyszłej polskiej „division legere mecanique”, zarażając go z wolna swoim entuzjazmem.

A równolegle oficerowie sztabu i oddziałów 10 bryg.kaw. ideę przyszłej „pancernej” na każdym kroku propagowali i w sztabie Naczelnego Wodza w Paryżu i na terenie Coëtquidan.

W miarę postępów ewakuacji 10 bryg.kaw. z Węgier, uzyskałem zgodę gen. Sikorskiego na zbieranie jej w całości, chroniąc od zakusów rozdrapania tego wartościowego żołnierskiego elementu i zgranej jednostki - na zręby tworzącej się dywizji piechoty.

Tak to powstał w Painpont i Campeneac, niedaleko obozu, ośrodek kawalerii i broni pancernej, do którego pod płaszczykiem 10 bryg.kaw. pakowałem nie tylko

każdego kawalerzystę i pancerniaka, ale każdego mechanika i specjalistę technicznego, a nawet co lepszych kierowców samochodowych. Tymczasem rozmowy nasze z Francuzami powoli zaczęły dawać rezultaty. Powoli, gdyż gen. Faury sam był wyciągnięty z emerytury, a przyjaciel jego gen. Boucherie, teoretyk broni pancernej dawno już w stanie spoczynku. Długo trwało, zanim memoriał, ułożony przez nas na podstawie przebiegu kampanii wrześniowej, doszedł do rąk decydujących czynników wojskowych francuskich. Nad tym memoriałem uczciwie się nagłowiliśmy, głównie Skibiński i zdaje się Stankiewicz, ale skutek był, gdyż wezwany do sztabu wraz z gen. Faury, otrzymałem nareszcie odpowiedź: „będziecie mieli swą division leg~ere m~ecanique, ale na powrót do Polski, do warunków wojny ruchomej; my Francuzi mamy linię Maginota - i w tej chwili polskiej dywizji pancernej nie potrzebujemy”. Choć odpowiedź była negatywna, zostawiała furtkę na przyszłość i z pewnością jest to zasługą w wielkiej mierze równocześnie prowadzonych rozmów sztabu Naczelnego Wodza ze sztabami francuskimi. Jedna pozycja została jak na razie mocno osłabiona. Coraz trudniej było chować specjalistów, a nawet trzeba było oddać pewną ilość, szczególnie kierowców samochodowych dywizjom, które uzyskały pierwszeństwo w formowaniu.

Czas upływał.

Organizacja polskiej dywizji piechoty postępowała metodycznie naprzód. Przeżyliśmy nerwowy okres formowania „ekspedycji” fińskiej, dla której ośrodek Campeneac musiał sformować jedną kompanię czołgów. Zaczęto formować brygadę podhalańską, gdy w lutym 1940 r. doczekaliśmy się pierwszego skromnego rezultatu w odniesieniu do naszej pancernej przyszłości. Przeniesiono ośrodek kawalerii i broni pancernej na południe do rejonu Avignonu - miejscowości Orange_Boll~ene. Miały to być zawiązki brygady pancerno_motorowej, wkrótce jednak zapadła decyzja tworzenia „division leg~ere m~ecanique”, choć z terminem sformowania bardzo odległym, bo wiosny 1941 r. Zdając obóz w Co~etquidan i obejmując dowództwo nowo stworzonego ośrodka, odmeldowałem się u Naczelnego Wodza w Paryżu. Gen. Sikorski miał wyraźny żal do mnie, że, jak mówił, „dla swej ukochanej 10 brygady rezygnuję z dowództwa 1 dywizji piechoty, która prędzej się będzie biła z Niemcami”. Ale w istocie rzeczy rozumiał dobrze potrzebę tworzenia tej pancernej dywizji, jak i to, że byłem już niejako personalnie z tym związany.

Otrzymaliśmy kilkanaście starych czołgów - ale na chodzie

- i strzelnicę czołgową, kilkanaście samochodów i motocykli, więcej dla potrzeb administracyjnych niż dla szkolenia motorowego.

Od marca 1940 r. zaczęły przeskalać się na tych czołgach załogi czołgowe zawiązków czterech batalionów czołgów. A na kursach motorowych kierowców przeskalały się kolejno nowe uzupełnienia starych pułków kawalerii, jak też dywizjonów rozpoznawczego i przeciwpancernego.

Dużo gorzej było z wyszkoleniem bojowym poza czołgami. Ani oddziały zmotoryzowanej kawalerii, ani artylerii motorowej czy przeciwpancernej nie mogły doprosić się kilkunastu ckm i rkm i dział polowych czy przeciwpancernych i w kwietniu jeszcze na ćwiczeniach bojowych wśród zieleniejących już winnic Avignonu czy Ch~ateauneof_du_Pape - gruby kij reprezentował karabin maszynowy ciężki, a cieńszy kij lekki karabin.

Czy straciliśmy przez to dużo czasu? Dla oddziałów zmotoryzowanych bezsprzecznie jakieś 2_#3 miesiące szkolenia, które bez broni były iluzoryczne, a te 2_#3 miesiące okazały się wkrótce nie do odrobienia.

Niemiecka ofensywa majowa 1940 r. rozbiła równocześnie front francuski na północy, wyprowadzając niemieckie dywizje pancerne nad Sommę i rozbiła na południu pod Avignonem front francuskiej ignorancji i niechęci w stosunku do polskiej dyw. pancernej. Z dnia na dzień stworzenie tej dywizji stało się problemem niemal ratowania Francji, a wysłanie choćby części nie gotowej zupełnie brygady pancerno_motorowej do walk nad Marną - kwestią „być albo nie być” frontu północnego we Francji. Tak przynajmniej stawiali kwestię Francuzi, a

co najmniej gen. Denain, szef Misji Wojskowej przy sztabie Naczelnego Wodza, a potem w rozmowach z gen. Sikorskim i gen. Weygand i marszałek Petain. Chciano teraz dywizji polskiej pancерnej - już - natychmiast - na gwałt. Już w drugiej połowie maja dostaliśmy rozkaz przyspieszonego jej formowania. Z trudem zwalczyliśmy inną groźną koncepcję sztabu francuskiego - stworzenia z całego ośrodka pod Avignon - kilkunastu kompanii przeciwpancernych i obdzielenia nimi całego niemal frontu francuskiego. Ostatecznie skończyło się na poprzedniej myśli alarmowego sformowania dywizji pancерnej.

Dla przyspieszenia organizacji przesunięto całą naszą zbieraninę pod koniec maja na północ w rejon Paryża, Versailles i Arpagon, zbliżając nas w ten sposób do głównych składów broni pancерnej i motorowych pojazdów.

I jak dotychczas problemem było, jak wydestać jeden ckm dla szkolenia, czy stary samochód lub motocykl, tak teraz od świtu do nocy, a nawet w ciągu nocy - zaczął płynąć do nas sprzęt: czołgi, działa ppanc., ckm, samochody, motocykle, a z różnych ośrodków polskich nadwyżki ludzkie z piechoty, artylerii, lotnictwa etc.

Zawrzała ogromna praca.

Ale jednostki pancерnej - jednostki technicznej - na kolanie się nie robi i nie improwizuje.

**Opanować nieprzerwany strumień nadwyżek,
przydzielić z jakimś sensem przydatności do odpowiednich oddziałów,
zorganizować nowe oddziały,
pobrać sprzęt i broń,
zaznajomić w obsłudze nowego nieznanego sprzętu i broni**

- wszystko to przetrastało możliwości 24 godzin na dobę w tak krótkim czasie.

Toteż, gdy po 2 tygodniach zmagania się z tym chaosem organizacyjno-szkoleniowym dostałem rozkaz, by wydzielić natychmiast część „division leg-ere m-ecanique”, jako brygadę pancerno_motorową do dyspozycji dowódcy frontu, po prostu wierzyć nie chciałem, że to poważny rozkaz.

A rozkaz stawiany był przez szefa misji gen. Denaina w formie niemal szantażu.

Albo wykonanie rozkazu, albo oddanie już pobranej broni, na którą podobno czekają nieuzbrojone jednostki francuskie. Ta druga alternatywa

- ze względu na morale żołnierza, czekającego od pół roku na broń - i teraz prawie natychmiast po jej otrzymaniu, oddającego ją z powrotem, była absolutnie dla nas nie do przyjęcia.

Szukałem w tej opresji pomocy wyżej.

Posłałem mego szefa sztabu do gen. Sikorskiego z prośbą o interwencję.

Nie możemy ani oddać broni, ani wysłać na front czegoś śmiesznie niegotowego.

Trzeba nam choćby kilku tygodni czasu na jakie takie zlepienie brygady pancerno_motorowej. Rozumiemy tragizm sytuacji, który zmusza Francuzów do zbierania wszystkiego, czym się można przeciwstawić naporowi Niemców.

Ale gdy interwencja gen. Sikorskiego, proszącego o te kilka tygodni zwłoki, skończyła się odwróceniem sytuacji, gdy w odpowiedzi marszałek Petain usilnie prosił o oddanie brygady pancerno_motorowej do dyspozycji armii francuskiej, nie było innego wyjścia, jak zgodzić się.

Gotowym do ruszenia był właściwie jedynie jeden batalion czołgów, kończący właśnie pobieranie sprzętu i dowództwo pułku pancernego z dowódcą płkiem dypl.

T. Majewskim. Drugi batalion czołgów czekał na czołgi i oceniono, że do tygodnia je dostanie. Gotowość tych baonów umożliwiła jedynie dostateczna ilość przeszkolonych załóg, jako zawiązków 4 batalionów.

Reszta, tj. część motorowa, przedstawiała widok zupełnego chaosu, wobec gwałtownego uzupełniania stanów przez tak różny element nadwyżek z różnych gatunków broni, dopiero teraz do nas dosyłanego. Po bardzo skrupulatnym rozważeniu możliwości, by nie przekreślać na zawsze możliwości na przyszłość powstania pełnych pułków kawalerii zmotoryzowanej, oddziałów artylerii motorowej i przeciwpancernej, mogliśmy wystawić, z dużym zresztą uszczerbkiem dla formujących się oddziałów:

jeden szwadron 24 p.uł. z plutonem motocyklowym,

jeden szwadron 10 p.strz. konnych z motocyklistami,
1 baterię przeciwpancerną,
1 baterię przeciwlotniczą,
pluton łączności,
pluton regulacji ruchu.

Od 24 maja, gdy zawitała pierwsza jaskółka, zwiastująca formowanie pierwszego rzutu „division leg~ere m~ecanique” do 6 czerwca, tj. dnia gotowości tej improwizacji, upłynęło zaledwie 14 dni.

Kto ma pójść z tą awangardą - z tą improwizacją?

Nie było dla mnie żadnej wątpliwości, że muszę osobiście to poprowadzić, pozostawiając memu zastępcy płkowi Dworakowi organizację reszty oddziałów i dosyłanie mi częściami tak, jak będą powstawały i osiągały gotowość marszową. Pierwszym, który miał dołączyć do mnie, miał być 2 baon czołgów. Jako zawiązek sztabu wziąłem ze sobą najlepiej ze mną zgranych oficerów mjra dypl. Skibińskiego i kpt. dypl. Stankiewicza oraz rtm. Pieregorodzkiego i rtm. dypl. Mincera.

Byłem raczej niepoprawnym wciąż optymistą wierząc, że zbiorę w ten sposób w kierunku do frontu całość brygady pancerno_motorowej, na którą sprzęt i materiał wreszcie się znalazły. Ale nawet najbardziej czarno patrzący z mego otoczenia nie przewidział kompletnego załamania się i frontu i całej Francji, zanim zaistniały szanse wykonania tego planu.

Na odjeździe, w długiej rozmowie z płkiem Dworakiem uzgodniłem wszystko, co w tym chaosie dało się uzgodnić i wyprzedzając transport kolejowy brygady, udałem się z szefem sztabu do dowódcy grupy armii gen. Huntzigera.

Godziny pasywnego siedzenia w samochodzie sprzyjają zawsze refleksji, spokojnemu przeżuciu sytuacji. Nasuwało się porównanie z wymarszem 10 bryg.kaw.mot. 1 września 1939 r. do bitwy na Podhalu. 9 miesięcy wstecz brakował nam właśnie jeden baon czołgów, który miał dojść z mobilizacji i do końca działań nie doszedł. W tej chwili mam baon czołgów i to na dobrym choć wolnym sprzęcie, ale ubogo zbalansowany zaledwie dwoma szwadronami kawalerii zmotoryzowanej i bronią przeciwpancerną. Zupełny brak poza tym artylerii i służb. Jesteśmy typową efemerydą jednorazowego użytku taktycznego, po którym musimy się skończyć, o ile prędko nie dojdzie reszta. A nawet, zakładając prędkie złączenie się z resztą, ile czasu upłynie, zanim, zgrywając się i scalając, powstanie brygada tak choćby zdolna do samodzielnych zadań, jak była nią 10 b.k. w Polsce.

W rzeczywistości przedwcześnie załamanie się Francji przekreśliło wszelkie kalkulacje. Nic już nie dojdzie z oddziałów formowanych pod Paryżem - nawet ten jeden jedynie wysłany do nas 2 baon czołgów - do nas już nie dotrze!

Pomoc nasza dla ratowania krytycznej sytuacji frontu francuskiego stanie się jedynie gentelmańskim gestem ze strony polskiej, że do końca Polacy dają ze siebie wszystko dla ratowania Francji.

‘tb

** ** **

‘tp

„Improwizacja” ta nazywała się jednak: 10 brygada kawalerii pancernej i nazwa ta, a nie rzeczywista nasza słabość jakościowa i ilościowa, rozstrzygnęła o naszym użyciu, o zadaniach na wzrost normalnej brygady pancerno_motorowej, a nawet o zadaniach, przerastających możliwości takiej jednostki. Przecież i my sami, aktorzy tego zdarzenia, mówiąc o przeszłości, operujemy też tą nazwą i chcemy przymierzyć zadania do treści, wpływającej jedynie z nazwy tak mile brzmiącej dla naszego ucha.

10 brygada kawalerii pancernej, akcentując wyraźnie tę różnicę: pancerna, a nie motorowa, jak we wrześniu w Polsce. Przecież to ten duży krok ku stworzeniu dywizji pancernej!

Jadąc w kierunku frontu nad Marną, z którego z dala dochodził już nas głuchy ale ciągły huk dział i bombardowań lotniczych, pozostawiałem poza sobą w rejonie Paryża płka Dworaka z nieokreśloną ilością ludzi i sprzętu dla formowania reszty brygady i w rejonie Avignonu już poprzednio pozostawionego gen. Regulskiego z

zawiązkami ośrodków i oddziałów, nadziei naszej na rozwinięcie pełne „division leg~ere m~ecanique”.

No i ze wszystkimi naszymi rodzinami, które pozostały pod opieką generała i miały być przesunięte do rejonu Mendes.

‘tc

Rozdział 7ã

Kampania francuska - Front

‘tc

Po zameldowaniu się u gen. Huntzigera, dowódcy grupy armii i gen. Requin, dowódcy 4 armii francuskiej, bijącej się o Reims, dostałem pierwsze zadanie bojowe. Zadanie „rasowe” i typowe dla wielkiej jednostki pancerno_motorowej: osłony skrzydła armii wobec wielkiej luki między tą armią, a armią broniącą kierunku na Paryż. Znaleźliśmy się między lewoskrzydłową dywizją armii gen. Requin - 20 dywizją piechoty - a gdzieś zagubioną w terenie od nas na wschód 59 dywizją piechoty, prawoskrzydłową jednostką sąsiedniej armii. Dwukrotnie nawiązywaliśmy kontakt ze sztabem 59 dyw., ale oddziały jej istniały już tylko na oleacie w sztabie. Gdziekolwiek szukaliśmy styczności z nimi w podanym nam kierunku - narywaliśmy się na Niemców. Nie można więc było wykonać zadania przez powiązanie rozchodzących się skrzydeł dwóch armii i wypełnienia sobą luki. Zadanie operacyjne osłony skrzydła armii rozciągało się już na osłonę i jej tyłów i linii komunikacyjnych, gdyż nikt nie stał na drodze Niemcom do głębokiego manewru okrążającego od zachodu. A na to nie mieliśmy zupełnie sił. Wykonać mogliśmy jedynie taktyczną osłonę skrzydła i tyłów prawoskrzydłowej 20 dyw.piech. I tę wykonaliśmy. W krytycznym momencie cofania się tej dywizji przez bagna St. Gond - uratowaliśmy ją od odcięcia przez zagon niemiecki - uderzeniem na Champaubert_Montgivroux. Bitwa sama była krótkim ścięciem się naszego baonu czołgów z niemieckimi czołgami i walk osłaniających manewr ten od północy przez ppłka Zgorzelskiego z dwoma szwadronami kaw. zmotoryzowanej. Najbardziej dał się nam we znaki niemiecki nalot „Stuckasów”, które dwukrotnie nawracały i nurkując długo obkładały bombami zgrupowanie baonu czołgów z baterią plot. i to co nazywało się sztabem, a mieściło się wygodnie w 2 samochodach. Bateria nasza plot. straciła jeden aparat niemiecki i nie przerwała ani na chwilę ognia, atakowana zawzięcie przez Stuckasy.

Pierwszy nalot Stuckasów zaskoczył mnie, gdyśmy samochodem dotarli do baonu czołgów i 2 baterii przeciwpancernej i przeciwlotniczej, zbierających się w rzadko podszytym lesie.

Cofała się na nas jakaś linia piechoty francuskiej, która zagęściła jeszcze bardziej nasze skupisko w lesie i zamurowała sprzętem jedyną, jaką taką dla pojazdów mechanicznych drogę leśną.

Czołgi zatrzasnęły klapy i załogi były dostatecznie bezpieczne przed obficie rozpryskującymi się odłamkami.

Ale my musieliśmy szukać jakiegoś schronienia w terenie, tym bardziej, że trafiony bezpośrednio wóz amunicyjny z oddziału przeciwpancernego, płonął jak żagiew i siał wokół eksplodującymi pociskami.

Jakieś wgłębienie w ziemi dzieliłem z piechurami francuskimi, który potem nie mógł wyjść z podziwu, że miał tak wysokiej rangi towarzysza broni i doli.

A nurkowce niemieckie nawracały i nawracały i przez godzinę pastwiły się nad biednym laskiem z nami.

Do efektu bomb lotniczych, stosunkowo trafnie umieszczanych w celu, dołączają się efekty akustyczne charakterystycznego świstu „pikowania” samolotów i wyrzuconego pocisku, jak też wycie niemal tuż nad głowami naszymi podnoszonego wwyż samolotu. Każdy, kto przechodzi taki nalot, ma wrażenie, że on osobiście jest celem takiego nurkowania, że w niego bezpośrednio chce ugodzić lotnik niemiecki. Nieprzyjemne uczucie podwyższa pasywność czekania, kiedy to się wreszcie skończy.

Ale mimo tego incydentu, czołgi nasze, mniej wrażliwe na takie naloty, wyszły w porę do uderzenia, by zrobić swoje.

Bitwa ta choć epizodyczna i krótkotrwała, osadziła jednak impet czołgów niemieckich, zapewne jakiegoś oddziału rozpoznawczego, na 24 godziny, tak że 20

dyw.piech. nienagabywana wydostała się z zagrożonego obszaru i przeszła na południe od mokradeł St. Gond. Specjalnie za to dziękować nam będzie w przyszłości w strefie nieokupowanej przez Niemców i gen. Weygand i dowódca VIII korpusu gen. de la Porte du Theil, któremu 20 dywizja piech. podlegała. W stosunku jednak do operacyjnego zadania osłony tyłów 4 armii zdawałem sobie sprawę od początku, że przekraczało to jakiegokolwiek nasze możliwości - wobec zagonu panc. motorowego niemieckiego, o którego ogromie zresztą nie mieliśmy jeszcze wtedy obrazu.

Spływając równoległe do 20 dywizji w ogólnym kierunku na południe, w lekkiej styczności od czasu do czasu z rozpoznaniem niemieckim, drogami zapchanymi ewakuacją sprzętu wojsk i ludności cywilnej, pokawałkowani w tej lawinie ludzi i maszyn, starałem się robić co się da w tej sytuacji, by nie stać się taką samą bezwolną masą uciekinierów. Przede wszystkim sami i ja i sztab mój, przez łącznikowych oficerów francuskich z płkiem Duchon na czele - szukaliśmy kontaktu z dowództwami jednostek francuskich, dopraszając się zadania i współpracy. Przez płka Duchon otrzymaliśmy rozkaz do koncentracji brygady nad Sekwaną. Przez dobę mieliśmy łączność z dowództwem XXIII korpusu. Potem ustaliliśmy z 2 dywizją piechoty równoległe przejście przez Sekwanę na zachód. Nietkniętym mostem pod Bar sur Seine, mimo nękania przez lotnictwo niemieckie, przeszliśmy dnia 15 czerwca do rejonu więcej zadrzewionego. I tam wreszcie natknęliśmy się na dowódcę francuskiej 42 dyw.piech., tak samo zatraconej w tej masie sunącej na południe, ale generała pełnego inicjatywy i woli wyjścia z tego impasu. Idea jego było przebić się na zachód, do bitwy nad Loarą, którą widział w swej wyobraźni. Nie wiem czy miał ku temu jakieś podstawy, ale iluzję jego przyjęliśmy z 100% wiarą, szukając gdzieś wreszcie skrzepnięcia oporu francuskiego i przeciwdziałania w wielkim stylu. Przecież strata Paryża, o czym dowiedzieliśmy się dopiero w tym dniu, nie będzie decydowała o przegraniu wojny. Jest jeszcze olbrzymi szmat kraju aż po Pireneje, są jeszcze kolonie zamorskie. Generał, dowódca 42 dyw.piech., odjechał, z radością przyjmując naszą współpracę, obiecał po uzgodnieniu z korpusem, z którym szukał łączności, przysłać nam szczegółowe dyrektywy. Czekać na nie, zebraliśmy brygadę w lesie Chaource, oddani jednej dominującej trosce - napojenia czołgów i samochodów benzyną. Nie mając brygadowych kolumn zaopatrywania, żyliśmy benzyną dorywczo pobieraną z najbliższych dep~ot i stanęliśmy wobec bezładu odwrotu francuskiego w obliczu zupełnej pustki na polu zaopatrywania. Wszystkie magazyny, do których wysyłaliśmy nasze wozy zaopatrywania, były: albo w ręku niemieckim, albo zbombardowane przez lotnictwo niemieckie - jednym morzem płomieni, albo niszczone przedwcześnie przez pierwszą falę oddziałów francuskich w odwrocie. Wozy wysłane wracały puste lub w ogóle już nie wracały, oficerowie i podoficerowie rozsyłani wracali z niczym albo też nie wracali. O ich przygodach, jak np. mjra Mincera dowiedzieliśmy się dopiero grubo później, bodaj że w Wielkiej Brytanii.

Toteż, gdy przyszedł rozkaz z korpusu, by brygada - działając jako straż przednia całości, zajęła m. Montbard nad Kanałem Burgundzkim i zapewniła przejście na zachód przez Kanał

- trzeba było spojrzeć w twarz rzeczywistości.

Licząc się z 60 kilometrowym przemarszem - plus krótka walka i minimalna rezerwa benzyny i przyjmując bardzo optymistycznie, że potem znajdzie się jakaś benzyna, mogliśmy wziąć ze sobą pewne minimum czołgów i pojazdów mechanicznych. Mimo więc protestów płka Duchon, zgubionego w tej sytuacji i nic z niej nie rozumiejącego, uzupełniliśmy benzynę w 17 czołgach i we wszystkich pojazdach, potrzebnych dla oddziałów zmotoryzowanych, niszcząc resztę czołgów i wozów niepotrzebnych już, gdy je opuściła ostatnia kropla benzyny.

Oslabiona przez to „brygada” do siły wzmocnionej kompanii czołgów z dwoma szwadronami kawalerii zmotoryzowanej, saperami i artylerią przeciwpancerną i przeciwlotniczą, zanurzyła się znowu w lawinę odwrotu i ewakuacji, przepychając się mozolnie ku Kanałowi Burgundzkemu. O rozpoznaniu mowy nie było. Nie było i czym. Te dwa plutony motocyklistów, których stany topniały, jak świeca przytknięta do rozpalonej płyty, dwoiły się i troiły, by zapewnić łączność oddziałów, ubezpieczyć ich przemarsz, szczególnie na skrzyżowaniach z drogami, wiodącymi z kierunku zachodniego od Niemców, szukać zaopatrzenia, benzyny etc. I

nie było możliwości utrzymania łączności z wysyłanym rozpoznaniem - wobec zupełnego absurdu ruchu powrotnego „pod włos”.

Namiastką rozpoznania były raczej przesadzone, panikarskie nieraz wiadomości o Niemcach tu i tam, które jednak, przesiewane ze spokojem, dawały ziarno prawdy. A najbardziej oczywiste ostrzeżenie - to ta nagła pustka na drogach i cisza złowroga jak przed burzą, gdy Niemcy byli już blisko.

Już kilkanaście kilometrów przed Montbard pojazdy francuskie wojskowe i cywilne, wracające nieraz w popłochu z tego kierunku, awizowały obecność oddziałów zmotoryzowanych niemieckich z artylerią w tym mieście. Wycofująca się bateria artylerii pod dowództwem kpt. Borotry, znanego i sławnego asa tenisowego, a później mniej sławnego ministra w rządzie Petaina - dała stosunkowo ścisłe informacje. Sam Borotra zjadł z nami w rowie przydrożnym ofiarowaną mu kurę i popił nienajgorszym winem, ale od współdziałania z nami w akcji na Montbard wymówił się odmiennymi rozkazami swych przełożonych. A tak zdałaby się nam choć ta jedna przynajmniej bateria artylerii.

Wobec pustki przed nami na drogach, zrobiła się nawet przestrzeń na taktyczne rozpoznanie, lecz ostrzegał przed tym nonsens zdradzenia się przedwcześnie.

Jesteśmy małą garstką, z pewnością mniejszą niż ci, na których uderzymy.

Zupełnie bez artylerii polowej. Zbliżyła się noc. Jedyna nadzieja powodzenia - to kompletne zaskoczenie. Trzeba to ryzyko wziąć na swe barki. Zebrałem oficerów i pełne załogi czołgowe na szosie przed czołgami i krótko wyjaśniłem swój plan.

„Powodzenie - w zaskoczeniu!

Uczono ich w warunkach normalnych i przyzwyczaili się do tego, że czołgami nie naciera się w nocy, że czołgami nie naciera się na las ani na miasto. Ale w naszych warunkach tylko tak właśnie zrobić możemy. Niech pamiętają o Warszawie i naszym rozrachunku z Niemcami. Niechaj z impetem wpadną do miasta, wciągając za sobą szwadrony zmotoryzowane, a ten element zaskoczenia musi dać wyniki”.

Czy użyłem dosłownie takich słów - nie pamiętam - ale tak myślałem i tak dzięki Bogu byłem zrozumiany na tej szosie pod Montbard, z ostatnimi niemal galonami benzyny i ostatnią szansą bicia się, a da Bóg, przebicia się na zachód.

Jak spodziewałem się, uderzenie nasze nocne czołgami na Montbard było zupełnym zaskoczeniem dla Niemców, dla batalionu z 66 pułku z 13 dywizji zmotoryzowanej. Ubezpieczenia ich wzdłuż szosy przysły niemal bez oddania strzału. Szybko zsunęły się czołgi po stromym wirażu szosy do pierwszych zabudowań miasta, wciągając za sobą oba szwadrony kawalerii zmotoryzowanej, prowadzone energicznie przez mjra Zgorzelskiego, mjra Eysmonta, por. Niepokojczyckiego i por. Kamila Czarneckiego.

Z zakrętu serpentyny, obok zdobytego niemieckiego działka

88z7šmm, oświetleni płonącym jak żagiew słupem telefonicznym: ppłk Majewski z adiutantem kpt. Stefanowiczem, szef sztabu Skibiński i kpt. Stankiewicz przeżywaliśmy każdy fragment tej bitwy, która miała decydować o przebicciu się. Dochodził do nas wyraźny huk działek naszych czołgów i trzask ręcznych granatów kawalerzystów. Gdzieś z głębi, w kierunku naszym, ale na oślep, grubo za wysoko, strzelały niemieckie ckm i działka przeciwpancerne świetlnymi pociskami tak, że przez jakiś czas byliśmy jakby pod świetlnym parasolem pocisków. Wyraźnym było dla mnie, że zaskoczeni Niemcy nie orientując się jeszcze dobrze w położeniu, kładli zaporę ogniową przed stanowiska ubezpieczeń własnych, dawno już zlikwidowanych przez nas.

Walka powoli oddalała się w głąb miasta, przy coraz bardziej narastającym oporze niemieckim. Wzięliśmy kupę jeńców, ale też zaczęły się mnożyć straty własne.

Wpłynął błyskotliwy meldunek o wzięciu nienaruszonego mostu na Kanale, wkrótce jednak zdementowany, że most ten jest na odnodze Kanału, a właściwy na Kanale wciąż w ręku Niemców.

W tej denerwującej sytuacji nadeszła wiadomość od oficera łącznikowego naszego przy dowódcy zdaje się korpusu, że dywizja francuska nie idzie za brygadą, ale zmieniła kierunek marszu na południe na Dijon.

Wkrótce potem głośna detonacja. To chyba Niemcy wysadzili most na Kanale Burgundzkim, bojąc się, by nieuszkodzony nie wpadł w nasze ręce, mocno tym komplementując swego ilościowo słabszego przeciwnika. Jedyna gorzka satysfakcja! Tak nam się zresztą wtedy wydawało! W rzeczywistości, jak się później dowiedzieliśmy, most był cały, ale zaalarmowane oddziały 13 dywizji

zmotoryzowanej trzymały już mocno zachodni brzeg Kanału Burgundzkiego, przekreślając wszelkie szanse przebicia się naszej garstki na zachód, wobec wyraźnej już dysproporcji sił polskich i niemieckich.

Była godz. #/2 w nocy. A w czerwcu błogosławiona noc tak krótka!

Dużo kosztowała mnie psychicznie zmiana decyzji. Zbyt emocjonalnie byłem zespolony z ideą przebicia się przez Niemców. Zbyt byłem blisko tej bitwy od początku do końca, przejmując się każdym jej szczegółem.

Trzeba zmienić zamiar. Na forsowanie Kanału nie ma ani sił ani przede wszystkim artylerii.

Może uda się jeszcze niżej ku południowi wyprzedzić Niemców w przekroczeniu Kanału i wyjść na zachód.

Dobroczyzna gęsta mgła ranna zasłoniła nasze wycofywanie się z Montbard do lasu i ewakuację rannych, w tym mjra Eysmonta. Nowe przegrupowanie, nowa redukcja ilości czołgów do kilku dla szpicy naszej małej straży przedniej.

Wyścig z Niemcami był z góry przegrany, bo gdyśmy walczyli z oddziałem 13 dyw. zmotoryzowanej, inne dywizje niemieckie parły już na Dijon, odcinając nasze szanse wywikłania się z „kotła”, o czym mieliśmy się wkrótce przekonać.

Opukując w drodze niemal każdą przeprawę w dół Kanału i stwierdzając, że jest w rękę niemieckim, dotarliśmy do obszaru Dijon.

Jeszcze rozpaczliwe szukanie jakiejś furtki wymknięcia się każdym nadającym się pojazdem, jeszcze zbieranie resztek, pozostawianych po drodze baniek z benzyną.

A gdy wszystko zawiodło - została tylko ostatnia tragiczna alternatywa.

Dijon zajęte przez Niemców, drogi wiodące do tego miasta pełne czołgów i pojazdów mechanicznych niemieckich. A od północy stały postępy oddziałów niemieckich zmniejszały już obszar nie zajęty do kilkunastu kilometrów kwadratowych.

Zostało nas około 500 żołnierzy z bronią indywidualną. Czołgi i samochody, działka przeciwpancerne i przeciwlotnicze nie odgrywają już żadnej roli wobec braku benzyny i amunicji. Drugie tyle stanu to straty, częściowo krwawe w tych dwóch bitwach i rozpoznaniu, ale większość to straty marszowe, wobec odcinania różnych członów brygady to przez oddziały francuskie, to przez działania oddziałów niemieckich. Tak np. do bitwy pod Montbard nie doszła część kolumny z kompanią saperów, która w marszu zaatakowana przez Niemców, dzięki przytomności i odwadze kpt. Neklawsa - nie dała się zniszczyć, biorąc nawet jeńców, ale zbita z kierunku posuwania się, już do nas nie dołączyła. Dowiedzieliśmy się o tym później dopiero w rejonie Francji nieokupowanej.

Ciężko było powziąć tę ostatnią decyzję zniszczenia pozostałego sprzętu - już zupełnie bezużytecznego - i spieszenia się dla przebicia się przez pierścień wojsk pancerno motorowych niemieckich. Teren pagórkowaty, częściami zalesiony lub pokryty winnicami, sprzyjał próbie wymknięcia się z potrzasku drogami, nie nadającymi się do użytku dla motorów, lub też wprost na przełaj. Po nocy, spędzonej na niszczeniu sprzętu w miejscu, które nazwaliśmy cementarzyskiem Moley - wczesnym rankiem 18 czerwca zaczęliśmy pieszy marsz.

Otwierałem go, idąc na czele ze Skibińskim i Stankiewiczem - reszta oddziałami, prowadzona przez swych oficerów. Do południa połknęliśmy kołując kilkanaście kilometrów. Nastrój na ogół dobry, mimo przemęczenia i trudnej sytuacji. Bitwa pod Montbard bardzo podniosła żołnierzy na duchu. Gdy doszły mnie bardziej pesymistyczne odgłosy, że to wszystko na nic, że żywa dusza nie wyjdzie z tego potrzasku, zebrałem dowódców i poprosiłem, by na zewnątrz zachowali pogodną twarz, niezależnie od tego, czy wierzą, czy nie, że uda się nam przejść przez Niemców, bo żołnierze na nas patrzą i od nas zależy ich morale.

Wkrótce jednak na czoło zagadnienia wysunął się problem najistotniejszy, jak wyżywić tych 500 ludzi, gdy warunkiem udania się naszej próby było unikanie nawet drobnych osiedli, a jedynie wolne od Niemców okazały się pojedyncze, izolowane domy czy farmy, biedne, ofiarujące bochenek chleba, litr wina, czy parę jajek - dużo za mało na tych 500 wygłodzonych i spragnionych gardeł. Poza tym z praktyki wysunął się inny problem: przeszkakiwanie niepostrzeżenie przez szosy, którymi posuwały się oddziały niemieckie, taką ilością ludzi i to rozciągniętych gęsiego w długiego węża, gdyż posuwanie się terenem i ścieżkami leśnymi uniemożliwiałoby tworzenie zwartych formacji.

Po zatrzymaniu pod wieczór w lesie przed główną arterią do Dijon, zapchana kolumnami niemieckimi, zwołałem krótką odprawę. Kazałem, na co wszyscy się zgodzili, nie znajdując innego wyjścia, podzielić się na małe grupy i tak przekradać się dalej w kierunku południowo_zachodnim pod przewodnictwem oficerów, czy najenergiczniejszych żołnierzy. Rozdzieliliśmy pieniądze i skape zapasy. Sztab mój wziął się energicznie do rysowania setki szkiców dróg i miejscowości, wedle posiadanej jedynej mapy samochodowej „Michelin'a”. Uzgodniliśmy jak się szukać i dokąd kierować, gdy znajdziemy się w części Francji, nie zajętej przez Niemców.

Każdy wziął minimalną ilość swych rzeczy, by się nie obciążać w marszu, dołączając ten czy ów szczegół sentymentalnej wartości osobistej. Ja wziąłem z mego samochodu małą statuetkę Matki Boskiej z Lourdes, którą mi żona dała na drogę i która ze mną przeszła długie jeszcze koleje, zanim się znalazła z powrotem w domu.

‘tc

Rozdział 8

Wędrówka

wśród wojsk niemieckich

‘tc

W paczce mojej było nas pięciu. Ppłk Skibiński, kpt. Stankiewicz, oficer armii francuskiej por. Bonvalet i mój kierowca plutonowy Kochański.

Podczołgaliśmy się na skraj lasu.

Górą dłużyła się szosa „route nationale” do Dijon, skąd dochodzi uchem chwytny szum przelewającej się jak rzeka kolumny pojazdów mechanicznych niemieckich.

Pewnie jakaś dywizja pancerna?

Szosa przecinała kierunek naszego wytyczonego marszu, trzeba ją było przeskoczyć, by zacząć ruch.

Czasem była przerwa w stukaniu i huku posuwających się wolno pojazdów niemieckich, ale zanim oczyma mogliśmy się porozumieć, czy już ryzykować przeskok przez szosę - nowa fala pojazdów napływała.

Trzeba było cierpliwie czekać do zmroku.

A gdy ten dobrotliwy opiekun wszystkich nękanych nadszedł - kilka samochodów na szosie zatrzymało się blisko nas - a odgłosy niemieckiej rozmowy upewniły nas o naszym oczywistym pechu.

Znowu czekanie.

Noc letnia jest krótka, trzeba się wreszcie zdecydować.

Na umówiony znak, poderwałem się i biegiem przeskoczyłem szosę, wśród krzyków Niemców

„Leute - halt”!, chwytając bokiem oczu kilka sylwetek

„moich”, przelatujących wraz ze mną.

Wpadłem w nieprawdopodobny gąszcz i splót gałęzi i krzaków, przez który siłą ledwie się przedarłem, szybko oddalając się od szosy.

Byłem sam.

Pomyślałem sobie, że to nic nowego, że tak już było 20 lat temu w czerwcu 1920 r. w walkach z Budiennym. Jasny księżyc, którego światło plamami wnikało w gęsty las i potęgowało to wspomnienie.

Maszerowałem długo - może 3 godziny w kierunku, który uważałem za zgodny z wytycznym - ale wciąż byłem sam.

Albo ja się zgubiłem, albo reszta moich zmyliła drogę. Ale teren, opadający coraz bardziej stromo ku jakiejś dolinie, zdawał się potwierdzać przekonanie, że jestem na

„kierunku”.

I gdy zrezygnowany, że oto w pojedynkę jak ongiś będę maszerował wśród Niemców, rozłożyłem się pod jakimś krzakiem dla odpoczynku i zacząłem zapadać w sen,

ocknął mię łoskot toczących się kamieni po zboczu i wybitnie polskie przekleństwo.

I cisza.

Któż by tam drapał się w nocy po rumowiskach, jeśli nie Polacy?

Wstałem i zacząłem wołać:

„Franek”, „Ludwik”!

No i znaleźliśmy się.

Najpierw Ludwik Stankiewicz, a po godzinie i reszta. Odpoczęliśmy do świtu i zaczęliśmy marsz kupą - dniem, korzystając z leśnych, nie dla oddziałów motorowych, dróg.

Potem było różnie.

Jak lasy to dniem, a jak otwarte przestrzenie, a co najgorsze miejscowości - to nocą.

Ocenialiśmy, że przechodzenie terenem, objętym na razie przez wojska szybkie - pancerne i zmotoryzowane - nie będzie trudne. Trzeba być jedynie konsekwentnym, zrezygnować z łatwizny i wygod, chodzić po prostu innymi drogami niż mechaniczne pojazdy, unikać jak ognia miejscowości. I powtarzać stale ten sam ceremoniał przy przeszkakiwaniu „route nationale”. Nie mieliśmy map terenu - jedynie mapę Michelin'a z drożnią i numerami ważniejszych dróg, czasem rzeką.

Ale na słupkach kamiennych przydrożnych, odmierzających setki metrów i kilometrów, były wykute numery danej drogi. Nie mogło więc być pomyłki w tym, jaką szosę przekraczaliśmy, mogła być tylko czasem poważna omyłka, w którym miejscu. Wielką niespodzianką - i to przykrą - były nieraz szerokie i głębokie rzeki, których mapa Michelin'a nie wykazywała.

Gdy dużo później, już w W. Brytanii, przebywaliśmy tę eskapadę w rozmowach z żołnierzami - w stu procentach potwierdziła się słuszność naszych założeń. Wpadki naszych były tylko w miejscowościach i przy używaniu bitych dróg. Jeden z epizodów pełen komizmu, gdyż ostatecznie skończył się dobrze, utkwiał mi w pamięci. Otóż zagubiony z jakiejś paczki kpt. Borys Godunow, dowódca naszej baterii przeciwlotniczej, znękany męczącym marszem nocą po wertepach leśnych, dobrnął do jakiegoś krzaczka i zasnął. Raptem zbudziły go głosy niemieckie tak bliskie, że zdawało mu się, że wprost mówione do ucha. Zerwał się i rzucił się ku przodowi i wpadł na szosę wprost w ręce oficerów Luftwaffe, których samochód zatrzymał się z drugiej strony krzaku z powodu defektu motoru. Na szczęście dla tego dzielnego oficera - udało mu się w kilka dni potem uciec z transportu i już bez przypadku dotrzeć do strefy nieokupowanej.

Gdy sięgam pamięcią w dzień i nocę tego marszu poprzez pagórki najbogatszej w najlepsze winnice Burgundii, Maconaise i Beaujolais, przywodzi mi to na myśl podobne beztroskie przejście podczas mego marszu wśród kawalerii Budienego w r. 1920. „Beztroskie”, bo oto odpadła ta największa część trosk, która nie dotyczy własnej osoby, ale wypływa z poczucia odpowiedzialności za cały oddział. Odpadły zmyły problemów ponad siły - prowadzenia oddziału, gdy się wszystko wali naokoło, gdy sojuszniczka nasza jest na dnie swej słabości, działania, które trzeba podejmować bez wiary już w rezultat. Teraz już jest jedyna troska, jak osobiście z kilku kolegami już, a nie podwładnymi, niejako sportowo, wywikłać się z sytuacji.

Gdyby nie wyobrażnia, że naokoło są Niemcy, bo na ogół w całym tym marszu mało ich się będzie widziało, że można wpaść w ich ręce, że nie wiadomo jak daleka nasza wędrówka, gdyby nie noclegi w mokrej trawie, w przemoczonych do koszuli ubraniach, to byłaby przemiła krajoznawcza wycieczka.

A jeśli już wyczyn - to harcerski - i to na szczyblu bardzo młodego wieku.

‘tb

** ** **

‘tp

Tak się ułożyło w naszym zespole, po koleżeńsku raczej, że ja prowadziłem, szczególnie nocami, wierząc w swego nosa i ten specjalny zmysł w ciemności. I choć najstarszy wiekiem, nie byłem wcale najmniej wytrzymały fizycznie. Wielokrotnie powstrzymywały mnie podczas marszu okrzyki z tyłu, że już dość, że czas odpocząć, pomyśleć o „nocowaniu” lub „dniówce”, zależnie od tego, czyśmy szli nocą czy dniem, a ja rozmyślnie dodawałem jeszcze kilka kilometrów pod pozorem, że tam dalej będzie lepiej czy bezpieczniej. Gnał mnie nie tylko instynkt, ale i wyrachowanie, że jak długo maszerujemy wśród wojsk motorowych i pancernych - wszystko jest proste i łatwe. Ich drogi nie są naszymi drogami. Gorzej i trudniej będzie, gdy w drugiej fali nadejdą dywizje piechoty i gdy jasne oddzielenie ich dróg i naszych nie będzie więcej możliwe. Musiało to prędzej czy później nastąpić, gdyż szliśmy tylko szybkością naszych nóg i szliśmy przeważnie terenem na przełaj, kołując i pokonując różne przeszkody. Najmniej myśleliśmy o możliwości spotkania konnych kawalerzystów - zbyt nowocześni po ostatnich kampaniach - a właśnie z nimi zetknęliśmy się w naszym marszu i to dwukrotnie.

Pierwszy raz już 24 czerwca w rejonie złotodajnych winnic Pommard, gdy prowadzeni przez przewodnika stromym stokiem wzgórze, podchodziliśmy do lasu koło Volnay. Dzień był upalny, nudny atmosferą wiszącej nad nami burzy i nudny monotonią długiego, nieciekawego włóczenia się za przewodnikiem, gdy okrzyk ostrzegawczy z tyłu od Skibińskiego otworzył mi oczy na wspinającego się przede mną żołnierza niemieckiego. Szybki rzut oka w tył dodał i drugiego, który z tyłu dołączył się do naszej kolumienki, dzwigając dwa brezentowe wiadra z wodą dla pojenia koni. Bez namysłu skręciłem w bok w winnicę, a za mną reszta, nie zważająca na okrzyki „halt Leute” i prędko wysokie krzewy winnej latorośli skryły nas przed oczyma tych

„niewinnych” wodonosów kawaleryjskich.

Drugim razem było mniej dramatycznie, ale dużo nieprzyjemniej. Pamiętam, że nocy tej stosunkowo długo przedłużałem marsz terenem, po prostu nie mogąc znaleźć odpowiedniego miejsca na rozłożenie się na dzienny odpoczynek. Wreszcie dopadliśmy do wysokopiennego lasu, gęsto podszytego krzakami i nie zagłębiając się zbyt, rozbiliśmy nasz obóz cygański. Zaledwie zapadliśmy w sen, zerwała nas na nogi (nie wiem dlaczego mówi się w takim wypadku „żywe” nogi) dźwięczna pobudka kawaleryjska, trąbiona nam niemal do ucha.

Co się okazało?

Ten wysokopienny las był tylko tak częstym grzebieniem leśnym, szerokości kilkunastu metrów, za którym ciągnęła się łąka, a za nią wieś burgundzka, nęcąca dobrobytem domostw i dymiących kominów, ale niestety nie dla nas, lecz dla jakiegoś konnego szwadronu niemieckiego.

Przez cały dzień, skurczeni pod krzakami, asystowaliśmy w dziennym rozkładzie zajęć szwadronu, słyszeliśmy i widzieliśmy wyjeżdżające i wracające plutony konne, dochodziły nas krzyki, śmiechy, rozkazy, śpiewy. Mając herbatę w tobołkach, nie ośmieliliśmy się rozniecić ognia, a przegryzając na sucho chleb z jakimś sadłem, przetrwaliśmy w ukryciu ten niefortunny dzień.

Gorzej było, gdy wśród stromych wzgórz tarasami winnic spadających ku dolinie, jedyna droga prowadziła przez gęsto jak forteca zabudowane osiedle. Bo to istna pułapka dla takich jak my - szosa i wieś - zablokowany odwrót w razie natknięcia się na Niemców.

Obchodzenie takiej

„przeszkody” nie było ani łatwe ani szybkie, a czasem w praktyce nie do wykonania. Wtedy trzeba było w ukryciu czekać nocy i przekradać się jak duchy przez uśpioną wieś, która wkrótce ożyje wściekłym ujadaniem pobudzonych przez nas psów, krocząc jak duchy z jedną materialną rzeczą - rewolwerami w garści. Raz doszliśmy tak, zachowując wszelką ostrożność, po zacienionej stronie uliczki, bo księżyc był w pełni, do połowy wsi, gdy spostrzegł nas jakiś wyrostek Francuz i wyleciał do nas pytając, jakim cudem spadliśmy w środek wsi, gdy wszystkie domy są zajęte kwaterunkiem artylerii niemieckiej. Chłopak miał jednak zrozumienie dla przygód i sprytnie przeprowadził nas jakimiś opłotkami i skrótami przez wieś i omal nie przyłączył się na dobre do naszej paczki.

Mówiąc o rewolwerach, mieliśmy je dla ostateczności, która nie zaistniała w naszym wypadku. Jeden jedyny raz, i to na początku przed pierwszym przekroczeniem szosy, użył broni Skibiński nie tyle z potrzeby, ile z temperamentu.

Z zaopatrzeniem było różnie.

Były zespoły po dwóch dla zdobywania żywności codziennie, ja byłem kurtuazyjnie wyłączony z nich. Była ogromna pomysłowość w dochodzeniu do osamotnionych domostw i farm i jeszcze większa w uzyskiwaniu żywności i wina. Muszę sprawiedliwie przyznać tym zespołom, że nigdy naprawdę nie byłem głodny lub ponad miarę spragniony, a niektóre „uczty” właśnie przez swą formę improwizacji, były całkiem na poziomie.

Zasługa nie tylko moich towarzyszy, ale i ludności francuskiej w tej części kraju.

Prócz wyjątkowych wypadków odmowy, na każdym kroku spotykaliśmy się ze zrozumieniem naszej sytuacji, z pomocą w dostarczaniu nam żywności, zorientowaniu w terenie, z ostrzeżeniami przed miejscami, w których byli Niemcy. Rzadko gdzie chciano przyjąć od nas pieniądze za żywność, a tam, gdzie ochotniczo zgłaszali się nawet ludzie starsi na przewodnika, lub w strefie bezpieczniejszej podwozili nas samochodami, wątpię, by nie zdawali sobie sprawy, co ich czeka w razie nakrycia przez Niemców.

Fakt dla nich, że byliśmy Polakami, był raczej atutem, przemawiającym na naszą korzyść, dopingującym ich serdeczność i życzliwość. Jestem do dziś dnia pełen podziwu i wdzięczności dla tych prostych obywateli francuskich, którzy swój nieklamany patriotyzm wyrażali w tak godny sposób. Wzbudziło to we mnie wiarę w przyszłość Francji, mimo tych czarnych dni.

Zachowanie się wielu z nich przypominało mi rok 1939 na Węgrzech, z tą wielką różnicą, że wtedy jeszcze obywatelom węgierskim nie groziło nic ze strony Niemców.

Bohaterska sylwetka pani z Turnus, która nas przewiozła 15 kilometrów samochodem, mimo wałęsania się szosą niemieckich pojazdów wojskowych, bohaterski urzędnik pocztowy, który przewiózł nas ukrytych w półciężarowym samochodzie przez most na Loarze obsadzony przez Niemców i fason z jakim to uczynił, wzbudziły we mnie wielką wiarę, że Francja prędko otrząśnie się i odżyje, wiarę w zawsze nieśmiertelną Francję.

Szliśmy 18 dni i nocy i nie więcej jak 2 do 3 razy spaliśmy pod jakim takim dachem. Ale już wtedy ktoś z nas, zdaje się Stankiewicz, określił proroczo, że nasze troski i kłopoty zaczną się dopiero w „francuskiej” Francji.

Cośmy wiedzieli wtedy o tej francuskiej Francji?

Gdyśmy zaczynali nasz marsz, szliśmy w wierze, że gdzieś nad Loarą tworzy się front francuski, do którego dojdziemy. Złączymy się z pozostałą częścią brygady, która szczęśliwie pewnie uniknęła wciągnięcia w ten chaos i zrekonstruujemy naszą jednostkę. Potem z niedowierzaniem usłyszeliśmy o zawieszeniu broni, o „armistice”. Potem potwierdziło się, że jest ono faktem. Później o wiele dowiedzieliśmy się, że są dwie Francje, jedna okupowana przez wojska niemieckie, a druga wolna. Czy wolna? Może nie, ale w każdym razie nie okupowana przez Niemców.

Doszły nas też szeptane przez Francuzów w sekrecie wiadomości, że Anglia trwa w wojnie, nawet że jakieś wojska polskie wydostały się do W. Brytanii.

Że nie wszystko jeszcze stracone!

‘tc

Rozdział 9ã

Wydostanie się z Francji

‘tc

18 dnia wędrówki, prawie niespostrzeżenie dla nas samych, znaleźliśmy się w małej miejscowości, która już była w strefie nieokupowanej. Ani słońce nie jaśniało silniej, ani ludzie nie byli odmienni, tak samo zaaferowani drobnymi szczegółami dnia powszedniego, ani nie doznaliśmy wielkiego wstrząsu i wybuchu

radości. Już dawno wędrując, wyrobiliśmy w sobie pewność, że przejdziemy. Cali i zdrowi, nieco teatralnie, bo w mundurach i z bronią, ale z pewną dozą satysfakcji osobistej. Może trochę więcej smakował ten pierwszy kieliszek wina przy stoliku, na zewnątrz kawiarni, może trochę więcej wygodne łóżko w pierwszej noc, a z pewnością najwięcej gorąca kąpiel w prawdziwej łaźni.

Ale tylko tyle.

Jedynie wszyscy, o ile się nie mylę, pierwsze kroki skierowaliśmy do wiejskiego kościółka, by podziękować Panu Bogu za opiekę. Większość z przekonania, jeden czy drugi by nie urazić kolegów, z którymi tak się zżył w tej wędrowce.

‘tb

** ** **

‘tp

Podwieszono nas do Clermont_Ferrand.

Tam wprost z drogi, meldując się u władz wojskowych francuskich, zetknęliśmy się przypadkowo z gen. Weygandem. Po prostu generał schodził z szerokich schodów dowództwa, gdy myśmy szli w górę. Przystanął, przyjął mój meldunek, zorientował się kim jesteśmy, wyraził radość, żeśmy potrafili przejść cało przez Niemców. Przepraszył, że nie może zawrócić z nami do gabinetu, bo gdzieś się spieszy, ale gorąco podziękował za pracę wojskową brygady, a szczególnie za osłonięcie odwrotu 20 dyw.piech. przez bagna St. Gond, co ocaliło tę dywizję. Skierował nas do sztabu, który dostanie instrukcje, by nam we wszystkim, czego nam trzeba, dopomógł.

Ale ani jego sztab, ani przyjaciel nasz gen. Faury, który gromadził nas Polaków w obozie Pui du Dome, nie chcieli czy nie mogli dać nam jedynej pomocy o jaką nam chodziło, pomocy w wydostaniu się do W. Brytanii, gdzie chcieliśmy dalej kontynuować naszą pracę. Stanęli na ściśle formalnym stanowisku, że będziemy tak traktowani jak oficerowie francuscy.

Dlatego prędko otrząsnęliśmy się z tej oficjalnej opieki i po odespaniu kilku nocy, znaleźliśmy się w Mendes, by połapać wiadomości o ewakuacji części oddziałów gen. Regulskiego i płka Dworaka i wiadomości o naszych rodzinach. A 14 lipca, w dzień święta narodowego francuskiego, już w ubraniach cywilnych, jechaliśmy do Marsylii szukać tego otwartego okna na świat.

‘tb

** ** **

‘tp

Marsylia, największy port południowej Francji.

Ale okno na świat na dobre przymknięte.

Jeszcze żywe wspomnienia o ewakuacji Brytyjczyków i oddziałów polskich, nie tylko z tego portu, ale niemal każdego w południowej strefie. Ewakuacji każdym rodzajem statków, nawet okrętami wojennymi „Royal Navy”. Ale to było kiedyś. Teraz droga morska na dobre zamknięta. Można dostać się przez Pireneje do Hiszpanii i stamtąd dalej, ale indywidualnie i to dwoma sposobami: nielegalnie, prowadzeni przez przemytników, albo legalnie z paszportem turystycznym cywilnym. Nielegalna droga bardzo ryzykowna, najczęściej kończy się internowaniem. Zdobycie papierów dla drogi legalnej, to cała wiedza i skomplikowany proceder. A więc:

Trzeba zdobyć paszport, na szczęście funkcjonuje nasz polski konsul w Tuluzie i paszporty, wystawiane przezeń, są respektowane jak na razie przez władze francuskie.

Trzeba otrzymać wizę. A ponieważ Hiszpania daje tylko wizy tranzytowe, trzeba wystarać się i wychodzić czy wykupić jakąś wizę egzotyczną docelową: Ameryka Łacińska, Kongo, Chiny etc.

Ale, by te wizy otrzymać, trzeba mieć pozwolenie władz francuskich w formie tzw. visa de sortie - wizy wyjazdowej. Ta jest udzielana, ale nie dla wieku pobożnego. Trzeba więc swój paszport odpowiednio odmłodzić lub postarzyć.

Bardzo zawikłane starania i bardzo kosztowne w czasie, gdy je przetłumaczyć na wystawanie ciągle w niekończących się ogonkach przed konsulatami i prefekturą francuską.

Marsylia nabrała specjalnego kolorytu.

Masa zwolnionych z wojska francuskiego żołnierzy, masa uciekinierów z północy, niebawem przepełnienie.

Wszystko to zapełnia bulwary i aleje, wygrzewa się na słońcu przed różnymi lokalami, zgęszcza tłok w „kafejkach” i „bistro”.

Coraz więcej Polaków: z 1 dywizji generała Duchy, z drugiej gen.

Prugara_Ketlinga, z różnych ośrodków i w ostatniej fali napływających żołnierzy z tej części 10 brygady kawalerii pancernej, która była w eszelonie walczącym. Elegancją ubrań, nie wiem skąd zdobywanych, postawą, sylwetką żołnierską, której nie mogły przykryć nowe odzienia, odcinają się od mrowia innych narodowości. Wszyscy opętani jedną ideą wydostania się z Francji na dalszą wojaczkę i nowe przygody.

Ale Francja nieokupowana jest już pod stałą choć na pozór niewidoczną kontrolą niemiecką.

Z pozostałych władz polskich, konsulatów etc. płyną ostrzeżenia, by się nie afiszować, nie występować gromadnie - maskować. Koledzy nie witają się przy spotkaniu w lokalach publicznych, udają, że się nie znają.

Doprowadza to do wielu przekomicznych scen. Jak ta, gdy w towarzystwie któregoś z oficerów zjawiam się pewnego dnia wśród rozstawionych stolików przed największą kawiarnią w Marsylii, a zatłoczoną dobrą setką tak udających, że się nie znają, mych żołnierzy. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pryska na mój widok czar sprzyśiężenia i kamuflażu. Cała kawiarnia staje na baczność jak jeden mąż.

Nie potrzeba było gromkiego

„czołem panie generale”, by wszystko stało się jasnym.

Powoli jednak, jeden po drugim znikali z terenu Marsylii i Tuluzy moi chłopcy i żołnierze z

1 dywizji grenadierów gen. Duchy i z ośrodków innych dywizji, przez Hiszpanię do Portugalii, a stamtąd dalej do W. Brytanii.

Tylko ze mną był kłopot. Grzecznie, ale stanowczo, mimo tego, że już nauczyłem się jak się nazywam w paszporcie i miałem wizę docelową do Brazylii i tranzytową przez Hiszpanię i pożyczone pieniądze na przejazdy od Belga, b. konsula w Gdyni, odprowadzono mnie w prefekturze z niczym, każąc zgłosić się znowu za kilka dni. I tak tydzień po tygodniu.

Zaniepokojony tym, udałem się do znajomego majora francuskiego, z oddziału II sztabu korpusu w Marsylii, którego poznałem jeszcze w okresie, gdy w rejonie Orange Boll~ene podlegaliśmy administracyjnie temu korpusowi. Ten mi wyświetlił sytuację. Otóż w prefekturze są już anioły stróże - Niemcy, którzy kontrolują ruch z Francji. Dostatecznie jestem znany w Marsylii, by fałszywe nazwisko w paszporcie mogło mnie ukryć. Nic mi nie grozi, jak na razie, ale wizy wyjazdowej mi nie dadzą. Jeśli jednak nie zależy mi na pewnych niewygodach etc., to on sposobem „dwójkarzy” może mnie urządzić i przerzucić transportem zdemobilizowanych Arabów z armii francuskiej do Algeru. Tam okno na świat naprawdę jest otwarte i bez przeszkód pojedę, gdzie zamierzam.

Tak znalazłem się po kilku dniach na forcie St. Jean, dep~ot Legii

Cudzoziemskiej, z kartką załadowania na statek na moje nazwisko, lecz szarzy wojskowej zredukowanej do st. strzelca. Dokument głosił:

„liber~e”, zwolniony z Legii Cudzoziemskiej, wraca do domu do Casablanki w Maroko via Oran w Algerze. Konwojowany przez kaprała dyżurnego, z walizką w rękę, znalazłem się na pokładzie transportowca, wśród barwnej gromady aktualnych arabskich

„kolegów”. Odebrano mi przy wejściu na statek ten jedyny dokument - kartę załadowania - ale przecież nie będzie mi już ona potrzebna. Zawarłem znajomość z kilkoma inteligentami z lotnictwa i przy ich pomocy i małej gotówce, otrzymałem łóżko w kabinie i prawo jadań w restauracji 2 klasy.

W Oranie to „okno na świat” znalazłem wybitnie zatarasowane skrzyżowanymi bagnetami. Gdy z przystani w porcie, oddając z musu moją walizkę do dźwigania czarnemu wyrostkowi, który wygrał bitwę o nią z bandą obdartusów, ruszyłem do miasta, utknąłem na kordonie czarnych żołnierzy z bagnetami na karabinach i białych podoficerów legitymujących przyjezdnych. Jak wspomniałem wyżej, nie

miałem żadnych papierów francuskich, ale nie po to przeszedłem przez Niemców, by utknąć na Francuzach. Spokojnie z miną wyższości wyciągnąłem jedyną pamiątkę z Polski, legitymację orderu Virtuti Militari i wręczyłem ją podoficerowi. Teraz podoficer znalazł się w kłopotcie. Długo obracał legitymację na wszystkie strony, było widoczne, że niczego nie rozumie, ale nie chce się do tego przyznać. Nie zdziwiła mnie więc zbyt jego reakcja, gdy po chwili, oddając mi legitymację, zasalutował sprężysto i przepuścił przez kordon. Teraz prędko do biura podróży, by wykupić bilet kolejowy z Oranu do Casablanki i stamtąd na dworzec kolejowy. Nie wiem dlaczego w tym czasie wygasł czar mej legitymacji. Na przejściu na peron, obsadzonym też przez wojsko, wytłumaczono mi, że to nie to, że muszę mieć akt demobilizacyjny i jeśli przyjechałem dziś transportem morskim, to akt ten pewnie znajdę w biurze portu. Taksówką do portu po akt demobilizacyjny, o którym wiedziałem, że w ogóle nie istnieje. Znowu długa konferencja z podoficerem kancelaryjnym, aż wreszcie wyłowiono ze sterty papierów tę moją kartę załadowczą na statek i dano mi eskortę podoficera, by mnie zawieźć do odległego dep~ot Legii Cudzoziemskiej, gdzie pewnie moje papiery przez pomyłkę zawędrowały. Po drodze przy kieliszku aperitif wy tłumaczyłem eskortantowi nonsens jechania dwóch po jeden papierek i z otrzymaną moją kartą załadowania pojechałem, ale z powrotem na dworzec próbować szczęścia. Jeszcze wciąż go nie mam. Tłumacz mi, o czym najlepiej sam wiem, że moja karta to tylko dowód „zabarkowania” mnie na statek, że muszę mieć akt demobilizacyjny z fotografią na przedzie etc.

Gdy zrozpaczony siadam w restauracyjce naprzeciw wejścia na dworzec, przy stoliku na zewnątrz i melancholijnie przyglądam się ruchowi przed dworcem, szczęście me wraca całkiem niespodziewanie. Oto widzę jak podoficer ściąga posterunki sprzed wszystkich wejść, gdyż pociąg, którym miałem jechać już odszedł, a do następnego trzy godziny czasu. Wykorzystuję tę lukę i szansę. Przez nikogo już teraz nie kontrolowany przechodzę na peron i przechadzam się już po drugiej stronie wejść, nie nagabywany nawet wtedy, gdy przed podstawieniem nowego składu z powrotem wracają posterunki.

Chyba już teraz „okno na świat” otwarte!

Jak to przyjemnie, po tylu kłopotach i denerwujących przejściach, siedzieć w eleganckim wagonie jadalnym i studiować kartę z wyszukаныmi potrawami i winami. Niestety, przyjemność nie trwa długo. Na granicy Algeru i Maroka wchodzi kontrola żandarmerii francuskiej, badając dokumenty i wizy. Okazuje się, że z Algeru do Maroka obowiązują normalne wizy, o czym nikt mnie nie uprzedził.

Pokazuję swą kartę.

Ma się rozumieć nie wystarcza.

Wysadzony z pociągu o północy, w duszną afrykańską noc, na stacji granicznej, stoję w kilometrowym ogonku po wizy, które udzielają władze graniczne. Po godzinie wolnego posuwania się orientuję się, że stoję w niewłaściwym ogonku, bo dla oficerów, a ja jestem przecież na karcie tylko starszym strzelcem. Dołączam do jeszcze dłuższego ogonka dla szeregowych. A gdy dochodzę do okienka, kartką swą wywołuję wybuch furii podoficera kontrolującego. „Czy nie umiesz czytać?” I wskazuje mi na napis nad okienkiem. Na szczęście napis ten dotyczy nie samej istoty udzielania wiz, ale czasu, w którym mają się zgłaszać po nie urlopnicy i zdemobilizowani, mianowicie dopiero od #/10 rano. Równie podniesionym głosem odpowiadam, że nie jestem ani urlopnikiem ani zdemobilizowanym, tylko „liber~e” z Legionu Cudzoziemskiego, wracam do domu i nic mnie więcej nie obchodzi.

Z jakimś soczystym słowem, którego nie ogarnia moja znajomość języka francuskiego, stempluje podoficer moją kartkę i oto ostatnia przeszkoda przeskoczona.

W Casablance odnajduję rodzinę, o której miałem wiadomość już w Mend~es, że tam się z dziećmi kieruje. Żona, nie wiedząc co się ze mną stało w tym chaosie upadającej Francji, nie chciała jechać ze znajomymi do W. Brytanii, lecz wybrała Maroko, skąd łatwiej sądziła, że dowie się co ze mną. Kierowała się tym, że w Casablance mieliśmy rodziny znajomych oficerów Polaków, którzy zresztą bardzo negatywnie odnieśli się do niej, gdy mnie już nie było. Z wyjątkiem por.

Zaleskiego, architekta przed wojną w Casablance, dzięki któremu znalazła i mieszkanie i opiekę władz francuskich.

W Casablance - wszystko jasne jak to piekące afrykańskie słońce - i lazuruwe jak to niebo bez chmurki i toń morza - prócz jednego. Okno na świat na dobre już zamknięte. Dawno już opuściły port ewakuacyjne statki brytyjskie i cały ruch na zewnątrz w wolny świat - zamarł.

Kilka dobrych tygodni starań i mozołów, zanim udało się nam dostać miejsce na małym przybrzeżnym stateczku, wożącym normalnie piasek, by zaryzykować przeskok oceanem do Lizbony. Za miejsce na dnie statku, na materacach z trawy morskiej, kupionych u Arabów, bez kuchni czy łazienki, mieliśmy zapłacić od osoby podwójną cenę biletu pierwszej klasy luksusowego statku do niedawna kursującego na tej linii. Dojechaliśmy do Lizbony z żołądkami przewróconymi, bo cały czas w burzy morskiej rzucającej statkiem jak łupiną.

I po to, by jeszcze na statku być internowanym przez władze portugalskie i skierowanym do fortu Nr 10.

Ale przez Anglików jadących naszym statkiem, których internowanie nie tyczyło, nawiązałem kontakt z polską ambasadą.

Po dwóch godzinach niepewności przyjaciel mój z wojny 1920 r. płk dypl. Mally, attaché militaire polski w Lizbonie, wydostał nas jeszcze ze statku, zanim z internowanymi Hiszpanami i Czechami nie odesłano nas na fort.

Dzięki jego opiece i interwencji, po kilku dniach odpoczynku w luksusie nieobjętego wojną i nie zaciemnionego ślicznego miasta, znalazło się dla nas miejsce w samolocie, odlatującym do Bristolu w W. Brytanii.

W jasny, pogodny dzień wrześniowy, łukiem cały czas ponad Oceanem Atlantyckim, by uniknąć myśliwców niemieckich, po sześciu i pół godzinach lotu, wylądowaliśmy w W. Brytanii w Bristolu.

Był dzień 21 września 1940 r.

‘tc

Część IIIã

Wiek dojrzały

‘tc

‘ty

Rozdział 1

Powstanie pierwszej

polskiej dywizji pancerniej

‘ty

‘tt

Rozdział 1ã

Powstanie 1 polskiejã

dywizji pancerniej

‘tt

‘ty

Ña) Walka o nazwę

‘ty

Z przyjazdem moim do W. Brytanii zaczęła się druga kampania o stworzenie polskiej dywizji pancerniej. Jak tę pierwszą we Francji - trzeba było i tę drugą wygrać na dwóch płaszczyznach: polskiej i kraju, w którym się znaleźliśmy - więc obecnie brytyjskiej.

W tej chwili wyglądało to tak.

Naczelnny Wódz - gen. Sikorski

- zdawałoby się już przekonany o konieczności tworzenia dywizji pancerniej.

Ci sami niemal oficerowie dyplomowani w sztabie Naczelnego Wodza - prócz szefa Sztabu, gdyż na miejsce płka Kędziora przyszedł gen. Klimecki. Tyle mówiące doświadczenie z Francji, gdy po zaniedbaniach w pierwszych miesiącach, robiło się ją potem „na kolanie”, improwizując i chcąc cudu dokonać w kilku tygodniach.

Małe stany wyewakuowanego wojska z Francji - argument tym bardziej za podniesieniem wartości ich przez specjalizację.

A jednak!

Pierwsze me wrażenia z krótkiego pobytu w Londynie - to jeszcze większe zacieranie śladów po 10 brygadzie kawalerii. Gdy we Francji w listopadzie 1939 r., obejmując dowództwo obozu wojsk polskich w Co~etquidan, zastałem nawet najbardziej mych

„kawaleryjskich” i „motorowych” oficerów z szefem sztabu mjrem dypl. Skibińskim na czele - wprzęgniętych w piechociarską filozofię - jak wojnę wygrać przez manewr dwóch sekcji w drużynie, a wypowiedzi przydzielonych do obozu oficerów francuskich nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że Francuzi chcą od nas tylko wystawienia oddziałów piechoty - to w Szkocji zastałem 10 bryg.kaw. sztucznie wepchaną w przykrótkie ubranko brygady piechoty.

Żadna 10 brygada kawalerii pancernej, tylko 2 brygada strzelecka; żaden 24 pułk ułanów czy 10 strzelców konnych - tylko

4 i 5 baony strzelców; a jako trzeci z rzędu batalion, rzeczywiście z piechoty z prawdziwego zdarzenia, stworzony baon podhalański. Gromadzone przez nas tak skrzętnie we Francji nadwyżki kawaleryjskie i motorowe, włączone w 14 p.ułanów i z nimi wyewakuowane, przesunięte teraz do 1 brygady strzeleckiej gen. Paszkiewicza, też jako batalion piechoty.

Oblicza tego nie zmienił fakt, że dowódcą 2 brygady strzeleckiej był kawalerzysta gen. Rudolf Dreszer, a zastępcą nasz płk dypl. Dworak, który ten zespół ludzi, tak skrzętnie zbierany na tworzenie dywizji pancernej we Francji, przywiązał w całości do W. Brytanii z wielką zasługą dla wojska.

Ale gdy pociąg, którym z Londynu przyjechałem do Glasgowa, zajechał na stację kolejową, to tłumnie wylegli żołnierze, witający mnie spontanicznie i na rękach wynoszący z wagonu, nie byli to strzelcy z 4 czy 5 baonu, ale starzy moi ułani z 24 pułku ułanów i strzelcy konni z 10 strzelców konnych i motorowi saperzy i artylerzyści. A fakt niemal symbolicznego przebrania mnie zaraz na dworcu kolejowym w czarną skórzaną kurtkę i czarny beret, gdyż z Londynu przyjechałem w „british warm” i furażerce, nie pozostawiały żadnej wątpliwości, jak dół żołnierski reaguje na papierową organizację.

Skromnym zaczątkiem zmian było zaraz po objęciu przeze mnie dowództwa brygady, zarobienie jej historycznej nazwy 10 brygady kawalerii pancernej (tego zarobionego we Francji dodatku „pancerna” nie daliśmy sobie uciąć) i historycznych nazw pułkom, anulując tym rażąca anomalię - między oficjalną nazwą jednostki - a tą na sztandarach, z którymi to sztandarami znaleźliśmy się kolejno w W. Brytanii.

Dla sprawiedliwości historycznej muszę przyznać, że sytuacja nasza, odradzającego się wojska polskiego na ziemi brytyjskiej była niewątpliwie ciężka.

Przede wszystkim było nas mało, żadnego zaplecza w postaci emigracji, z której można by czerpać uzupełnienia czy ochotniczo czy z poboru. Dopiero przeciekanie z kontynentu części naszych żołnierzy, którzy brali udział w walkach o Francję, zaczynający się skromnie napływ ochotników Polaków z całego świata, a w końcu poważny zastrzyk ze Środkowego Wschodu, z wojska polskiego, wyprowadzonego przez gen. Andersa z Rosji, sprawę polepszyło. Choć nigdy nie było za dobrze aż do za pięć minut dwunasta, gdy najbogatszym źródłem uzupełnień stali się Polacy wprost z Armii Niemieckiej, do której przemocą byli zabrani, po wcieleniu zachodniej części Rzeczypospolitej Polskiej do Rzeszy Niemieckiej.

A z potrzeby i dla prestiżu i dla wymowy propagandy trzeba było, by żołnierz polski był efektywnie użyty. Stąd obrona przez polskie oddziały pokazowego odcinka wybrzeża szkockiego od Aberdeen po Edynburg wyłącznie, która robiła z nas wartościowego alianta na wyspie - i płynąca stąd może ta pasja w zamienianiu wszystkiego w piechotę, potrzebną do obsadzania odcinka obrony. Na szczęście znalazłem zrozumienie dla motywów historycznych u Dowódcy I korpusu polskiego w

Szkocji gen. Mariana Kukiela i jego oficerów sztabu z zawsze nam oddanym i pomocnym ppłkiem dypl. Jerzym Krubskim. Ostatecznie z nazwą 10 bryg. kawalerii pancernej wypełnialiśmy tak samo zadanie obrony pododcinka od Montrose do Dundee, a przecież jak na razie walczyliśmy tylko o nazwę.

‘ty
Ńb) Walka o rzecz
samą w sobie
‘ty

10 brygada rozpanoszyła się na wybrzeżu hrabstwa Angus, z kwaterą główną w Forfar.

Różnymi drogami ze wszystkich kierunków świata dołączały rodziny części żołnierzy I korpusu polskiego, a osiedlając się wokół garnizonów polskich, wkrótce stworzyły z tego kawałka Szkocji - małą Polskę.

Mieliśmy polską prasę.

„Dziennik Żołnierza” wychodzący w początkach swych w Forfar, w siedzibie kwatery głównej 10 brygady kaw. panc., zanim przeszedł do korpusu, był źródłem różnorodnych moich kłopotów.

Mieliśmy polskie teatry.

Na czoło wysunęła się „Lwowska Fala”. Czy dlatego że Lwów?

Zajmowałem z rodziną mały dom w Cairnhill pod Forfar, oddany nam przez szczerze Polakom oddaną „Right Honourable” Miss Nancy Arbuthnott. A że dom był naprawdę obszerny - jak polski dwór - nie dziwi, że po każdym występie „Lwowskiej Fali” dokończenie było u nas z wszystkimi aktorami i częścią widzów z Forfar. Nasza pieśniarka lwowska Włada Majewska i Mira Grelichowska, Budzyński, Wieszczyk, Szczepcio i Tońcio, Stroń, rapacki, Bojczuk, Henio Hausman z akordeonem i kuzyn mój Staszek Czerny, zanim przeszedł z teatru na czołg strzelców konnych.

W piosenkach odżywała Warszawa i Wilno i Lwów - ale przede wszystkim ten ostatni. Czyż mało mówiąca była porywająca piosenka Budzyńskiego „Bo nawet w Edynburgu zobaczysz część Lwowa”.

Ale w oddziałach wrzała praca wojskowa.

10 brygada zamieniła się w pierwszych miesiącach w drużyny robocze, które pod kierownictwem saperów ppłka Dorantta i nadrzędnych korpuśnych władz fortyfikacyjnych - płka Bisztygi i innych - umacniały, drutowały i minowały wybrzeże w oczekiwaniu inwazji niemieckiej. Ale czasu, wysiłku i serca wkładała brygada tylko tyle w te roboty, ile wymagała norma, wyznaczona przez korpus. Reszta energii szła w kierunku motoryzacji. Hasłem się stało w brygadzie, że każdy żołnierz bez specjalności musi przejść kurs kierowców, każdy możliwy kierowca kurs mechaników czy elektrotechników, czy też innej wyższej specjalności - no i gdzie się dało, szkolenie pancerne. Powstały „prywatne” szkoły brygady, które turnusami przekształcały cały stan. Całą wiedzę i niegasnący zapał wkładali w to instruktorzy - prawdziwi profesorowie w tym kierunku - jak kpt. Czekalski, kpt. Wąsowicz, por. Lenartowicz, por. Bohdanowicz, rtm. Lesser i wielu innych. Przyszedł z pomocą gen. Kukiel, rezerwując nam kąciak w ośrodku szkolenia czołgistów w Blairgowrie, dla przeszkolenia instruktorów działów wyszkolenia pancernego. Wszyscy bowiem „czołgiści” z Polski, tj. ci, co pochodzili z jednostek czołgów lub samochodów pancernych z Polski, zostali zabrani do intensywnego przeszkolenia jako odwód korpusu pod nazwą 16 pułku czołgów, który rozwinął się później w 16 brygadę pancerną.

Z pewnością rok 1941 nie był stracony dla przyszłej dywizji pancernej:

mimo straży na wybrzeżu szkockim,

mimo organizacji jako brygady piechoty,

mimo ciągłych wizyt, odrywających od szkolenia - wysoko i najwyżej postawionych osobistości, czego wymagała potrzeba rozgłosu, że oto żołnierz polski jest tu na ziemi brytyjskiej i dalej gotów walczyć o Polskę.

Odwiedził 10 brygadę cały szereg generałów brytyjskich: gen. dca Scottish Command - Thorne, gen. Grasset i naczelny dowódca sił imperialnych gen. Paget, gen. Martel i inni. Najwięcej nadziei wiązaliśmy z gen. Martelem, naczelnym teoretykiem i praktykiem broni pancerniej brytyjskiej.

Odwiedziło nas cały szereg polityków, z ministrem spraw zagranicznych Edenem i ministrem Daltonem. Sam Churchill był tylko na terenie 1 brygady, do której wyjechaliśmy z delegacją. Był u nas amerykański ambasador

- **gen. Biddle, wielki nasz i naszej jednostki przyjaciel.**

A z wielkości europejskich na wygnaniu - król Piotr jugosłowiański z ministrami, gen. S. Ingr, N. W. Armii Czechosłowackiej.

Koroną wszystkiego była wizyta pary królewskiej króla Jerzego VI z królową w dniu 7 marca 1941 r. Obeszli oni na Barry Links cały odcinek obronny 14 pułku ułanów, który już przedtem przeszedł z rewindykowaną swą nazwą do 10 brygady. Para królewska interesowała się bardzo i bunkrami i swoistymi przeszkodami przeciwpancernymi na plażach i żołnierzami, którym zadawała różne pytania. Z wizyty tej datuje się dialog, gdy królowa, zapytując któregoś z ułanów jakimi kolejami wędrówki i przez jakie kraje znalazł się na tej wyspie - śmiejąc się dodała, że Niemcy nazywają nas przez radio turystami gen. Sikorskiego. Na co nie zmieszany chłopak odpowiedział: „ale bardzo niebezpiecznymi turystami”! Para królewska była na skromnym „lunchu” w kasynie oficerskim 24 p.uł., a nocując w swym szkockim zamku w Glamis (tym historycznym, w którym straszy duch Banka) - byli pod strażą honorową 1 pułku artylerii motorowej, kwaterującego w tej miejscowości.

Był to wypadek pierwszy w angielskiej historii, bogatej w różne dziwne rzeczy, że na ziemi brytyjskiej straż honorową przy parze królewskiej pełnił cudzoziemski oddział.

W rok później - w Forfar - na miejscu, z którego para królewska odbierała defiladę wojsk polskich - rada miejska wmurowała tablicę pamiątkową, rejestrując ten ważny dla małej miejsciny fakt. Zaproszony musiałem przy odsłonięciu tablicy przemawiać do licznej publiczności po angielsku. Nie wiem, jak to było tam z tą mową, ale syn mój od roku już w szkockim przedszkolu, zapytany, głośno zapewniał, że była świetna, ale mamusi szepnął do ucha, że „daddy wygłosił ją very badly” po angielsku, tylko nie trzeba tego mówić głośno. I z pewnością miał rację.

A odcinek obrony wybrzeża w Barry Links jeszcze raz został w

„mistyczny” sposób wyróżniony, gdy w rok po storpedowaniu okrętu polskiego „Piłsudski” podczas akcji sprzymierzonych u wybrzeży norweskich, morze wyrzuciło na plażę tego piaszczystego półwyspu koło ratunkowe z napisem „Piłsudski - Gdynia”.

Cała brygada widziała w tym szczęśliwy horoskop na przyszłość.

Jeszcze przed zaatakowaniem Rosji przez Hitlera ucichła psychoza inwazji i brygada, oficjalnie uzupełniana sprzętem brytyjskim jako motorowa, doskonaliła się w tym kierunku w większych ćwiczeniach, organizowanych przez korpus lub Scottish Command.

Ale to już nam nie wystarczało. Nieoficjalnie forsowaliśmy wyszkolenie pancerne. W drugiej połowie 1941 roku stało się już dla wszystkich oczywiste, że obrona wybrzeża zamienia się na spokojne garnizonowanie w tych miejscach, a spodziewana niemiecka inwazja

- **na zbliżającą się z kolei inwazję kontynentu przez sojuszników.**

Wybuch wojny rosyjsko_niemieckiej i układ gen. Sikorskiego z Sowietami stwarza nadzieję wyciągnięcia tysięcy naszych żołnierzy z Rosji i poza powstaniem armii polskiej na Wschodzie - wzmocnienia naszych szczupłych stanów w W. Brytanii. Do wymiany mieliśmy duże nadwyżki oficerów, które z pewnością tam się przydadzą.

Czy weźmiemy, my Polacy, udział w inwazji kontynentu?

Jak i kto, to już od nas zupełnie nie zależało.

Były dyskusje i raporty, odprawy na szczeblu korpusu i w Londynie w sztabie Naczelnego Wodza. Były okresowe odprawy w Gasku, gdy Naczelny Wódz przyjeżdżał do wojska do Szkocji.

Były ogromne i zrozumiałe apetyty dowodzenia. Jakie jednostki wystawi I korpus polski jako swą reprezentację bojową, gdyż jasnym było, że z powodu nikłych stanów korpus długo jeszcze nie będzie korpusem zdolnym do walki całością. Było nas wciąż tylko dwie, o niepełnych stanach brygady na wybrzeżu i brygada 16 panc. w odwodzie. Ponadto szkoląca się w Leven brygada spadochronowa również o niepełnych stanach, powstająca jedynie dzięki ogromnej energii gen. Sosabowskiego, wyłuskująca nam kwiat zapalnej młodzieży na skoczków do Polski. Kilka brygad oficerskich bez szeregowych było tylko rezerwą oficerów. Nie wspominam tu o lotnictwie naszym i marynarce, które też szukały źródeł uzupełnień, wobec rozrastających się etatów, a kurczących się stanów. Mimo różnych pomysłów, jasnym było, że do inwazji Brytyjczycy mogą wziąć tylko typowe jednostki organizacyjne wedle ich etatów i nie zgodzą się na żadne improwizacje organizacyjne.

Rachunek w przybliżeniu wskazywał, że po złączeniu wszystkich jednostek, stać nas będzie na sformowanie jednej dywizji. Jakiej? Piechoty? Czy pancерnej, która istniała wciąż tylko w zapalnych naszych głowach 10 bryg.kaw. panc. i tych czołgistów, którzy związali się z nią w walkach w Polsce i we Francji? Takie było podłoże głównej odprawy Naczelnego Wodza, prowadzonej osobiście przez gen. Sikorskiego w Gasku w dniu 14 lutego 1942 r. z dowódcami i oficerami sztabów. Miała ona zdecydować o tym, jaką jednostkę oddadzą Polacy Brytyjczykom dla inwazji kontynentu.

Brali w niej udział:

Gen. Marian Kukiel - dowódca I korpusu,

Gen. Klimecki - szef sztabu Naczelnego Wodza z referentami ze sztabu,

Gen. Kossakowski - zastępca dowódcy I korpusu i referent broni pancерnej i saperów,

Generałowie: Głuchowski, Łuczyński, Paszkiewicz, Niemira,

Płk dypl. Sosabowski, dowódca I Samodzielnej Brygady Spadochr.,

Płk Piestl - dowódca 309 dyonu współpracy lotn.,

Płk dypl. Krubski - szef sztabu I korpusu, oraz ppłk dypl. Borkowski i Spychalski.

Liczyłem na poparcie gen. Kukiela, gen. Klimeckiego, z którym miałem w przeddzień decydującą konferencję - no i na gen. Kossakowskiego, wierząc, że z tytułu fachowości opowie się za jednostką pancerną. Mimo to ilościowa przewaga pozostawała po stronie zwolenników tworzenia jednostek piechoty, ale to nie powinno było zdecydować o wyniku, gdyż ważniejszymi były argumenty, jakie miały przekonać Naczelnego Wodza.

Tymczasem główny referat, wygłoszony z wielką swadą przez gen. Kossakowskiego, a poparty świetnie przygotowanymi wykresami, ilustrującymi nasze stany liczebne i rozbięcie ich na specjalistów, był dla mnie zupełnym zawodem. Wbrew moim wywodom, że opierając się na 16 bryg. panc. i 10 bryg. kaw. panc., która nieoficjalnie szkolona w tym kierunku, dojrzewała już do pancерnej, apodyktyczny wyrok gen. Kossakowskiego brzmiał, że dla stworzenia dywizji pancерnej brak nam ogromnej ilości specjalistów. Ale na wykazach i wykresach, większa część tych specjalistów, to byli zwykli kierowcy pojazdów mechanicznych, co w naszych oczach dawno już przestało być specjalnością, a należało do rekruckiego wyszkolenia każdego szeregowca brygady motorowej czy pancерnej.

Referat swój zakończył gen. Kossakowski ironicznym zwrotem w kierunku moim słowami, które do dziś dnia pamiętam: „może ktoś być wielkim wirtuozem gry na fortepianie, ale fortepianu zbudować nie potrafi - ja na fortepianie nie gram, ale zbudować go potrafiłbym, gdyby było z czego”.

Mimo osłabienia tych argumentów przez gen. Klimeckiego, szczególnie co do specjalności kierowców samochodowych, odprawa skończyła się bez decyzji Naczelnego Wodza. Zamykając odprawę, kazał mnie, gen. Kossakowskiemu i gen. Paszkiewiczowi przesłać pisemne referaty w tej sprawie w ciągu tygodnia do Londynu.

‘tb

** ** **

‘tp

Zawrzało w sztabie 10 bryg. kaw. panc. w Forfar. Wszyscy siedliśmy do opracowania tego ważnego memoriału. Gdyby w tym okresie inwazja niemiecka była jeszcze możliwa, to wybraliby nas Niemcy jak pisklęta z gniazda, bo przez 5 dni wszyscy tylko pisali i przepisywali.

W memoriale, wysłanym do Naczelnego Wodza, główne motywy były następujące:

historyczna odpowiedzialność gdy, mając możliwości stworzenia pierwszej w dziejach wojska polskiego dywizji pancerniej, okazję tę zaniechamy, siła bojowa takiej dywizji w stosunku do dywizji piechoty przy mniejszym stanie liczebnym, co w naszej sytuacji liczenia każdego żołnierza potrzebnego, było tak ważne.

Wartość pieniężna materiału i sprzętu bojowego dyw. pancerniej, na którą nie stać nas było w budżetach pokojowych w Polsce, a który to sprzęt dostanie Polska za darmo (Lease and Lend Bill).

Wartość efektywna takiej dywizji, gdy wrócimy z nią do Polski. Dywizje piechoty będziemy mogli formować ze świetnego elementu żołnierskiego w kraju, ale dywizji pancerniej na kolanie i na poczekaniu ani nie zrobimy, ani nie uzbroimy.

‘tb

** ** **

‘tp

Dobrych siedem dni, pełnych oczekiwania na rezultat - siedem dni dosłownego czekania na wyrok.

Siódmego dnia depeza do mnie od Naczelnego Wodza - wybitnie w Jego stylu: „Mianuję Pana Generała dowódcą pierwszej dywizji pancerniej”.

Widać, że gen. Sikorski i jego sztab nie mieli zbytniego trudu, by przekonać Brytyjczyków, co do słuszności takiego rozwiązania, bo już kilka tygodni później, przyjechał na inspekcję gen. brytyjski Sir Giffard Martel i po zwiedzeniu oddziałów na skromnym wieczornym przyjęciu w dowództwie korpusu, wznosił toast za powodzenie 1 dywizji pancerniej.

‘tb

** ** **

‘tp

Od tej chwili, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystko się zmieniło.

Prócz 10 brygady, podporządkowano mi 16 brygadę pancerną, pułk rozpoznawczy korpusu i później pułk artylerii ciężkiej. Zaczęto „czesać” stany 1 brygady strzeleckiej i wszystkich formacji korpuśnych i pozakorpuśnych, zredukować stany wszystkich komend i instytucji wojskowych, by wycisnąć potrzebną do etatu ilość szeregowych. POza formującą się dywizją pancerną, miała pozostać tylko brygada spadochronowa i o kadrowych stanach 1 brygada strzelecka.

Już w ciągu kwietnia 1942 r. przesunięto nas na południe w dolinę rzeki Tweed, sławnej z licznych fabryk włókienniczych, jak dwa lata temu we Francji, gdy nas przesunięto na południe do rejonu Avignonu, ale teraz poczytaliśmy to sobie za dobry omen. Do trzech razy sztuka, mówili nasi chłopcy, nie wyszło w Polsce, nie wyszło we Francji, teraz chyba kolej na nasze szczęście żołnierskie.

Dywizja rozłożyła się szeroko, zajmując teren od Berwick on the Tweed, poprzez Kelso, Melrose, Galashiels aż po Peebles, z kwaterą główną w Melrose.

Zaczęło się organizowanie i szkolenie.

Dywizja pancerna, formowana według obowiązujących etatów brytyjskich, była bezsprzecznie ogromną siłą pod względem pancernym. Składała się z dwóch brygad pancernych, każda o trzech pułkach, względnie baonach pancernych i jednym batalionie zmotoryzowanej piechoty. Dla rozpoznania dalekiego dysponowała pułkiem rozpoznawczym na samochodach pancernych. Grupa jej artylerii składała się z pułków artylerii motorowej, przeciwpancernej i przeciwlotniczej. Prócz tego dowódca dywizji miał w swym ręku jeden przewożony batalion wsparcia.

Jakkolwiek stosunek 6 /3 na korzyść oddziałów pancernych w stosunku do piechoty, nie licząc samochodów pancernych rozpoznania, wydawał się za bogaty, organizacja taka odpowiadała najlepiej naszej wizji rozrostu wojska polskiego na przyszłość. Było łatwo przy sprzyjających warunkach przejść na korpus pancerno_motorowy lub, wobec podzielności brygad pancernych, na dwie dywizje pancerne typu lżejszego. Organizacja ta była łatwa do przyjęcia przez nas, wobec istnienia dwóch brygad pancernych 10 i 16, przesuwała trudności organizacyjne i szkoleniowe na szczeble niższe, jak podołać zapotrzebowaniom na specjalistów wszelkiego rodzaju aż dla 6 czy 7 pułków pancernych.

Przez niemal 18 miesięcy, bo od kwietnia 1942 r. do września

1943 r. - prac organizacyjnych i szkolenia - skład i obsada 1 polskiej dywizji panc. były następujące:

Zastępca dowódcy dyw. - płk dypl. K. Glabisz,
szef sztabu dyw. - ppłk dypl. B. Noel, następnie płk dypl. J. Levittoux,
kwaterymistrz - płk dypl. W. Gierulewicz,
1 pułk rozpoznawczy - mjr dypl. Z. Dudziński,
10 brygada kawalerii pancernej

- płk dypl. K. Dworak,

zastępca dowódcy brygady - płk E. Tarnasiewicz,

14 pułk ułanów - mjr S. Starnawski,

24 pułk ułanów - mjr R. Szumski,

10 pułk strzelców konnych - ppłk dypl. F. Skibiński,

10 baon dragonów - ppłk K. Święcicki,

16 brygada pancerna - płk dypl. T. Majewski,

zastępca dowódcy - ppłk dypl. A. Grudziński,

1 pułk pancerny - ppłk B. Sokołowski,

2 pułk pancerny - mjr Z. Chabowski, następnie mjr dypl. S. KOszutski,

3 pułk pancerny - mjr A. Izdebski,

16 baon dragonów - ppłk dypl. W. Kobyliński,

Grupa wsparcia - płk dypl. J. Łunkiewicz, następnie płk dypl. B. Noel,

1 pułk art. motorowej - ppłk J. Krautwald,

1 pułk art. ppanc. - ppłk J. Deskur,

1 pułk art. plot. - ppłk dypl. M. Jurecki,

1 baon strzelców - ppłk K. Kardaszewicz,

Saperzy (10 i 11 komp. sap., 1 komp. park. i plut. mostowy) - ppłk dypl. W. Weryho,

Łączność (4 szwad. łączn.) - ppłk J. Grajkowski,

Służby:

Duszpasterska - ks. J. Szymała,

Warsztatowa (10 i 16 kompanie)

- mjr Z. Bressel,

Sanitarna - ppłk lek. K. Maszadro,

Zaopatrywania - ppłk dypl. W. Bielski,

Materiałowa - mjr E. Fryzendorf,

Pieniężna - kpt. int. w.s.w. S. Nowicki.

Stanęliśmy przed ogromną, poważną pracą:

organizacyjną - tworzenie nowych jednostek i przetwarzanie istniejących,

szkoleniową - od dowódcy dywizji do ostatniego strzelca wszyscy musieli być w swym zakresie i funkcji przeszkoleni.

Ale problem najważniejszy specjalistów, szczególnie tych wyższej klasy, rozwiązali najskuteczniej sami Brytyjczycy. Otworzyli dla nas wszystkie swe poligony, obozy i szkoły, przeszkalając, albo masowo potrzebne kontyngenty, albo

instruktorów, którzy z kolei obejmowali stanowiska instruktorskie na specjalnie dla Polaków stworzonych „wingach”, tj. kursach przy danej szkole. Tak powstały polskie kursy w centrach broni pancernej w Bovingtonie i w Lulworth, szkolące w rzemiośle pancernym dowódców wszystkich szczebli, załogi czołgów i specjalistów, a w Oxfordzie taktyczne kursy dla dowódców szwadronów pancernych i wiele innych. Oddano do dyspozycji naszej strzelnicę dla czołgów w Kirkcudbright w południowej Szkocji i poligon artyleryjski w Ottebunr na północ od Newcastle. Polska dywizja pancerna przeszła na solidny warsztat pracy, analogicznie, jak podobne jednostki brytyjskie, a więc od początku na produkcję licznych specjalistów.

Potem przyjdzie cała na poligony w Anglii dla zjeżdżenia i zgrania jako całości i dla sprawdzenia swej wartości w dwustronnych ćwiczeniach z dywizją pancerną kanadyjską w

1943 r. i z 2 francuską dywizją pancerną gen. Leclerca tuż przed inwazją. Były okresy, w których właściwym miejscem postoju dywizji nie były nasze szkockie garnizony, ale cała niemal wyspa. Od południowego wybrzeża Anglii, z ośrodkami szkolenia pancernego, poprzez kursy taktyczne w Oxford, aż do dywizyjnych kursów w dolinie rzeki Tweed, a nawet do najbardziej na północ wysuniętego polskiego ośrodka szturmowego przeszkolenia koło North Bewrick, przez który przechodziły turnusami nie tylko stany dragonów i strzelców, ale i załóg czołgowych.

Jednak dywizja pancerna wciąż jeszcze nie istniała jako monolit. Były tarcia, animozje, szowinizmy poszczególnych broni: kawalerii, pancerniaków, piechoty, itd. Była część oficerów czołgistów sprzed wojny, zasklepiająca się w ciasnej fachowości i niechętna wprost udostępnianiu jej wszystkim.

Doprowadziło to do pewnego rodzaju „buntu”, jakżeż przypominającego mi w swej dziecinności i braku sensu ten

„bunt” podoficerów kawalerii, przy formowaniu mego baonu szturmowego w r. 1920. I tak samo „psychologicznie” zażegnanego.

Oto w jednym z pułków pancernych 16 brygady pancernej, młodzi oficerowie w liczbie kilkunastu, złożyli przez dowódcę pułku - dowódcy brygady płkowi T. Majewskiemu podanie, protestujące przeciw przemieszaniu ich z kawalerzystami.

Sprawa doszła do mnie.

Kazałem dowódcy brygady przedstawić sobie do raportu dwóch z tych młodych oficerów, którzy najdalej się w swym zaciętrzewieniu zapędzili, używając określenia, że nie chcą walczyć razem z „kobyłarzami”. Przy raporcie spytałem, czy kiedykolwiek służyli w pułku kawalerii, a na odpowiedź negatywną, obu przeniosłem - jednego do 14 pułku ułanów, a drugiego do 10 strzelców konnych, aby poznali dobrze tych

„kobyłarzy”. Po dwu miesiącach będą mieli prawo prosić przy raporcie o przeniesienie ich z powrotem do dawnych pułków. Po dwu miesiącach obaj ci oficerowie przy raporcie dywizyjnym prosili o pozostawienie ich w pułkach kawalerii. Prośby zostały poparte gorąco przez ich nowych dowódców.

Tak - powoli - ponad „~esprit de corps” poszczególnych broni, zaczął się tworzyć „~esprit de corps” 1 polskiej dywizji pancernej.

‘tb

** ** **

‘tp

Ogrom pracy, dokonanej przez żołnierzy dywizji pancernej można by zobrazować ilością kursów zewnętrznych i wewnętrznych dywizji. W tych drugich ogromną zasługę mają ci wszyscy oficerowie i podoficerowie, szczególnie starsi, którzy z powodu wieku wyeliminowani ze stanów bojowych dywizji, całą swą wiedzę, zapał i wytężoną pracę oddali dla idei stworzenia dywizji.

Ogrom tej pracy można by też zobrazować ilością wciąż zmieniającego się na lepsze sprzętu bojowego. Wystarczy tylko wymienić typy czołgów, przez które przeszli nasi pancerniaczy: Matyldy, Valentyny, Churchille w okresie ząbkowania, a potem Covenantry, Crusadery, by w końcu w pułkach pancernych zostać na Shermanach, a w pułku rozpoznawczym na świetnych Cromwellach.

I podobnie w innych broniach.

Pierwszym sprawdzianem wartości dywizji jako całości było ćwiczenie „Snaffle”, co znaczy uzda, w rejonie Newmarket na północ od Londynu w lecie 1943 r., prowadzone przez dowódcę Okręgu Wschód (Eastern Command). Przeciwnikiem była 4 dyw. pancerna kanadyjska, nieodłączna potem nasza towarzyszka w bojach na kontynencie.

Jakkolwiek „uzda” oznacza opanowanie konia i raczej hamowanie, ćwiczenia wygraliśmy raczej większą szybkością. Gdy do tego, jako znak rozpoznawczy „godło” noszone na ramieniu, polska dywizja pancerna obrała sobie skrzydło husarskie, sięgając po chlubną tradycję kawalerii i pancernia, w sztabach wyższych zaczęto obawiać się, że dywizja będzie na ślepo szarżować, ponosząc niepotrzebnie wysokie straty. Bano się, że tak będzie szczególnie w pułkach kawaleryjskich 24 ułanów i 10 strzelców konnych, tymczasem dla prawdy historycznej należy stwierdzić, że pierwszą szarżą dywizji było natarcie 1 p.pancernego na wzgórze 111 pod Soignolles w trzecim dniu bitwy. Zresztą pojęcie szarży w formach walki pułków pancernych miało już odmienną i uzasadnioną warunkami pola walki postać.

‘tb

** ** **

‘tp

Gdy zaczął już przejawiać się

„~esprit de corps” nowej dywizji i gruntowało się braterstwo oddziałów i żołnierzy, a na miejsce starych szowinizmów - nowe szowinizmy oddziałowe i pododdziałowe, padł grom w formie reorganizacji.

Już przedtem na podstawie swych doświadczeń na Środkowym Wschodzie i Afryce, Brytyjczycy przeszli na nową formę dywizji pancerniej, słabszej pod względem ilości oddziałów pancernych, ale bardziej samowystarczalnej na polu bitwy. Reorganizacja polegała głównie na zredukowaniu do jednej brygady pancerniej, a dodaniu zmotoryzowanej brygady strzelców.

Jako warunek użycia nas w inwazji kontynentu, wysunięto teraz przejście na nową organizację.

Duży, bardzo poważny problem i dla Naczelnego Wodza, którego polityce na przyszłość odpowiadała duża ilość pułków pancernych - bo 6, dająca łatwość przejścia w razie potrzeby i możliwości na korpus pancerny. Jak i dla nas, dowódców wszystkich szczebli dowodzenia w dywizji, gdy stanęliśmy przed koniecznością drastycznych pociągnięć w stosunku do oddziałów, które swą pracą, zapałem i dotychczasowymi osiągnięciami nie zasługiwały, by je skreślić z dywizji.

Jak zawsze w kryzysie, otworzyły się niezasklepione jeszcze zupełnie urazy i ambicje. Znowu kawaleria, broń pancerna, piechota - w antagonizmach.

A w nowej organizacji było tylko miejsce na cztery pułki pancerne; trzy w brygadzie pancerniej, a jeden rozpoznawczy już na samochodach pancernych, ale nie na czołgach.

Trzeba było wyeliminować dwa pułki pancerne.

Za to było miejsce na trzy baony strzeleckie i jeden zmotoryzowany, dragonami u nas zwany, w miejsce jednego tylko baonu strzeleckiego i dwóch baonów dragonów. Głowiłem się mocno i ja i mój szef, by pogodzić różne tak rozbieżne względy i historyczne kolejności powstania oddziałów i ich udziału już w tej wojnie w kampanii wrześniowej w Polsce lub francuskiej w r. 1940 i ich obecnej przydatności.

Ostateczna forma organizacyjna dywizji wyglądała następująco:

Płk dypl. K. Dworak został mým zastępcą, płk dypl. J. Levittoux szefem sztabu, a ppłk dypl. M. Rutkowski kwatermistrzem.

**Pułk rozpoznawczy - 10 strzelców konnych - na czołgach brytyjskich Cromwell,
dowódca - mjr J. Maciejowski.**

10 brygada kawalerii pancerniej

- na czołgach amerykańskich Sherman,

dowódca - płk dypl. T. Majewski,

zastępca dowódcy - płk dypl. F. Skibiński,
szef sztabu - mjr dypl. M. Czarnecki,
1 pułk pancerny - ppłk A. Stefanowicz,
2 pułk pancerny - ppłk dypl. S. KOszutski,
24 pułk ułanów - ppłk J. Kański,
10 pułk dragonów - ppłk W. Zgorzelski,
3 brygada strzelców,
dowódca - płk M. Wieroński,
zastępca dowódcy - ppłk dypl. W. Dec,
szef sztabu - kpt. dypl. J. Nawara,
1 baon strzelców Podhalańskich
- ppłk K. Complak,
8 baon strzelców - ppłk A. Nowaczyński,
9 baon strzelców - ppłk Z. Szydłowski,
1 samodz. szwadron ckm z 1 p.rozp. - mjr M. Kochanowski,
Artyleria dywizyjna,
dowódca - płk dypl. B. Noel,
szef sztabu - mjr dypl. A. Sulewski,
1 pułk art. motorowej - ppłk J. Krautwald,
2 pułk art. motorowej - ppłk K. Meresch,
1 pułk art. ppanc. - mjr R. Dowbór,
1 pułk art. plot. - ppłk dypl. O. Eminowicz, następnie mjr W. Berendt,
Saperzy dywizyjni - komp. sap. dowództwa, 10 i 11 komp. sap., 1 komp. park. sap.
i pluton mostowy,
dowódca - ppłk J. Dorantt,
1 baon łączności - szwadr. dowodzenia łącz., 1, 2, 3 i 10 szwadrony łączności,
dowódca - ppłk J. Grajkowski,
1 szwadron regulacji ruchu - rtm. A. Pierogrodzki,
Służby,
Duszpasterstwo - ks. J. Szymała, potem ks. F. Tomczak,
Oddziały warsztatowo_naprawcze
- mjr M. Wąsowicz,
Komp. warsztatowa bryg.panc. - mjr J. Kaszubowski,
Komp. warszt. bryg.strzel. - mjr F. Perepeczko,
Służba materiałowa - mjr E. Fryzendorf,
1 park materiałowy - mjr T. Lesser,
Oddziały zaopatrywania - ppłk dypl. W. Bielski - potem mjr M. Żebrowski i mjr H. Gwiazdecki,
Oddziały sanitarne - ppłk lek. W. Pawłowicz,
Pluton opieki - mjr A. Łubkowski,
8 sąd polowy - mjr audytor N. Tomaszewski,
oraz,
Obóz uzupełnień 1 dywizji panc. - ppłk J. Deskur,
1 szwadron czołgów zapasowych
- rtm. B. Skulicz,
szef żandarmerii - kpt. M. Wolnik,
8 szwadron żandarmerii - kpt. Z. Bojarski,
Etatowy stan liczebny dywizji wynosił:
885 oficerów,
15.210 szeregowych,
381 czołgów,

473 dział (prócz dział w czołgach),

4050 pojazdów mechanicznych.

Jeśli do pułków pancernych był średnio wystarczający element ludzki, tak że można było 16 brygadę panc. ze skadrowanymi pułkami 14 p.uł. i 3 pułkiem panc., oddać do dyspozycji Naczelnego Wodza - jako podstawy dalszego rozrostu armii - to sprawa w brygadzie strzeleckiej wyglądała od początku słabiej. 1 baon podhalański powstał przez uzupełnienie Podhalań 16 baonem dragonów. 8 baon rozwinął się z batalionu wsparcia dywizji pancernej przed reorganizacją. Baon 9 trzeba było formować na nowo z wszelkiego rodzaju nadwyżek i wyciśniętych szeregowych z redukcji.

Z wdzięcznością wziąłem na dowódców 3 oficerów brygady spadochronowej, którzy z powodu przekroczonego wieku dla spadochroniarzy byli bez przydziału, a to: ppłk Z. Szydłowski, ppłk Complak i ppłk Nowaczyński, którzy w krótkim czasie cudów dokazali, stwarzając pod każdym względem podciągnięte jednostki przewożonej piechoty. Tym bardziej to godne podkreślenia, że nie mogli przebierać w ludziach, przyjmując wszystko, co napływało do oddziału, a i tak nie wypełniało 100 procent etatów.

Miłym sercu memu objawem było zgłaszanie się do mnie ze wszystkich stron W. Brytanii oficerów z byłej 29 dywizji grodzieńskiej -

„grodzienszczaków”, jak ich nazywaliśmy - a szczególnie oficerów z b. 81 pułku strzelców grodzieńskich im. króla Stefana Batorego, którym dowodziłem w latach 1929_#1934. Śledziłem losy tego pułku i jego oficerów w pułku i poza pułkiem w kampanii wrześniowej 1939 r. Radością napawały mnie fakty, że ci z nich, w których pokładałem nadzieję, nie zawiedli, jak mjr Kuferski w opisanym w tych wspomnieniach epizodzie w bitwie w Beskidzie Zachodnim, jak kpt. Józef Joss~e - w dywizji 11 gen. Prugara_Ketlinga, w bohaterskim przebijaniu się pod Hołoskiem i Zboiskami, w którym zdobył sobie złoty Virtuti Militari IV kl. i drewniany krzyż na swój grób.

Wielu z nich, którzy za mych grodzieńskich czasów byli jeszcze młokosami, przychodziło teraz do mnie już jako ludzie dojrzały; wielu w wieku, który predysponował ich na funkcje raczej w sztabach i służbach; wreszcie wielu specjalistów różnego rodzaju, tak niezbędnych w każdej broni technicznej. Tak dołączyli do dywizji: ppłk dypl. W. Dec po funkcji w sztabie na zastępcę dowódcy brygady, major Władysław Bohdanowicz do oddziałów warsztatowych, mjr Stępień na stanowisko liniowe, kpt. Kazimierz Choynowski, znany z poprzednich kart wspomnień, do oddziałów zaopatrywania, kpt. M. Michalczyk do oddziałów łączności, były mój adiutant z Grodna, kpt. Borkowski, do służby kancelaryjnej, kpt. Pstrocki i inni.

Faktu to nie zasłaniało, że baony strzeleckie, jako powstające w czasie najpóźniejszym i z elementu takiego, jaki się znalazł pod ręką - nie osiągały tej wysokiej formy gotowości, jaką nabierały w miarę czasu pułki pancerne i artylerii. Jeśli brak ilościowy i jakościowy z konieczności zmuszał do improwizacji, to musiało to się odbić przede wszystkim na powstających w ostatnim terminie, bo przy końcu

1943 r., oddziałach piechoty i służbach zaopatrywania.

Mając przywilej długiego czasu szkolenia, dywizja pancerna do końca nie miała dostatecznej ilości żołnierzy do zapełnienia obowiązujących etatów, nie mówiąc już o nadwyżkach, które dopiero mogłyby pozwolić na odpowiedni dobór we wszystkich oddziałach i służbach.

‘tb

** ** **

‘tp

Jesienią 1943 r., już w nowej organizacji, wróciliśmy z Anglii z rejonu Newmarket_Cambridge z powrotem do Szkocji na stare nasze kwatery. Gdyśmy kilka miesięcy przedtem zaczęli ćwiczenia letnie byłem z kilkoma oficerami podejmowany obiadem w sławnym „College’u” Corpus Christi w Cambridge. Na zakończenie obiadu krążyła karafka z najstarszym portem, dla uczczenia polskich żołnierzy. Teraz przy pożegnaniu podano port stosunkowo młody, bo z

1920 r. I dopiero mowa rektora college'u wyjaśniła powód. Oto żegnano nas tym „vintagem” na cześć naszego polskiego zwycięstwa w r. 1920.

‘tb

** ** **

‘tp

W Szkocji od początku zaczęło się doszkalanie, zgrywanie uzupełnianych stanów w jednostkach i wieczna walka z brakiem pokrycia etatowego.

19 marca 1944 r. dywizja otrzymuje rozkaz brytyjskiej mobilizacji. Chodziło o mobilizację materiałową. Był to prawdziwy egzamin sprawności, tak wszystkich dotyczących organów służb brytyjskich, jak służby materiałowej dywizyjnej z płkiem E. Fryzendorfem na czele. Ale nade wszystko sprężystej służby materiałowej 1 korpusu, prowadzonej niezawodnie przez płka Z. Łojko. Mimo obaw, nie bez cienia słuszności, że Polacy zechcą wyposażyć się na „wyróst”, biorąc wiele rzeczy na

„wszelki wypadek”, bo przewidywanie naszych żołnierzy było ogólnie znane, przebieg mobilizacji materiałowej określili Brytyjczycy jako wysoce zadowolający i mimo pewnych różnic w zapatrywaniach i trudnościach językowych, sprawniejszy niż w wielu jednostkach brytyjskich. Uproszczeniem było bardzo racjonalne podejście brytyjskie: uzupełnianie sprzętu tylko tam, gdzie w stanie posiadania oddziału było już ponad 50 procent stanu etatowego, a odbieranie całego sprzętu oddziałom, które miały go poniżej 50. procent i przydzielanie 100 procent nowego sprzętu.

Teraz dywizja osiąga już gotowość bojową. I to mimo kamuflowanych braków w stanach liczbowych i mocno przekroczonej granicy wieku w wielu kategoriach. W imieniu Naczelnego Wodza urzędują dwie komisje dla rzeczowego przedstawienia stanu faktycznego. Bardzo wnikliwa komisja gen. Zająca, która stwierdzając wysoki poziom wyszkolenia - szczególnie w oddziałach pancernych - zwraca uwagę na zasadniczą bolączkę: brak uzupełnień na pokrycie strat, nawet minimalnych. I może zbyt pesymistycznie nastrojona komisja gen. Langnera - dotycząca służb dywizyjnych - podkreślająca podeszły wiek i słaby stan fizyczny w służbach zaopatrywania, co grozi unieruchomieniem dywizji po początkowym jej użyciu. Rzeczywiście mieliśmy szczególnie jako kierowców w kompaniach zaopatrywania dużo starszych wiekiem, a jeszcze starzej wyglądających Polaków z Ameryki Łacińskiej. Wszystko to było słuszne, ale nie mogło zahamować już użycia naszej dywizji do inwazji. W przyszłości największą niespodzianką okazała się właśnie ci starzy kierowcy z Brazylii i Argentyny, którzy w czasie pościgu z Normandii do Belgii, przy wydłużających się nadmiernie liniach komunikacyjnych, pracując dzień i noc bez wytchnienia, nigdy się nie załamują i dorzucają dużo swego znoju i trudu do błyskotliwych sukcesów dywizji w tym okresie.

‘tb

** ** **

‘tp

Inspekcja dowódców i sztabów sojusznicznych była dyskretna, pewno poprzez raporty misji łącznikowych, uzewnętrzniła się tylko w dwóch wizytach szczebla najwyższego brytyjskiego i amerykańskiego.

Pierwszą taką wizytą, to przyjazd marszałka Montgomery'ego dnia 13 marca. Poprzedzała marszałka sława pogromcy Rommla - zwycięzcy spod Alamein - popularność, jaką miał Monty na całej wyspie. I tak patrzył na niego żołnierz 1 dyw. pancernej, którego jedynym życzeniem było bić się z Niemcami. Do porządku więc przeszedł nad jego oryginalnym ubieraniem się, nie bardzo zgadzającym się z naszymi pojęciami wojskowego porządku, nad różowym sweterkiem i dwiema odznakami na berecie, nad jego wyłożeniem na przygotowanego „jeepa” jak na estradę i deklamowaniem, że oto idzie razem z nami, by „zabijać” Niemców. I nad innymi śmiesznościami, które podobno są cechą ludzi skądinąd wielkich i genialnych.

Jego „morowość”, gdy oto wyszedł do nas w zimny dzień marcowy przed front żołnierzy dobrze ubranych w płaszcze i rękawice - sam bez płaszcza tylko w

„battledresie” - szybko upadła, gdy przed śniadaniem w kasynie zaczął ściągać spod battledresu aż 3 sweterki.

Nie mogłem połapać się z początku czy „kpi”, czy „o drogę pyta”, gdy rzucił pytanie, jakim właściwie językiem mówią Polacy u siebie w Polsce - po niemiecku, czy po rosyjsku.

A choć niektórych to irytowało, wszystko to nic, gdy uświadomiliśmy sobie, że aktem wizyty tej zostaliśmy włączeni do 21 grupy armii inwazyjnej marszałka Montgomery'ego.

‘tb

** ** **

‘tp

Następna szczęśliwa trzynastka

- 13 kwietnia - przyniosła nam nową wizytę.

Zapowiedziana jako wizyta gen. Grouse, wprawiła w zamieszanie i popłoch całą misję łącznikową brytyjską, która wertując na gwałt roczniki oficerów armii brytyjskiej, nie znalazła w ogóle takiego nazwiska.

Niemniej, jak rozkaz z góry zarządzał, rano tego dnia z dowódcą korpusu, którym był gen. Boruta Spiechowicz, w asyście szwadronu honorowego 10 strz. konnych, czekałem na tego tajemniczego generała, o którym nikt nic nie wiedział. A gdy salonka zajechała przed platformę, z wagonu wysiadł uśmiechnięty i radosny gen. Eisenhower.

Wyjaśniła się tajemnica

„kryptonimu”.

Prosty, naturalny sposób, w jaki gen. Eisenhower podszedł do nas dowódców i żołnierzy, z miejsca zdobył dla niego nasze serca. Żadnych mów, żadnych wielkich słów. Z góry zastrzegł się przed wszelkimi formami przygotowanych przyjęć i ćwiczeń. Objeździł oddziały tak, jak je zastał na polu ćwiczeń czy na kwaterach, podczas pracy i w porze pobierania posiłków.

Rozmawiał swobodnie z oficerami i żołnierzami o wszystkim, co jest treścią małego życia żołnierskiego w garnizonach. Wsiadał do czołga, strzelał razem z kadrą 24 p.uł. z pistoletu i to bardzo trafnie. Może kontrast z wizytą sprzed miesiąca uwypuklił jego miłą sylwetkę.

Budził zaufanie - ten główny dowódca sił sojuszniczych zbliżającej się inwazji kontynentu.

A dywizja od góry do dołu żyła tylko oczekiwaniem tego momentu, dla którego gotowała się już nie miesiące, ale lata. Wiedzieliśmy o zastrzeżeniu w umowie gen. Sikorskiego ze sztabem brytyjskim, że dyw. pancerna polska nie będzie użyta do przełamania wału atlantyckiego, lecz dopiero w drugiej fazie inwazji - wyjścia z przyczółków inwazyjnych. Brak więc jakichkolwiek bezpośrednich przygotowań przedinwazyjnych w dywizji polskiej nie oznaczał, by nie były one robione w wielkiej skali w jednostkach pierwszego rzutu.

W maju przesunięto nas znowu do Anglii, do hrabstwa Yorku, dla większych ćwiczeń, tym razem z francuską 2 dywizją pancerną gen. Leclerca. Nie wyszliśmy jednak poza pierwszy okres przygotowawczy, gdy w trakcie ćwiczeń wieczorem 5 czerwca przyszedł rozkaz, nakazujący „absolutną ciszę radiową”.

Przyjęliśmy to, jako nieomylny znak zaczęcia działań.

6 czerwca inwazja się zaczęła.

D_day - tej ogromnej operacji Overlord.

W drugiej połowie czerwca, gdy zezwolono z powrotem na używanie radia, przeprowadziła dywizja jedno wielkie ćwiczenie całością, na którym obecny był Naczelny Wódz, gen. broni Sosnkowski.

W lipcu 1 polska dywizja pancerna przeszła na południowy skraj Anglii do rejonu Aldershot, czekając na swą kolejkę.

Przeszło 13.000 oficerów, podoficerów i szeregowców na

4.431 pojazdach mechanicznych, w tym 381 czołgach. Byliśmy świadomi siły tej formy jednostki bojowej, którą wspólnym wysiłkiem stworzyliśmy.

Przed załadowaniem odwiedził dywizję Prezydent Rzeczypospolitej, W. Raczkiewicz.

‘tc

Rozdział 2ã

Inwazja. Operation „Totalise”ã

i „Tractable”

‘tc

Szef sztabu dyw. panc. płk dypl. J. Levittoux, oficer wielkiej klasy, i brytyjski oficer łącznikowy kpt. Wills zginęli od małego kalibru bomb lotniczych, jako pierwsze ofiary dywizji. Wysłani byli w połowie lipca 1944 r. na przyczółek inwazyjny dla nawiązania łączności z brytyjską 11 dywizją panc., na której miejsce miała wejść nasza dywizja. Obaj kierownicy samochodów zostali ranni, cało wyszedł jedynie kwatermistrz dywizji ppłk dypl. Rutkowski.

Chyba to właśnie było preludium do naszych walk inwazyjnych, walk w Normandii.

Gdyż dla nas, dla całości dywizji, zaczęło się raczej, jak na dobrze zorganizowanych manewrach. Przemarsz z rejonu Aldershot przez Londyn do portu Tilbury nad Tamizą, prowadzeni bezbłędnie przez brytyjską świetną regulację ruchu, podzieleni na paczki, niemal powiązani sznureczkami, każdy na swój statek - na swoje przewidywane miejsce. Nawet uszkodzenie jednego statku przez latającą bombę (V_#1Ñ), którymi Niemcy coraz silniej obkładali miasto i porty, nie zrobiło zamieszania. Do dwóch godzin podstawiono nowy statek i wszystko dalej szło wedle

„King’s Regulation”.

Każdej chwili na statku miałem wrażenie, że ktoś zapyta o bilet i czy mam „kuszetkę”. Albo rozbrajająco, jak na afiszach wtedy modnych w całej W. Brytanii: „Is your journey really necessary?” Czy pańska podróż jes nieodzowna? Cichy, spokojny, całą noc trwający przejazd od ujścia Tamizy, między wybrzeżem francuskim a brytyjskim, aż do improwizowanych stalowych

„portów” na plażach Normandii koło Arromanches. Potem systematyczne wyładowanie z zaprowadzeniem „za rączkę” do miejsc postoju, którymi były kwadraty pól, stłamszone i pozbawione krzty zieleni przez gasienice pojazdów poprzednich oddziałów, okolone żywopłotami i drzewkami o barwie szarej kurzu wapiennego.

Był dzień 1 sierpnia 1944 r.

Szefa sztabu zastąpił mjr dypl. L. Stankiewicz, stary oficer 10 brygady - jeden z mej

„paczki”, która w 1940 roku pieszo przeszła całą Burgundię - odtąd mój bezpośredni i niestrudzony pracownik i pomocnik.

I zaczęło się w sztabie jak w garnizonie od studiowania map i setek różnych rozkazów, przepisów i dodatków.

Tylko noce były więcej romantyczne, rozświetlane

„flarami” z samolotów niemieckich i girlandami świetlnych pocisków przeciwlotniczych, gdyż Niemcy tylko w nocy odważali się na naloty.

Dywizja weszła w skład 2 korpusu kanadyjskiego, dowodzonego przez Lt.n. Gen. G. G. Simonsa w kanadyjskiej 1 armii i gen. H. D. G. Crerara.

Zameldowałem się u obu dowódców osobiście i forma, z jaką mnie przyjęto, była dobrym prognostykiem współpracy na przyszłość. Szczególnie do smaku przypadł mi energiczny, bardzo młody (dużo młodszy ode mnie) dca korpusu. Sympatia, zdaje się obopólna, uprościła bardzo naszą pracę w nadchodzące ciężkie dni.

Sytuacja ogólna na froncie w Normandii tak się kształtowała:

marszałek Montgomery, który dotychczas dowodził całością frontu inwazyjnego, w lipcu uderzeniami o krótkim zasięgu terenowym związał przed wschodnim swym skrzydłem w rejonie Caen większość sił niemieckich, a przede wszystkim większość sił pancernych „Panzer Gruppe „Western”” (6 dywizyj panc.). Ułatwił przez to wyjście armii amerykańskiej na zachodnim skrzydle z rejonu St. Lo. W pierwszych dniach sierpnia siły te wywalczyły sobie swobodę działania w kierunkach południowym, wschodnim i zachodnim, rozlewając się szeroko ze swych przyczółków. To z kolei sprowokowało ściągnięcie większości sił pancernych niemieckich z obszaru Caen, dla uderzenia w kierunku zachodnim na bok wychodzącej armii

amerykańskiej. Jako ubezpieczenie tego manewru od północy przed Caen, zostały tylko dywizje piechoty i oddziały statyczne, w dobrze i szeroko umocnionych pozycjach, naszpikowanych działami ppanc., z najgroźniejszymi wśród nich działami 88z7šmm, czołgami ciężkimi typu Tygrys i Pantera i jedną o stosunkowo wysokich stanach 12 dyw. pancerną „Hitler Jugend”.

Marszałek Montgomery, który przyjechał do naszej dywizji na odprawę dnia 5 sierpnia, określił ten odcinek frontu pod Caen, jako zawias, który wyważyć miało z kolei natarcie armii kanadyjskiej w celu wyjścia w ogólnym kierunku na Falaise, na bok i tyły nacierającej na Amerykanów 7 armii niemieckiej.

Tym razem Montgomery zrobił na nas dużo lepsze wrażenie niż poprzednio w Szkocji. Jego krótkie, rzeczowe a bardzo obrazowe przedstawienie całego swego planu - było rodzajem

„meisterstück” i pozostało do końca bitwy „Falaise” w pamięci dowódców. Dowódca grupy operacyjnej armii na odprawie oficerów do dowódcy kompanii i szwadronu włącznie, to coś nowego i imponującego!

Wykonawca nakazanej operacji, nazwanej „Operation Totalise”, gen. Simonds i jego sztab, zdawali sobie sprawę z siły rozbudowanej w głąb przestrzeni obrony niemieckiej; nie doceniali może głębokości tej obrony, narastającej od 6 czerwca, tj. dnia inwazji - jako

„place d’armes” szeregu formacji fortecznych z Atlantic Wall: dywizji piechoty różnego typu, jednostek spadochronowych i całej Panzer Gruppe „Western”, zanim odeszła na zachód.

Natarcie 2 korpusu kanadyjskiego w sile 3 dywizyj piechoty, wspartych sam. brygadą pancerną i 2 dywizjami pancernymi, dysponowało wszystkim, czym taktyka i technika mogły wzmocnić nacierającego.

Uderzenie nocne wyszło z 7 na

8 sierpnia przy olbrzymim wsparciu lotnictwa brytyjskiego bombowego i masy artylerii. Pierwsze rzuty piechoty w kolumnach na podwoziach pancernych, zaimprovizowanych głównie z samobieżnej artylerii (po zdemontowaniu dział) - kolumny, które poszły w „dym”, by nie dać ocknąć się zaskoczonemu przeciwnikowi, poprzedzane kompaniami ciężkich czołgów. Pierwszy raz zastosowano system wskazywania kierunków w ciemności, przez reflektory i świetlne pociski Boforsów. Wszystko to dało w efekcie szybkie i z minimalnymi stratami opanowanie przedniego pasa pozycji umocnionej, a szczególnie miejscowości: May_sur_Orne, Roquaucourt, Tilly la Campagne.

Ale tylko na głębokość około 4 kilometrów z tym, że i w tym przekroczonym pasie broniły się jeszcze grupki żołnierzy niemieckich w drobnych punktach oporu.

Teraz przyszła kolej na dwie dywizje pancerne, polską i kanadyjską, które miały „wykorzystać” na Falaise, a przede wszystkim na wzgórze na północ od tej miejscowości.

Stosownie do mego zamiaru, dywizja miała przejść przez czołową 51 dyw. szkocką w dwu rzutach:

10 bryg. pancerna, jako prowadząca, wzmocniona 8 baonem strzelców i 22 p. dragonów brytyjskich, wyposażonym w czołgi usuwające miny i wsparta 1 pułkiem art. motorowej;

3 bryg. strzelców, jako oczyszczająca teren i konsolidująca się na ważnych punktach terenowych, wsparta 2 pułkiem art. mot.;

10 pułk strz. konnych miał rozpoznaniem ubezpieczyć odsłaniające się skrzydło wschodnie dywizji, podczas gdy zachodnie było osłonięte działaniem 4 kanadyjskiej dyw. pancernej.

Ruch zaczął się o godz.

#/13#45 poprzedzony bombardowaniem przez lotnictwo amerykańskie.

Zawiodły dwa czynniki:

Ńa) bombardowanie lotnicze, które było częściowo za dalekie, a częściowo za bliskie, gdyż nie objęło celów, które z miejsca zatrzymały wyjście czołgów 24 pułku ułanów i 2 pułku panc., ale za to przejechało się po naszych tyłach, zadając straty polskiemu pułkowi przeciwlotniczemu i kanadyjskiej A.G.R.A. Zredukowało to poważnie efekt ognia artylerii średniej, mimo dzielnej postawy artylerzystów kanadyjskich;

Ńb) fakt, że głębsza część pozycji niemieckiej była nienaruszona i zamieniła

„wykorzystanie” dywizji pancernych na zmuđną i powolną akcję wgrzania się w niemiecką obronę.

Od momentu, gdy czołowe rzuty

24 p.uł. i 2 pułku panc. przekroczyły oddziały 51 dywizji, znalazły się one nie tylko w skutecznym ogniu dział ppanc. wszelkiego kalibru artylerii i moździerzy, ale w kontrakcji czołgów niemieckich typu ciężkiego z 101 baonu czołgów ciężkich z 1 korpusu panc. S.S. i rozwijając się do natarcia, poniosły od pierwszego momentu poważne straty. Bardzo hamującym działania nasze okazał się boczny ogień baterii niemieckich ze wschodniego skrzydła, nie objętego natarciem własnym. Zjawisko to stale nam będzie towarzyszyć w pierwszych dniach walki. Już niemal w pierwszych godzinach akcji nawet kolumna rzutu bojowego kwatery głównej dyw., posuwająca się między dwiema brygadami, znalazła się w ogniu dział 150ż7šmm z tego to kierunku. Jeden pocisk padł tuż przed grupą oficerów sztabu, których zwołałem, korzystając z przerwy w ruchu. Dobrze, że nie eksplodował, ale rykoszetem przeniósł ponad maszynami bojowymi rzutu. Zdawało się, że obeszło się bez strat. Tajemniczym tylko było zniknięcie pułkownika brytyjskiego, oficera łącznikowego do dowódcy dyw. Dopiero na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że jego ciało znaleziono przy drodze w okopie niemieckim, do którego wskoczył podczas nawały artyleryjskiej i gdzie go dosięgnął odłamek pocisku. Jak na razie pecha wyraźnego mają ci ofiarnie pracujący oficerowie brytyjscy - 2 zabitych na kilkunastu przydzielonych do całej dywizji. Następnego dnia nawała ognia podobnego gatunku na rzut bojowy kwatery głównej zada większe straty - największe w towarzyszącym plutonie regulacji ruchu i żandarmerii polowej. W ostatecznym rezultacie w przeciągu dnia 8 sierpnia (a raczej pół dnia, bo natarcie zaczęło się o #/13#45Ń), 10 brygada zaledwie oddziałami czołowymi wyszła z wyrwy, wyrabanej natarciem korpusu. W dniu 9 od świtu brygada uwikłała się w zaciekle i uporczywe a kosztowne walki, które przez opanowanie rejonu Cauvicourt, wyprowadziły ją zaledwie kilka kilometrów wprzód na południe, Niemcy bowiem zdołali wybitnie zasilić odcinek, przede wszystkim bronią przeciwpancerną. Jak podają źródła kanadyjskie, front w pasie działania obu alianckich dywizji pancernych został zasilony 90 działami 88ż7šmm, ściągniętymi niedawno z obrony przeciwlotniczej Belgii i Holandii, a teraz użytej jako najgroźniejsza broń przeciwpancerna. Zagrożenie skrzydła wschodniego dywizji wskutek dominujących nad terenem wzgórz w rękę niemiecką, nie objętych natarciem żadnych jednostek alianckich, stało się w tym dniu tak poważne, że musiałem nakazać 3 brygadzie strzeleckiej zawrócić o 90/0 na wschód. Natarcie batalionu podhalańskiego i części 8 baonu strzelców, wsparte artylerią i lotnictwem na St. Sylvain i wzgórze nad tą miejscowością, do wieczora zdobyło nakazane przedmioty i usunęło bezpośrednie zagrożenie. Następnego dnia uporczywych walk 10 brygady i 3 brygady przesunął front o dalszych 3 kilometrów na linię Soignolles, Estrées la Campagne, ale nie dał przerwania się naszej dywizji i kanadyjskiej przez obronę niemiecką z wyjściem na Falaise.

Charakteryzując ogólnie ten okres działań:

Walka 1 polskiej dywizji pancernych rozbiła się na szereg drobnych momentów i akcji, tak charakterystycznych dla walk wewnątrz przygotowanej obrony nieprzyjaciela, które mozolnie tylko, krok za krokiem posuwały nas naprzód. Wszystkie oddziały dywizji walczyły uporczywie i z determinacją mimo poważnych strat szczególnie w czołgach, bo 60 w trzech dniach walki i poważnych strat w rannych i zabitych. Osiągały szereg taktycznych sukcesów jak szarża czołgów 1 pułku pancernego na wzgórze 111, okupiona stratą dzielnego zastępcy dowódcy pułku mjr Malinowskiego, ale uwieńczona odbiciem z niewoli niemieckiej około 100 Kanadyjczyków z British Columbia Regiment, których natarcie czołgów zastało zdziśiatkowanych na zachód od tego wzgórza. Jak sukces natarcia Podhalańców na St. Sylvain; jak z wielkim elanem wykonane natarcie 9 baonu na Soignolles - chrzest ogniowy tego najmłodszego oddziału dywizji. Jak wreszcie

24_godzinną zaciętą walkę 10 pułku dragonów o miejscowość i las Estrées la Campagne, gdzie Niemcy bezskutecznie przeciwnacierali i bronili niemal każdego domu.

Zdawałem sobie sprawę z charakteru walk, w które uwikłała się dywizja - toteż, gdy otrzymałem rozkaz z korpusu kanadyjskiego zdobycia jednym baonem kwadratowego lasu Quesnay, zamienionego przez Niemców na potężną redutę, a hamującego posuwanie się obu dywizji pancernych - polskiej i kanadyjskiej - pojechałem do dowództwa i zdołałem przekonać gen. Simonsa, że dla wykonania tego zadania trzeba świeżych sił i to co najmniej siły jednej brygady piechoty. Wciąż bowiem w sztabie korpusu pokutowało przekonanie, że dywizja pancerna polska i kanadyjska nie mogą przerwać się przez obronę niemiecką, gdyż są bez doświadczenia.

NOWO zaangażowana brygada kanadyjska, mimo wsparcia silnej artylerii i lotnictwa, w nocy z 10 na 11 sierpnia lasu Quesnay nie zdobyła.

To może ostatecznie przekonało dowództwo, że trzeba jeszcze raz zmontować potężne uderzenie - wszystkimi posiadanymi środkami korpusu - jeśli ma się wyrzucić obie dywizje pancerne w kierunku południowym dla operacyjnego wykorzystania.

A teraz krótki rachunek sumienia:

Za dużo nas kosztował ten wstępny okres działań, za mały dał bezpośredni sukces w efekcie, nie wyprowadzając nas na Falaise, by nie był na miejscu ten rachunek.

Czy naprawdę byliśmy tak

„zieleni”, tj. niedoświadczeni i my, i kanadyjska dywizja pancerna i dlatego nie mogliśmy się przerwać przez obronę niemiecką?

Rzeczywiście była to pierwsza bitwa 1 polskiej dywizji pancerniej, więc własnego doświadczenia z zakresu walki dywizji pancerniej nie miał z nas nikt, od dowódcy dywizji do ostatniego strzelca czy ułana... To własne doświadczenie można zdobyć tylko na polu walki i tylko dla siebie niejako osobiście. Nasze osobiste doświadczenia z września 1939 r. w Polsce i czerwca 1940 r. we Francji były co najmniej przestarzałe, gdyż od tego czasu dużo zmieniło się i w technice i w taktyce. Oczywiście o tych wszystkich zmianach teoretycznie wiedzieliśmy i chciwie pochałanialiśmy wszelkie doświadczenia obce, doprowadzając poziom wyszkolenia bojowego dywizji pancerniej na poligonach do maximum. Doświadczenie nie przychodzi z dnia na dzień, narasta raczej miesiącami i latami.

Ale chyba nie mogliśmy być aż tak „zieleni”, gdy po tygodniu, w warunkach odpowiedniejszych dla jednostki, jaką była dywizja pancerna, choć izolowani od całej armii alianckiej, stoczyliśmy 5-dniową ciężką, ale zwycięską bitwę z przewagą pancerną i sił żywych niemieckich.

A oto moja osobista ocena: dywizje pancerne polska i kanadyjska nie przerwały się w dniach 8-10 sierpnia przez obronę niemiecką, bo nie mogły.

Głębokość przygotowanej obrony niemieckiej była dużo większa niż tych 4 kilometry pierwszej pozycji, przerwanej z 7-8 sierpnia przez generalne natarcie korpusu kanadyjskiego. Najlepszym dowodem są umocnienia pod Soignolles i las Quesnay z bunkrami i schronami 8-10 kilometrów od skraju przedniego pierwszej pozycji i umocnienia w całej dolinie rz. Laison - jeszcze głębiej.

Natarcie 2 korpusu kanadyjskiego na kierunku dla Niemców najbardziej niebezpiecznym, bo wyprowadzającym w najbliższej drodze na Paryż - musiało być przez nich rozszyfrowane już w fazie olbrzymich przygotowań do natarcia. Prócz niemieckiej 89 dywizji piechoty na silnie w głąb umocnionych pozycjach, na obronę tego kierunku była nastawiona w drugim rzucie obrony jedna z najlepszych i najbardziej fanatycznych jednostek armii niemieckiej, a to dywizja pancerna 12 S.S. Hitler Jugend. Mimo generalnego natarcia na Amerykanów pod Mortain, do którego Niemcy wyciągali wszystkie dywizje pancerne, dywizja ta pozostawiona w sektorze obrony wzdłuż szosy Falaise-Caen, została dodatkowo wzmocniona 101-ym ciężkim baonem armijnym czołgów i baonem czołgów Panter z 9 S.S. dywizji pancerniej. Nie przesadzonym był pierwszy meldunek czołowych naszych oddziałów o 20-tu Tygrysach (czołg 56-tonowy) i bolesnych własnych stratach - jeszcze zanim czołowe oddziały polskiej dywizji pancerniej wyplątały się z obszaru nacierających jednostek szkockiej 51 dywizji piechoty. Jak się bowiem potem

okazało - w tym dniu, 8 sierpnia, na tym kierunku pod St. Aignan_de_Cramesnil zginął znany spec pancerny niemiecki, dowódca 101 baonu czołgów kpt. M. Wittmann.

Tymczasem forma zadania dla obu dywizji pancernych polskiej i kanadyjskiej była taka, że najłatwiej ją określić paradoksem: żądano od nich bardzo mało i dlatego za dużo.

Zadanie taktycznego wykorzystania, tj. wąskiego wyjścia ciasnym przełomem w obronie 89 dyw.piech. i ruchu wprost najkrótszą drogą dla opanowania pewnych punktów geograficznych, numerowanych cechami 206, 195 itd., wzgórz na północ od Falaise - skazywało obie te dywizje pancerne na sztywne, frontalne natarcie na wąskim froncie, a więc na jedyną formę działania, do którego dywizja pancerna jest za słaba.

Oczywiście impreza ta mogłaby się udać, gdyby nie fakt, że właśnie na tym odcinku przeciwstawiła się ruchowi obu dywizji wzmocniona ciężkimi czołgami 12 S.S. dywizja pancerna. Niemiecka dywizja, nie dysponująca nawet w przybliżeniu taką ilością czołgów, działając jednak w terenie przygotowanym do obrony, naszpikowanym grupami potężnych dział 88ż7śmm z 3 korpusu Flak gen. Wolfganga Pickerta, użytych jako działa przeciwpancerne - działając przy tym zgrabnie małymi grupkami bojowymi, do których podciągała też wycofujące się oddziały 89 dyw.piech. i napływające z rejonu Trun oddziały 85 dyw.piech., potrafiła narzucić nam i Kanadyjczykom ten charakter uporczywych - krok za krokiem walk, w których lepsze opancerzenie i lepsze działa zrównoważyły przewagę ilościową. Poza tym teren otwarty o horyzontach odległych ponad 2 kilometry dawał Niemcom przewagę w pojedynku naszych Shermanów i Cromwelli z niemieckimi Tygrysami i Panterami i niedoścignionym działem 88ż7śmm. Pocisk 88ż7śmm przebijał nasz pancierz z odległości 2 kilometrów - na przebicie zaś pancierza Tygrysa czy Jagdpantery trzeba było nam podejść na 400_#500ż7śm. A w terenie na ogół otwartym grupy murowanych domów, małych parceli leśnych czy sadów dawały dobre przeciwpancerne oparcie dla piechoty z lżejszą bronią przeciwpancerną.

Wytworzyła się dość paradoksalna sytuacja. Oto natarcie korpusu, poza ogromem wsparcia artylerii wszelkiego kalibru i lotnictwa - dysponuje ciężkimi czołgami typu Churchill, carriersami z wmontowanymi miotaczami ognia, a pierwsze rzuty piechoty posuwają się na carriersach i opancerzonych podwoziach gasienicowych, idąc razem z czołgami - jak myśmy to określili „w dym”. Przez to tworzą obraz jakby idealnej dywizji pancerniej przyszłości, która cała na sprzęcie gasienicowym i opancerzonym posuwa się jak masa żelaza i ognia terenem, tuż bezpośrednio za wałem ognia artylerii i lotnictwa, łamiąc wszystkie opory. Dywizje pancerne nasza i kanadyjska, nie dysponując ani w przybliżeniu siłą takiego ognia, ze sprzętem pancernym lekkim (Shermany i Cromwelle), przy natknięciu się na opór, piechotę swą muszą spieszać, tracąc moment zaskoczenia. I jak długo nie wyjdą z przestrzeni przygotowanej obrony, nie mogą wygrać tych atutów, które są siłą dywizji pancerniej, tj. szybkości ruchu, dużego zasięgu działania całej jednostki, a zwrotności w walce i szybkości swych czołgów na te walory nastawionych.

Stąd 3_dniowe ciężkie walki polskiej dywizji pancerniej i kanadyjskiej, jakkolwiek nie dały większego zysku terenowego jak 6_#8 kilometrów, dały jednak wyższemu dowództwu dokładne rozpoznanie i podstawę wyjściową do następnego generalnego natarcia. A wszystkim oddziałom biorącym udział w tej walce dały poczucie uczciwie spełnionego obowiązku żołnierskiego mimo tak ciężkich warunków działania.

Zestawienie strat własnych i niemieckich za ten okres, na odcinku dywizji polskiej, mówi za siebie:

Straty dywizji:

w rannych i zabitych: 656 szeregowych,

w sprzęcie: 66 czołgów, 5 dział przeciwpanc. S.P., 5 dział przeciwpanc. 6_funtowych, 2 działa 25_funtowe.

**Straty niemieckie: brak ewidencji rannych i zabitych,
jeńców: 429 z dyw. piech. 85,**

89 i 272 i z 12 dyw.panc. S.S.

w sprzęcie: 13 czołgów, 2 działa 88ż7şmm, 7 dział 75ż7şmm,

1 dział 105ż7şmm, 14 moździerzy
15ż7şcm.

Dużo większe straty, szczególnie w czołgach, poniosła sąsiednia 4 dyw.panc. kanadyjska, w której jeden tylko pułk pancerny British Columbia Regiment stracił 47 czołgów i to wszystkie w bitwie dnia 9 sierpnia koło Estrées la Campagne - rejonie, jak podkreślałem, mocno przygotowanym przez Niemców do obrony, a leżącym raczej w naszym pasie działania.

Pierwszą jaskółką nowego planu operacyjnego korpusu było przesunięcie dywizji pancerniej polskiej częściowo do odwodu, częściowo na zachód od szosy Caen_Falaise, z zadaniem na dzień 14 sierpnia już w ramach nowej operacji: uderzenia po zachodniej stronie „sławnego” lasu Quesnay, w kierunku na Potigny i Fontaine la Pin. Równocześnie 10 strz. konnych miał rozpoznawać na głównym kierunku uderzenia korpusu na Rouver. Był to pewnego rodzaju komplement w stosunku do naszego pułku rozpoznawczego, którego wysoką wartość podkreślali Kanadyjczycy przez cały ciąg kampanii.

Mimo ponownej pomyłki lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego, kierowanego w akcji z Londynu, które to lotnictwo przejechało się kilkoma falami bombowców po rozczłonkowanej w terenie dywizji (więcej oberwało się Kanadyjczykom, szczególnie znowu A.G.R.A.) i zaopatrzeniu naszej brygady strzeleckiej - 3 bryg. strzelców, wsparta 24 p.uł. w nocnych walkach z 14 na 15 sierpnia ostatecznie zajęła nakazane cele, uwalniając w Potigny miejscowych polskich górników. Natarcie główne kanadyjskie wyszło w południe 14 zpodstaw wyjściowych, wywalczonych przez nas w dniach 9 i 10 sierpnia na linii Soignolles, Estrées la Campagne. Wyszło z tym samym bogactwem ognia lotniczego i artyleryjskiego, co poprzednio w nocy 7ż8ş#8 sierpnia, z tym zaskoczeniem, że wobec widoczności za dnia, użyto zadymienia na wielką skalę, zamieniając dosłownie dzień w noc. Zaskoczono również Niemców nowością technicznego uzbrojenia i użyciem karabinków z piechotą z wmontowanymi miotaczami ognia, które najwięcej zdemoralizowały obronę niemiecką. Do rana dnia

15 sierpnia cała pozycja obronna, obejmująca dolinę rz. Laison, była w ręku kanadyjskim, a natarcie posuwało się wolno na wzgórze na północ od Falaise, którego decydujący punkt 159 padł jednak dopiero w południe 16 sierpnia.

Tymczasem, wobec ogólnej sytuacji na froncie normandzkim, tj. zapoczątkowanego odwrotu 7 armii niemieckiej na wschód i podejścia armii gen. Pattona pod m. Argentan na południe od Falaise, zarysowała się możliwość kompletnego odcięcia odwrotu armii niemieckiej. Niemcy mogli znaleźć się w potrzasku. Zrodziło się pojęcie i określenie - „worek Falaise” - „Falaise gap” i „Falaise pocket”. Było to zmianą pierwotnego planu odcięcia sił niemieckich grubo bardziej na wschód - nad Sekwaną.

Cały ciężar odpowiedzialności za ten nowy plan spadł na barki obu dywizji pancernych polskiej i kanadyjskiej, skierowanych teraz przez dowódcę korpusu poprzez tyły 3 nacierających dywizji kanadyjskich, z ekscentrycznego zachodniego skrzydła korpusu na skrzydło wschodnie, dla przzerwania się w ogólnym kierunku na m. Trun i odcięcia odwrotu niemieckiego. Dowódca korpusu w osobistej rozmowie ze mną widział to działanie obu dywizjami w ścisłym związku doliną rz. Dives od punktu ujścia do niej rz. Fraine, na południe od Morteaux Couliboeuf, w kierunku na Trun. Zaaprobował jednak mój projekt objęcia działaniem polskiej dywizji dominujących wzgórz 5_#6 kilometrów na wschód od rzeki, mimo pewnego ryzyka rozdzielenia sił. Doświadczanie bowiem z

8_#10 sierpnia ostrzegało przed defilowaniem otwartym skrzydłem wobec panujących nad terenem wzgórz, nie objętych natarciem własnym. Poprawka ta okaże się na przyszłość niezmiernie zbawienna, wobec kontrakcji niemieckiego korpusu panc. S.S. z zewnątrz worka od wschodu, dla którego posiadanie wzgórz dałoby z miejsca przewagę taktyczną nad naszą dywizją.

‘tc

Rozdział 3ã

Nareszcie przerwanie się

‘tc

Dzień 15 sierpnia, dzień święta żołnierza polskiego, stał się jednym z najjaśniejszych dni działań polskiej dywizji pancernej. Wszystko najtrudniejsze zdawałoby się - wychodziło łatwo i bez zahamowań.

Szczęście żołnierskie świeciło nad oddziałami, jak ten upalny, słoneczny dzień sierpniowy.

Koszmar przechodzenia przez linie komunikacyjne trzech dywizyj w natarciu - zamienił się w pokazowy niemal przemarsz jednostki zmotoryzowanej w garnizonie, bez jednego momentu zamieszania lub zatrzymania. Nasze „psy gończe”, prowadzone po mistrzowsku przez 10 strz. konnych mjr Maciejewskiego, wzmocnione dyonem samobieźnym ppanc. i szwadronem dragonów, wypuszczone dla uchwycenia przeprawy na rz. Dives pod m. Jort, zaskakują zupełnie Niemców, porządkujących się po klęsce nocnej w dolinie Laison. Efekt - masa jeńców, zdobyta 6 działowa bateria, kilka czołgów niemieckich i dział 88mm rozbitych, a co najważniejsze i na wagę złota - zdobyta, mimo uszkodzenia mostu, przeprawa przez rzekę Dives w m. Jort i brody do wykorzystania nawet dla czołgów, z których część już opanowała południowy brzeg. Posuwająca się w ślad za rozpoznaniem 10 brygada panc. rozszerza ten sukces i do wieczora 15 sierpnia zdobywa przeprawę przez rzekę w m. Vendeuvre 1 pułkiem pancernym i na południe od m. Jort 2 pułkiem pancernym, wzmocnionym baonem z brygady strzelców.

Współdziałała w tej akcji nie tylko cała artyleria dywizyjna, ale i część artylerii średniej „medium” kanadyjskiej.

W nocy z 15 na 16 sierpnia 3 brygada strzelców luzuje oddziały pancerne i ubezpiecza zajęty teren, umożliwiając saperom budowę mostu w Jort i naprawę pobocznych przepraw, jak też oczyszczenie terenu z min.

Oceniam, że to, o co krwawiliśmy się od 8 dni, stało się faktem.

Przerwaliśmy się przez przygotowaną obronę niemiecką i odzyskaliśmy swobodę działania, konieczną dla odcięcia odwrotu niemieckiego. Jako jedyna wielka jednostka armii kanadyjskiej, znaleźliśmy się na południowo-wschodnim brzegu rz. Dives ze wszystkimi szansami takiego położenia.

Rankiem 16 sierpnia - jestem na przyczółku mostowym w Jort - w swym czołgu. Jest to nieczęsty wypadek dla dowódcy dywizji, nawet pancernej, przykutego raczej do swego wozu dowodzenia, z całym aparatem kontroli i rozkazodawstwa, przestawionego z płaszczyzny optycznej obserwowania pola bitwy przez lornetkę, na płaszczyznę akustyczną radia, nadającego i odbierającego rozkazy i meldunki o sytuacji. Ustnym rozkazem kieruję całą 10 brygadę panc. w kierunku południowym na Louvagny i Barou. Brygada strzelecka zajmie się m. Courcy i lasem i to tylko o tyle, ile potrzeba dla naszego ruchu na południe, tj. dla odebrania Niemcom punktów obserwacyjnych, patrzących w obszar naszego manewru. Potem posunie się za 10 brygadą.

Płk T. Majewski nie traci czasu. Już w południe dwiema grupami bojowymi wychodzi natarcie 10 bryg. panc., które do wieczora zdobywa Louvagny i Barou, przecinając drogę Barou-Morteaux Couliboeuf. Na prawo od nas Morteaux Couliboeuf jednak się trzyma, powstrzymując

4 dywizję panc. kanadyjską na rzece Dives, a nawet Niemcy starają się stąd przeciwuderzeniem czołgów zatrzymać ruch naszej dywizji.

Natarcie 3 bryg.strzel. zdobywa m. Courcy i zachodnie wyloty lasu.

Natarcia obu brygad są wspierane bardzo skutecznie przez płka dypl. Br. Noela wzmocnioną artylerią dywizyjną z rejonu Jort i kanadyjską artylerią średnią z rejonu Sassy.

Jeńcy, brani w ciągu dnia, do znanych numerów dywizji i pułków, dodają 1053 i 1054 pułk grenadierów. A jeńcy w następnym dniu 17 sierpnia z 21 dywizji panc. i 12 dywizji panc. „Hitler Jugend” - każą się już liczyć z dwiema dywizjami pancernymi niemieckimi, jakkolwiek 12

„Hitler Jugend”, według zeznań jeńców, jest już zupełnie rozbita.

Dzień 17 sierpnia jest znowu w pierwszym rzędzie dniem 10 pułku strzel. konnych, który w rozpoznaniu osiąga kolejno:

wzgórze 159 Norrey_en_Auge,

wzgórze 259

- dając rozpoznanie kolumn niemieckich, wycofujących się szosą na Trun i siejąc panikę i zamieszanie w tych kolumnach ogniem swych czołgów.

Aż wreszcie dociska na 1#1/2 kilometrze na północ od Trun w rejon wzgórza 143, gdzie w walkach na wszystkie strony z czołgami niemieckimi zadaje im poważne straty, sam też tracąc kilka czołgów.

Zmienia się zasadniczo charakter walk. Dominujące wzgórza 159, 259, gdy je opuszcza 10 strz. konnych, prac na Trun - są zajmowane z kolei przez Niemców tak wycofujących się na południowy wschód, jak i nowych, napływających z północnego wschodu i wschodu z rejonu Vimoutiers.

Wobec tego, posuwająca się za rozpoznaniem 10 brygada kaw.panc. musi ponownie walczyć o te wzgórza, aż do wieczora - ostatecznie stabilizuje się na tej linii, trzymając silnie 159 i 259 z 3 brygadą strzel., obejmującą kolejno te przedmioty.

Cel operacji: m. Trun, główny węzeł drogowy, zbierający niemieckie kolumny w odrocie na wschód i południe, jest w ogniu naszej artylerii i czołgów 10 strz. konnych i stanie się nazajutrz łatwym łupem.

Ale nie polskiej dyw.panc., gdyż wieczorny rozkaz specjalny marszałka Montgomery'ego wydłuża nasz cel o dalszych 7 kilometrów w kierunku południowo-wschodnim, nakazując zająć m. Chambois. 4 dyw. kanadyjska, która wreszcie przekroczyła dopływy rz. Dives, koło Morteaux Couliboeuf, ma opanować Trun. Rozkaz ten przynosi ze sobą dca korpusu wraz ze słowami uznania za dotychczasową b. szybką i celową akcję dywizji. Z podanej przez gen. Simonsa sytuacji wynika, że piechota kanadyjska wkroczyła już do m. Falaise, ale w mieście samym toczą się jeszcze uliczne walki, a 4 dyw. pancerna, od jutra, tj. 18 sierpnia, ruchem na Trun od północy zmniejszy eksponowanie dywizji polskiej, wbijającej się klinem w ugrupowanie niemieckie. Dotychczasowa bowiem akcja polskiej dywizji skurczyła szanse odwrotu niemieckiego do przestrzeni około 7 kilometrów między Trun a północnymi wyjściami kompleksu lasów Gouffern, który to korytarz zamyka węzeł drogowy Chambois. Amerykanie podjęli ruch od południa i zajęli m. Argentan i powinni już być w południowej części lasu Gouffern. Nastroje w wyższych sztabach są nad wyraz optymistyczne. Chodzi o prędkie zamknięcie ostatnich dróg odwrotu, a będzie już tylko zbieranie jeńców i materiału zdobytego. Dlatego nacisk na nas, by jeszcze nocą sformować oddział wydzielony i wysłać na Chambois.

Mimo ogólnego przemęczenia wszystkich oddziałów walką i ruchem przez bardzo pocięty i trudny teren, formuje się oddział wydzielony ppłka Koszutskiego w składzie: 2 ppanc., 8 baon strzelców i dyon ppanc. z zadaniem manewru na Chambois.

Reszta brygad 10 i 3 tymczasem porządkuje pomieszane związki i rozplątuje bardzo skomplikowane problemy zaopatrzenia.

Po północy oddział wydzielony Koszutskiego wychodzi, pada jednak ofiarą i terenu i ciemnej nocy i francuskiej

„prononciation”. Biorąc dla wyplątania się z drózek i ścieżek przewodnika z ludności cywilnej, wychodzi w kierunku wschodnim na m. Champeaux zamiast Chambois.

Posuwając się w tym mylnym kierunku, ale wciąż w przekonaniu, że na Chambois, zaskakuje na postoju nocnym sztab i część oddziałów 2 dywizji pancernej i do świtu toczy zacięte boje z Niemcami, którzy po ochłonięciu z pierwszej porażki, zmuszają oddziały KOSzutskiego do wycofania się na południe.

Incydent ten ma dodatnie strony, gdyż przez wziętych jeńców stwierdziliśmy obecność nowej jednostki pancernej niemieckiej - 2 dyw. panc. - na naszym wschodnim skrzydle. Zostaliśmy w ten sposób uprzedzeni o zagrożeniu, które na razie nie mogło być poważne wobec zaskoczenia i chaosu, jaki zapanował w tej dywizji.

Ma i ujemne strony, bo już nad ranem 18 sierpnia zdaję sobie sprawę, że właściwie ani jeden kilometr nie został zrobiony w kierunku wykonania zadania, tj. zamknięcia odwrotu niemieckiego na Chambois.

Na marginesie: Niemiecka 2 dywizja pancerna, to ta sama dywizja z pierwszych dni września 1939 r. spod Wysokiej, Naprawy i Myślenic. Wielu jeńców ma w swych książeczkach służbowych te same nazwy bitew, które toczyła 10 brygada kaw. we wrześniu w Polsce. A nasz 2 pułk pancerny ma tradycję 2 baonu czołgów, formowanego w Żórawicy pod Przemyślem właśnie dla 10 brygady kawalerii.

Sprawiedliwość Boska daje nam tę olbrzymią satysfakcję żołnierskiego rewanzu.

Może to dla tych dwóch powodów rozpoznania zagrożenia ze wschodu i krwawego rewanzu za wrzesień - nigdy nie miałem żalu do ppłka KOszińskiego za tę pomyłkę co do kierunku nocnej akcji. Łatwo było zmylić drogę w terenie normandzkim, wśród Niemców, w nocy, torując sobie drogę czołgami, ale ppłk KOsziński i jego oddziały dzielnie się spisali, dorzucając trudny zresztą do odważenia procent do ogólnego sukcesu dywizji.

‘tc

Rozdział 4ã

Zamknięcie „worka Falaise”

‘tc

W tej denerwującej sytuacji, rano 18 sierpnia, melduje się u mnie mjr Maciejowski. Zdaje mi relację z przebiegu działań strzelców konnych i mimo poważnych strat w pułku i nieludzkiego przemęczenia, ani słowem nie protestuje przeciw natychmiastowemu rzuceniu pułku na Chambois dla rozpoznania i wprowadzenia oddziałów dywizji. Świetnego tego oficera i dowódcę znam już od pierwszych miesięcy naszego pobytu w Szkocji. Zżyłem się z nim w służbie i poza służbą, gdy przyjeżdżał do mnie, by „prywatnie” zapytać się zawsze o to samo, czy w ogóle wojska polskie ze Szkocji będą użyte, bo to była jego największa troska i koszmar - skończyć wojnę w garnizonie pokojowym. W tej chwili, gdy rozmawia ze mną, jest po niedawnym incydencie. Wjechał czołgiem na minę niemiecką i ma wyraźnie przytępiony słuch. Przy tym jest tak ochrypły, że mówi tylko szeptem. Najchętniej kazałbym mu zająć moje miejsce pod czołgiem i przespać się, ale boję się go urazić tym, że go może usuwam od działań. Typową bowiem kwaterą na noc w te noce normandzkie był dół, wykopany pod czołgiem, wymoszczony suto świeżo skoszoną trawą lub pszenicą, gdzie prócz załogi znajdowało się miejsce i dla oficerów sztabu z różnych wozów dowodzenia. Mój „przedział sypialny” zajmowałem zwykle z szefem sztabu, ale w alarmie znajdowali schronienie adiutant mój por. Jaś Tarnowski i malarz z prawdziwego zdarzenia Aleksander Żyw. Nocleg taki był najłatwiejszy do zaaranżowania, zabezpieczający jako tako przed nalotami i względnie wygodny.

Żegnam mjra Maciejowskiego i na pożegnanie obiecuję odesłać mu szwadron jego pułku, zatrzymany dotychczas dla ochrony rzutu bojowego kwatery głównej dywizji, jakkolwiek w tej dzikiej sytuacji bardzo był tu potrzebny. Ale musimy sobie dać radę trzema czołgami ochrony sztabu - szwadron 10 strzelców konnych będzie dużo potrzebniejszy pod Chambois.

Rzut bojowy bowiem kwatery głównej dywizji przeszedł do zadrzewionego wawozu wzgórza 159 Norrey_en_Auge, niepokojony od czasu do czasu podchodzącymi „Panterami” z rejonu lasu koło Grand_Mesnil. Pantery te narobiły wiele szkód w naszym zaopatrzeniu, ale na nasze szczęście do naszego wawozu zapędzić się nie miały ani serca ani ochoty, jakkolwiek i w tym dniu i w następnym podchodziły kilkakrotnie pod wzgórze 159.

Tymczasem oddział wydzielony ppłka KOszińskiego, po nocnych walkach w Champeaux, wybitnie się zgubił, nawet na falach eteru. Dużo kłopotu miał dowódca brygady płk T. Majewski i jego szef sztabu mjr dypl. Marian Czarnecki z akcją ratunkową, a potem z zaopatrzeniem oddziału wydzielonego w amunicję i benzynę.

A czas leciał.

Wobec tego poleciłem sformować nowy oddział - grupę bojową dla ruszenia w ślad za 10 pułkiem strz. konnych na Chambois, zanim reszta brygady opanuje zaistniałą sytuację na południe od drogi Champeaux_Trun i będzie gotową do dalszej akcji.

Ruszyła grupa bojowa ppłka Zgorzelskiego w składzie: 24 pułk ułanów, 10 pułk dragonów i dyon przeciwpancerny.

W walkach, nabierających cech coraz bardziej gwałtownych i obejmujących wszystkie oddziały dywizji, sytuacja pod wieczór 18 sierpnia wyglądała następująco:

10 pułk strzelców konnych z dwoma dyonami przeciwpancernymi, już o godz. 16:30 podszedł pod Chambois, musiał jednak cofnąć się o 1 kilometr na północ z powodu akcji własnego lotnictwa na węzeł drogowy.

Oddział wydzielony ppłka Zgorzelskiego pod wieczór w ciężkich walkach w rejonie 1 i pół kilometra na północny wschód od Chambois z czołgami 24 p.ułanów w walce o Fren~ee.

Reszta 10 i 3 brygady w rejonie 5 kilometru bardziej na północ, w górzystym niemal terenie Hordouseaux_Ecorches w lokalnych walkach z Niemcami, przeciekającymi zarówno z kierunku Trun jak i wracającymi od wschodu. Walki te cichną ku wieczorowi.

Z mego punktu obserwacyjnego na południowym stoku wzgórza 159 widać niemal gołym okiem odwrót niemiecki wzdłuż stoków lasu Gouffern, opadających do doliny Trun_Chambois; odwrót, wytyczany wybuchami pocisków każdego kalibru lotnictwa i artylerii. Niemcy, zmuszeni sytuacją do wycofywania się dniem, coraz zwiężającym się korytem, padają pastwą masowych nalotów lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego.

Oficjalne wydawnictwo kanadyjskie * poda potem cyfrę zniszczonych 2179 pojazdów mechanicznych i 182 czołgi tylko w dniach 18_#19 sierpnia.

‘pp

Canadian's Battle in Normandy

- Published by authority of the Minister of National Defence, 1946.

‘pp

Otóż ten widoczny strumień odwrotu ma odciąć ostatecznie polska dywizja pancerna.

Powoli jeńcy, brani z 2 dywizji pancerniej, z 12 „Hitler Jugend” i 21 pancerniej, z kilkunastu dywizji piechoty i 3 dywizji spadochronowej, jak też formacji tyłowych korpusnych i armijnych - wszystko to razem zaczęło się układać w jakiś sens, zanim przyłapany rozkaz dowódcy 7 armii niemieckiej nie odsłonił wszystkiego. Charakterystyczny ten rozkaz, stwierdzając anemiczne wysiłki jednostek pancernych sojusznicznych na zachodnim skrzydle, podaje, że jedna dywizja pancerna (o nas mowa!) zaawanturowała się na wschodzie i zagraża poważnie liniom komunikacyjnym armii niemieckiej. Wobec tego, dowódca armii rozkazuje II korpusowi pancernemu, który już wyszedł z potrzasku do rejonu Vimoutiers, zawrócić i uderzyć na zachód, z zadaniem zniszczenia tej dywizji i przekazania terenu I S.S. korpusowi pancernemu, który wycofuje się na czele oddziałów 7 armii.

Oto w rozkazie tym krótkie niejako założenie do bitwy pod Chambois - ze strony niemieckiej

- ze strony „czerwonej”, jak to określaliśmy na ćwiczeniach i manewrach.

I gdy w godzinach południowych dnia 19 sierpnia mapa operacyjna w wozie dowodzenia zapełnia się coraz zmieniającą się sytuacją, a oddziały dywizji, działające po dwóch osiach w ciężkich walkach dochodzą do głównej drogi odwrotu niemieckiego Chambois_Vimoutiers, opracowują krótki plan ugrupowania. Istotą planu była myśl, aby eksponowanej o 7 kilometrów w stosunku do sąsiadów zachodnich (4 dyw. panc. kanadyjskiej i dwóch dyw. piechoty kanadyjskiej), a zupełnie odsłoniętej od wschodu i północnego wschodu polskiej dywizji, dać wszelkie dogodności terenu i skupienia.

Plan ten stwarzał 2 ugrupowania:

Ńa) ugrupowanie 10 bryg.panc. w składzie:

1 pułk panc., 24 pułk ułanów,

10 pułk dragonów, baon strzelców podhalańskich i dyon przeciwpanc. z zadaniem obsadzenia i utrzymania Chambois i południowego wzgórza 262 około 3 kilometrów na północny wschód;

Ńb) ugrupowanie 3 bryg. strzel. w składzie:

2 pułk pancerny, 8 i 9 baony strzelców z dywizjonem ppanc. z zadaniem obsadzenia wzgórza północnego 262, jako osłony od wschodu i północnego wschodu.

Artyleria dywizyjna z pułkiem średniej artylerii kanadyjskiej, wspierająca całością te ugrupowania.

10 pułk strzelców konnych, wzmocniony 2 dyonami przeciwpancernymi, po ukończonym ugrupowaniu, chciałem zatrzymać w swym ręku.

Eksplikując ten zamiar szefowi sztabu 10 bryg.panc. mjrowi dypl. Czarneckiemu, nazwałem teren Mont Ormel z tymi dwoma wzgórzami 262 - maczugą ze względu na rysunek, jaki warstwice zakreślały na mapie i nazwa ta utrzymała się podczas całej bitwy i długo po niej, aż przeszła do oficjalnej historii armii kanadyjskiej. *

‘pp

„The Victory Campaign” Official History of the Canadian Army - Volume III, str. 262, 263.

‘pp

Chciałem mieć dwa silne ugrupowania „Maczugę” i Chambois, o które rozbije się odwrót niemiecki oraz wzmocniony

10 strzelców konnych do interwencji tam, gdzie zajdzie potrzeba.

Tymczasem do nocy 19 sierpnia wypadki dnia, w rezultacie ciężkich walk, dały tylko częściowo realizację zamierzonego ugrupowania, mimo obsadzenia większości potrzebnego terenu, z wyjątkiem południowego wzgórza 262. Szczegół ten jednak pociągnął za sobą szereg trudności i niedogodności szczególnie w dowodzeniu.

Kolejne wypadki dnia 19 sierpnia wyglądały następująco:

1 pułk pancerny sprawnie prowadzony przez ppłka Stefanowicza, po ciężkiej walce w Coudehard, wprowadzając na 262 część baonu strzelców podhalańskich, zaskoczył kolumnę mieszaną niemiecką zmasowaną na szosie z Chambois do Vimoutiers, niszcząc ją kompletnie ogniem dział czołgów i ckm. Drogi i teren przez to zupełnie zablokowane i dymy pożarów sprzętu niemieckiego uniemożliwiły natychmiastowe wykorzystanie i zajęcie południowego wzgórza 262. Nie pozwoliły też, jak było w planie, zejść temu ugrupowaniu na południe do Chambois. Wobec tego 1 ppanc. grupuje się na 262 wraz z częścią baonu strzelców podhalańskich, trzymając pod ogniem duży odcinek drogi Chambois_Vimoutiers i terenu bardziej na wschód, którym grupki Niemców starają się wydobyć z pułapki.

W godzinach wieczorowych do rejonu „Maczugi” napływają kolejno ugrupowania ppłka Koszutkiego i reszta 3 brygady strzelców. Powoduje to ogromne zgęszczenie wojsk i przemieszanie oddziałów tak, że wobec tego zadanie zdobycia południowego 262 obejmuje płk Szydłowski z 9 baonem strzelców i 1 pułkiem panc. Wobec trudności terenowych, zmęczenia i względów zaopatrzenia, akcja ma się rozpocząć dopiero rankiem

20 sierpnia. Nacisk niemiecki w tym dniu i to uniemożliwi.

W tym samym czasie drugiej połowy dnia 19 grupa bojowa ppłka Zgorzelskiego, tj. 24 p.uł. z 10 pułkiem dragonów i dyonem przeciwpancernym, wsparta akcją i ogniem 10 pułku strzelców konnych, naciera na m. Chambois, zdobywając go ostatecznie koło godz. #/19. W chwilę potem nawiązuje łączność z drugim baonem 395 pułku piechoty z 90 dywizji amerykańskiej, która wchodzi od południa do rejonu Chambois i, podporządkowując się ppłkowi Zgorzelskiemu, dostaje zadanie obrony miasta od kierunku południowo_wschodniego i południowo_zachodniego.

Ostatecznie luka jest zamknięta, szczególnie dla oddziałów z ciężkim sprzętem.

Zażegnana zostaje częściowa troska o amunicję i benzynę w ugrupowaniu ppłka Zgorzelskiego, gdyż za baonem amerykańskim płynie strumień zaopatrzenia we wszystko, co do bitwy było potrzebne, prócz amunicji odmiennego kalibru, w tym - co najgorzej - amunicji do odmiennego typu dział 75 na naszych czołgach. Trzeba ją będzie zrzucać następnej nocy samolotami.

Po nawiązaniu łączności taktycznej przez ppor. Karcza z batalionem amerykańskim następuje ściślejsze nawiązanie kontaktu na szczęblu zaopatrywania przez ppor. Wołodkowicza z oddziałów zaopatrywania dywizji z kwatermistrzem amerykańskiego 701 baonu niszczycieli mjrem Moore. A jednym z pierwszych, którzy przywożą nam zaopatrzenie, jest Amerykanin polskiego pochodzenia Ułaszewski, odtąd pilnujący, byśmy dostali wszystko, co potrzebujemy.

Żołnierze amerykańscy cieszą się nami jak dzieci, przy każdym zetknięciu wpychają nam w kieszenie papierosy i czekoladę. Jeszcze w czasie bitwy dochodzi do mego wozu Amerykanin polskiego pochodzenia, który za dobre sprawowanie się dostał

2_dniową przepustkę z oddziału, by mógł zobaczyć polskiego generała. Mówi łamana polszczyzną - tak, jak „ojciec i mama nauczyły”, ale nie potrzeba było jego zapewnień, żeby uwierzyć w jego polskie serce.

Na najwyższym szczęblu dowodzenia sprzymierzonych zeszyły się meldunki armii kanadyjskiej i armii amerykańskiej o zajęciu Chambois, jedno przez Polaków, drugie przez Amerykanów.

Nie powstanie chyba z tego powodu dla historii zatarg prestiżowy polsko_amerykański. Drugi baon 395 p.p. ameryk., który pod koniec walki o miasto wszedł doń od południa, podporządkował się ppłkowi Zgorzelskiemu, dowódcy całego ugrupowania „Chambois”. W ten sposób przez 3 dni od 19 do 21 sierpnia, Chambois broniły:

10 pułk dragonów polskich,

24 pułk ułanów polskich,

dyon przeciwpancerny polski,

baon 395 p.p. ameryk.

i amerykańska benzyna oraz pociski dostarczane sownie całej grupie.

Obrazowała to wtedy, bezpośrednio po bitwie, tablica francuska umieszczona w środku miasta z biuletynem o zwycięstwie w bitwie normandzkiej.

‘tc

Rozdział 5ã

Kryzys bitwy

‘tc

Dzień 20 sierpnia był dniem kryzysu bitwy polskiej dywizji pancerniej.

Składały się na to następujące czynniki:

Izolowanie dywizji w stosunku do oddziałów korpusu kanadyjskiego. Wprawdzie 19 wieczorem oddział wydzielony 4 dyw. panc. kan. opanowuje St. Lambert_sur_Dives na południowy wschód od Trun, ale tylko północno_zachodnią jego część i siłą tylko około 200 szereg. z czołgami, którzy, otoczeni ze wszystkich stron przez Niemców, sami znajdują się w potrzasku i bohaterstwo się broniąc nie mają kontroli nad tym, co się dzieje poza zasięgiem walki w opłotkach i domach. Pozostaje luka 2 i pół ż7şkm w południowym terenie do najbliższych oddziałów polskich na pñn._zachodnim skraju Chambois, przez którą prowadzą drogi do m. Bourdon na m.p. dowództwa 10 bryg. i stanowiska naszej artylerii i do Coudehard - na tyły obrony Mont Ormel, jak też na linię zaopatrzenia dywizji. I dlatego przez miejsce postoju

10 bryg.kaw. pancerniej przerywa się część pojazdów pancernych niemieckich, część tych pojazdów dochodzi ostatecznie do stanowisk 2 pułku artylerii, gdzie zostaje rozbita strzałami na wprost. Równocześnie na Coudehard wychodzi od tyłu rozpaczliwe natarcie oddziałów piechoty niemieckiej, wspartej bogato ogniem sprzężonych moździerzy. Natarcie to pnie się po stromym ale niezadrzewionym stoku Mont Ormel i kończy się zupełnym zniesieniem oddziałów ogniem karabinów maszynowych naszych strzelców i czołgów. Pofalowaną doliną między Mont Ormel a wzgórzami Hordouseaux i Ecorche, pociętą wysokimi żywopłotami wzdłuż polnych dróg i kwadratami sadów, płynie masa kolumn i kolumnienek niemieckich, rwana ogniem naszej artylerii i naszych czołgów z rejonu

„Maczugi”. Powstaje specyficzna sytuacja, że obserwatorzy artylerii polskiej i kanadyjskiej z rejonu „Maczugi” kierują ogniem swych baterii, zwróciwszy twarz do swych dział.

Sytuacja od wschodu jest jeszcze może trudniejsza. Brak jakichkolwiek oddziałów kanadyjskich w tym obszarze, na wschód od nas, daje zupełną swobodę działania niemieckiemu II korpusowi pancernemu, którego zadaniem jest przecieżyć „zniszczyć” naszą dywizję, zdobyć teren Hordouseaux_Trun_Chambois i przekazać go I korpusowi S.S.

Przez cały dzień 20 sierpnia -

21 dywizja pancerna niemiecka naciera na „Maczugę” od wschodu, a inne części oddziałów II korpusu pancernego nacierają od północy i rwą nasze linie zaopatrywania, powodując poważne straty w ludziach i w sprzęcie. Tracimy w tej ciężkiej sytuacji kwatermistrza 10 bryg.panc. kpt. Jana Kurowskiego i kwatermistrza

1 pułku artylerii motorowej kpt. Edwarda Żan_Kreyslera. Obaj padają ofiarą tych „Panter”, które zagrażają w rejonie wzgórza 159 i rzutowi bojowemu kwatery głównej dywizji, jeszcze od czasu, gdy szwadron 10 strzelców konnych walczył w osłonie sztabu, a tym bardziej od chwili, gdy cała osłona została przerzucona na 3 czołgi organiczne kwatery głównej. Tracimy później kwatermistrza 8 baonu strzelców rtm. Józefa Lichtarowicza i oficera zaopatrywania 24 pułku ułanów por. Jana Skirmunta.

Czasem równie ciężko i niebezpiecznie w dywizji pancernej jest na tyłach, jak w pierwszej linii. Przypomina mi się lapidarne austriackie określenie dla podobnych sytuacji: „kto otacza - zostaje otoczony”.

Większość tych strat w zabitych oficerach i szeregowych, zaopatrujących swe oddziały w bitwie, miała miejsce w pobliżu wzgórza 159, wskutek wypadów czołgów niemieckich z rejonu lasu Grand_Mesnil zapewne jakiegoś oddziału II korpusu S.S. pancernego.

I jakkolwiek wysuniętej części bojowej kwatery głównej nic się nie stało, powstała z tego powodu pewna psychoza. Pamiętam, jak w jakąś wolniejszą chwilę bitwy, zjawił się w moim wozie dowodzenia mój adiutant por. J. Tarnowski z meldunkiem, że w pobliskiej farmie czeka na mnie „prawdziwy” rosół z kury. A że wszyscy wtedy niemal chorowaliśmy z powodu ciągłego spożywania konserw, wziąłem ze sobą płka dypl. A. Grudzińskiego, który był z nami, z dowództwa 21 grupy armii, przy której wraz z płkiem dypl. J. Krubskim byli przedstawicielami polskiego Naczelnego Wodza i w trójkę udaliśmy się na farmę. Nie zdążyliśmy jednak wyrazić jeszcze swego uznania dla pomysłowości i kulinarnego talentu mego adiutanta, gdy do farmy wpadł na czele po zęby uzbrojonych regulatorów ruchu - szef sztabu mjr dypl. L. Stankiewicz z wyrzutami do moich towarzyszy, jak mogli tak narażać generała i wyciągnąć go w nieubezpieczony teren. Zgodził się jednak ze mną, że jakby nie było, rosół i kura muszą być zjedzone!

Na kryzys bitwy wpływała zarówno furia dobrze przygotowanych ataków niemieckich wspartych czołgami ciężkiego typu i ogniem artylerii i moździerzy wielolufowych, szczególnie dających się we znaki obronie

„Maczugi”, jak i ataków dorywczych - improwizowanych, wybuchających tu i tam, jak języki ognia wyskakują co chwila z tłumionego ogniska.

Natarcia desperackie od zachodu przeróżnych oddziałów 7 armii niemieckiej, starających się wyrwać z matni - rozbiły się niejako o dwa bastiony.

Rozbijały się o dzielną obronę

10 pułku dragonów, z baonem amerykańskiej dywizji, wspartych artylerią przeciwpancerną i czołgami 24 pułku ułanów. W pewnym momencie Niemcy wdzierają się w głąb naszej obrony w Chambois, ale zdziesiątkowani ogniem i przeciwuderzeniem czołgów z dragonami, gremialnie poddają się.

Rozbijały się także o twardą walkę 10 p. strz. konnych, wzmocnionego dwoma dyonami przeciwpancernymi w rejonie wzgórza 113. Na tym to kierunku załamuje się natarcie niemieckie, prowadzone osobiście przez dowódcę 84 korpusu - gen. von Efeldta, który dostaje się wraz ze sztabem i paką przeszło tysiąca jeńców do niewoli. W walkach tych, trwających od świtu do nocy 20 sierpnia - ginie od kuli „snipera” dowódca

10 p.strz. konnych, bohaterski major Jan Maciejowski.

I w tej chwili nie mógłbym napisać czegoś odpowiedniejszego na cześć tego rycerskiego dowódcy, jak powtórzyć słowa jego adiutanta: „od rana już nie żył - a nam się zdawało, że przez cały dzień dowodził bitwą”.

Podczas gdy te dwa bastiony blokują odwrót niemiecki przez Chambois na Vimoutiers, ugrupowanie północno_wschodnie na „Maczudze” odpiera natarcia 2 korpusu pancernego, który usiłuje zdobyciem wzgórz Mont Ormel otworzyć drogę 7 armii niemieckiej, nacierając od wschodu. Zgęszczone na niecałych dwóch kilometrach ugrupowanie dwóch pułków pancernych i trzech baonów strzelców odpiera nie tylko natarcie 21 dyw. pancernej od wschodu i oddziałów 2 S.S. korpusu panc. od północy, ale i szereg sporadycznych - improwizowanych uderzeń oddziałów niemieckich, którym udało się przeniknąć luką między St. Lambert a Chambois, lub obejść Chambois od południowego wschodu, wobec istniejącej luki między Chambois a 90 dywizją amerykańską. Są momenty krytyczne, gdy „Maczuga” jest atakowana niemal ze wszystkich stron świata, gdy walka z wdzierającymi się Niemcami rozgrywa się na polu opatrunkowym lub w miejscu zbiórki wziętych jeńców. Dodatnią stroną dla nas jest trudność dla Niemców skoordynowania tych uderzeń w czasie. Ale ostatecznie wygrywa bitwę zaciętość i twardość żołnierza dywizji pancernej.

Wyczerpujący i denerwujący dzień ma dowództwo 10 bryg. panc., zmuszone do zmiany miejsca postoju z powrotem na wzgórze 259, wobec chwilowego zagrożenia z południowego zachodu, usiłujące ująć w karby rozpadającą się na oddzielne fragmenty bitwę. Wobec tego i rzut bojowy dywizji nie zmienia swego miejsca dowodzenia, jak było w planie, na wzgórze 259, które było i tak już nadmiernie obciążone wozami dwóch dowództw brygad i artylerii dywizyjnej.

Jako dowódca dywizji nie mam już w ręku żadnych odwodów interwencyjnych, gdy „przyszły” odwód 10 pułk strzelców konnych jest w orbicie najcięższych walk i nie może być ruszony.

Pozostaje mi tylko możliwość moralnego wspierania dowódców różnych ugrupowań przez radio i montowania pomocy z zewnątrz dywizji, przez żądanie akcji sąsiednich jednostek, ognia artylerii ciężkiej kanadyjskiej, wsparcia lotniczego, zrzutów zaopatrzenia z powietrza.

Pierwsze jednak moje alarmy w dowództwach wyższych, że cały napór niemieckiej armii w odrocie jest na polskiej dywizji, spotyka się w sztabach kanadyjskich z pewnym niedowierzaniem. Upierają się w sztabie 2 korpusu, że St. Lambert sur Dives, opanowany przez 4 dywizję pancerną kanadyjską, dostatecznie asekuje dywizję polską od północnego zachodu. Nieporozumienie polega na tym, że do St. Lambert wszedł tylko szczupły liczebnie oddział wydzielony 4 dyw. panc.

kanadyjskiej i opanował tylko północno_zachodnią małą część miejscowości, gdzie opadnięty przez Niemców i odcięty od dywizji swojej bardzo dzielnie się bronił. Ale większa część miejscowości (południowo_zachodnia), zasłaniająca swym terenowym położeniem wgląd do doliny około

2 i pół żłm szerokiej, przez nikogo nie kontrolowanej, aż po same niemal Chambois, była przez cały dzień 20 sierpnia w ręku niemieckim. Zmasowały się w tej części resztki dwóch dywizji pancernych niemieckich z I S.S. korpusu panc. z generałami von Ludwitz i Harmel, którzy paczkami przepychali swe oddziały przez tę lukę. Prawdopodobnie tą luką wyciekła kwatera główna 7 armii, gdy sztab 5 armii pancernej, który znalazł się z 2 korpusem S.S. pancernym na zewnątrz „worka”, dyrygował odsieczą z rejonu Rouen.

Dopiero przybycie w samochodzie pancernym dowódcy korpusu kanadyjskiego do mego punktu dowodzenia, zmienia to nastawienie sztabu korpusu. Gen. Simonds orientuje się u mnie w istocie położenia i wydaje z miejsca szereg rozkazów: 3 dyw. kanadyjskiej nawiązania łączności z nami w kierunku na Chambois, a 4 dyw. pancernej natarcia na 2 korpus pancerny niemiecki dla odciążenia sytuacji dywizji polskiej.

Nie słyszę przez radio odpowiedzi dowódcy dywizji pancernej kanadyjskiej, ale z tonu i urywków odpowiedzi gen. Simonds domyślam się treści. Po chwili zwraca się gen. Simonds do mnie z tym, że jeszcze w ciągu dnia 4 dyw. panc. natarciem na mój wschodni skrzydło odciążą trudną sytuację polskiej dywizji pancernej.

Ale w tym dniu 20 sierpnia, natarcie kanadyjskie nie wyszło.

Wcześniej rano 21 sierpnia zjawił się u mnie ponownie dowódca korpusu z tym, że z powodu różnego splotu zdarzeń - natarcie kanadyjskiej dywizji dopiero wychodzi. Odjeżdżając, mimochodem dorzucił, że gdy nawiąże łączność z 4 dywizją pancerną, to dowódcą jej jest od dnia dzisiejszego - były szef sztabu korpusu płk T.

Ktoś więc zapłacił za to, że natarcie nie wyszło dnia poprzedniego.

‘tb

** ** **

‘tp

Koło południa 21 sierpnia kryzys bitwy minął.

Ostatnie natarcie 2 korpusu pancernego niemieckiego z północnego wschodu na „Maczugę” załamało się częściowo na twardej obronie polskiej, częściowo z powodu uderzenia 4 dyw. pancernej kanadyjskiej z północy na wschodnie przedpole obrony. Z Kanadyjczykami przyszło zaopatrzenie we wszystko, co było już na wyczerpaniu w dywizji: w amunicję, benzynę, żywność, lekarstwa, otwarcie dróg dla ewakuacji rannych i jeńców.

Bitwa była wygrana!

Jeszcze odgryzały się gdzieś małe grupki niemieckie, lub przedzierał się z łomotem rozpaczliwie jakiś pojazd pancerny, lecz gdy po południu dotarłem na „Maczugę”, wszystko już minęło. Raczej już bez walki oddziały oczyszczały teren, ostatecznie przyjmując nakazane 19 sierpnia ugrupowanie, porządkując dowodzenie i regulując wysuwające się na czoło sprawy zaopatrzenia.

Na „Maczudze” meldował się u mnie nasz „Doktor”. Tak nazywaliśmy płka Z. Szydłowskiego, dowódcę 9 baonu strzelców, a przez ostatnie dwa dni faktycznego dowódcę całego zgrupowania na „Maczudze”.

Żołnierz był nieludzko zmęczony i bardziej pod wrażeniem strat własnych niż osiągniętego sukcesu.

Ale w Chambois, gdy tam dotarłem, do ppłka Zgorzelskiego, jego dragonów i ułanów 24 pułku - świadomość wielkiego zwycięstwa przemogła już zmęczenie i odurzenie po krwawych zmaganiach. Pod zdobyczym namiotem, zasłanym jak dywanem zdobytym sztandarem ze swastyką jakiegoś oddziału S.S., wychyliłem kieliszek szampana, też zdobycznego, na cześć ułanów, dragonów i strzelców przeciwpancernych.

Tylko w następnym ugrupowaniu

10 pułku strzelców konnych, pułku, który od sforsowania rzeki Dives pod Jort do rozbicia natarcia gen. v. Elfeldta tyle zrobił dla zwycięstwa dywizji - nastrój poważny, choć nie przygnębiający. Po żołniersku żegnano się z odchodzącym na zawsze ukochanym bohaterskim dowódcą pułku - Janem Maciejowskim, pośmiertnie mianowanym podpułkownikiem i odznaczonym krzyżem IV klasy Orderu Virtuti Militari.

Kryptonimem pułku w rozmowach radiowych była przecież nazwa „dzieci Macieja”.

‘tb

** ** **

‘tp

Trochę anegdota, która gromadziła się już po bitwie, w opowiadaniach o minionych przejściach i publikacjach w pismach i książkach.

Najstarszy rangą nasz jeńiec, gen. Otto von Elfeldt, objął dnia 28 lipca 1944 dowództwo 84 korpusu, na odcinku obronnym u podstawy półwyspu Cherbourg, przeciwstawiającym się inwazji armii amerykańskiej. Korpus jego składał się z resztek siedmiu, przetrzepanych już dywizji, z podporządkowaną mu 116 dywizją pancerną. Spod Arromanches wycofał się na wschód, nad rzekę Orne i objął w krytycznych dniach połowy sierpnia odcinek obronny na wzgórzach nad m. Falaise. Z punktów obserwacyjnych obserwował generał ruch brytyjskich czołgów po wschodniej stronie rzeki Dives, które to czołgi należały do polskiej dywizji pancernej, o czym wtedy jeszcze nie wiedział. Gdy więc dostał rozkaz przebijania się spod Falaise w kierunku północno_wschodnim, poprzez tyły naszych pułków

pancernych, uznał to za niemożliwe i uzyskał zgodę dowódcy 7 armii gen. Haussera na dołączenie się do wojsk spadochronowych, dowodzonych przez gen. Meindla i przebijania się z St. Lambert w kierunku południowo_wschodnim. W dniu 19 sierpnia, zanim wszystkie drogi z tego rejonu na wschód zostały zablokowane przez Polaków, część oddziałów spadochronowych zdołała się wymknąć. Gdy jednak, idąc w ślad za nimi, o świcie 20 sierpnia zastał odwrót zamknięty i natarciem z St. Lambert w kierunku poprzez 113 na „Maczugę” chciał otworzyć sobie drogę, po dwóch godzinach walk pełnych strat w sprzęcie i ludziach resztki jego korpusu zostały rozbite, a on sam ze sztabem dostał się do niewoli naszego 10 pułku strzelców konnych. W wypowiedziach swoich, które opublikował znany autor angielski B. H. Liddell Hart, w książce pod tytułem „The other side of the hill” (Po drugiej stronie wzgórza) - mówi gen. Elfeldt, że dowódca polskiej dywizji pancernej był dobrze prezentującym się człowiekiem (a fine looking man) i dżentelmenem. Potraktował go ostatnim swoim papierosem. A dywizja polska była też w rozpaczliwie trudnej sytuacji, gdy oddziały polskie i niemieckie były nawzajem przemieszane. Pokusa mnie bierze, by ten komplement w stosunku do dowódcy dywizji, wziąć na swe konto.

Ale co zrobić z papierosem?

Całe życie byłem niepalący i wszyscy o tym wiedzieli, a przede wszystkim moi koledzy i mój ordynans osobisty, gospodarujący ma racją tytoniu.

Muszę więc sprostować!

Za dowódcę dywizji wziął gen. Elfeldt majora Michała Gutowskiego, dowódcę szwadronu odwodowego 10 pułku strzelców konnych, a późniejszego dowódcę 2 pułku pancernego, pod którego strażą zbierała się w tym dniu masa branych do niewoli Niemców, między nimi gen. Elfeldt ze sztabem. Mimo znajomości języka niemieckiego - Gutowski rozmawiał po francusku z generałem i oficerami, z których jeden był dobrze mu znanym członkiem ekipy konnej w zawodach w Berlinie. W pierwszym momencie po wzięciu do niewoli i generał i oficerowie jego zachowywali się butnie i byli bardzo pewni siebie twierdząc, wobec toczącej się jeszcze zażartej bitwy, że nie wiadomo, kto u kogo jest w niewoli. Potem, w miarę upływu czasu, wobec zwiększającej się liczby jeńców, tak, że polana obszerna nie mogła ich już pomieścić - miny im zrzedły. Bardzo zrezygnowani otwierali pochód jeńców, gdyśmy oddawali Niemców Amerykanom, chcąc się pozbyć tego niepotrzebnego w bitwie balastu. Ogromnych strat w czołgach i w załogach czołgowych 5 armii pancernej w bitwie w Normandii, Niemcy nie potrafili już wyrównać do końca wojny. Po 4 miesiącach od bitwy tej, w niemieckiej ofensywie zimowej w Ardenach, rozpoczętej 16 grudnia, mimo usilnych prób zrekonstruowania i uzupełnienia do pełnej wartości dywizji pancernych - ilość czołgów dywizji pancernej niemieckiej wahała się od 60 do najwyżej 100 czołgów, co było jedną trzecią, a najwyżej dobrą połową etatowego stanu (180Ñ). Tak to określał później na łamach wzmiankowanej książki dowódca 5 armii pancernej gen. Manteufel, jeden z najzręczniejszych dowódców wojsk pancernych w Niemczech.

W rezultacie całości bitwy normandzkiej oficjalny raport niemiecki z 23 sierpnia podaje następujące stany dywizji pancernych, które wyszły z potrzasku:

- 2 dyw.panc. - 1 baon piech. - bez czołgów i art.,
- 21 dyw.panc. - 4 słabe baony -
- 10 czołgów,
- 116 dyw.panc. - 1 baon piech.
- 12 czołgów - 2 baterie,
- 1 S.S. dyw.panc. - nieco piechoty - bez czołgów i art.,
- 2 S.S. dyw.panc. - 450 szereg.
- 15 czołgów - 6 dział,
- 9 S.S. dyw.panc. - 460 szereg.
- 20_#25 czołgów - 20 dział,

10 S.S. dyw.panc. - 4 słabe baony - bez czołgów i art.,
12 S.S. dyw.panc. - 300 szereg. - 10 czołgów - bez art.,
nie licząc dwóch dywizji pancernych zupełnie zniszczonych

- a to: Panzer Lehr Division i 9 dyw.panc.

W tej masakrze 10_u dywizji pancernych niemieckich miała dywizja polska swój zaszczytny udział.

Dla zobrazowania 12 S.S. Panzer Division (Hitler Jugend)

- w D_day miała stan 20.000 szeregowych i 150 czołgów, z tego połowa typu Pantery.

Wykrwawienie się formacji spadochronowych 2 korpusu spadochronowego, użytych w Normandii jako dywizji piechoty, zaważyło tak na stanie tych wojsk, że z dużym wysiłkiem potrafił gen. Student sformować w grudniu 1944 jeden tylko batalion w sile 1000 spadochroniarzy, który mógł być zrzucony z powietrza w ofensywie ardeńskiej.

I nie dziw, gdy się weźmie pod uwagę rozpaczliwe próby spadochroniarzy przebicia się spod Falaise. Nie pomogły nawet tak drastyczne rozkazy, jak ten dowódca 3 dywizji spadochronowej, który wobec szerzących się pogłosek, że dywizja jest otoczona - stwierdza, że to jest fałsz - bo niemiecka dywizja spadochronowa w ogóle nie może być otoczona, a kto inaczej myśli, jest tchórzem

- i takiemu pluje on w twarz.

Może inaczej myśleli, a może tak samo żołnierze niemieccy, których setki trupów zalegały stoki Maczugi i przedpole Chambois - długo jeszcze po bitwie - jako dokument rozpaczliwej woli przebicia się.

‘tc

Rozdział 6ã

Resum~e bitwy

‘tc

Blaski i cienie bitwy polskiej dywizji pancerniej pod Falaise.

Zacznę od strat, gdyż te w pierwszych godzinach po ukończeniu operacji miały najgłębszą wymowę, a nawet wpływ na mentalność dowódców i żołnierzy.

Byliśmy jednostką o narastającej historii.

Motoryzacja przed wrześniem 39 r., boje 10 bryg. kawalerii w Polsce w r. 1939 i we Francji w r. 1940, okres kilku lat dobierania ludzi o różnych temperamentach, szkolenia intensywnego, bliskiego współżycia, trzymanie się „kupy” we Francji i W. Brytanii - stworzyły specjalną atmosferę. Dowódca pułku, szwadronu czy plutonu, który ginął w tej bitwie, to nie cyfra - to właśnie ten jedyny Maciej czy Władek - przyjaciel, kolega czy długoletni podkomendny. Kierowca czołgu czy strzelec - to też nie cyfra, to ten Franek czy Staszek

- jeszcze z kampanii wrześniowej lub z Francji - to ten, co tak dzielnie sprawił się pod Wysoką czy pod Montbard, z którym przekradaliśmy się z Węgier czy Francji. To nieraz czyjś rodzony syn lub kuzyn, bo i takie były sploty.

Dywizja była przez 2 tygodnie w ciągłym ogniu, ostatnie dni i noce były jednym koszmarem, wyszła z bitwy mocno przetrzepana - o stanach w oczach mych kurczących się. Ważyły się więc w mej głowie możliwości odsunięcia dywizji na kilka miesięcy dla wypoczynku, uzupełnienia i nowego zgrania. Podchodzili do mnie z tym ze wszystkich stron dowódca w trosce o swe oddziały i koledzy. Przydzieleni oficerowie łącznikowi brytyjscy zapewniali, że uzyskają aprobatę dowództw alianckich.

Uśmiechała się, po tak ciężko spełnionym zadaniu, wizja jeszcze słonecznej Francji z wrześniem przed nami, z winem i owocami wczesnej jesieni.

A dopełniały miarę wątpliwości anonimowe listy z W. Brytanii, jak np. jeden, podpisany „matka Polka”, z zaklinaniem, bym nie zazdrościł Andersowi sukcesów i oszczędzał drogocenną krew polską. Tak! Bardzo drogocenną, myślałem gorzko, gdy ją przelewamy - rychło stanieje, gdy ją przestaniemy przelewać.

Jednakże przeważył i przewyciężył te myśli i argumenty jeden zasadniczy wzgląd.

Oto dywizja wykonała swe ciężkie zadanie w warunkach i okolicznościach tak wyjątkowych, że nie można je brać za typowe dla jednostki wojennej, jaką byliśmy. A teraz, gdy się otwiera pole do ruchu, do „rasowego” użycia dywizji pancерnej w pościgu, to my mamy być wyeliminowani? A sukcesy i laury pościgu, łatwizny w porównaniu z tym, cośmy dokonali, zbierze żołnierz brytyjski, kanadyjski i amerykański - wszyscy tylko nie Polacy. I to w momencie, gdy się krwawi Warszawa, gdy nie mogąc pomóc bezpośrednio, tylko tym jedynym sposobem walki z Niemcami choć na odległym froncie - możemy łączyć się z tymi w Kraju, i gdy wciąż jest tak ważne, by imię żołnierza polskiego bijącego się było na ustach świata.

Napisałem krótki raport do dowódcy armii kanadyjskiej z tym, że wedle mej oceny dywizja, po tygodniowym wypoczynku i wcieleniu uzupełnień, które były z nami we Francji, będzie zdolna do użytku, jakkolwiek oddziały będą poniżej stanu etatowego.

Ułożyłem dłuższy raport z całym umotywowaniem do Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego.

I do dziś dnia czuję ogromną wdzięczność do generała za natychmiastową odpowiedź, aprobującą mój „żołnierski”, jak podkreślał, punkt widzenia. Fantazje, zrodzone w kilka lat po ukończeniu działań, o jakimś spisku „sanacyjnym” i nacisku na mnie, bym dla protestu ogłosił we Francji „neutralność” dywizji, są tak samo nieprawdziwe, jak chorobliwie fantastyczne. Ani do rejonu Aldershot z końcem lipca 1944 r., ani do Francji w sierpniu nie przyjeżdżał do mnie generał Paszkiewicz z jakimś ostrzeżeniem w tej sprawie, ani też nie było bezpośredniego powodu do jakiegoś operetkowego protestu. Gdyśmy zbierali się w Aldershot, było to jeszcze przed wybuchem powstania, więc nie brak pomocy alianckiej dla krwawiącej Warszawy mógłby motywować takie nasze wystąpienie, a Jałta była w kilkumiesięcznym dystansie przed nami.

‘tb

** ** **

‘tp

W suchych cyfrach straty polskiej dywizji pancерnej w bitwie „Falaise” - bo tak całość operacji nazwano - były następujące:

325 zabitych, w tym 21 oficerów,

1002 rannych, w tym 35 oficerów,

114 zaginionych,

łącznie licza strat - 1441 szeregowych, a więc około 10% stanu ogólnego, co w oddziałach liniowych dawało przeciętnie 20% strat, a dochodziło w niektórych do ponad 30%. Straty te były zróżnoważone wielokrotnie większymi po stronie niemieckiej. Nie mamy ewidencji zabitych i rannych Niemców w tej bitwie, wątpię, czy w tym chaosie i przemieszaniu związków oddziałowych można by określić nawet przybliżoną liczbę. Słusznie jednak pobojuwisko w rejonie naszej bitwy nazwaliśmy

„psim polem” - przez reminiscencję historyczną - do pobojuwiska pod Legnicą.

Straty niemieckie, które mogliśmy zarejestrować, były:

jeńców 5113, w tym 137 oficerów z generałem i 4 pułkownikami, 2 podpułkownikami etc.,

w sprzęcie:

55 czołgów, 44 dział, 38 wozów pancernych, 207 pojazdów mechanicznych, 152 pojazdów konnych, nie licząc znacznej ilości broni ciężkiej maszynowej i ręcznej małokalibrowej.

Ilość zdobytego sprzętu była dużo większa, gdyż wykaz powyższy obejmuje tylko sprzęt z podaniem przez oddziały współrzędnych dla skontrolowania wykazów. Nie obejmuje sprzętu, wyciąganego potem z zarośli, sadów, lasków etc., gdyż nie myśmy oczyszczali teren po bitwie. Zastępca mój płk dypl. K. Dworak, który kontrolował wykazy, był wzorem sumienności i dokładności. Znanym było w dywizji jego powiedzenie: „my Polacy lubimy przesadzać, wcale nie zdobyliśmy 100 armat, tylko

99Ń". Nie ma też w tych cyfrach naszego udziału w tej masie jeńców i sprzętu, która, odcięta przez nas w odwrocie, zrezygnowała z góry z przebijania się i dobrowolnie się potem poddała. A było ich tysiące.

W oficjalnej historii Kanadyjczycy podają w rejonie Trun_Argentan_Chambois: 187 czołgów, 157 opancerzonych pojazdów, 1778 samoch. ciężarowych, 669 osobowych, 252 armat - w ogólnej sumie 3043 dział, czołgów i pojazdów plus porzuconych bardziej na zachodzie 1270 dział, czołgów i pojazdów mechanicznych.

Przyszły pochwały za działanie dywizji w tej decydującej bitwie:

od dowódcy korpusu gen. Simondsa,

od dowódcy armii kanadyjskiej gen. Crerara,

od marszałka Montgomery'ego, który później mówiąc o bitwie pod Falaise użyje historycznego porównania:

„Niemcy byli jakby w butelce, a polska dywizja była korkiem, którym ich w niej zamknęliśmy”.

A fachowców wojskowych najwięcej cieszył płomienny artykuł w fachowym piśmie brytyjskim „Tank”.

Autor stwierdzając, że polska dywizja pancerna odegrała czołową rolę w uzyskaniu zwycięstwa sprzymierzonych w Normandii, zamykając lukę, która była jedyną pozostałą drogą wyjścia dla przetrzebionej armii niemieckiej, podaje: „Spośród pól bitew Normandii, żadne inne nie przedstawia takiego obrazu piekła, zniszczenia i śmierci jak to, które rozciąga się na północny wschód od Chambois.”

Dywizja dawno już strzepnęła kurz normandzki z gąsienic czołgów i gnała ku granicy belgijskiej, gdy zaaranżowana z Londynu wycieczka attach~es militaires znalazła się na

„Maczudze”. Na łysym wzgórzu

262, skąd widok w krąg obejmował pole bitwy 1 polskiej dywizji pancerniej, sterczał wysoki maszt z tablicą: „Polish battlefield”

- polskie pobojuwisko. Stały jeszcze nie usunięte z miejsc zniszczone Pantery i Tygrysy,

Ferdynandy i Shermany i Cromwelle. Droga z Chambois do Vimoutiers była przetarta

buldożerami, jak po burzy śnieżnej przeciera się drogi pługami śnieżnymi. A na szczycie dowódca brygady ciężkich czołgów brytyjskich, która pozostała dla oczyszczenia pobojuwisk,

wprowadzał widzów w położenie. Odmiennymi śladami gąsienic naszych czołgów i niemieckich odszyfrował dokładnie tę największą bitwę czołgów inwazji, chlubiąc się, że chyba

zna tę bitwę lepiej teraz, niż ci, co nią dowodzili. W środku polska dywizja w walce na dwa

fronty z 2 korpusem pancernym niemieckim ze wschodu i 1 korpusem pancernym S.S. z

zachodu, nieco dalej 4 dywizja pancerna kanadyjska, której ślady gąsienic dochodzą pod koniec

bitwy do „Maczugi”; z daleka z południa i południowego zachodu dwie dywizje pancerne, które do bitwy doszły po jej ukończeniu: 2 dywizja pancerna francuska gen. Leclerca z armii Pattona i

11 dyw.panc. brytyjska z 2 armii brytyjskiej gen. Dempseya.

W kilka lat potem, szukając przyczyn dlaczego Falaise nie stało się grobem całej armii niemieckiej na zachodzie Europy tak, by dalszy pochód na wschód do Niemiec stał się tylko spacerem, przemycano zdanie, że dywizja pancerna polska przepuściła część tej armii na wschód. Ta część, która wydostała się, uzupełniona i stężała po klęsce, jeszcze przed zapadnięciem zimy potrafiła się z powrotem skutecznie przeciwstawić, a nawet w połowie grudnia przejść do śmiałego przeciwnatarcia Rundstedta przez Ardeny.

Zarzuty te są szyte zbyt grubymi ściegami i bumerangiem musiałyby uderzyć wysoko ponad szczebel dowodzenia dywizją, a nawet korpusem.

Po pierwsze:

z chwilą, gdy „przywierały się stalowe wrota, którymi polska dywizja pancerna zamykała ostatnią lukę umożliwiającą odwrót niemiecki” (wyrażenie z periodyka brytyjskiego „Tank”), część armii niemieckiej wyszła już z „worka” na wschód. I tak wiemy dokumentarnie, że wyszedł cały 2 korpus pancerny niemiecki, nie mamy ewidencji co do innych jednostek, a musiało ich być - choć mocno przetrzebionych - nie mało.

Zamiast używać wyrazu

„odcięcie” armii niemieckiej, może słuszniesze by było:

„przecięcie” z tym, że mniejsza część około 30% znalazła się już na zewnątrz, a większość około

70% wewnątrz zamykanego worka.

Po drugie:

Proces tego „przemyskania” był ciężką walką wszystkich oddziałów dywizji do ostatniego czołga, działa i strzelca, trwającą od nocy 17 na 18 sierpnia do godzin wieczornych dnia 19, tak z oddziałami przebijającymi się jak z korpusem pancernym z zewnątrz, skierowanym dla zniszczenia polskiej dywizji.

Przez okres tego czasu, armia niemiecka choć niszczona częściowo przez lotnictwo, korzystała jeszcze z dróg odwrotu na wschód przez Trun i przez Chambois na Vimoutiers, aż do podejścia pod Trun, 10 pułku strzelców konnych dnia 18 sierpnia wieczorem, a potem już tylko przez Chambois aż do godzin wieczornych dnia 19 – momentu podania ręki baonowi amerykańskiemu. Opóźnienie w podejściu pod Chambois, wskutek dygresji oddziału wydzielonego ppłka Koszutkiego na Champeaux, ma tyle minusów dla tej bitwy, ile plusów. Stracone godziny w podejściu pod Chambois równoważy sukces zaskoczenia nocnego 2 dywizji pancerniej niemieckiej przez oddział ppłka Koszutkiego i zabezpieczenie przez to naszego lewego skrzydła.

Po trzecie:

Już po zamknięciu ostatecznym niemieckiego odwrotu, w dniu 20 sierpnia, w ciężkiej sytuacji izolowanej w bitwie dywizji pancerniej polskiej, wymknęły się pewne grupy niemieckie, szczególnie przez St. Lambert sur Dives, z powodów wyżej przeze mnie wyłożonych. Były to tylko małe grupy, raczej strzepy, które bez ciężkiego sprzętu, w ciągłym ogniu artylerii i czołgów naszych z „Maczugi”, zdołały się wydobyć z matni.

Powód, dlaczego około 40% 7 armii i grupy pancernej v. Eberbacha umknęło losu zupełnego odcięcia, tkwił gdzie indziej. Tkwił w ogromnym nieporozumieniu i to na najwyższych szczeblach alianckich. Jak dziś wiemy, 13 sierpnia amerykańska armia gen. Pattona znalazła się już w rejonie na południe od Argentan, a więc kilkanaście kilometrów z drugiej strony (południowej) Falaise. Ten wielki żołnierz, ze zmysłem taktycznym i operacyjnym widział dobrze wagę południowego ramienia kleszczy i jego 15 korpus był w marszu na Argentan. Rozgraniczenie jednak pasów działania między 12 grupą armii gen. Bradleya a 21 grupą armii marszałka Montgomery’ego – przebiegało około 8 mil na południe od Argentan. Dając rozkaz dowódcy 15 korpusu – generałowi Wade H. Haislip – Patton nakazał wolny nacisk aż do nawiązania kontaktu z Brytyjczykami – nie chcąc eksponować zbytnio swego korpusu i bojąc się przypadkowego rozlewu krwi amerykańsko_brytyjskiej. Już jednak wieczorem 13 sierpnia, Patton odwołał ten rozkaz i kazał oddziałom amerykańskim zatrzymać się na południe od Argentan. I to na zarządzenie z góry swego dowódcy grupy armii.

Nakreślona na mapie linia rozgraniczenia, stała się przeszkodą nie do przebycia w osiągnięciu pełnego sukcesu, przeszkodą dużo większą niż opór, jaki mogła stawić armia niemiecka w odwrocie.

Powodem odwołania rozkazu oprócz obawy Bradleya, czy Patton zdoła przeciwstawić się tłoczącej masie armii niemieckiej w odwrocie, była jakaś przesadzona grubo obawa nieporozumienia na polu bitwy i wzajemnego postrzelania się oddziałów amerykańskich z brytyjskimi. Dla tego to straszaka myślowego, od 13 do 17 sierpnia stały oddziały amerykańskie niejako z bronią u nogi na południe od Argentan, gdy przed nosem ich odchodziły na wschód oddziały niemieckie, gnębione tylko przez lotnictwo do chwili wyjścia uderzenia północnego ramienia kleszczy, którego awangarda była polska dywizja pancerna.

Rzeczywistość zakpiła sobie z tych przesadzonych obaw, gdy po machnięciu ręką na pas rozgraniczenia i ruszeniu armii amerykańskiej od południa, zetknięcie się z „Brytyjczykami” nastąpiło w formie niemal „salonowej” nawiązania łączności patrolu dowodzonego przez ppor. Karcza z polskiego 10 p. dragonów, z czołową kompanią batalionu amerykańskiego. Ale nastąpiło to dopiero wieczorem dnia 19 sierpnia.

Tak więc w decydujących dniach bitwy powstaje obraz nad wyraz osobliwy:

Na południu:

armia gen. Pattona, jeszcze w rejonie na południe od Argentan, zaczyna ruch ku północy dopiero 17 sierpnia, po 4-dniowym respektowaniu rozgraniczenia obu grup armii.

Na północy:

armia kanadyjska dywizjami piechoty wykańcza bitwę o m. Falaise, gdzie ostatnie opory w mieście zostały przezwyciężone dopiero pod wieczór 17 sierpnia, 4 dywizja pancerna kanadyjska, przekraczająca dopiero twardo bronione przejścia przez rz. Dives i jej dopływ z rejonu m. Falaise, a tylko jedna polska dywizja pancerna, zupełnie odosobniona, wchodzi w obszar, decydujący o odwróceniu niemieckim - obszar wzgórz nad szosą Trun-Chambois. Rozkaz Montgomery'ego przedłużenia wysiłku polskiej dywizji pancerniej na Chambois - powiększa to odosobnienie, gdyż dopiero 19 wieczorem i to tylko słaby oddział wydzielony 4 dywizji pancerniej kanadyjskiej wchodzi do północno-zachodniej części St. Lambert sur Dives i o tym samym niemal czasie jeden baon amerykański dołącza się do Polaków w samym Chambois.

Ilustrując sytuację obrazowo: polska dywizja pancerna, z dołączonymi dwoma oddziałami sprzymierzonych, chwyta byka za rogi i osadza jego rozszalały impet, podczas gdy reszta armii kanadyjskiej i 2 armia brytyjska trzepią po ogonie i bokach uciekającego zwierzęcia, dodając mu tylko szybkości.

Obraz ten porównawczy nie chce być krytyką. Wojenka lubi tworzyć takie paradoksalne obrazki. Podkreśla tylko prawdziwą sytuację 1 polskiej dywizji pancerniej, której żołnierz dał w tej bitwie wszystko ze siebie dla wspólnej sprawy sprzymierzonych.

Zresztą w miarę rozwoju bitwy coraz większa część oddziałów armii kanadyjskiej zostaje wciągnięta w orbitę ciężkich walk. Impet niemiecki, zatrzymany przez oddziały polskiej 1 dywizji pancerniej spowodował, że pęczniała coraz bardziej masa spływających w odwróceniu z zachodu oddziałów niemieckich. To spowodowało z kolei rozpieranie się Niemców na boki, poza ramy zamierzonego przerwania się między St. Lambert a Chambois. I tak na północny zachód od St. Lambert - na Magny-Trun wychodzą 20-21 sierpnia masowe ataki 84 dyw. piech., której dowódca, gen. Erwin Menny, dostaje się do niewoli kanadyjskiej, ale część jego oddziałów przerywa się i łączy z 2 korpusem pancernym S.S. A na południe od Chambois natarcie niemieckie na 90 dywizję amerykańską na Le Bourg St. Leonard - przerywa łączność dywizji z jej baonem w Chambois, pozostającym pod rozkazami dowódcy polskiego zgrupowania ppłk. Zgorzelskiego.

W obiektywnej ocenie całej bitwy w Normandii, która mimo wypuszczenia 40% armii niemieckiej z potrzasku, była wspaniałym zwycięstwem sprzymierzonych, Kanadyjczycy podkreślają absolutną przewagę po stronie sprzymierzonych nie tylko w lotnictwie, ale i w liczebności wojska. Paradoksem jednak było, że w decydującym punkcie dla odwrotu niemieckiego

- polska dywizja pancerna walczyła przeciw absolutnej przewadze i pancerza i sił żywych niemieckich, prócz przewagi lotnictwa, które już niepodzielnie było w ręku sprzymierzonych.

Była i strona odwrotna medalu. Wśród Polaków w Londynie i całej W. Brytanii zaczęły się szerzyć przesadne pogłoski o ogromnych stratach dywizji polskiej, a nawet szalonym, niemal samobójczym jej użyciu przez dowódcę i niepotrzebnym skrwawieniu. Do przesadnych wieści o bitwie, przywiezionych przez pierwsze transporty rannych, o wiadomościach o tych co polegli i tych co podobno polegli, a po dziś dzień cieszą się dobrym zdrowiem - dorabiała fantazja dowolne cyfry i wizje piekła tej bitwy.

Toteż, gdy przyjechałem na kilka dni do Londynu, gen. Kukiel - wtedy minister Obrony Narodowej - by urwać łeb tym plotkom, sprowadził mnie na posiedzenie Rady Ministrów, na którym zreferowałem właściwy stan rzeczy. Charakterystycznym było, że cena, jaką zapłaciliśmy nie tylko za udział w tej bitwie, ale za główną w niej rolę, była niższa niż ta, wyrażona w stratach dywizji piechoty kanadyjskiej i 4 dyw. pancerniej kanadyjskiej, a chyba

10-krotnie niższa niż straty niemieckie w naszym obszarze bitwy. A żołnierz niemiecki wciąż był dobry i rozpaczliwa sytuacja wzmagająca siłę jego oporu.

Ostatecznie cyfry zawsze najłatwiej przekonywują.

‘tb

** ** **

‘tp

W tydzień po walkach Chambois_Maczuga, dywizja była rzeczywiście gotowa do dalszego użycia.

Mimo wyczerpania pierwszego uzupełnienia, które dywizja miała za sobą w Normandii i pewnego „zastrzyku” specjalistów z W. Brytanii, musieliśmy zredukować czwarte plutony w szwadronach pancernych, a stan bojowy kompanii strzeleckich spadł do mniej więcej setki szeregowców.

Przeprowadziłem zmiany personalne na ważniejszych stanowiskach. Decydować mogła tylko aktualna przydatność do walki. Wobec prośby płka Wierońskiego, bardzo dobrego piechura, odznaczonego przeze mnie Virtuti Militari za bitwę 15 sierpnia o Potigny, któremu jednak specjalny charakter walk strzeleckiej brygady w ramach dywizji pancerniej nie odpowiadał i sądził, że ktoś inny będzie na tym stanowisku lepszy - dowództwo 3 brygady strzeleckiej oddałem płkowi dypl. Fr. Skibińskiemu, dotychczasowemu zastępcy dowódcy 10 bryg.panc. Szefem sztabu 3 bryg.strzel. na miejsce kpt. dypl. Nawary został rtm. dypl. J. Stachowicz. 10 pułk strzelców konnych objął najmłodszy wiekiem dowódca szwadronu mjr Jerzy Wasilewski, gdyż od pierwszych bitew 10 brygady pod Naprawą, aż po Falaise - dojrzywał do tego stanowiska i najlepiej się zapowiadał.

Dowództwo 24 pułku ułanów objął mjr Rakowski, stary oficer tego pułku, a dowództwo pułku przeciwpancernego mjr Ejsymont, znany już z kilku kart mych wspomnień.

Wskutek przeniesienia mjra dypl. M. Czarneckiego do Londynu

- szefem sztabu 10 bryg.panc. zostaje mjr dypl. T. Wysocki.

Mimo niedociągnięć w stanach do etatu i mimo zmian personalnych, a może przez nie, dywizja była we wspaniałej formie nowego doświadczenia i wysokiego moralu.

‘tc

Część IIIã

Wiek dojrzały (c.d.)

‘tc

‘ty

Rozdział 7

Od Sekwany

do Kanału Gandawskiego.

Pościg

‘ty

‘tt

Rozdział 7ã

Pościg. Od Sekwanyã

do Kanału Gandawskiego

‘tt

Czy jest w słownictwie wojskowym słowo, które by było cenniejszym dla żołnierza? Mimo trudu i znoju, mimo wyczerpania fizycznego, które nieraz nie mniejsze jest od tego, przeżywanego przez żołnierza w odwrocie. Nigdy słońce sukcesów nie jest jaśniejsze i nigdy rzeczywistość bardziej sprzyjająca i wyrozumiała dla błędów i pomyłek, od których nie jest wolne żadne działanie na wojnie.

Od września 1939 przechodziliśmy wszystkie formy walk, od obrony do natarcia, od przeciwuderzenia do tych najbardziej wyczerpujących walk odwrotowych, od przebijania się do przekradania przez front, prócz tej jednej upragnionej formy: pościgu.

Pościg najbardziej identyfikował się w naszych myślach i naszych pragnieniach z pojęciem odwetu.

A za tyle rzeczy i okropności pragnęliśmy naszego osobistego odwetu. Czyż nie zaczynaliśmy naszych walk w Normandii równocześnie niemal z początkiem powstania warszawskiego?

Pościg!

Już w pierwszym dniu 31 sierpnia bez kontaktu z Niemcami połknęliśmy rzutem kołowym dywizji 85ż7śkm, gdy sytuacja pozwalała na oddzielenie go od rzutu gąsienicowego. Przeszliśmy Sekwanę mostem „Warszawa”, wybudowanym przez wysuniętych w przód saperów ppłk Dorandta, w sposób i w czasie rekordowym. Jaka to otchłań w różnicy, gdyśmy małą garstką, 10 bryg.kaw.panc. przekraczali ją, gnębieni przez lotnictwo niemieckie w czerwcu 1940 r., szukając wyjścia z zamykającego się kotła!

Jak diametralnie zmieniły się role nasze i Niemców! Dywizja była wypoczęta, a nastrój bojowy w oddziałach na najwyższym poziomie. Słowa Montgomery'ego w chwili rozpoczęcia inwazji:

„dobrych łowów na terenach Europy” - dopiero teraz miały nabrać rumieńca rzeczywistości.

Mimo stanów poważnie uszczuplonych, bo o 8% stanu żywnościowego, co oznaczało co najmniej o 20% stanu bojowego.

Kierunek północno_wschodni naszego marszu przecinał szereg poważnych lub mniej poważnych przeszkód wodnych. Zasugerowałem wobec tego dowódcy korpusu kanadyjskiego odchylenie się ku połudn._wschodowi, co pozwalało na omijanie tych przeszkód lub przekraczanie w miejscach mniej szerokich i głębokich. Sugestia moja została przyjęta, ale dla jednostki kanadyjskiej. Nas przerzuciono na oś wiodącą na Abbeville_Ypres.

Znów, jak to już było przedtem, prowadzą nas napisy

„Polish forces priority” - pierwszeństwo dla oddziałów polskich - poprzez linie komunikacyjne dywizji kanadyjskich, już wysuniętych na swych kierunkach.

Ale prędko nadrabiamy stracony czas i wysuwamy się na czoło.

Płk Skibińskiego z mjr-em Stankiewiczem wysłałem w sprawach uzupełnień dywizji do Londynu, wobec tego brygadą strzelecką dowodzi zastępca ppłk dypl. Dec, a moim szefem sztabu jest rtm. dypl. Kamil Czarnecki. Ten ostatni, pełen humoru i optymizmu, w zmiennych sytuacjach bardzo dobrze zdaje egzamin na to stanowisko, jak i na miłego towarzysza broni na moim czołgu dowodzenia, którym się posuwamy. Już tradycyjnie, pierwszy dzień pościgu, a jest nim 1 września 1944 r., dokładnie 5 lat od rozpoczęcia inwazji niemieckiej na Polskę, jest dniem 10 p.strz. konnych, wzmocnionego szwadronem dragonów, dyonem ppanc. i saperami. Po 60 kilometrach pościgu konni strzelcy zaskakują obronę niemiecką na rz. Bresle pod Blangy, biorąc sprzęt bojowy i przeszło 200 jeńców i nie dopuszczając do wysadzenia mostu.

Zamiast widoku najbardziej dobijającego: tych sznurków wozów, ludzi ewakuowanych, uciekających z dobytkiem na gwałt łapanym, dzieci, kobiet, starców, z niemym wyrzutem odprowadzających każdy ruch odwrotowy, zamiast tego przygnębiającego obrazu - drogi, ulice, wsie i miasteczka pełne radości i wesela. Skąd się wzięło tyle chorągwi o barwach narodowych, skąd się wzięły barwy polskie, skąd tyle kwiecia, tyle wina i szampana i ap-eritifów i jadła w ogołoconej przez Niemców, zdawało się ze wszystkiego, Francji północno_wschodniej? I ten zaskakujący entuzjazm tłumu, że to nie Anblicy, ale Polacy ich wyzwalają, „Vive la Pologne” jak nawałnica przewala się ulicami, wyprzedza nas, towarzyszy nam, zaraża entuzjazmem wszystkich.

Już trzeciego dnia musiałem wydać kategoryczny zakaz, by motocykliści z regulacji ruchu nie przyjmowali tych stert kwiatów i nie pozwolili entuzjastycznie witać się przez ludność, a już broń Boże, przyjmować poczęstunków, bo w jednym dniu tak marsz dywizji wyregulowali, żeśmy dużo drogi musieli nadłożyć, ku rozpaczy ich dowódcy mjra A. Pierogorodzkiego, dotychczas tak zaradnego w trudnych warunkach regulacji ruchu tak ciężkiej maszyny, jaka jest dywizja pancerna.

Wyniki rozpoznania dnia 2 września dają nam, że rzeka Somma, historyczna rzeka z pierwszej wojny światowej z powtórzoną historią zagonu niemieckiego w r. 1940, z równie historycznym miastem Abbeville - jest przygotowana do obrony przez bardzo silną

„Kampfgruppe”, tj. grupę bojową z artylerią i moździerzami. Pod osłoną dział czołgów 10 pułku strzelców konnych, dominujących z wysokiego brzegu nad rzeką i przeciwległym brzegiem, batalion strzelców podhalańskich zdobywa część miasta po stronie zachodniej rzeki. Równocześnie rozpoznanie saperów i piechoty z 3 brygady strzelców bada warunki forsowania rzeki bardziej ku północy w rejonie lasu Fort le Grand. Wygląda z mapy, że w tym miejscu łatwym będzie podsuniecie oddziałów i sprzętu przeprawowego. Na dowódcę forsowania wyznaczam ppłk dypl. Deca, oficera bardzo do tego przygotowanego, z którym nie jedną przeprawę „zdobywaliśmy” przed wojną na manewrach nad Niemnem, pod kierownictwem gen. Fr. Kleeberga.

W nocy z 2 na 3 września - 8 baon strzelecki, częściowo na łodziach szturmowych, a częściowo przerzuconą przez saperów kładką, przeprawił się na drugi brzeg, potem 9 baon strzelców, wymanewrowując oddziały niemieckie, a baon strzelców podhalańskich od frontu na improwizowanej przeprawie w mieście. Niemcy, osaczeni ze wszystkich stron, bronili się słabo, o godz. #/12 Abbeville było wolne i zachłystujące się wolnością, a cała brygada na wschodnim brzegu rzeki Sommy. 10 brygada z czołgami swymi i artylerią musiały do wieczora czekać na ukończenie budowy mostu pod sprzęt ciężki.

Zdobycie Abbeville ułatwiło o tyle pościg, że wreszcie mogliśmy przejść do tzw. pościgu równoległego, równocześnie na dwu osiach, gdy dotychczas posiadane przeprawy i mosty kanalizowały nas do jednej kolumny. Przychwycony rozkaz 86 korpusu niemieckiego świadczył o tym, że Niemcy, nie mogąc wycofać się na wschód, wobec tempa pościgu sprzymierzonych, wycofują się na północny wschód, kierując trzy dywizje: 331, 346 i 711 na plaże Dunkierki, pozostawiając na naszym kierunku

„ad hoc” zorganizowane grupy bojowe, które w oparciu o przeszkody wodne mają nas opóźnić.

Tym bardziej zależało na szybkości, by nie pozwolić tym grupom bojowym uporządkować się i skrzepnąć w obronie. Ale dwie są szybkości. Jedna mierzona nogami piechura, konia czy obrotami silnika pojazdu mechanicznego. I druga, polegająca na nastawieniu z góry do manewru, do wymijania oporu, czy obchodzenia, skracająca czas potrzebny na przygotowanie i nastawienie oddziałów. Tę drugą niepomrotnie ułatwiło wyjście do pościgu na dwie równoległe osie.

Tak więc od nocy 3 na 4 września dywizja działa na dwu osiach w celu opanowania przejść na Kanale Neuf Fosse.

Prowadzi na obu - 10 bryg. kaw. pancernej, z 3 bryg. strzelców w drugim rzucie z tym, że 10 bryg. kaw. ma raczej omijać opory, szczególnie w miejscowościach i przeć naprzód, a dopiero 3 bryg. strzelców ma wykańczać robotę przez zajmowanie i oczyszczanie miejscowości lub przechodzić do metodycznego forsowania rzeki i budowania mostu, gdy innym sposobem nie można przepchać się ku przodowi.

Dzień 4 września jest dniem walki z terenem, z trzema rzekami L'Authie, La Canche i Ternoise, szukaniem nieuszkodzonych mostów i przejść, schodzeniem z osi i wracaniem na nią, gdy przeszkoda wyminięta, ale w ostateczności wysuwana nas naprzód na rzekę Ternoise z brodem uchwyconym i wyzyskanym przez ładną akcję 24 p.uł. koło lasu Hesdin.

Jeńcy, brani w ciągu dnia, należą do 245 dyw. piech. i 164 dyw. piech., a więc, jak spodziewaliśmy się, nie z cytowanego wyżej 86 korpusu, który już uchylił się ku północy.

Mimo słoty i porywistych wiatrów, mimo dróg podmokłych na częstych objazdach, przy oporze mniejszych oddziałów niemieckich, dywizja robi w dniu

5 września przeszło 50÷75 km i 24 p.uł. chwyta nieuszkodzony most na rz. Blequin pod m. Wizernes na osi północnej. Ale rozpoznanie, które dochodzi szeroko w pasie 15÷75 km do kanału Neuf_Fosse, znajduje wszystkie mosty wysadzone, ogień ckm i moździerzy z przeciwległego brzegu, a nawet silnie bronione wysunięte punkty umocnień na brzegu południowym.

Najlepsze warunki forsowania zdają się być na południu, toteż gdy 1 p. panc. oczyszcza południowy brzeg, zdobywając bronione Belle Croix, a 10 p. dragonów

samodzielną akcją, wsparty szwadronem 24 p.uł., zdobywa z brawurą m. St. Omer, święcąc tą bitwą swe święto pułkowe, przy odwróceniu uwagi nieprzyjaciela tymi akcjami - 3 bryg.strzel. chwyta mały przyczółek na kanale pod Blaringhem, umożliwiając w nocy budowę mostu.

Dnia 6 września most oddany o godz. #/9 rano do użytku dywizji, która mijając niebronione miasto Cassel i posuwając się dwiema osiami, już o godz. #/13#40 przekracza granicę belgijską i po złamaniu małego oporu w m. Poperinghe - podchodzi pod historyczne miasto Ypres.

Historia patrzy na nas nie tylko z murów tego średniowiecznego miasta, z łuku bramy wejściowej, pomnika wojny

1914_#18, ale i z tysięcy_tysięcy krzyży na cmentarzach alianckich z poprzedniej wojny, wymijanych przez nas w pościgu. Niegdyś każdy metr ziemi wydarty w natarciu był sukcesem, okupionym masami poległych. Dziś? Taktyka szybkości triumfuje. 10 bryg.kaw.panc., trafiając na obronę miasta, omija go szybko z obu stron i wychodzi na płn._wschód od Ypres, odcina odwrót jednostek niemieckich. Tymczasem pod wieczór wchodzi do działania 3 bryg.strzel. najpierw 9 baonem strzelców, który zdobywa północną i północno_zachodnią część miasta w zacieklých walkach ulicznych, a w końcu całą brygadą dla szybkiego oczyszczenia miasta z poszczególnych grup jeszcze się broniących w murowanych obiektach.

Od rana 7 września dywizja w dalszym pościgu na 2 osiach. Po zajęciu Pashendale przez 10 bryg., 2 ppanc. rozbija baon niemiecki w m. Hoogled i przecina szosę z Roulers na północ, a 9 baon strzel. przełamuje obronę niemiecką 2z7şkm na północ od m. Roulers.

Do zapadnięcia zmroku zachodni skraj miasta opanowany przez brygadę, gotująca się do nocnej akcji oczyszczania miasta. Ludność miasta nie tylko manifestacyjnie wita naszych żołnierzy, ale i pomaga. Ogromne zasługi w rozpoznaniu gniazd dział ppanc. i karabinów maszynowych oddaje 17_letnia odważna harcerka Simone Brugge, dekorowana przeze mnie w kilka tygodni potem polskim Krzyżem Walecznych.

Nie czekając na ostatecznie skończoną bitwę o Roulers, jeszcze pod wieczór nakazuję stworzenie grupy bojowej, złożonej z 24 p.uł. i kompanii, a później całego 8 baonu strzelców i dwóch dyonów artylerii motorowej i przeciwpancernej pod dowództwem nowego dowódcy 24 p. ułanów ppłk Dowbora. Zadanie jej - jak najszybciej osiągnąć m. Thielt, by nie dać Niemcom czasu na zorganizowanie solidnej obrony.

Daje to w rezultacie pełne zaskoczenie. Pozycja na wschód od miasta, nieobsadzonego przez podchodzące dopiero oddziały niemieckie, nie tylko nie zatrzymuje, ale nawet nie awizuje podejścia naszego pod miasto i walka rozgorzeje dopiero w centrum miasta, gdy plutony czołgów 24 p.uł. będą rywalizować z plutonami strzeleckimi 8 baonu w opanowaniu ulicy po ulicy i domu po domu.

Tymczasem czołowy pułk 10 brygady, w tym dniu 2 pułk pancerny, wychodząc na północny wschód miasta w celu odcięcia odwrotu niemieckiego, ma swój szczęśliwy dzień, gdyż zaskakuje wycofującą się kolumnę mieszaną czołgów, pojazdów mechanicznych, artylerii i zaprzęgów konnych, niszcząc je dokładnie ogniem dział swych czołgów pod m. Ruysselede. Obraz zniszczenia na tej szosie tak przypominać będzie niedawne widoki z Maczugi i Chambois, że nazwą to pobojowisko „małe Chambois”.

Tak w dniu 9 września dochodzi dywizja do poważnie bronionego kanału Gandawskiego. Utykają i skrwawiają się czołowe oddziały, które zbyt ponosi temperament wobec dotychczasowych powodzeń. Szczególnie wielkie straty ma 10 pułk dragonów, którego dowódca ppłk Zgorzelski zostaje ranny w próbie przerzucenia części pułku na północny brzeg.

Wobec tego dywizja przechodzi do przygotowania metodycznego forsowania kanału, ale rozkaz korpusu kieruje nas na obejście tego oporu przez Gandawę, częściowo zajęta już przez 7 dywizję pancerną z 2 armii brytyjskiej.

Pierwszy akt pościgu, a może w ogóle pościg w rasowym tego słowa znaczeniu skończył się.

Przez 10 dni, w ciągłych walkach, których natężenie w niektórych punktach było bardzo poważne, mimo hamującego czynnika wyrażonego wysadzonymi mostami i rozmokłymi drogami na objazdach - dywizja przebyła 470 kilometrów!

Przestrzeń jak z Gdyni do Krakowa.

Dywizja poniosła straty od 31 sierpnia do 9 września:

57 zabitych (w tym 2 oficerów),

170 rannych (w tym 13 oficerów).

Ale w jakiej olbrzymiej dysproporcji do strat Niemców, którzy nie licząc ogromnych strat krwawych - oddają dywizji w tym samym czasie w jeńcach:

40 oficerów i 3447 szeregowych,

w zdobytym i zarejestrowanym sprzęcie bojowym:

47 dział różnego kalibru,

2 czołgi,

3 samochody pancerne,

2 ciągniki,

8 moździerzy,

2 działka przeciwlotnicze.

Odwet był oczywistym nie tylko na tym wykazie i na mapach w sztabach, uwidaczniających szmat połkniętej przestrzeni. Samopoczucie tego odwetu niósł w swej świadomości każdy żołnierz dywizji. Było to nawet czasami powodem niepotrzebnych strat, gdy zapomniano o ostrożności.

Potęgował tę świadomość odwetu sposób, w jaki witała go - żołnierza wyzwoliciela „liberatora” - ziemia flandryjska, entuzjazm mas ludności flamandzkiej.

Miasto Ypres nalegało, bym wprowadził starego burmistrza, wydobytego z ukrycia przed Niemcami i na uroczystym przyjęciu na ratuszu kazano mi się wpisać, w imieniu polskiej dywizji pancerniej, do księgi honorowej miasta - tuż po nazwisku marszałka Focha z r.

1918.

A regent Belgii nadaje 9 batalionowi strzelców honorowe sznury naramienne Croix de Guerre tzw. „fourag~ere” i tytuł

„Strzelców Flandryjskich”, który staje się oficjalną nazwą tego dzielnego, choć najmłodszego oddziału dywizji pancerniej.

‘tc

Rozdział 8ã

Od Gandawy do Terneusen

‘tc

Gandawa, urocza stolica Flandrii, znana przed wojną wielu polskim studentom, studiującym na jej uniwersytecie, była tylko częściowo zajęta przez oddziały brytyjskie 7 dyw.panc. Zaraz za jej centrum gasł entuzjazm wyzwolanej ludności, robiła się pustka. W północnej części siedzieli twardo Niemcy, trzymając port na kanale i szereg betonowych obiektów - składów i fabryk. Kilka dział o wyjątkowo ciężkim kalibrze ostrzeliwało podejścia i miejsca domniemyanych zagęszczeń wojska i miasto.

Zdobycie północnej części Gandawy i odsunięcie Niemców na północ, nie było głównym zadaniem dywizji, było raczej funkcją i koniecznością zadania dużo szerszego i ważniejszego. Było wstępem i ubezpieczeniem tej akcji, gdyż przez Gandawę będą przechodziły główne linie komunikacyjne i to nie tylko dywizji. A tym ważnym zadaniem było zdobycie i oczyszczenie od oddziałów niemieckich całego pasa terenu aż do morza, pasa szerokości ponad 30÷75km, całej prowincji holenderskiej zachodniej „Seeland”, od kanału Terneusen, łączącego Gandawę drogą wodną z portem tej nazwy do rzeki Skaldy, na której przeciwległym brzegu leżała Antwerpia, przyszły planowany port dla działań ofensywnych na Niemcy.

W dyskusji, która rozgorzała jeszcze podczas działań wojennych, a przybrała na ostrości w miarę ogłaszania pamiętników głównych aktorów Kampanii na

Kontynencie: wodza

„Supreme” - gen. Eisenhamera, dowódcy 21 grupy armii - marsz. Montgomery’ego, dowódcy 12 grupy armii - gen. Bradleya i wydanych pośmiertnych wspomnień gen.

Pattona, dowódcy 3 armii amerykańskiej - wysunęła się na czoło ewentualna szansa

zakończenia kampanii jeszcze do zimy 1944 r. Marszałek Montgomery widział tę niewykorzystaną szansę w odrzuconym jego planie skupionego wąskiego uderzenia całości obu grup armii na kierunku północnym wprost na Berlin, krytykując decyzję Eisenhowera angażowania się na szerokim froncie dla uchwycenia na razie przejść przez Ren, a odłożenia uderzenia ostatecznego aż port Antwerpia będzie otwarty. Gen. Patton przeciwnie, kładł winę na skierowanie całego poparcia, a przede wszystkim benzyny i amunicji dla 21 grupy wtedy, gdy 3 armia na południu miała wszelkie szanse przekroczenia Renu, uderzenia dalszego na Niemcy, gdyby właśnie brak paliwa i amunicji nie zahamował jej rozpędu.

Szef sztabu Montgomery'ego, gen. de Guingand, bierze stronę raczej gen. Eisenhowera, mając jako szef sztabu większe zrozumienie dla spraw kwatermistrzowskich, braku portu i stąd nadmiernego rozciągnięcia się linii zaopatrywania.

Zostawiając przyszłości rozstrzygnięcie kto miał rację, fakt ten uwypukla wyraźnie ogromne znaczenie portu Antwerpii dla dalszych operacji, zwłaszcza dla szybkiego i wydatnego zaopatrzenia uderzenia na Niemcy.

Wprawdzie już koło 5 września oddziały 2 armii brytyjskiej zajęły samo miasto Antwerpię, ale tylko po kanał Alberta, za którym twardo usadowili się Niemcy. O użytkowaniu portu, pomijając konieczność naprawy zniszczonych instalacji ciągle jeszcze pod ogniem niemieckim, nie mogło być mowy. Dojazd do portu zatoką 50ż7şkm długości (ujścia Skaldy) był blokowany przez Niemców, którzy mocno trzymali półwyspy Walcheren i Beveland oraz południowo_zachodnią i wschodnią prowincję holenderską „Seeland”.

Ten umocniony pas nadbrzeżny był dalszym ciągiem niemieckiego systemu obronnego, rozciągającego się wzdłuż morza od Dunkierki we Francji poczynając. Hamował on wydatnie posuwanie się 1 armii kanadyjskiej.

W tych warunkach odrzucenie Niemców z kanału Alberta na północ ku Skaldzie, a nawet do Mozy stawało się pilną koniecznością.

Wobec dwoistości zadania: północna Gandawa i prowincja holenderska Ost Seeland - dywizja polska działa z początku w dwu rozbieżnych kierunkach:

lokalnym uderzeniem płka Skibińskiego wprost na północ z centrum Gandawy dla zdobycia północnej jej części i odsunięcia zagrożenia od północy, i w kierunku wschodnim akcją płka Majewskiego dla opanowania przyszłej podstawy wyjściowej w obszarze Lockeren i St. Nicolas i rozpoznania stąd kierunków na północ od tych miejscowości dla przyszłej operacji.

W pierwszych dniach nacisk jest położony na pierwszy kierunek działania w Gandawie. 3 brygada strzelecka, w składzie

8, 9 baony strzelców, 24 pułk ułanów, wsparte 1 pułkiem artylerii motorowej i przejściowo dla zmiękczenia oporu niemieckiego w obiektach betonowych akcją lotniczą

„Typhoonów” czy Tajfunów, w dwudniowym natarciu wyrzuca Niemców z północnej części miasta, ale tylko po rzekę Lieve.

Tymczasem do dnia 14 września

10 bryg. pancerna, bez 24 p. ułanów, ale z baonem podhalańskim, zdobywa i oczyszcza nakazany obszar na północ od St. Nicolas, a to m. Stekene, La Trompe, St. Gilles_Waes.

Wobec tych osiągnięć przegrupowuję dywizję, pozostawiając na północ od Gandawy oddział wydzielony w składzie: 24 p. ułanów, 8 baon strzelców i 2 dyony art. motorowej i przeciwpancernej, pod dowództwem płka Deca, z zadaniem osłony Gandawy od północy, a resztę oddziałów dywizji skupiam na zdobytym obszarze na północny zachód od m. St. Nicolas.

Oddział wydzielony, pozostawiony w Gandawie, spełnia po rycersku swą powinność w stosunku do gościnnego miasta, gdy 24 pułk ułanów śmiałym wypadem dnia 16 września zdobywa niemiecką artylerię ciężką z działami 210ż7şmm, które dotychczas nękały miasto.

Noblesse oblige!

‘tb

** ** **

‘tp

Przed frontem grupujących się oddziałów dywizji, które w ramach 3 brygady podejmą uderzenie ku północy - ku brzegom morza, leży nowy kraj - Holandia. A właściwie jej część eksponowana, wyrzucona jako prowincja Zeeland na zachód od ujścia rzeki Skaldy, które to ujście jest jeszcze Belgia. Jako kresowa prowincja ma Zeeland pozostałości obronne z czasów dawnych, pod postacią fortów, których obronność polega nie tyle na sile schronów i umocnień, choć wystarczająco silnych w stosunku do lekkiego kalibru dział dywizji pancernej ile na dobrze obranych punktach panujących nad płaskim terenem i nad zalewami. Nazwami świętych bronią te forty granicy belgijsko_holenderskiej: fort St. Ferdinand, fort St. Nicolas, fort St. Livinins, fort St. Jacob, fort St. Joseph, fort St. Jean i dojścia do kanału Axel_Hulst, właściwej dopiero poważnej przeszkody. Mimo terenu najeżonego fortami, oddziały 3 brygady łatwo dają sobie z nimi radę i biorąc licznych jeńców z 712 dyw. piechoty, przekraczają w dniu 16 wieczorem granicę belgijsko_holenderską, podchodząc do kanału Axel_Hulst.

9 baon strzelców podsuwa się od południa pod miasto Axel, ale utyka na szerokim zalewie, bronionym ogniami ze skraju miasta. Nie mamy tzw. „ducks” ani łodzi szturmowych. 10 pułk dragonów, prowadzony bardzo ambitnie, ale zbyt porywczo przez młodego oficera zastępcę dowódcy - pod nieobecność ppłka Zgorzelskiego ranego pod Aeltre, forsuje kanał pod Kijkutt, 5 kilometrów na wschód od Axel i bez mostu, bez broni ciężkiej, a głównie bez działek przeciwpancernych, zapędza się zbyt daleko poza kanał. Wykorzystują to Niemcy i przeciwuderzeniem, wspartym samochodami pancernymi i samobieżnymi działami, odrzucają dragonów, zadając im poważne straty (2 oficerów i 78 dragonów), mimo skutecznej interwencji ognia własnej artylerii z południowego brzegu. Czołgi własne są bezsilne, bo wysoki wał przybrzeżny po drugiej stronie uniemożliwia strzał bezpośredni. Ambitna próba płka Skibińskiego gładkiego przeskoczenia przeszkody nie udała się. Trzeba wziąć na wodze temperamenty dowódców oddziałów i przystąpić do metodycznego działania.

Pozostawiając 10 bryg.kaw.panc. tylko 2 pułk pancerny i 10 pułk dragonów z zadaniem dozoru i demonstracji na m. Hulst, zasilam 3 brygadę strzelców 1 pułkiem pancernym i 10 strzelców konnych, z zadaniem sforsowania kanału na wschód od Axel, przy wsparciu całej artylerii dywizyjnej.

Dobrze zorganizowana i przeprowadzona akcja, przy wybitnym działaniu szczególnie saperów dywizyjnych, doprowadza dnia 19 września do zajęcia miasta Axel. W wykorzystaniu tego sukcesu oddziały dywizji szerokim wachlarzem, w zaciętych walkach ze stawiającymi opór oddziałami niemieckimi, dochodzą do brzegu morza, odcinając odwrót niemiecki ku morzu.

Pada port Terneusen, a ogień naszej artylerii i dział czołgowych szwadronu 10 pułku strzelców konnych zatapia pięć wielkich barek ewakuacyjnych, pełnych wojska, które utknęły z powodu odpływu na mieliźnie i nie uchyliły się od kompletnego zniszczenia. Na jednej z tych barek miał zginąć dowódca 712 dyw.piech. gen.ltn. Neuman, jak później jeńcy zeznają, gdy resztki tej dywizji znowu się znajdują na drodze marszu dywizji.

Straty własne za okres tych walk o Gandawę i prowincję Zeeland wyniosły:

75 poległych - w tym 6 oficerów,

191 rannych - w tym 12 oficerów,

63 zaginionych.

Dywizja wzięła:

jeńców: 19 oficerów i 1154 szeregowych,

sprzętu:

4 działa kolejowe 210ż7śmm, 2 działa 88ż7śmm, 12 dział

75ż7śmm, 16 dział ppanc.

50ż7śmm, 6 dział ppanc. 20ż7śmm,

6 moździerz 81ż7śmm, 12 ciężkich karabinów maszynowych,

2 barki inwazyjne, 42 pojazdów mechanicznych, składnicę materiałów pędnych.

Bardzo cenne dla żołnierzy dywizji były objawy entuzjazmu ludności, szczególnie miasta Axel, serdeczność i gościnność holenderska - te wszystkie blaski wojenne, które przytłumiają nieuchronne cienie. Mimo tak wielkiej różnicy w

usposobieniach i zwyczajach, nieznanomości języka holenderskiego, żołnierz polski witany był z radością i entuzjazmem, przewyższającym wszystko, co go spotkało nie tylko we Francji, ale i gościnnej Flandrii; poczuł się jakby we własnym kraju i płacił za wszystko prawdziwym uczuciem i poświęceniem, gdy było potrzeba.

W mieście Axel, 9 baon strzelców, który pierwszy doń wszedł od południa, walcząc na ulicach miasta i jego dowódca ppłk Z. Szydłowski - podbili na zawsze serca mieszkańców, co się wyrazi długo po ukończeniu działań wojennych, w niegasnących dowodach pamięci.

Szybkie ukończenie operacji oczyszczenia aż do morza terenu między kanałem Terneusen a rz. Skaldą daje zasłużony i bardzo już potrzebny odpoczynek oddziałom dywizji. 5 dni wytchnienia umożliwia wcielenie nowych uzupełnień, które dociągnęły do dywizji, uzupełnienie sprzętu, konieczne naprawy i konserwację.

Przy retrospektywnym rzucie oka na dotychczasowe operacje, wysuwa się z cienia czynnik, który przez cały czas żywił ruch dywizji i ani na dzień nie zatrzymał tempa działań i zaopatrzenia. Źródła zaopatrzenia pozostały nadal w Normandii, więc wydłużały się z każdym dniem linie zaopatrywania. Gdy dywizja doszła do obszaru Antwerpii, odległość jej od źródeł zaopatrywania w amunicję wyniosła 350ż7şkm, a w benzynę i żywność 250ż7şkm.

Podkreślam tutaj duże zasługi precyzyjnego funkcjonowania naszego kwatermistrzostwa, prowadzonego przez mjra dypl. Jana Marowskiego i jego niestrudzonych oficerów i podoficerów.

Nie zawiódł „starszy” rocznik ochotników z Brazylii i Argentyny, Francji i Stanów Zjednoczonych, co do którego tak pesymistycznie odniosła się inspekcja przed wymarszem dywizji na kontynent. Dzień i noc przy kierownicy, pokazali taką samą klasę żołnierską - teraz w pościgu - jak przedtem pod Falaise, gdy trzeba było nieraz rzucać kierownicę i walczyć, przebijając się z zaopatrzeniem do oddziałów.

Kompanie warsztatowe naprawiły we wrześniu 196 czołgów i 291 pojazdów mechanicznych.

Jedynym ograniczeniem, jakie zaczęły odczuwać oddziały, to zmniejszenie norm użycia amunicji artylerii, co wobec odejścia w tym okresie od nas kanadyjskiego pułku artylerii średniej, odbiło się na sile ogniowej wsparcia artylerii.

Jedynym lekarstwem radykalnym na to było otwarcie portu Antwerpii. Ale trzeba było wpierw spełnić drugi warunek, o którym mówiłem - wyrzucić Niemców na północ do rzeki Mozy czy za Mozę.

A po drodze do ujścia Mozy do morza leżała Breda.

‘tc

Rozdział 9ă

Operacja wyprowadzającaă

w obszar Bredy

‘tc

Breda czekała na uwolnienie.

Breda - stolica prowincji północnego Brabantu - stolica katolickiej części Holandii.

Breda się niecierpliwiła.

I to z dużą dozą słuszności, gdyż wiadomości, daleki huk dział, nerwowe przesuwanie oddziałów niemieckich - wszystko to wskazywało, że alianci już blisko; a tymczasem w oczach ginęli poszczególni członkowie holenderskiego ruchu oporu, a wyobraźnia zatrzymywała się z przerażeniem przed wizją możliwych okropności wojny.

Niemcy byli już zbyt znani. Maską kultury i cywilizacji, którą wdziewali na użytek Zachodu, dawno już spadła z oblicza teutońskiego barbarzyńcy.

A Brytyjczycy nie nadciągali.

Złośliwa fama głosiła, że są zajęci ważniejszą sprawą - rozgrywkami piłki nożnej między oddziałami.

Zanim więc przejdę do samego aktu operacji na Bredę i uwolnienia jej przez polską 1 dywizję pancerną, chcę nakreślić, jak to wyglądały te „rozgrywki piłki nożnej” po stronie brytyjskiej, w składzie której polska dywizja od niedawna przeszła z korpusu kanadyjskiego do 1 korpusu brytyjskiego. Tym bardziej, że te „rozgrywki” są istotnym preludium do natarcia na Bredę. Bezpośrednio po ukończeniu działań Axel_Hulst_Terneusen, polska dywizja pancerna zostaje przerzucona na wschód od rz. Skaldy i wchodzi w skład 1 korpusu brytyjskiego gen. Crockera, prawoskrzydłowego korpusu armii kanadyjskiej. I gdy reszta tej armii była uwikłana w dalsze żmudne czyszczenie terenu na zachód od rzeki, a 2 armia brytyjska uderzała w kierunku rozbieżnym na północny wschód przez Nijmegen - osłabionemu korpusowi, w składzie 2 dywizji: polskiej pancernej i 49 piechoty brytyjskiej, przypada zadanie uderzenia z kanału Turnhout w kierunku północnym na Tilburg, jako część operacji, zakreślonych na większą skalę dla uruchomienia portu Antwerpii. Port ten bowiem stał się już teraz warunkiem sine qua non dalszej operacji na Niemcy. Zadanie to korpus brytyjski wykonuje uderzeniem klinem w ugrupowanie niemieckie, przy czym grotem (spearhead) jest polska dywizja pancerna, a 49 d.p. brytyjska przyjmuje teren, ubezpiecza wydłużające się do tyłu boki klinu.

Niemcy przed frontem korpusu:

3 dywizje piechoty o stanach osłabionych i moralu wstrząśniętym niepowodzeniem:

a to:

711 dyw.piech.

719 dyw.piech.

346 dyw.piech.

wzmocnione dodatkową bronią przeciwpancerną, ciężkimi karabinami maszynowymi i działami samobieżnymi.

Dwie z tych dywizji, 711 i

346, to znajome nasze z Normandii, które uchyliły się i uchroniły przed naszym pościgiem, uchodząc ku północy na Dunkierkę i były stamtąd ewakuowane do Holandii.

Czy i teraz zdołają się uchylić przed naszym działaniem?

W miarę rozwoju działań dywizje te zostaną wzmocnione szeregiem grup bojowych nieraz tak silnych, jak np. grupa bojowa Nr 743 o stanach:

około 1280 bagnetów,

105 lkm,

23 ckm,

30 moździerzy

i wzmocniona działami przeciwpancernymi.

Prócz tego oddziałami lotniczymi jak 51 Flieger Rdt., używanymi jako piechota i spadochronowymi jak IIz8s#6 Fallschirmer Rgt.

Gdy dywizja polska zagrozi Bredzie pojawią się oddziały z nowych dywizji, a to 245 d.p. i 256 d.p.

W stosunku do tych sił niemieckich polska dywizja pancerna - też o stanach liczebnych poniżej etatu, wzmocniona:

53 pułkiem artylerii średniej kanadyjskiej, a przejściowo dalszymi dwoma pułkami lekkiej i jednym artylerii ciężkiej, nie licząc dodatkowego wzmocnienia artylerią pod Moerdijk.

Taktyka działań dywizji elastyczna, obie brygady nie działają jako organiczne, ale jako grupy bojowe składane z pułków obu brygad zależnie od zadania.

Organizacyjnie według etatów brytyjskich, działaniem jednak upodobniamy się do dywizji pancernej amerykańskiej, lub do od dawna stosowanych metod walki Niemców. Stąd nieraz polska grupa bojowa pod szyldem

10 brygady kaw. pancernej ma większość oddziałów organicznych brygady strzeleckiej; i na odwrót grupa bojowa 3 brygady strzeleckiej obejmuje w

działaniu większość oddziałów organicznych brygady pancерnej. Równolegle do tej taktyki, wyrosłej z doświadczenia krwawych walk, narasta w pułkach pancерnych doświadczenie w używaniu terroru ogniowego. Polega on na pokryciu ogniem dział i ckm czołgów - wszystkich podejrzanych obiektów terenowych, które potencjalnie mogą kryć działa przeciwpancerne niemieckie przed skokiem oddziału naprzód. Umożliwia tę taktykę ogromne bogactwo wyposażenia materiałowego, a usprawiedliwia unikanie niepotrzebnych strat w czołgach w stosunku do dobrze ukrytych i zamaskowanych dział przeciwpancernych.

Teren - dla działania broni pancерnej bardzo trudny.

Płaskie, zakrzaczone wrzosowiska, miejscami podmokłe lasy, duża ilość obiektów fabrycznych, stwarzały dogodne warunki obrony. Teren stawał się coraz trudniejszym w miarę zbliżania się do linii kanału Wilhelminy i Mark i w terenie na północ od kanałów aż do Hollandsch Diep.

Jak, wobec tych warunków terenowych, trudną i uporczywą była praca bojowa tego

„spearhead” obrazuje przebieg działań:

29 września dywizja przekracza kanał Turnhout, biorąc do niewoli 4 oficerów i 161 szeregowych, przeważnie z 719 d.p.

30 września grupa bojowa 3 bryg. strzelców zdobywa po zaciętych walkach Merxplas, biorąc do niewoli 17 oficerów i

227 szeregowych, zdobywając 6 dział 75ż75mm i 5 dział 20ż75mm.

1 października cała dywizja w ciężkim boju o Zondereigen i Noord Bosh na granicy belgijsko_holandzkiej bierze do niewoli 4 oficerów i 218 szeregowych, zdobywając 6 dział 155ż75mm.

2 października po ciężkich walkach 10 bryg. kawalerii pancерnej zdobywa Noord Bosh, biorąc do niewoli 1 oficera, 262 szeregowych z 719 d.p. i 346 d.p. i zdobywa:

3 działa 75ż75mm,

2 działa 88ż75mm,

3 działa 20ż75mm.

3 października całodziennie walki o Baarle Nassau, uwieńczone nocnym zajęciem miasta przez 3 bryg. strzelców.

Wzięto do niewoli 1 oficera i

172 szeregowych z 719 d.p.

4 października dywizja poszerza teren w okolicy Baarle Nassau, w obliczu twardego oporu niemieckiego w obronie, a nawet przeciwuderzenia wspartego czołgami.

Wzięto dalszych 3 oficerów i

221 szeregowych z 719 d.p. i zniszczono 1 czołg niemiecki.

Oddziały 49 d.p. luzują część oddziałów dywizji pancерnej na bokach klinu, umożliwiając przegrupowanie do dalszego natarcia polskiej dywizji.

5 października natarciami:

10 bryg.kaw.panc. - na Alphen,

3 bryg.strzelc. - na lasy na zachód,

24 p. ułanów z dragonami - na Terover

dywizja nasza zdobywa:

m. Alphen,

m. Terover,

m. Baarle Bosshoven,

m. Alphen Bosshoven,

m. Oordeel Heikant,

biorąc do niewoli 2 oficerów i

192 szeregowych z 719 d.p. i niszcząc 2 działa 155ż75mm i jedno dział 88ż75mm.

6 października rozkazem korpusu, dywizja przechodzi do obrony, z zadaniem utrzymania terenu, tj. wytrwania w tym klinie do nadejścia poważniejszych sił alianckich.

To krótkie zestawienie przebiegu 8-dniowej bitwy, wyprowadzającej dywizję z kanału Turnhout w obszar bezpośrednio na południowy wschód od Bredy, najlepiej obrazuje zmuszenie i ciężkie wgrzyzanie się klinem w teren dobrze do obrony przygotowany i zasilany przez Niemców coraz innymi odwodami z sąsiednich odcinków. Prócz terenu zdobytego, sukces dywizji wyraził się we wziętych do niewoli w sumie:

34 oficerów i 1502 szeregowych i zdobyciu:

8 dział 155ż7śmm,

11 dział 75ż7śmm,

5 dział 88ż7śmm,

8 dział 20ż7śmm.

Przy stratach własnych około

50 szeregowych dziennie, w sumie:

34 oficerów i 351 szeregowych zabitych i rannych, co było z pewnością dużo jak na rzekome

„rozgrywki” piłki nożnej.

Ale dywizja stanęła na progu obszaru wyprowadzającego już na Tilburg i Bredę, a poprzez nią na Hollandsch Diep.

‘ty

Rozdział 10

Akcja bezpośrednia

na Bredę. Dojście do Mozy.

Zajęcie Moerdijk

‘ty

‘tt

Rozdział 10a

Akcja bezpośrednia

na Bredę. Dojście do Mozy

‘tt

Okres obrony od 6 do 26 października w warunkach przemęczenia oddziałów służba na odcinkach i ciągła słota, jakkolwiek daleki był od wypoczynku, pozwolił dywizji na naprawę i konserwację sprzętu, a nawet na pewne uzupełnienia stanów. Mimo tego brak załóg czołgowych spowodował uszczuplenie stanów do 2/3 etatowej ilości czołgów w pułkach pancernych, a w kompaniach strzeleckich zaledwie do 60% stanu.

Tymczasem 22 października zaczyna się na szerszą skalę zamierzona akcja sprzymierzonych.

Na południowy zachód wychodzi główne uderzenie 3 d.p. kanad.,

49 d.p. brytyjskiej, 104 d.p. amerykańskiej i 4 dyw. panc. kanadyjskiej w kierunku na Roosendaal_Hollandsch Diep.

Na wschodzie - 4 samodzielna bryg. panc. uderza od południa na Tilburg, gdy 7 dyw. panc. i 51 szkoeka dywizja piechoty uderzają z kierunku wschodniego.

Obrona polskiej dywizji pancerniej przez okres 22 do 26 października jest niejako zwiastem tej akcji, ale zwiastem mocno wysuniętym ku przodowi w stosunku do tych obu wielkich natarć.

Niemcy nastawieni są głównie na zagrożenie Bredy od zachodu i południowego zachodu. Ich umocnienia polowe, a szczególnie potężny rów przeciwpancerny, uzbrojony minami i dobrze ukrytymi stanowiskami broni ciężkiej, zamykają zdecydowanie dwa zasadnicze kierunki:

z Bergen - przez Roosendaal na Bredę,

z Antwerpii - wprost od południa na Bredę.

Rów ten przeciwpancerny, do którego budowy była spędzana ludność cywilna, ciągnął się szerokim łukiem od północy, w oparciu o rzekę Mark w rejonie den Emer, dochodził do domostw m. Beck i stąd na południe, obejmując wyloty zachodnie przedmieścia Bredy - Princenhage i skraj zachodni kompleksu leśnego Uast_Bosh. Tworzył on jakby ogromny 16-kilometrowy przyczółek mostowy miasta Bredy, którego obrona sięgała w głąb aż do kanału obwodowego miasta.

Zanosilo się na długotrwałą, ciężką i upartą obronę Niemców, która wobec masy lotnictwa i artylerii sprzymierzonych, groziła miastu zupełnym zniszczeniem. 26 października dywizja polska dostaje zadanie związania Niemców na kierunku wyprowadzającym na Oosterhout, by nie pozwolić im przegrupować się na kierunek głównego uderzenia, tj. Roosendaal_Breda_Hollandsch Diep.

Ze względu na barierę lasów od Bredy do Alphen, łatwych do skutecznej obrony, jedynym sposobem wykonania zadania zdawało mi się skupić oddziały dywizji na jej prawym, tj. wschodnim skrzydle i uderzyć silnie poprzez lukę w lasach z obszaru Alphen_Terover w kierunku Oostervijk_Gilze i przez ściągnięcie na siebie Niemców, nie dać im możliwości do przerzucenia sił z tego rejonu na zachód. W myśl tej intencji 27 października rusza natarcie 10 bryg.kaw.panc. na Vijfhusen_Alphen_Ostervijk, a 3 bryg. strzelców na lasy na północ od Alphen dla osłony głównego uderzenia dywizji. Oba te natarcia szybko osiągają nakazane cele tak, że pułk rozpoznawczy dywizji, tj. 10 strz. konnych, wykorzystując sukces natarcia, już o godz.

#/12 zajmuje m. Gilze, a o godz.

#/14 przecina główną szosę Breda_Tilburg w rejonie Haansberg.

Ten pełny sukces dywizji polskiej, wobec powolnego posuwania się natarcia głównego czterech dywizji alianckich na Roosendaal, wysuwa ją na czoło działań. Zadanie dywizji z pomocniczego staje się głównym.

Przez zajęcie obszaru Gilze_Haansberg dywizja może:

1) kontynuować uderzenie w kierunku północnym, chwytając przeprawy na kanale Wilhelminy, do czego jest nastawiona pierwotnymi rozkazami (rozpoczyna nawet działanie oddziałem wydzielonym w składzie

24 p.uł. i 10 dragonów, bijących się już w południowej części m. Rijen),

2) zwrócić się na wschód na Tilburg, by go oddać nacierającej 2 armii,

3) uderzeniem na Hollandsch Diep odciąć odwrót niemiecki.

Ta trzecia ewentualność jest operacyjnie największej wagi dla działań całości i w tym kierunku marszałek Montgomery zmienia zadanie dywizji: na Hollandsch Diep. Żeby jednak dojść do Hollandsch Diep i zająć rejon mostów koło Moerdijk, trzeba opanować wpierw główny węzeł dróg wyprowadzający w tym kierunku, tj. miasto Bredę.

Tak więc miasto Breda staje się pierwszym celem działań polskiej dywizji pancerniej. Jeńcy, brani do niewoli w ciągu

27 października z 256 dyw., 719 dyw. i 51 FGLieger Rgt., jak też ich wypowiedzi, wskazywały na pełne zaskoczenie Niemców powodzeniem polskim na tym kierunku. By więc nie dać im czasu na opanowanie sytuacji, dywizja polska, przegrupowując jedynie baony strzeleckie na lewe skrzydło, zmienia kierunek o 90/0 z północnego na zachodni. I od rana 28 października działa dwoma niejako ramionami:

północnym: 10 bryg.kaw.panc. wzdłuż szosy Tilburg_Breda, z zadaniem opanowania północno-wschodnich wylotów miasta i osłony dywizji od ewentualnego przeciwdziałania niemieckiego od północy, jak też uchwycenia przepraw na Wilhelmina Canal w rejonie na południe od Oosterhout.

Południowym: 3 bryg. strzelców

- terenem wzdłuż lasów ciągnących się na Ginneken (ale już po północnej stronie lasów), z zadaniem uchwycenia południowej i centralnej części miasta i szybkiego wyjścia na kanał Mark.

Akcja ta doprowadza 28 października do zajęcia i oczyszczenia z oddziałów niemieckich całego obszaru Gilze_Haansberg_Rijen_Molenschot

_Dorst_Bavel i osiągnięcia na całym odcinku podstaw wyjściowych do uderzenia na Bredę.

Niemcy bronili się zaciekle i jeszcze nad ranem 29 października natarciem 2 pułków piechoty od północy na Dorst, starali się zmienić bieg wypadków. Był

nawet moment krytyczny na tym prawym skrzydle dywizji, gdy własny 1 pułk art.mot. i pułk przeciwpancerny, ten ostatni strzałami na wprost

- na kilkadziesiąt metrów - odpierały uderzenie niemieckie, ale sytuacja została szybko opanowana. Za to własny 9 baon strzelców natarciem nocnym opanował po ciężkiej walce wschodnią część Ginneken.

Przez cały ten dzień 28 października do świtu dnia następnego wzięto do niewoli:

5 oficerów i 276 szeregowych,

zdobyto:

2 czołgi, 3 działa 75ż7śmm, 2 działa 55ż7śmm, 3 działa 37ż7śmm i wiele innego sprzętu bojowego.

29 października od rana cała dywizja naciera na Bredę.

Grupa bojowa 3 bryg. strzeleckiej przez Ginneken na Princenhage opanowuje południowo_wschodnią część miasta i most w rejonie Oranienboom, a po południu oczyszcza centrum.

Grupa bojowa 10 bryg.kaw.panc. opanowuje północno_wschodnie wloty miasta i wypiera Niemców w ciężkich walkach z terenu między szosą Tilburg_Breda, a kanałem Wilhelminy.

30 października - cały dzień trwają walki wokół Bredy i częściowo w mieście, gdzie 9 baon strzel. oczyszcza północną część miasta. 8 baon strzelców zajmuje Princenhage, a 2 pułk panc. las na zachód i nawiązuje łączność z 104 dywizją piechoty amerykańskiej. 24 p. ułanów i 10 pułk dragonów ostatecznie wyrzucają Niemców na północ za kanał Wilhelminy.

Pułk rozpoznawczy dywizji - 10 strz. konnych, północnym skrajem Bredy wysuwa się na m. Beck i patrolami dochodzi do kanału Mark, a jeszcze nocą doprowadzony z Princenhage 8 baon strzelców chwyta mały przyczółek mostowy na kanale.

Teraz dopiero, gdy Niemcy są definitywnie wyrzuceni na północny brzeg kanałów Wilhelminy i Mark - miasto Breda jest wolne. Ale jedynie w znaczeniu wąskim, gdyż wciąż jest w zasięgu ciężkiej artylerii niemieckiej. Wciąż padają pociski niemieckie na miasto i niejednokrotnie miesza się krew oswobodzonych z krwią oswobodzicieli. Dlatego dywizja stara się tym samym zrywem, którym zdobyła miasto, odsunąć i to zagrożenie przez szybkie osiągnięcie Hollandsch Diep. Czterodniowa akcja na Bredę była po ciężkiej bitwie dywizji pod Falaise następnym wielkim sukcesem.

Z zadania pobocznego wiązania nieprzyjaciela - wykonała zadanie zasadnicze: zdobycie obszaru miasta Bredy, na które nastawione było główne uderzenie

- o tyle silniejsze w ilości dywizji i potędze ognia artylerii i wsparcia lotniczego. Niewątpliwie uchroniło to miasto od poważnego zniszczenia przez bombardowanie lotnicze i artylerii.

Licząc od Alphen do kanału Mark, akcja ta dała w 4 dniach 3 kilometrów zdobytego terenu.

Dała w tym tylko czasie wziętych do niewoli:

7 oficerów i 569 szeregowych,

zdobytego lub zniszczonego sprzętu:

3 czołgi Mk. IV, 1 dział

88ż7śmm, 4 działa 75ż7śmm, 1 dział 55ż7śmm, 3 działa 37ż7śmm,

nie licząc zdobyczy 2 brygady panc. kanadyjskiej, która przydzielona do dywizji polskiej, posuwała się na Bredę od południa, zajmując i czyszcząc ten zalesiony teren i

18 pułku samochod. panc. kanadyjskiego, ubezpieczających w końcowej fazie półn._wschodnie skrzydło dywizji.

A gdy oddziały dywizji, jeden po drugim, nastawiają się do działań ku północy - Breda przeżywa w sposób nie do opisanie swe pierwsze chwile wolności. Istny karnawał - ulice zapchane wiwatującymi mieszkańcami, kwiaty i festony, a wystawy sklepów oblepione napisami w języku polskim:

„Dziękujemy Wam Polacy”. Entuzjazm osiąga swój szczyt, gdy wprowadziłem do ratusza dawnego burmistrza v. Stolbe, który ukrywał się tak długo przed Niemcami.

Ambitne zamiary dywizji panczernej polskiej, by niejako jednym tchem przelecieć aż do Hollandsch Diep pokrzyżował teren, wybitnie sprzyjający obrońcy. Płaski, częściowo zalany, grząski, ograniczający ruch do dróg na wysokich nasypach, teren starannie przygotowany do obrony od lat kilku, z betonowymi schronami i „pillboxami” w ważnych punktach i broniony przez Niemców oddziałami ściągany ze wszystkich stron na zagrożone przeprawy. Gdy więc, opłacona bolesnymi stratami próba wyjścia z wąskiego przyczółka szosą główną wprost na Moerdijk nie udała się

- dywizja organizuje forsowanie kanału Mark na szerokim froncie między zaniechaną przeprawą a Oosterhout.

Dnia 3 listopada rano zaczyna się forsowanie Kanału w 2 rejonach w Ter Aalst i na południe od Vraggelen, przy demonstrowaniu chęci przepraw w innym miejscu dla odciążenia uwagi obrońcy.

Forsowanie w Ter Aalst osiąga sukces przez pełne zaskoczenie Niemców przez baon strzelców podhalańskich.

Pod Vraggelen Niemcy twarzą się trzymają i dopiero interwencja lotnicza Tajfunów ucisza morderczy ogień artylerii niemieckiej i moździerzy, umożliwia budowę mostu i przerzucenie czołgów na brzeg północny. Do zmierzchu tego dnia

- przez zdobycie Vraggelen Den Hul i kompleksu lasów na zachód

- łączą się oba małe przyczółki w jeden wystarczający już dywizji do wyprowadzenia swych oddziałów przez dwa zbudowane przez saperów mosty do dalszej akcji.

Bardzo pomocnym okazuje się współdziałanie 7 dyw. panc. brytyjskiej, która ogniem czołgów z przeskrzydlającej części terenu - ułatwia wyjście z przyczółka.

Dnia 4 listopada w ciągłych bitwach dywizja rozlewa się już szeroko na północ od kanału Mark, zajmując szereg miejscowości:

Made, Oudekerk, Helkant, Hoogerheide, Stuivezand, Wagenberg.

Skutkiem najbardziej widocznym tej akcji staje się fakt, że w tym dniu ostatecznie milknie ciężka artyleria niemiecka, ewakuując się poza Hollandsch Diep.

Breda już naprawę wolna.

Pozostaje wykończenie operacji przez wyrzucenie Niemców poza Hollandsch Diep. W dniach 5, 7 i

10 listopada zostaje osiągnięta zatoka ujścia rzeki Mozy, ale Niemcy trzymają wciąż przyczółek mostowy Moerdijk, zamieniony terenem zalany i betonowymi umocnieniami na prawdziwą fortecę.

8 listopada polska dywizja przygotowuje decydujące natarcie na ten przyczółek. Wobec złych warunków atmosferycznych całe wsparcie natarcia spada na płuca dypl. Bronka Noela z jego artylerią, której ilość wzrasta do 9 pułków artylerii, a to:

2 pułki organiczne dywizji - 2 pułki;

2 A.G.R.A. kanadyjska - 6 pułków;

1 pułk art. ciężkiej - 1 pułk.

Razem: 9 pułków art.

plus dyon wielolufowych wyrzutni rakiet (tzw. land mattresses).

Dyon ten: 1 st. Rocket Battery

- był jednostką eksperymentalną projektu kanadyjskiego - użytą po raz pierwszy 1 listopada 1944, w walce o Flusking. Miał

12 wyrzutni 32_lufowych. Przy elektrycznym odpalaniu równocześnie wylatywało 384 pocisków kalibru średniego.

Zdobycie przyczółka odbyło się w 3 fazach:

1_sza faza: rozbijanie zapór żelbetonowych przez czołgi 10 strz.konn., którego Cromwelle podchodziły na kilkadziesiąt metrów, by strzałami na wprost dosłownie wykuć drogę poprzez betonowe zapory.

2_ga faza: akcja całej art. na północny brzeg Hollandsch Diep, by zmusić do milczenia art. ciężką niemiecką.

3_cia faza: natarcie czołgów

24 p. ułanów przez wybite otwory, drogami na nasypach i piechoty 8 i 9 baonów strzelców, brodzącej po pas w wodzie i błocie, w ogniu obrony.

Tą nad wyraz żmudną operacją zlikwidowano do wieczora przyczółek, bijąc się jeszcze przez całą noc o każdy niemal dom, a raczej jego ruiny w Moerdijk. Na tym skończyła się operacja, która dla polskiej strony od kanału Turnhout 27 września do Hollandsch Diep 9 listopada nazywa się operacją „Breda”.

Zestawienie samych tylko strat obu stron mówi samo za siebie.

Nie licząc krwawych strat Niemców w zabitych i rannych, zostawili oni w okresie tych 6 tygodni w rękach polskich jako jeńców 53 oficerów i 2892 szeregowych oraz bogaty sprzęt, z którego wymieniam tylko najbardziej istotny:

8 dział - 155ż7şmm, 15 dział -

75ż7şmm, 6 dział - 88ż7şmm, 3 działa 50ż7şmm, 4 czołgi, 8 dział samobieżnych.

Polskie straty, minimalne w sprzęcie, wyniosły w zabitych i rannych:

69 oficerów i 876 szeregowych,

niepomniernie mniej niż straty niemieckie, ale o tyle boleśniejsze, że polska dywizja pancerna miała trudności wielkie z uzupełnieniem stanu, nie mając własnego zaplecza i sięgając dorywczo do dobrowolnie poddających się przy każdej sposobności Polaków, wcielonych do armii niemieckiej, jako do bezpośredniego uzupełnienia.

Równocześnie z dojściem do Hollandsch Diep i do rzeki Mozy oddziałów 1 dywizji pancerniej – pozostałe oddziały armii kanadyjskiej zajęły teren bezpośrednio na zachód, jak też oczyściły po zaciętych walkach całą zachodnią część prowincji Zeeland na zachód od kanału Terneusen.

A gdy akcją niemal „inwazyjną” zdobyto półwyspy Walcheren i Beveland, zaistniały dopiero warunki do uruchomienia portu w Antwerpii.

28 listopada pierwszy konwój sprzymierzonych przeszedł przez oczyszczoną zatokę Skaldy i wszedł do portu Antwerpii, a 1 grudnia wyładowano pierwszych 10.000 ton materiału wojennego.

Port Antwerpii będzie jeszcze w okresie zimy i przedwiośnia

1945 r. celem niemieckich bomb latających. W obronie powietrza nad Antwerpią weźmie czynny udział przez 2 tygodnie polski pułk artylerii przeciwlotniczej z naszej dywizji, zestrzeliwując 9 bomb latających.

‘tc

Rozdział 11ã

Zima w Bredzie

‘tc

Breda stała się leżem zimowym 1 polskiej dywizji pancerniej.

Breda, stolica północnego Brabantu, prowincji mającej dużo więcej wspólnego z uśmiechniętą Flandrią, niż z poważną i surową północną Holandią.

Breda, średniowieczne miasto - miasto możnych kupców i dzielnych żołnierzy.

Dwoistość tego charakteru podkreśla po dziś dzień

„prosperity” handlowo-przemysłowe miasta i wojskowa akademicka holenderska, która obrała sobie siedzibę w tym mieście.

Breda, o bogatej przeszłości historycznej, twierdza obwiedziona dookoła kanałem, oblegana tylokrotnie w latach:

1577, 1581, 1590, 1625, 1637,

1793, 1813.

W jednym z tych oblężeń po stronie hiszpańskiej brał udział przyszły król polski - wtedy królewicz Władysław - uczący się sztuki czy rzemiosła oblegania i zdobywania miast. Fakt ten historyczny był wygrzebany w przemówieniu burmistrza miasta, von Stolbe, na uroczystym bankiecie na cześć dywizji.

Mniej więcej w tej formie:

„Długie miesiące uczył się wasz polski królewicz - a potem król - u Hiszpanów sztuki wojennej w zdobywaniu i obleganiu miast, ale nauka nie poszła w las, gdy w 300 lat później polska dywizja pancerna jednym natarciem oswobodziła nasze miasto, ochraniając je od okropności zniszczeń i spustoszenia”.

Źródłem najgłębszej wdzięczności, okazywanej od pierwszego dnia po dziś dzień, wybuchającej wciąż tym samym płomieniem entuzjazmu dla żołnierza polskiego w każdą rocznicę wyzwolenia miasta - stał się fakt, że Breda nie poniosła prawie żadnych strat w mieszkańcach i budynkach w czasie bitwy. Od pierwszego dnia zdali sobie mieszkańcy sprawę z tego, jakby wyglądało ich miasto, gdyby to nie dywizja polska, lecz główne natarcie sprzymierzonych, dysponujące tak wielką potęgą ognia - stoczyło bitwę o Bredę. Zbyt wiele było naokoło gruzów i zgliszcz, kwitnących przedtem miast i osiedli holenderskich. Wdzięczność mieszkańców Bredy nie była słomianym ogniem. Wielu żołnierzy dywizji znalazło tu najlepszych przyjaciół, wielu znajdzie wkrótce dom i rodziny.

Na razie objawiała się ta wdzięczność szalą radością na ulicach miasta, tymi napisami

„Dziękujemy Wam Polacy” w każdym oknie wystawowym, gościnnością iście holenderską, która przechodziła granice przysłowiowej staropolskiej gościnności, najlepszymi kwaterami dla żołnierza polskiego. Mimo płynności przez zimę przechodzących i odchodzących z Bredy oddziałów, sztabów i urzędów kanadyjskich i brytyjskich, mimo tego, że podczas ofensywy grudniowej Rundstedta, kwatera główna dywizji przeniosła się częściowo z Bredy na wschód, miasto zostało wierne dywizji. Nie było wypadku nawet zakusów usunięcia nas z lepszych kwater przez kwatermistrza dowództwa korpusu brytyjskiego, czy armii kanadyjskiej, które ulokowały się na dobre w mieście.

Mając w pamięci do jakich to nieraz nieporozumień i incydentów - nieraz formalnej wojny dochodziło, gdy oddziały dwóch polskich odrębnych jednostek kwaterowały w jednym mieście, podkreślić muszę daleko posuniętą grzeczność i nastawienie tak oddziałów brytyjskich jak i kanadyjskich do nas Polaków. Pewnie - ludzie i tu i tam są ludźmi - i nieraz, szczególnie w gorącej atmosferze jakiejś kawiarenki, były wyjątkowo burdy, ale ani narodowość, ani przynależność do innej formacji nie odgrywała tu roli; nie było wypadku, by incydent był tego rozmiaru, by dochodził do mego szczebla dowodzenia lub wyżej.

Gdyśmy obchodzili uroczyste dzień święta niepodległości dnia

11 listopada, w którym udział wzięli i goście honorowi holenderscy i armii kanadyjskiej

- otrzymałem honorowe obywatelstwo miasta Bredy dla mnie indywidualnie i dla całej dywizji polskiej. Znakiem widowym był medal plakietka z herbem miasta i odpowiednim napisem, wykonany w brązie z tym, że będzie zastąpiony w przyszłości srebrnym, co też w rok później nastąpiło - w pierwszą rocznicę wyzwolenia miasta.

‘tb

** ** **

‘tp

Kwatera główna dywizji, sztab artylerii dywizyjnej, dowództwo służb zaopatrywania i odwody dywizyjne kwaterowały w mieście, a oddziały objęły straż nad Mozą na odcinku szerokim do 18 kilometrów, potem rozciągającym się do 50 kilometrów frontu. Szerokość rzeki, pasywne na razie zachowanie się Niemców, prócz kilku punktów newralgicznych i okresów napięcia, zezwoliło na wykonanie zadania obrony Mozy, a raczej dozorowanie jej, częścią tylko sił dywizji.

Umożliwiło to nam miarowe uzupełnienie stanów i intensywne szkolenie.

Dywizja osiągnęła Bredę i rzekę Mozę na ostatnim celowniku swych żywych sił i wysiłku swych maszyn.

Szwadrony pancerne z trudnością utrzymywały się na poziomie trzech plutonów zamiast etatowych pięciu; w piechocie i dragonach liczebność stanu spadła do 50 proc. etatu. Powodem były nie tylko straty w walce w ostatnim okresie, ale duża

ilość odchodzących chorych, gdy warunki klimatyczne pogorszyły się. Sprzęt bojowy wymagał częściowo uzupełnienia, częściowo zasadniczych napraw. Największe braki do pokrycia stanów etatowych wykazywały oddziały piechoty i dragonów. Częściowo pokrywane na „żywo” wprost na polu walki ochotnikami

- Polakami z Francji i Belgii i Polakami jeńcami z armii niemieckiej, wymagały ciągłego dopełniania i wyrównania braku specjalistów różnego rodzaju.

Fakt ostrego kryzysu stanów piechoty wystąpił nie tylko u nas. Przeżywała go równocześnie w tym samym czasie armia inwazyjna sprzymierzonych, najostrzej może armia kanadyjska. Tylko źródła tego kryzysu były różne. U aliantów wynikły z fałszywego obliczenia, że w wojnie nowoczesnej, ruchomej i szybkiej największe straty będą ponosić oddziały pancerne. I istotnie ponosiły, jeśli chodzi o ilość zniszczonych lub poważnie uszkodzonych czołgów, samochodów pancernych czy samobieżnych dział przeciwpancernych. Ale okazało się, że procentowo na 5 zniszczonych czołgów ginie jedna załoga, tj. plus minus 5 ludzi. Wobec tego przy niedoborze stanów w oddziałach piechoty powstała nadwyżka szkolonych czołgistów, co zmusiło nawet okresowo do przesuwania tego drogo szkolonego elementu ludzkiego do piechoty. Operacja bardzo niezdrowa dla moralu, gdy pancerniaki, skoczka spadochronowego i każdego rodzaju wysokowartościowego specjalistę przesuwają na zwykłego piechura.

U nas wobec braku wyszkolonych czołgistów, których szkoliła dla nas na uzupełnienie 16 brygada pancerna w Szkocji, ale w ilościach za małych - proceder ten był niemożliwy.

Braki w piechocie trzeba było pokrywać tym co się znalazło w Szkocji - głównie spośród jeńców Polaków z armii niemieckiej. Braki w pułkach pancernych i przeciwpancernych - z podszkolonych żołnierzy w 16 brygadzie, a gdy to nie wystarczało - z nadających się do przeszkolenia żołnierzy z uzupełnień.

Fakt ten podyktował potrzebę stworzenia w Bredzie i okolicy szkół pancerno motorowych, jak też szkół wszelkich specjalności dla piechoty. Korzystając z biernych miesięcy zimy, które pozwoliły do dozoru Mozy pociągnąć nawet pułk przeciwlotniczy jako oddział piechoty, przy wielkiej energii i zapale zaangażowanych oficerów - zadanie wyszkolenia w oddziałach pancernych i piechoty zostało w okresie zimowym w zupełności osiągnięte. Pracę tę w czasie od połowy listopada 1944 do pierwszych dni kwietnia 1945 przerwały tylko okresowo dwa zdarzenia:

ofensywa zimowa niemiecka Rundstedta i aktywność używanych jako piechota spadochroniarzy niemieckich nad Mozą na odcinku Kapelsche Veer.

W przeciwdziałaniu ofensywie Rundstedta polska dywizja pancerna nie brała bezpośredniego udziału. Wobec gromadzenia się nad dolną Mozą armii spadochronowej gen. Obersta, Kurt Studenta, jako zarysowującego się północnego ramienia kleszczy niemieckich, które uderzeniem poprzez rzekę MOZę na Antwerpię miały w tym rejonie zewrzeć się z południowym uderzeniem przez Liège Namur - na Antwerpię, odcinek naszej obrony na Mozie nabrał większej wagi. Nastawiono dywizję na kierunek najprawdopodobniejszego uderzenia między Bredą a Tilburg. W konsekwencji zmusiło to sztab mój do zmiany miejsca dowodzenia, by bliżej być wojsk i ważnych kierunków. W mokrą, piekielnie zimną noc grudniową przeszliśmy do malutkiej miejscowości Heuneind, na północ od Tilburga, z powrotem na warunki polowego bytowania. Pierwszą noc spędziłem bezsennie, próżno starając się ogrzać nad naftową lampą, która wydobyta z zapasów, kopciła i zaczadzała cały pokój. Wybitnie zniewieścieliśmy po 3 tygodniach luksusu zakwaterowania w Bredzie. Były ciągle alarmy o zrzutach spadochroniarzy niemieckich, fałszywe ale napinające uwagę wobec ogólnej sytuacji. Niemniej nie przeszkodziło to nam w urządzeniu tradycyjnej wigilii Bożego Narodzenia w oddziałach i sztabach. Skończyłem ją, objężdżając oddziały, w sztabie artylerii dywizyjnej, znanej z gościnności gospodarza płka dypl. Bronka Noela. Wigilia urządzona na spółkę z oficerami kanadyjskiego pułku artylerii średniej, przydzielonego do nas, oficerami z prowincji Quebec, a więc pochodzenia francuskiego, o podobnych naszym temperamentach i głośnej wesołości - przewyższyła wszystkie inne. Bawiliśmy się jak dzieci, maszerując z kieliszkami wśród zastawionych stolików i śpiewając pieśni kanadyjskie, francuskie i nasze polskie kołędy.

Na dworze iskrzyła się mroźna noc tysiącem gwiazd i rakiet strzelanych z obu stron. Ale poza rakietami nie było strzałów. Nastrój wigilijny objął oba brzegi Mozy i można było uwierzyć na chwilę przelotną, że są i dobrzy Niemcy. W miarę wyciągania pewnych jednostek do przeciwuderzenia w Ardenach zmieniała się szerokość naszego frontu. Był okres, gdy odcinek nasz sięgał od Raamsdonk do Lithoisen, przekraczając 50z7şkm szerokości. Przydzielono pod me rozkazy 1315 P.R.A.F. i 19 brytyjski P.A.M., a później 8 pułk artylerii przeciwlotniczej kanadyjskiej i 47 brytyjski Royal Marine Commando, co umożliwiło mi wyciągnąć od mego odwodu całą 10 brygadę kawalerii pancernej bez 24 pułku ułanów, pozostawionego jako odwód korpusu i nastawić brygadę na przeciwnatarcie na kiliku zasadniczych kierunkach. Z chwilą ostatecznego załamania się ofensywy zimowej Rundstedta, wróciliśmy do normalnych warunków, do ciepłych kwater i do przerwane go szkolenia.

Ale po drugiej stronie Mozy pozostały już na dobre w

„prezencie gwiazdkowym” spadochronowe oddziały niemieckie. Po zaniechaniu użycia ich jako wojsk powietrznych, stali się elitarną piechotą, dająca się nam nieraz we znaki swą aktywnością. By dać im zaprawę bojową i doświadczenie - wyzyskał gen. Student specyficzny teren nad Mozą z wielkimi rozlewiskami wód i wysokimi wałami nadbrzeżnymi i utworzył mały przyczółek mostowy w miejscu dawnej przeprawy przez rzekę Kapelsche Veer. Obsada przyczółka siedziała cicho i pasywnie, aż się nie wgrzyła w teren, wkopała w te wysokie wały, a wtedy, dysponując silnym poparciem dobrze wstrzelanej artylerii i moździerzy, zaczęła być arogancka i dokuczliwa. Zaczęła się ruchliwość wywiadowcza, jakżeż łatwa wobec oddziałów dywizji, rozciągniętych na 50 kilometrach. A Niemcy z przyczółka stworzyli istny praktyczny poligon, zmieniając co 3 doby obsadę i przeszkalając w ten oryginalny sposób swe szeregi.

Powstał nieprzyjemny cierń w boku frontu.

Starałem się oddziałami organicznymi dywizji zlikwidować ten przyczółek już przy końcu grudnia, potem akcją w dniu 7 stycznia, ale bez rezultatu. W płaski, grząski teren, pod cienką powłoką lodu i śniegu - trudno było wprowadzić czołgi i to tylko małymi grupkami. A świeżo uzupełniona i na progu wyszkolenia, nie zgrana jeszcze piechota była daleką od typu „szturmowego”.

Zrozumiał me argumenty dowódcy

1 korpusu brytyjskiego gen. Crocker i przydzielił mi na 13 i

14 stycznia specjalnie trenowane dla takich zadań oddziały 47 Royal Marine Commando, ale i te nie zdołały wykurzyć upartych spadochroniarzy z ich nor, sprytnie wbudowanych w wysokie nasypy. Dopiero przy końcu stycznia zaangażowana cała grupa bojowa z 4 dyw. kanadyjskiej złożona z 2 baonów piechoty i 2 pułków pancernych, przy potężnym wsparciu artylerii wszelkiego kalibru, w warunkach twardszego już gruntu, po 5-dniowym boju pełnym strat zlikwidowała ten przyczółek niemiecki.

Dobrze, że to nie my musieliśmy zrobić, gdyż tak wielkie straty mogły przekreślić całą politykę personalną stawiania na nogi dywizji do działań wiosennych.

Zrozumienie naszego położenia ze strony dowódcy korpusu poszło jeszcze dalej. Z początkiem lutego zwężono nasz odcinek nad Mozą do 18 kilometrów, dając nam maximum szans na przeszkolenie uzupełnień. Luty i marzec w tych dobrych warunkach nie zostały zmarnowane. Pułki pancerne i artylerii osiągnęły swą szczytową formę, świeże uzupełnienia piechoty zostały zgrane i podciągnięte, choć daleko im było do formy spod Falaise.

I na innym polu okres tego spokoju dał błogosławione wyniki. Obie kompanie warsztatowe wykonały ogrom pracy, naprawiając w tym czasie 270 czołgów i 1.496 pojazdów mechanicznych.

Tak więc i człowiek i maszyna doszły do swojej formy.

Zastój w operacjach wojennych w większym stylu sprzyja wszelkim paradom wojskowym, odznaczeniom i inspekcjom wyższych dowódców.

Bawiłem chwilowo w Londynie wezwany do sztabu Naczelnego Wodza, bezpośrednio po ukończeniu bitwy o dojście do morza i do Mozy i zdobyciu Moerdijk, gdy na gwałt wezwano mnie z powrotem do Bredy i to na rozkaz d_cy 21 grupy armii. Tylko ten wysoki szczebel rozkazujący umożliwił mój powrót na czas, gdyż, gdy przez dwa dni bezskutecznie czekałem na pogodę umożliwiającą przelot

- dano mi do dyspozycji

„destroyera”, którym przepłynąłem do Ostendy, a stąd już samochodem do Bredy. Przybyłem w sam czas, by być dekorowanym dnia 25 listopada przez marszałka Montgomery'ego, wraz z kilkunastoma starszymi rangą oficerami dywizji - krzyżami i orderami brytyjskimi. Akt dekoracji był zaaranżowany w okazały sposób, w największej sali Bredy, przepełnionej delegacjami oddziałów, w obecności dowódcy armii kanadyjskiej gen. Crerara i dwóch kolejnych naszych dowódców korpusów - 2 kanadyjskiego gen. Simonsa i 1 brytyjskiego gen. Crockera. W długim przemówieniu marszałek podkreślił dzielność i twardość żołnierza polskiego i wtedy to, mówiąc o bitwie pod Falaise, użył określenia o butelce, w której znaleźli się Niemcy i o korku, którym byli Polacy, odcinając ich odwrót. W odpowiedzi, w imieniu Naczelnego Wodza, dekorowałem marsz. Montgomery'ego orderem Virtuti Militari 5 klasy.

W cztery dni później objeżdżał oddziały dywizji gen. Eisenhower

- w sposób raczej prosty - rozmawiając z załogami czołgów i interesując się różnymi drobiazgami naszego życia żołnierskiego.

Do miłych nadzwyczajnie wizyt należał przyjazd do nas na kilka dni szefa Sztabu Głównego, gen. Stanisława Kopańskiego. Abstrahując już od wiążących mnie z nim uczuć przyjaźni osobistej, gen. Kopański, którego nazwisko otaczała aureola Tobruku i „Karpackiej” - był związany z dywizją tym, że kiedyś w Polsce dowodził 1 pułkiem artylerii motorowej. Miał więc w dywizji pancernej dużo byłych podkomendnych z tego tytułu, jak też wielu wśród młodych oficerów dyplomowanych. Życie polskie w Bredzie zaczęło się niemal układać jak przedtem, w tej „małej” Polsce w Szkocji.

Nie było wprawdzie polskich rodzin. Ale przyjechała „Lwowska Fala”, docierając swymi występami aż do pierwszej linii, do bunkrów nad Mozą.

„Wszędobylscy” korespondenci wojenni: Kiersnowski, Feldhuzen, Walentynowicz i Wołkowicki utrwalali swój mir wśród braci żołnierskiej, może najbardziej dlatego, że pchali się uparcie do pierwszej linii, nie pomnąc, że już dwóch z nich, Ksawery Pruszyński i Janta Połczyński, oberwało po żołniersku za tę ochoczość i odeszło do szpitala. Gdy zastój w działaniach ograniczył ich możliwości sensacyjnych reportaży, toczyli zawziętą walkę na terenie armii kanadyjskiej, gdy trzeba było sprostować, że to nie Kanadyjczycy lecz Polacy zdobyli tę czy inną miejscowość, bacząc, by żadne dokonanie żołnierza polskiego nie szło na cudzy rachunek.

W okresie leż zimowych w rejonie Bredy i działań nad Mozą nastąpiły w dywizji zmiany na ważniejszych stanowiskach dowódczych.

Odchodzi w początkach stycznia

1945 r. dowódca brygady płk dypl. Tadeusz Majewski, związany z dywizją już od 1940 roku, od Montbard, dowódca 16 brygady pancerniej, a potem w okresie najcięższych walk dowódca 10 brygady kawalerii pancerniej. Jego wiedzy wojskowej, umiarowi i taktowi personalnemu, zawdzięczamy w dużej mierze fakt, że scalenie się dywizji pancerniej, mimo antagonizmów poszczególnych broni, poszło szybko i gładko.

Dowództwo 10 brygady kaw. panc. obejmuje płk dypl. Franciszek Skibiński, utalentowany i w pracy sztabu i jako dowódca, kolejno szef sztabu 10 brygady pancerniej od początków jej formowania się w Polsce, aż do Francji, potem dowódca 10 strzelców konnych w Szkocji, zastępca dowódcy 10 bryg. kaw. panc. w bitwie pod Falaise, a później dowódca 3 brygady strzelców, z ogromnym doświadczeniem pracy wojskowej na tak różnych stanowiskach w dywizji pancerniej.

Opróżnione przez niego stanowisko dowódcy 3 brygady strzelców obejmuje płk dypl. Władysław Dec - wytrawny piechur

- znany mi jeszcze z czasów pokojowych z 29 dywizji piech. i licznych ćwiczeń pod

kierownictwem gen. Franciszka Kleeberga. Kolejno dowódca Podhalan i zastępca dowódcy

brygady strzeleckiej, wyrobił się w dywizji jako „specjalista” forsowań rzek i walk o miejscowości.

Na stanowisku zastępcy dowódcy brygady pancernej pozostaje nadal płk dypl. Antoni Grudziński, który objął to stanowisko w październiku 1944 r. w końcowym okresie działań na Bredę.

Miejsce zastępcy dowódcy brygady strzelców obejmuje płk dr Zdzisław Szydłowski, dotychczasowy dowódca 9 baonu strzelców, którego bitwa na Maczudze i o Axel wysunęła na czoło dowódców oddziałów zmotoryzowanych brygady strzeleckiej. Odchodzi również płk J. Krautwald, oficer o wielkiej wiedzy artylerii, na wykładowcę w Wyższej Szkole Wojennej w Szkocji.

Zmiany te pociągnęły za sobą przesunięcia na niższym szczeblu. Tak więc, dowództwo 1 pułku art.mot. objął ppłk Borzysławski, a 9 baonu strzelców - mjr Stępień.

‘ty

Rozdział 12

Jałta - Łuk Triumfalny

‘ty

‘tt

Rozdział 12ã

Jałta. Łuk Triumfalny

‘tt

W okresie tym, zimy w Bredzie, przyszła do nas Jałta.

Najpierw w szeptach, urywkach rozmów, pogłoskach, aż odsłoniła nam swoją groźną i tragiczną twarz.

Wrażenie w wojsku było ogromnie przygnębiające.

Co dalej?

Jak zachwianym w pewności stał się ten marsz poprzez pokonane Niemcy do Polski, w co dotychczas święcie wierzyliśmy. Marsz rozpoczęty w Normandii, marsz do naszych domów, z których wiele znalazło się teraz poza linią „Curzona”.

Ale!

Nie potrzebowałem robić ankiety wśród żołnierzy moich, zasięgać ich opinii - co dalej!

Czyż nie byłem jednym z nich?

Oczywiście będziemy się bili dalej.

Niemcy nie przestały być wrogiem nr 1.

Czyż dlatego, że nowy wróg - na odmianę „wróg aliant” zagroził od wschodu - mamy zapomnieć o wrześniu 1939 r., zburzonej Warszawie, o Oświęcimiu i Dachau?

Nie! Jeszcze będziemy się bili w sercu Niemiec. Tej najwyższej żołnierskiej satysfakcji nie może nam odmówić los.

Nie nadużywaliśmy nigdy wielkich słów, słów pisanych przez wielką początkową literę.

Nie nadużywaliśmy imienia Pana Boga i Jego Świętych.

Nie nadużywaliśmy imienia Polski - Wolności - Niepodległości, mieliśmy żołnierski wstręt do wszelkiej deklamacji.

I jak długo będzie można, będziemy ją głosić - tę naszą polską, żołnierską prawdę - nie słowami, ale turkotem motorów, zgrzytem gąsienic, hukiem dział, rzetelną żołnierską robotą.

Ale przygnębienie trwało.

Znowu jak w pierwsze dni powstania warszawskiego wozy z radiostacjami oblepione były gromadami żołnierzy, wsłuchanych z twarzami skupionymi i zatroskanymi.

Nie uszło to uwadze brytyjskich i kanadyjskich oficerów łącznikowych - starali się zrozumieć głębokość naszego zawodu i naszej tragedii.

Wielu zrozumiało, wielu wtedy odsłoniło prawdziwe oblicze wiernych przyjaciół. Innym w ogóle lepiej było nie tłumaczyć.

Reakcja alianckiej góry wojskowej była dżentelmeńska. Nie sondowano nastrojów i opinii poprzez łącznikowych oficerów, ale zwrócono się wprost do mnie jako do dowódcy z prośbą o moją interpretację, jak wobec Jałty, która widocznie poruszyła umysły i emocje Polaków, zachowa się na przyszłość polska dywizja pancerna.

Czy się będzie biła z Niemcami?

A forma, w jakiej zwrócono się do mnie, była też typowo „brytyjska”.

Najpierw zaprosił mnie do siebie na lunch gen. Crocker, dowódca 1 korpusu brytyjskiego, z tym, że ma omówić ze mną pewne ważne sprawy.

I przy czarnej kawie wypłynęła Jałta.

W formie tej, że nie rzeczą wojskowych jest polityka, lecz stara się zrozumieć stopień naszego zawodu i rozczarowania. Ze słów gen. Crockera przebijała wielka troska o nas, współczucie, chęć zrozumienia tych skomplikowanych dla Anglików spraw.

W kilka dni potem byłem proszony na lunch do dowódcy armii kanadyjskiej gen. Crerara, który z góry zapowiedział, że rozmawiał w tej sprawie z gen. Crockerem, i nie pozostaje mu nic innego jak złożyć mi słowa szczerego współczucia, że polityka na wysokim szczeblu mogła postawić Polaków (gallant Poles!) w tak wyjątkowo trudnej sytuacji.

Mimo zdawałoby się dostatecznego wygadania się na ten temat obu stron polskiej i kanadyjsko_brytyjskiej, po jakichś dwóch tygodniach zostałem zaproszony do marszałka Montgomery'ego.

Ma się rozumieć jak z

„Montym”, to wszystko musiało być całkiem inaczej.

I sceneria zewnętrzna: lunch podany w jego „caravan”, przedtem przywitanie przez dwa małe pieski, z których jeden nazywał się „Stalin”, a drugi „Hitler”. A w „caravan” stół na trzy nakrycia, gdyż obecnym był też pułkownik doradca polityczny

21 grupy armii. I rozmowa swobodna przy śniadaniu o wszystkim i o niczym, aż do czarnej kawy, z którą weszła na stół - dla mnie już po raz trzeci - Jałta. Poprzednimi rozmowami tak byłem przygotowany, że zdaje się to, co ze swej strony powiedziałem, było na poziomie zrozumiałej dla wszystkich angielszczyzny.

Podkreśliłem wyraźnie istotę problemu i z tego punktu widzenia, że większość żołnierzy dywizji pancerniej to ludzie z Kresów Wschodnich Polskich. Ja sam urodziłem się we Lwowie, który nigdy nie był nawet w czasach porozbiorowych pod panowaniem Rosji, a teraz jest tak bezkrytycznie jej oddawany.

Na to Montgomery przerwał mi z uśmiechem, że w takim razie wszystko się świetnie składa, bo będę teraz sowieckim generałem.

Tego było mi za dużo. Odparłem, że jakkolwiek trudno nawet zestawiać te dwa stosunki: armii polskiej do sowieckiej i armii brytyjskiej do amerykańskiej, to co by powiedział marszałek, gdybym w replice ofiarował mu stopień generała w armii amerykańskiej. Już wtedy było wiadome o pewnym antagonizmie Montgomery'ego do Amerykanów i do pewnego stopnia poczuciu wyższości brytyjskiej, gdy chodziło o armię.

Montgomery poczerwieniał, doradca polityczny nie mógł sobie dać rady z filiżanką kawy, aż wreszcie marszałek roześmiał się i obrócił wszystko w żart. Może od początku miał to być żart, ale w tej beznadziejnej sytuacji polskiej po Jałcie - nawet przy czarnej kawie takie żarty nie były dla nas strawne.

Miałem i mam wielki respekt dla marszałka Montgomery'ego jako dowódcy, do jego bezsprzecznego talentu wojskowego i tak patrzyła na niego nasza dywizja. Dawno już darowaliśmy mu różowy sweterek i pewne cechy aktora w występach publicznych. Były one częścią jego „personality”. Chciałem zrozumieć jego „genre” mówienia czasem rzeczy tak z „głupia frant”, by wyłowić spodziewaną reakcję słuchającego. Ale trudno było mi pogodzić się z jego trzema wypowiedziami, tym bardziej, że nie chciałem przyjąć ich jako znaku zupełnej jego w tym kierunku ignorancji:

1Ń) z pytaniem jeszcze w Szkocji - podczas pierwszej swej wizyty w dywizji polskiej - jakim właściwie językiem mówią Polacy u siebie w domu, po niemiecku czy po rosyjsku;

2Ń) z jego aluzją żartobliwą, że będę generałem sowieckim;

3Ń) z jego wypowiedzią przez telewizję w r. 1959, przed wyjazdem do Moskwy, gdy snując fantazje odprężenia międzynarodowego, proponował pozostawienie jednego czy dwóch korpusów sprzymierzonych w Europie Zachodniej, a za to utrzymanie na stałe korpusów rosyjskich w Polsce.

Pozostawiając każdemu co się mu należy - do geniusza operacyjnego i strategicznego włącznie - po co niektórzy nieprzygotowani do tego generałowie tak chętnie biorą się do polityki, w której najwyżej będą początkującymi dopiero amatorami?

Wyżej już do szczybla amerykańskiego „supremo command” tymi „lunchami” nie dojechałem.

Widać oceniono chwilowy kłopot z polską dywizją pancerną za sprawę raczej ściśle wewnętrzną dominium brytyjskiego.

W końcu lutego 1945 r. zostałem zaproszony ze szwadronem honorowym dywizji do Paryża na uroczystość dekorowania kilkunastu żołnierzy naszych odznaczeniami francuskimi. Resztę nadanych dywizji odznaczeń francuskich przywiózł przy końcu marca do Bredy gen. Chari~ere, zastępca szefa Sztabu Głównego i dekorował nimi oficerów i szeregowych dywizji.

Uroczystość dekoracji w Paryżu nabrała cech niezwykłych.

Przed wszystkim ze względu na miejsce.

Odstąpiono od tradycyjnego

„Place des Invalides” i dekoracji dokonał szef Sztabu Głównego, gen. Juin pod Łukiem Triumfalnym na Place de l'Etoile przed frontem batalionu honorowego Garde Nationale i w obecności tłumów ludności.

Był to więcej niż gest w stosunku do dywizji pancерnej - był to bez wątpienia gest w stosunku do Polski. Nie wiem, czy nie podkreślało to jeszcze więcej tragizmu naszej sytuacji po Jałcie, jako rycerski gest francuski w stosunku do zdradzonych aliantów.

Dla nas wszystkich, którzyśmy przeszli wrzesień 1939 r. w Polsce, a potem po opuszczeniu granic Rzplitej podjęli walkę o własną broń i własne wojsko we Francji, którzyśmy nie zapomnieli tego pobłażliwego traktowania nas wtedy z góry, jako ubogich krewnych, którzy, zdawało im się wtedy, dali się tak łatwo i prędko pobić - był to rewanż w wielkim stylu.

Blade słońce przedwiośnia ślizgało się po wyciągniętych jak struny sylwetkach mych kochanych chłopaków zbiorowego szwadronu honorowego całej dywizji ze sztandarem, po hełmach, stenach, białych z mankietami skórzanych rękawicach, przeskakiwało na orgię barw mundurów Garde Nationale, na migocące instrumenty muzyczne orkiestry i na kolorowo wiosennie już przybraną publiczność.

A historia znowu patrzyła na nas z Łuku Triumfalnego - z nazw polskich bitew umieszczonych na nim.

Po dekoracji byłem przyjęty przez gen. de Gaulle. W zwięzłych słowach dziękował generał polskiej dywizji za wszystko, co dokonała na ziemi francuskiej, za jej rozstrzygającą rolę w bitwie Falaise, za Abbeville i St. Omer i szereg innych miejscowości francuskich. A potem przeszedł na temat ogólny naszego położenia geopolitycznego, naszej ciężkiej sytuacji po Jałcie.

Wrócił niedawno z Moskwy.

Był wybitnie zatroskany i to co mówił było nacechowane niezwykłą sympatią do Polski, a serdecznością do nas i jej żołnierzy.

Widoczne było, że konkretnie wie już więcej niż może powiedzieć. Na koniec zaznaczył dobitnie, że jeśli kiedykolwiek znajdę się w ciężkim położeniu - ja albo moi żołnierze - niech nie zapomnę zwrócić się do niego i jeśli będzie mógł, to na pewno pomoże.

Czyżby już wtedy de Gaulle wiedział, że nie powrócimy do Polski, a w każdym razie nie wszyscy?

Z zachęty zwrócenia się do generała - dziś prezydenta Francji - dotychczas nie skorzystałem. W optymizmie mym wciąż oceniam, że to co jest - to jeszcze nie najgorzej - a w pesymizmie, że mogą przyjść jeszcze na nas trudniejsze chwile. Z kolei złożyłem wizytę pułkownikowi Legii Cudzoziemskiej ks. A. Poniatowskiemu. Jak to się znowu dziwnie historycznie splata. Odznaczenie Legii Honorowej pod Łukiem Triumfalnym - wiew historii - książę Józef Poniatowski i Virtuti Militari, którego krzyż wiozłem na tę wizytę.

Jeszcze w roku 1940 w Coetquidan w Bretanii zgłosił się do mnie pewnego dnia syn jego Andrzej, młody, smukły chłopak. Mówiąc po francusku i przepraszając, że nie mówi po polsku, ale serce ma z pewnością polskie, prosił o przyjęcie do wojska polskiego. Przyjęty, dostał się potem do 14 pułku ułanów, a po skończeniu polskiej podchorążówki w Szkocji, już jako podporucznik do 1 pułku pancernego. Przeszedł jako dowódca plutonu całą kampanię aż do Holandii. I w Holandii na wyspie Tholen zginął na czele swego plutonu, zagradzając bardzo dzielnie drogę wypadowi niemieckiemu.

Przyjął mnie w Paryżu ojciec jego w galowym mundurze Legii Cudzoziemskiej i matka Amerykanka z domu Harriman. Przepraszali, jak kiedyś ich syn, że nie mówią po polsku, ale że syn ich w polskiej dywizji pancernej zadokumentował najdobitniej swą polskość.

Wręczyłem krzyż srebrny Virtuti Militari, nadany pośmiertnie podporucznikowi 1 pułku pancernego - polskiej dywizji pancernej - Andrzejowi Poniatowskiemu. W dziesięć lat po wojnie, na przyjęciu Polish Legion of American Veterans w Buffalo, Harriman, kandydujący wtedy na stanowisko gubernatora stanu New York, w przemowie swej podkreślił swój związek z polską dywizją pancerną poprzez ś.p. Andrzeja Poniatowskiego.

Był jeszcze jeden w dywizji naszej niby cudzoziemiec - Amerykanin polskiego pochodzenia, który przeszedł polską podchorążówkę. Ale ten mówił świetnie po polsku i szczęście żołnierskie było dlań łaskawsze, bo choć ranny w krwawej bitwie nad kanałem Mark, wylizał się z ran i dużo dobrego zrobił dla imienia polskiego i żołnierskiego, wydając zaraz po wojnie pierwszą 3-języczną książkę_album o dywizji pancernej pt. „Caen to Wilhelmshaven. Story in Polish, English and French”.

Porucznik 8 baonu strzelców Leopold Lorentz. Widzę jego zawiedzioną minę, że baonu jego nie nazywam „krwawymi koszulami”, tak jak utarło się po bitwie na „Maczudze”, gdy lekko ranny ich dowódca ppłk Nowaczyński rzeczywiście był obficie zroszony własną krwią. Ale nazwa ta oficjalnie nie została zatwierdzona. Żadnymi węzłami krwi czy pochodzenia polskiego nie był związany z nami ochotnik - cudzoziemiec Anglik ppor. Herbert Auberon, któremu prawdziwa sympatia dla polskiego problemu kazała się zgłosić do naszych szeregów, a długie miesiące wspólnej doli nauczyły go nie tylko języka polskiego, lecz wytworzyły na zawsze w jego mentalności pewną pasję dla naszych polskich zagadnień, której to pasji koniec wojny całkiem nie uciał, lecz skierował na szersze tory.

I jedyna ochotniczka Angielka

- później ppor. Diana Tauber, a jeszcze później pani Wołkowicka, gdy wyszła za mąż za por.

Wołkowickiego, żołnierza dywizji pancernej i artystę malarza. Bo oddziały miały swoje ukochane świetliczarki - Polki, najbardziej „oddziałowo” nastrojony czynnik, które nie wiem dłaczego nazywano

„ciociami”.

Ze wspomnieniem ostatnich dni w Bredzie wiążą się u mnie dwa wrażenia. Jednym z nich był przyjazd do dywizji gen. Andersa już w roli p.o. Naczelnego Wodza, a drugie związało się przypadkiem z jego pobytem w dywizji.

Gen. Anders był już u nas w dywizji - jeszcze w Szkocji w

1943 roku bodaj - na ćwiczeniach, organizowanych przez polski I korpus. Interesował się wtedy naszymi czołgami, jako kawalerzysta interesował się kierunkiem, w jakim przeskalała się kawaleria w dywizji. Teraz jednak przyjeżdżał opromieniony sławą Monte Cassino i jako nasz polski przełożony. Ceniła sobie jego przyjazd cała dywizja i starała się pokazać jak najlepiej. Byliśmy szczęśliwi, że forma, jaką osiągnęliśmy przez zimę w Bredzie, była taka,

że reprezentowała w równej mierze naszą świeżą przeszłość bojową, jak i dalsza gotowość.

Obecność Andersa, dowódcy spod Monte Cassino wśród nas, w prosty niejako sposób wiązała działania dywizji pancerniej z działaniami II korpusu we Włoszech w jeden wysiłek wojenny. Obecność jako p.o. Naczelnego Wodza polskiego wiązała nas jeszcze raz na szerszej platformie z dorobkiem lotnictwa i marynarki w jedno osiągnięcie polskie. Budziła nadzieje, że się złączymy w jedną armię polską na Zachodzie pod jednym dowództwem polskim.

Niewiele więcej przecież jednostek bojowych mieli Kanadyjczycy, bo 3 dywizje piechoty i 1 dywizję pancerną, gdy w Normandii występowali już pod szyldem 1 armii kanadyjskiej.

Towarzyszyłem gen. Andersowi, gdy składał wizytę dowódcy korpusu i dowódcy armii kanadyjskiej. Z powodu odległości do miejsca postoju dowódcy armii, lecieliśmy z lotniska Gilze pod Bredą dwoma małymi 2-osobowymi samolotami obserwacyjnymi, zwanymi przez nas „Kubusiami”, a pilotowanymi przez polskich lotników mjr. B. i kpt. K.

Gdyśmy przelatywali nad Hertogenbosh, które było już na linii frontu, pilot mój kpt. K.

- dobry mój znajomy jeszcze z czasów Bollene we Francji w 1940 r. - rzucił uwagę, że jesteśmy nad Tilburgiem. Sprostowałem, że to Hertogenbosh. Pomyłka polegała na podobnym zarysie kanałów i sylwetki miast z powietrza, ale Tilburg był 20 mil w głąb naszego terytorium. Czy nie ta okoliczność stała się powodem fatalnej pomyłki, gdy po powrocie do lotniska Gilze i po przyjęciu gorącym, zgotowanym dla Andersa przez polskie skrzydło dowodzone przez płk. Gabszewicza, które stale współpracowało w akcjach z naszą dywizją, pod zapadającą noc obaj polscy lotnicy wracali do armii. Nie wiem już, z jakiego powodu zdecydowali się na lądowanie i biorąc znów Hertogenbosh za Tilburg, wylądowali na terytorium zajęтым przez Niemców. Przyplacili to niewolą, na szczęście bardzo krótką, bo koniec wojny już po miesiącu ich uwolnił. Opowiadali potem dość ciekawy przebieg badania przez Niemców. Otóż Niemcy starali się dowiedzieć, jaki jest powód, że polska dywizja pancerna, ciesząca się reputacją bardzo dobrej jednostki, jest pozostawiona na biernym odcinku i nie użyta w działaniach za Renem.

Głowiliśmy się nad tym i my wszyscy kilka tygodni temu, ale nie w chwili, gdy te pytania stawiano naszym lotnikom. Gdyż już 7 kwietnia, gdyśmy z Andersem przelatywali na wschód do wysuniętej naprzód armii kanadyjskiej, obserwowaliśmy z samolotów ruch na wschód pierwszych oddziałów dywizji polskiej do Renu. Zum Rhein - zum Rhein - jak głosiły słowa patriotycznej pieśni niemieckiej, ale straż nad Renem była już przełamana - sprzymierzeńcy wdzierali się w głąb Niemiec.

W przeddzień studiowaliśmy rozkazy armii kanadyjskiej i przyszłe zadanie, które pchało nas w teren beznadziejnie porzucony kanałami. Aż niebiesko było na mapie od tych kresek i kreseczek na pograniczu Holandii i niemieckiej Fryzji. Ktoś zauważył, że raczej łódzie by się nam przydały dla wypełnienia zadania niż czołgi.

U progu działań na ziemi niemieckiej zmienia się stopniowo oblicze dywizji pod względem obsady personalnej na wyższych stanowiskach. Wymagała tego polityka personalna Naczelnego Wodza, z jednej strony wykorzystująca doświadczenie dotychczasowych dowódców, z drugiej otwierająca drogę do nabrania doświadczenia i wykazania się nowym oficerom, dotychczas użytym na innym teatrze wojny lub w wyższych sztabach.

Tak odchodzi z dywizji jeden z najstarszych jej oficerów - gen. Kazimierz Dworak, od Zaolzia poprzez kampanię 1939-1940 r. aż do końca, kolejno dowódca 24 p. ułanów, 10 brygady panc.mot. i zastępca dowódcy dywizji. Wypróbowany żołnierz - sercem i duszą oddany służbie i dywizji pancerniej - najlepszy kolega. Na jego miejsce przychodzi gen. Klemens Rudnicki, z bogatą kartą doświadczenia bojowego w 2 korpusie, który obejmie po ukończeniu działań wojennych dowództwo dywizji, gdy odejdę na dowództwo I korpusu do Szkocji, i otworzy dywizji pancerniej świeżą kartę okresu - ni to wojna, ni to pokój - na okupacji w Niemczech.

Już po ukończeniu działań wojennych odejdzie płk dypl. Skibiński do Włoch na zastępcę dowódcy II dywizji panc. gen. Rakowskiego, a dowództwo 10 brygady

kaw.panc. obejmie dotychczasowy zastępca płk dypl. A. Grudziński. Zastępca dowódcy

10 brygady kaw.panc. zostanie ppłk W. Zgorzelski, który dowodził z rozmachem 10 pułkiem dragonów przez cały czas kampanii, prócz okresu pobytu w szpitalu po zranieniu pod Aeltre podczas forsowania kanału Gandawskiego. Dowództwo 2 pułku pancernego po ppłk dypl. S. Koszutkim, dobrze znanym z poprzednich kart, obejmie mjr M. Gutowski.

We wrześniu 1945 r. na miejsce ppłka dypl. L. Stankiewicza, który obejmie dowództwo 10 pułku dragonów, przyjdzie z 2 korpusu ppłk dypl. Z. Dudziński, dowódca tam 4 pułku pancernego i ostatni dowódca dyonu rozpoznawczego I korpusu z czasów szkockich.

‘ty

Rozdział 13

Na niemieckiej ziemi

‘ty

‘tt

Rozdział 13ã

Na niemieckiej ziemi.ã

Koniec wojny

‘tt

Już 8 lutego zaczęła się ogromna ofensywa Sprzymierzonych, w której 1 armia kanadyjska uderzyła z obszaru Nijmegen na pograniczu holendersko_niemieckim, między rzekami Mozą i Renem, na Reichwald_Hochwald w celu przełamania linii Zygfryda, wysuniętej na tym kierunku na zachodni brzeg Renu.

Operacja „Veritable” dysponowała ogromnym wsparciem ogniowym:

artylerii: ponad 1000 dział różnego kalibru i 12 32_lufowych sprzężonych wyrzutni rakiet, które po raz pierwszy zdały egzamin, użyte w ramach naszej dywizji w listopadzie zeszłego roku pod Moerdijk.

lotnictwa: 1000 myśliwców i lekkich bombowców kanadyjskich, przeszło 1000 średnich i ciężkich bombowców R.A.F. i dużą część lotnictwa 8 i 9 armii amerykańskiej.

Do 20 lutego przełamano 2 linie obronne Zygfryda, ale dopiero 26 lutego rozpoczęta nowa faza operacji, łącznie z uderzeniem armii amerykańskiej, dała do 10 marca zlikwidowanie oporu niemieckiego na zachodnim brzegu Renu i doprowadziła Sprzymierzonych do tej rzeki na całej długości od Nijmegen do D~usseldorf.

2 armia brytyjska i armie amerykańskie przy końcu marca forsują ostatecznie Ren, a 1 kwietnia 1 armia kanadyjska przechodzi Ren z zadaniem podwójnym:

zająć północną część Holandii, dotychczas trzymaną przez Niemców,

i oczyścić cały pas niemieckiego nadbrzeża między rzekami Ems i Wezerą.

To drugie zadanie przypadło drugiemu korpusowi kanadyjskiemu, w skład którego weszła z powrotem polska dywizja pancerna, wzmocniona baonem belgijskich spadochroniarzy S.A.S. i kanadyjskim 4 pułkiem artylerii średniej.

Polska dywizja miała uderzyć okrakiem granicy holendersko_niemieckiej, a odległym jej celem operacyjnym był port Emden. Na prawo miała działać 4 dyw.panc. kanadyjska, a na lewo 3 dywizja piechoty kanadyjskiej.

Zadanie prosto sprecyzowane komplikował teren, poprzerzynany we wszystkich kierunkach świata kanałami i kanalikami, z rzeką Ems, płynącą po stronie niemieckiej równoległe do granicy. W czasie działań, już po wschodniej stronie rzeki Ems, zvariantowano cel operacyjny z Emden na Wilhelmshaven.

Z rejonu Bredy do nowego rejonu koncentracji dywizji na pograniczu holendersko_niemieckim - trasa wyniosła 250 kilometrów. Tę przestrzeń dywizja pokryła forsownym marszem 18_godzinnym, kierując się na most na Mozie pod m. Gennepe, potem przez terytorium niemieckie przez zrównane niemal z ziemią miasta

Goch i calcar i przez most na Renie koło Rees, skąd na północ z powrotem na ziemię holenderską do rejonu Borculo.

Poprzedzały marsz dwa oddziały wydzielone, z których jeden przejął od spadochroniarzy belgijskich węzeł Coevorden, drugi uchwycił przejścia przez kanał w Goor.

Nie trzeba było mapy, ani znajomości terenu, by nie omylić się w tym przechodzeniu kilkakrotnym granicy państwowej czy Holandii, czy Niemiec. Bił w oczy kontrast dekorowanych chorągiewkami o barwach narodowych i masą kwiatów osiedli, miasteczek holenderskich, stosunkowo oszczędzonych przez bombardowania, od ponurych, szarych zgliszczy domostw, z jedyną gdzieniegdzie dekoracją na ocalonym zabudowaniu - białą chorągwią. Bił w oczy widok radości i wesela wylegającej na ulice ludności holenderskiej - wobec pustki zamkniętych okiennic i przywartych wrót, lub przemykających się Niemców z bladymi twarzami. Później nieco masy deportowanej na roboty ludności europejskiej zaroją ulice i drogi, witając nas płaczem i śmiechem na przemian, okazując swą radość. A potem jeszcze szlak nasz zacznie się roić uwalnianymi obozami koncentracyjnymi, ze wszystkimi okropnościami widoku tego, co jeszcze przy życiu pozostało.

Tak dla sprostania zadaniu działania okrakiem granicy, jak dla zabezpieczenia własnej skóry, gdy dywizja przerzuci się poprzez rzekę Ems na terytorium niemieckie, wydało mi się konieczne uderzeniem ku północy wzdłuż granicy oczyścić najpierw teren holenderski aż do zatoki morskiej Dollart, po północnej stronie której leżał port Emden.

Działania w tym kierunku zapoczątkowały już oddziały wydzielone dywizji tak ppłka Zgorzelskiego jak i ppłka Koszutkiego. Podporządkowuję je teraz nowemu dowódcy 3 bryg. strzeleckiej płkowi Decowi i obarczam tak wzmocnione ugrupowanie 3 bryg. tym wstępnym dla dywizji działaniem.

Celem jest miasto i węzeł drogowy Winschoten, skąd już zaledwie kilka kilometrów do zatoki.

10 kwietnia część 10 pułku strzelców konnych ze szwadronem dragonów dociera do baonu spadochroniarzy francuskich, zrzuconych przed dwoma dniami dla uchwycenia przepraw na kanale Oranje.

11 kwietnia oddziały wydzielone i oddziały brygady zajmują rejon Emmen i Ter Apel, wyprowadzając dywizję na względnie bardziej suchą i nadającą się do użycia czołgów przestrzeń.

Jakkolwiek ze strony niemieckiej nie widać jakiejś szerszej koncepcji obronnej tego obszaru, lokalne oddziały przeważnie morskich baonów biją się zaciekle i twardo, broniąc dostępu do granicy niemieckiej i ziemi niemieckiej, dopingowani wszechobecną propagandą. W walkach z nimi wyróżnią się strzelcy konni i dragoni i baon strzelców podhalańskich, a oddział wydzielony ppłka Koszutkiego z 2 pułkiem pancernym i 8 baonem strzelców toczy 14 kwietnia ciężką walkę z baonem 366 pułku piechoty morskiej, którego kompletne zniszczenie pozwala dopiero na opanowanie m. Boertange i Neu Rhede. 8 dział 88ż7śmm i 75ż7śmm, 8 dział 20ż7śmm i 2 czołgi niemieckie rozbite na poboju mówią same za siebie.

Kulminacyjnym dniem walk 3 brygady strzel. jest dzień 15 kwietnia, w którym brygada po przełamaniu oporu na kanale Vereenigd, w miejscach Weener i Rhede i na kanale Veele, koncentrycznym natarciem baonu Podhalań i baonu spadochroniarzy belgijskich - opanowuje m. Winschoten.

Jestem w sztabie 3 brygady, gdy płk dypl. Dec melduje mi wieczorem tego dnia, że patrol brygady dotarł do zatoki Dollart

- 4 kilometry na zachód od granicy niemieckiej.

Dopiero jednak w dniu 17 kwietnia zdobycie m. Rhede i rozbitcie dalszych baonów piechoty morskiej z 363 i 366 pułków kończy pomyślnie tę operację odcinania oddziałów niemieckich w Holandii od terytorium niemieckiego i pozwala całkowicie zwrócić się do zasadniczego działania po niemieckiej stronie rzeki Ems.

W tym czasie gonitwy do morza, po stronie zachodniej rzeki Ems, miało miejsce zdarzenie, które głęboko przeżyła cała dywizja.

Nie było bitwy o to miejsce.

Nie było wsparcia lotnictwa ani artylerii.

Ta jedna ponoć seria z brena, która ściągnęła ze strażnicy wieży jednego niemieckiego wartownika - nie wiem czy była nawet potrzebna.

A mimo tego było to wielkie zdarzenie dla dywizji pancernej.

Myślę o Oberlangen i Niederlanger z obozem 1700 polskich kobiet - żołnierzy Armii Krajowej z Powstania Warszawy.

Jeśli za trudy i straty polskiej dywizji pancernej należały się jej jakieś kwiaty, rzucane serdeczną ręką, to tymi kwiatami rzuconymi rękoma losu było uwolnienie - w wyniku działań dywizji - tego obozu.

A stało się to całkiem nieoczekiwanie!

Na meldunek rozpoznania o obozie kobiet - jeńców Armii Krajowej z Powstania w Warszawie - dowódca 2 pułku pancernego ppłk Koszutski z kilkoma czołgami i kariersami wjechał po prostu do obozu, obalając czołgami ogrodzenia z drutów kolczastych i zwalniając jeńców. I odtąd obóz w Oberlangen stał się dla żołnierza 1 polskiej dywizji pancernej częścią wyzwolonej Polski.

Pociągnęły ze wszystkich stron sznury aut i kariersów, samochodów ciężarowych i czołgów, z frontu i ze sztabów, z tyłów i linii zaopatrzenia dywizji. Pojazdy pełne żołnierzy szukających swych rodzin, szukających wiadomości o swoich, lub po prostu chcących uradować oczy widokiem bohaterkiej polskiej kobiety z Powstania Warszawy.

Pociągnęły wozy załadowane wszystkim co było potrzebne, lub mogło się przydać. Każdy chciał się czymś przysłużyć, czymś pomóc. Na prośbę komendantki obozu por. Milewskiej musiałem wydać zakaz przywożenia prowiantu, bo magazyny pękały z przepełnienia. Ale front oddalał się ku północy i trzeba było dywizji pożegnać dzielne koleżanki broni.

Kilka autorek upamiętniło te chwile wyzwolenia kartami pamiętników drgającymi wzruszeniem, które i dziś czytane nie straciły nic z siły swej ekspresji. Jeszcze podczas działań 3 brygady w kierunku na Winschoten sztab dywizji opracowuje nowy plan i zbiera siły dywizji niezaangażowane w tej chwili w walce, do przekroczenia rzeki Ems, przejścia na terytorium niemieckie i rozpoczęcia działań wzdłuż wschodniego brzegu rzeki na Emden.

Przyszłe zadanie wygląda z mapy piekielnie trudne, teren jeszcze bardziej pozygzakowany siecią kanałów i pasmami bagien i torfowisk, z dwiema poważnymi przeszkodami: K~usten Kanal i rzeka Leda, które tworzą milami ciągnące się rozlewiska. Zvariantowanie w dniu 16 kwietnia kierunku na Wilhelmshaven dodaje do tych przeszkód dwie następne:

Kanał J~umme,

Kanał Jade.

Trudności te widoczne na mapie okażą się w praktyce jeszcze poważniejszymi przez mądrze aranżowane przez Niemców zniszczenia i mokrą porę wiosenną.

Samo przejście przez rzekę Ems jest łatwe. Korzystając z oczyszczenia przez 4 dyw. kanadyjską terenu na południe od m. Haren, drobne oddziały naszej dywizji obchodzą to miasto od wschodu i zajmują je niemal bez walk, a saperzy dywizyjni w rekordowym czasie budują most, kończąc go w nocy 14 kwietnia - tak, że 15 kwietnia 10 bryg.kaw. pancerna w osłabionym składzie przechodzi na terytorium niemieckie i podsuwa się rozpoznaniem i wstępnymi działaniami pod K~usten Kanal. Tymczasem ukończona akcja 3 brygady pozwala na przegrupowanie i zasilenie poważne 10 brygady.

Zostawiam 3 brygadzie minimum oddziałów na zachodnim brzegu rzeki Ems dla ubezpieczenia głównie mostu pod m. Haren i naszych linii komunikacyjnych po stronie holenderskiej, a wzmacniam 10 bryg.kaw.panc., której siły obejmują:

1 pułk pancerny,

24 pułk ułanów,

baon strzelców podhalańskich,

9 baon strzelców,

przydzielony szwadron

„Krokodyli”, tj. czołgów typu Churchill z wmontowanymi miotaczami ognia,

1#1/2 kompanii saperów,

i dyon przeciwpancerny.

Natarcie 10 bryg.kaw.panc. dla sforsowania kanału K~usten jest wsparte 19 kwietnia akcją lotniczą „Tajfunów”, całością artylerii dywizyjnej i

przydzielonym 4 pułkiem artylerii średniej kanadyjskiej, jak też ogniem bocznym z zachodniego brzegu rz. Ems specjalnej grupy artylerii „Kurpiel”, sprytnie złożonej z II dyonów 2 pułku mot. i szwadronu 2 pułku pancernego.

Pułkownik Skibiński - niedawno przeniesiony na dowódcę 10 bryg.kaw.panc. po odwołaniu płka dypl. Majewskiego do sztabu do Londynu - nie będzie się skarżył na brak huk, ognia i dymu, towarzyszącym forsowaniu kanału.

Z punktu, z którego obejmuję wzrokiem płaską przestrzeń przed K~usten Kanal - obserwuję akcję Tajfunów, spadających z nieba jak jastrzębie na upatrzoną ofiarę i z turkotem niezawodnie umieszczających swe rakiety w celu. Siła pocisku ogromna. Niedawno widziałem ciężki czołg niemiecki typu „Tygrys”, który trafiony rakieta, musiał wylecieć wysoko w górę, by spaść i zaryć się głęboko wieżą w ziemię, gasienicami w powietrzu.

Po sforsowaniu kanału Mark w Holandii, dzięki głównie akcji Tajfunów, wzięty przez nas do niewoli ordynans dowódcy

„Kampfgruppe” niemieckiej tak określił świeże wrażenia:

„Artyleria wasza jest bardzo nieprzyjemna - szczególnie ciężka - bombowce jeszcze gorsze, ale najstraszniejsze wasze samoloty z raketami. Mój dowódca mjr W., nieustraszony żołnierz, odznaczony żelaznym Krzyżem I klasy, a uciekał rowem jak zając, gdy nadleciały te samoloty.”

Faktem niezaprzeczoną jest, że przy dozorze kilku Tajfunów w powietrzu w momencie forsowania

- nie odezwał się ani jeden moździerz, ani jedno działo, które w przeddzień zadały oddziałom duże straty w ludziach i sprzęcie przeprawowym.

Dobrze zmontowane i przygotowane forsowanie (dwa razy przekładałem termin rozpoczęcia akcji nie chcąc, by pierwsze w większym stylu działanie na ziemi niemieckiej było fiaskiem) - poszło gładko.

9 baon strzelców na łodziach i kładkach szybko przeskoczył K~usten Kanal, mimo pewnych strat w łodziach wobec sterroryzowanych ogniem Niemców, a kompania saperów w kilka godzin zbudowała most, wystarczający na przerzucenie czołgów. Do wieczora brygada siedziała mocno na północnym brzegu i na zdobytym skraju lasu, który stanie się nazajutrz podstawą do natarcia na miasto Aschendorf. W zdobyciu miasta główną rolę odegrały czołgi 1 pułku pancernego, które od wschodu wymanewrowały obronę niemiecką, pozostawiając piechocie oczyszczenie miasta, a raczej ruin kompletnych, niegdyś ładnego miasteczka niemieckiego. Pod wieczór brygada zdobywa m. Tunxdorf i podchodzi do skraju większego miasta, rozsiadłego na względnie suchej połaci terenu, do m. Papenburga.

W tym samym czasie 3 brygada strzelecka, a raczej jej ułamek pozostawiony na zachodnim brzegu rz. Ems, zlikwidowała dość anemiczne przeciwuderzenie od zachodu, z obszaru okupowanej części Holandii, w której zamknęła się armia niemiecka gen. Blaskovitza.

Wchodząc w rejon ten oddziały kanadyjskie zaczęły luzować nasze oddziały, umożliwiając zbieranie w rejonie mostu Haren oddziałów 3 brygady, przeznaczonych do przedłużenia wysiłku 10 brygady ku północy.

21 kwietnia zgrupowanie płka Grudzińskiego zdobywa m. Papenburg, skoordynowaną akcją baonu podhalańskiego z czołgami

24 pułku ułanów. Jeszcze walka na ulicach miasta się toczy, gdy

„jeepem” podjeżdżam do miasta. Dziwny kontrast fanatycznego oporu bijących się oddziałów niemieckich z rezygnacją i pasywnością mieszkańców, gorliwie, gdzie trzeba i gdzie nie trzeba, wywieszających białe flagi - na znak poddawania się.

Natykam się na grupę naszych

„łazików”, którzy nie mogą oprzeć się pokusie, by trochę nie pomyszkować w ruinach i opuszczonych domostwach. Samo pokazanie się moje wystrasza ich

- nie potrzebują robić użytku z kija.

O! Nie chodzi mi wcale o Niemców - o ich mienie i życie. Chodzi mi o mego żołnierza. Nie wolno dać „bestii” odezwać się w człowieku. Nie można naszych krzywd dochodzić w indywidualnym wyzwalaniu się zemsty i odwetu. Bo przestaniemy być wojskiem.

Z doświadczenia tylu lat wojny wiem, że nie wolno dopuścić nawet do najmniejszego rabunku. Żołnierz, który rabuje i bogaci się rabunkiem, staje się

tchórzem. Życie swoje, które codziennie naraża, staje się nagle dla niego przesadnie cenne, co najmniej tak cenne, jak cennymi są dobrobyt lub przyjemność, którą można zapewnić zrabowanym mieniem.

Taka już jest psychologia wojenna.

22 kwietnia 10 brygada zdobywa m. Kollinghorst, punkt centralny obszaru względnie suchego, wśród błot i torfowisk, przed rzeką Leda. Wyspa ta sucha nazywa się Ober Ledinger Land. Prowadzą z niej dwie arterie przez m. Leer na port Emden i przez m. Posthausen_Stickhausen, w ogólnym kierunku na Wilhelmshaven. Oba kierunki zagrodzone błotami i torfowiskami rzek Leda i J~umme.

Zostawiając 10 brygadzie kaw.panc. zadanie uboczne oczyszczenia trójkąta rzek Ems - Leda, wysuwam zgrupowanie 3 brygady strzelców na kierunek Posthausen_Stickhausen, wzmacniając je następnie tak, że obejmie:

24 p. ułanów,

batalion strzelców podhalańskich,

8 baon strzelców,

10 pułk dragonów,

sam. szwadron ckm,

10 komp. saperów,

1 pułk art.mot.

Zapoczątkowuję tym działanie 1 polskiej dywizji pancerniej na Wilhelmshaven.

Coraz bardziej walki z Niemcami zamieniają się w jeszcze bardziej żmudne walki z terenem.

Nie byłoby przesadą określić, że topiliśmy się w błocie, szczególnie czołgi i działa samobieżne, zrywające gąsienicami cienką warstwę torfu i zagłębiające się w ciemną maź błota. Rzeka Leda okazała się rzeką bardziej bagnistą niż jakakolwiek na naszym Polesiu, a teren przed i za rzeką tak podmokły i poprzerywany kanałami, że już nie tylko mosty, ale drogi i dojścia trzeba było budować, by iść naprzód. Bliskość ujść rzek Leda i J~umme do morza sprawiała, że każdy przypływ morza podwyższał nie tylko poziom wody, ale nawadniał na nowo ten rozmokły pas ziemi fryzyjskiej. Technika niemiecka wykorzystwała po mistrzowsku te zalety terenu dla obrony. Każde skrzyżowanie drogi lub jej odcinek przebiegający w wązinach między bagniskami, był centrum ogromnego leja o średnicy 50 stóp, którego nieraz nie można było inaczej przeskoczyć, jak budowa mostu Bailleya. Leje te powstawały przez odpalenie wkopanych bomb lotniczych dużego kalibru.

Tempo przedzierania się przez taki teren było tempem niezamordowanej pracy obu kompanii naszych saperów z ppłkiem Dorandtem i kpt. Neklawsem na czele i sukcesy nasze w tym okresie w ogromnym procencie zawdzięcza dywizja tym nigdy niezawodnym mrówkom dywizyjnym. Ale i pomysłowość oddziałów w przekraczaniu tych lejów była ogromna. Kładki dla piechoty budowano z materiału z domostw zburzonych dla zasypania dziur. Barki transportowe niemieckie ściągano kanałami improwizując mosty pontonowe. W jednym wypadku 10 strz. konnych cały, ze wszystkimi pojazdami, przeszedł lej wyrównany blokami prasowanej słomy. Tam, gdzie kanały, przejścia i leje były bronione, najskuteczniejszym środkiem stały się miotacze ognia, wmontowane na karriersach, szczególnie w oddziałach dragonów. Do poważniejszych forsowań przydzielano dywizji szwadrony „Krokodyli” z miotaczami ognia o dłuższym zasięgu.

W miarę zbliżania się dywizji do Wilhelmshaven obrona niemiecka, złożona z mieszanych oddziałów marynarki wojennej, formacji spadochronowych i S.S., staje się coraz twardsza.

W ciężkich walkach 3 brygada zdobywa dnia 25 kwietnia m. POsthausen, a w dniu następnym forsuje rzekę Ledę, tworząc na północnym brzegu przedmoście, na które wychodzą bezskutecznie przeciwuderzenia niemieckie. Ale droga do przejścia pasa bagien do Stickhausen, rzeki J~umme i dalszych kanałów - jeszcze bardzo daleka. Nie przerywając akcji dywizji, zwracam się do dowództwa korpusu z projektem sforsowania rzeki Ledy pod m. Leer, na osi na Emden, i wyprowadzenia przez Leer całej dywizji na teren bardziej suchy, lub przerwucenie tamtędy części dywizji,

która działaniem na północnym brzegu rz. J~umme wyciągnie 3 brygadę przez błota lub co najmniej ułatwi jej wyjście.

Aprobatę tego planu otrzymuję dopiero 29 kwietnia, gdy dywizja kanadyjska chwyta przedmoście pod Leer.

30 kwietnia zgrupowanie 10 bryg.kaw. pancерnej przechodzi przez to przedmoście i uderza w kierunku wprost na wschód po północnej stronie rz. J~umme, podając rękę 3 brygadzie strzelców, która 1 maja opanowuje od południa m. Stickhausen.

Dywizja działa teraz nadal w kierunku wschodnim po dwu osiach:

10 bryg. - Remels, Moorburg, Halsbek,

3 bryg. - Filsun, Apen, Westerstede

i 3 maja, gdy zgrupowanie płka Grudzińskiego (2 ppanc. i 10 p.drag.) opanowuje Moorburg i Westerstede oraz zdobywa Halsbek, wchodzi w teren suchy, ale zalesiony na północ od Bad Zwischenahn, skąd zamierzam zwrócić się ku północy na Witmund, Jever, Wilhelmshaven - dla ostatniego aktu zdobycia portu i miasta Wilhelmshaven.

Dnia 4 maja wieczorem dostajemy rozkaz przerwania działań od dnia 5 maja godz. #/8 rano.

Niemcy skapitulowały.

Ledwie przebrzmiała ostatnia nawała ognia naszej artylerii, brząca już odmiennie w uszach naszych - jakby salwa honorowa na zakończenie działań wojennych

- zostałem wezwany na popołudnie dnia tego, tj. 5 maja do kwatery głównej 2 korpusu do Bad Zwischenahn. Miałem wziąć udział w akcie dyktowania warunków wojennych na odcinku 2 korpusu kanadyjskiego. Równocześnie na terenie Holandii, w Wageningen, gen. Foulkes z dowódcami pozostałych oddziałów armii kanadyjskiej odbierał akt poddania się 25 armii niemieckiej - generała Blaskovitza.

Ale u nas...

W dużej sali za długim stołem zajęli miejsca dowódca korpusu gen. Simonds, szef sztabu i dowódca dywizji podległych korpusowi. Brak jakichkolwiek innych krzeseł na sali zapowiadał, że nie będzie nawet cienia uprzejmości w stosunku do oficerów niemieckich.

Siedziałem obok dowódcy korpusu.

Weszło 6 oficerów niemieckich. Gen. Erich von Straube, dowódca oddziałów armii między rzekami Ems i Wezerą (które to oddzielne zgrupowanie armii powstało dopiero kilka dni przedtem), w towarzystwie lokalnego dowódcy marynarki wojennej, szefa sztabu i 3 dowódców odcinków wschodniej Fryzji.

Weszli, ustawili się w rzędzie przed stołem, zaszutowali i stali na baczność.

Jacyś inni niż ci brani na gorąco do niewoli, w pyłe i kurzu bitwy, z emocjami bitwy niewygasłymi jeszcze na twarzy.

Twarze ściągnięte i surowe, poza maską tą mogło się kryć wszystko i nic.

Gen. Straube zaczął coś mówić.

Gestem zniecierpliwienia przerwał mu gen. Simonds:

„Nie przysłuchajcie tu, by pertraktować z nami - macie tylko wysłuchać warunków „unconditional surrender” - warunków bezwarunkowego poddania się.”

Punkt po punkcie, twardym, dobitnym głosem zaczął odczytywać te warunki.

Prędko straciłem wątek tego co mówił, bo myśl uleciała daleko w przestrzeń o kilka lat wstecz. Z nieprzezwyciężoną natarczywością nasunął mi się obraz gen. Kutrzeby z płkiem Prąglowskim przy poddaniu Warszawy w 1939 r.

Czy to nie rewanż za tamtą tragiczną chwilę?

Tymczasem gen. Simonds przeszedł do rozkazów wykonawczych zajęcia terenu przez jednostki korpusu:

„2 dywizja piechoty kanadyjskiej - teren nad Wezerą,

4 dywizja pancerna kanadyjska

- na zachód.

Pierwsza polska dywizja pancerna (czy mi się tylko zdaje, że gen. Simonds skanduje wolno i wyraźnie i rozmyślnie każde słowo) - - - Wilhelmshaven."

Ale nie.

Po raz pierwszy przez twarze stojących wciąż na baczność oficerów niemieckich przeszedł jakby skurcz, oczy Niemców, przedtem mnie unikające, zwróciły się na mgnienie oka na mnie, na mój polski mundur.

Chyba nie trzeba im przypominać, że od nas rozpętała tę straszną wojnę i w obliczu reprezentanta jednej z wciąż walczących jednostek polskich - składają dzisiaj broń.

Polska dywizja, walcząca w zachodnich Niemczech, będzie okupowała kawał ziemi na zachodzie Niemiec.

To chyba pierwszy raz w historii naszej tak bogatej w zmagania się z Niemcami.

Podobał mi się zawsze gen. Simonds.

I pod Falaise i w pościgu i w Niemczech.

Podobał mi się, gdy dyktował warunki Niemcom i fason, z jakim to robił.

Podobał mi się, że nie uległ łatwiznie i nie skierował jednostki kanadyjskiej na ten port niemiecki, bazę marynarki wojennej, co mogło być tak kuszące z punktu widzenia prestiżu kanadyjskiego, lecz dywizję polską - „oddziały zajmą teren ten, jaki ostatnim rozkazem bojowym korpusu miały zdobyć walką”.

Trochę anegdoty, o której dowiedziałem się grubo później.

Generała Straube eskortował od styku z naszą dywizją i przywiózł do Bad Zwischenahn - brygadiera Roberts, dowódcę 8 brygady piechoty kanadyjskiej, znany mi z odpraw w korpusie.

Gen. Straube w drodze był bardzo rozmowny, wypytywał o wszystko i o wszystkich. Ale jak na oficera niemieckiego, chowu militarysty pruskiego, przeżył w drodze dwa głębokie wstrząsy:

pierwszy, gdy dowiedział się, że dowódca korpusu kanadyjskiego gen. Simonds ma dopiero 41 lat.

drugi, że brygadiera Roberts nie jest oficerem zawodowym, ale w „cywilu” małym fabrykantem.

Buta pruska, jeszcze przed odprawą w Bad Zwischenahn była rzeczywiście narażona na olbrzymie ciosy!

Wróciłem późno do sztabu i zastałem oficerów sztabu w gorączkowej pracy uzgadniania szczegółów przemarszu oddziałów na objęcie terenu od Wilhelmshaven włącznie po Jever i aż do Morza Północnego włącznie z dwiema wyspami Wangerooge i Spikeroog. Do Wilhelmshaven wyznaczyłem 2 pułk pancerny z 8 baonem strzelców - całość pod dowództwem płka dypl. A. Grudzińskiego, zastępcy dowódcy 10 bryg.kaw.panc. Następnie został mu jeszcze podporządkowany brytyjski baon Royal Marines.

Rano dnia 6 maja na wyznaczonych miejscach czekali z białymi opaskami na ramieniu niemieccy oficerowie-przewodnicy, którzy mieli przeprowadzić bezpiecznie kolumny przez pola minowe i usunięte barykady. Kolumny czołgów polskich i zmotoryzowanych oddziałów miały zbierające się w ciszy i grobowym nastroju oddziały niemieckie. Wzdłuż drogi stały opuszczone działa, między nimi szereg 88z75mm, które nie będą już strzelały do polskich czołgów spoza silnie umocnionego pasa fortecznego Wilhelmshaven.

U wejścia do miasta oczekiwał płka Grudzińskiego dowódca obszaru warownego kapitan zur See Mulsov, komendant miasta, burmistrz i komendant policji.

Urządzenia portowe objął brytyjski komandor Condor.

Do portu, w którym już były zakotwiczone: krążownik K~oln, okręt dowodzenia Niassa, szereg kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, napływały wciąż jednostki poddającej się floty niemieckiej, m.in. krążowniki

„N~urnberg” i najnowszy ciężki

„Prinz Eugen”.

Ogółem poddało się nam w Wilhelmshaven:

dowództwa: twierdzy i bazy marynarki wojennej, floty

„Ostfrisland”, 10 dywizji piechoty i ośmiu pułków piechoty i artylerii.
Liczebnie: 2 admirałów (Weiher i Zieb), 1 generał (Gericke, dowódca dyw.),
1900 oficerów i 32.000 szeregowych.

Zdobycz objęła:

3 krążowniki,
18 okrętów podwodnych,
205 mniejszych okrętów woj. i pomocniczych,
94 dział fortecznych,
159 dział polowych,
560 ckm,
370 lkm,
40.000 karabinów,
280.000 pocisków art.,
64 miliony amunicji do broni ręcznej,
23.000 granatów ręcznych,
liczne składy min i torped

oraz zmagazynowane zapasy żywności dla 50 tysięcy żołnierzy na 3 miesiące.

Formalny akt poddania się floty niemieckiej nastąpił jednak na pokładzie brytyjskiego okrętu „Royal Rupert”, wobec brytyjskiego admirała Goulta, w towarzystwie płka Grudzińskiego i komandora Condora. Miał podobnie emocjonalny dla nas Polaków przebieg jak w Bad Zwischenahn i podobną wymowę obecności w tym akcie reprezentanta polskich sił zbrojnych.

Gdyśmy w r. 1941 obsadzali odcinek wybrzeża szkockiego, w oczekiwaniu na inwazję niemiecką, na plaży Barry Links, strzeżoną przez 14 pułk ułanów, należący wtedy do 10 brygady, morze wyrzuciło koło ratunkowe ze statku „Piłsudski”, storpedowanego rok przedtem u wybrzeży norweskich. Poczytaliśmy sobie to za dobry omen na przyszłość.

A gdyśmy weszli do Wilhelmshaven, na łuku bramy portowej przywitał nas orzeł polski, zdjęty w 1939 r. z budynku Dowództwa Floty w Gdyni. Został on jako łup zawieszony przez Niemców do Wilhelmshaven, tej kolebki niemieckiej marynarki wojennej. Odzyskanego orła polskiego wręczyliśmy przedstawicielowi polskiej marynarki wojennej wraz ze zdjętym ze szczytu orłem niemieckim - na wieczną rzecz pamiątkę. O.R.P. „Konrad” przewiózł następnie do Anglii orła polskiego, który obecnie znajduje się w Instytucie Sikorskiego w Londynie.

Niedługo po zajęciu całego terenu przyszło awizo o przyjeździe do nas Naczelnego Wodza - gen. Andersa.

Miejscem, w którym chciała go ugościć i przywitać polska dywizja pancerna - z natury rzeczy mogło być tylko Wilhelmshaven. Miał jedną noc płk Grudziński do zaaranżowania odpowiednich dekoracji miasta, a raczej ruin miasta. I czas ten w 100% wykorzystał. Zdyscyplinowana niemiecka ludność miasta dostała rozkaz szycia biało_czerwonych flag i dekoracji z orłami polskimi tak, jakby szyła flagi o barwach niemieckich ze swastyką na przyjęcie Hitlera. I gdy dnia 19 maja gen. Anders przyjmował raport oddziałów dywizji pancerniej w Wilhelmshaven, kilometrami ciągnąca się główna aleja miasta mieniła się kolorami biało_czerwonych polskich flag na długich 8_metrowych masztach.

Tym akordem kończy się epopeja pierwszej polskiej dywizji pancerniej, pierwszej nie tylko z numeracji, ale pierwszej w historii wojska polskiego.

Zanim oficjalnie powstała, żyła w pragnieniach i dążeniach szeregu żołnierzy tak oficerów jak szeregowych, w początkowej formie 10 brygady kawalerii w Polsce i 10 brygady kawalerii pancerniej we Francji. Trudno mi wymieniać nazwiska żołnierzy wszystkich rodzajów broni, którzy wysiłkiem swym dywizję stworzyli, a stworzonej dali ten rozmach od Normandii do Wilhelmshaven. Bo mógłbym skrzywdzić wielu z nich, których nazwiska uleciały z mej pamięci, jakkolwiek nie ulotniła się ich zasługa.

Może tytuł mych wynurzeń powinien raczej brzmieć „Do trzech razy sztuka”. Myślę jednak, że gdybym już miał go zmienić, zatytułowałbym je raczej słowami ks. Starowolskiego do króla szwedzkiego:

„Fortuna variabilis - Deus mirabilis”.

Szkocja, 5 lipca 1960 r., w 15 lat od ukończenia wojny.

‘tc

Rozdział 14ã

Non omnis moriar

‘tc

Axel - wrzesień 1959. 15_lecie oswobodzenia przez Polaków miejscowości i wschodniej prowincji Seeland w Holandii.

W pochodzie przez miasto, bogato udekorowane festonami, lampionami i chorągiewkami o polskich barwach narodowych - maszeruję przez miasto z holenderskim „wojewodą” tej prowincji, burmistrzem miasta, licznymi delegacjami kół oddziałowych dywizji i literalnie całą ludnością tego miasteczka - do pomnika, wzniesionego 5 lat temu, dla uczczenia żołnierza dywizji pancernej.

Pod pomnikiem oddział honorowy armii holenderskiej.

Mowy - mowy, w których przebija jedna nuta. Nuta wdzięczności dla Polaków za oswobodzenie miasta i za to, że dywizja walcząc o miasto oszczędziła mu zniszczeń, a ludności, starcom, kobietom i dzieciom krwawych strat.

W pewnej chwili chór dziewcząt holenderskich, przybranych w polskie narodowe stroje, intonuje po polsku „Jeszcze Polska nie zginęła”. A przecież przez to miasto przeszła dywizja jak huragan, nie zatrzymując się niemal - tak, że nikt z dywizji nie osiadł na stałe w tym mieście, jak to się stało potem w Bredzie, gdzie dobra setka żołnierzy pożeniła się i na stałe osiedliła.

Po złożeniu wieńców oficjalnych, sznur dzieci szkolnych - dziewcząt i chłopców

- parami, każda dźwigając dużą naręcz kwiatów biało_czerwonych, podchodzi pod pomnik i składa kwiaty.

Dzieci jest chyba ponad tysiąc.

Rośnie pod pomnikiem góra kwiecia - i rośnie w nas góra wzruszenia, nie do opanowania. Słyszę tylko z oddali słowa burmistrza: „to nie dla nas starych, to dla tych młodych, by wiedzieli na zawsze, że to Polacy nas oswobodzili i by przekazali to wiecznej tradycji tego miasta”.

Non omnis moriar!

Pamiętają nas na szlaku bitew pierwszej polskiej dywizji pancernej - od Caen aż po Wilhelmshaven!

Myśl moja wędruje śladami dywizji pancernej, śladami gąsienic czołgów i dział samobieżnych - śladami strudzonych nóg żołnierza polskiego, który dążąc do do własnej wolności, niósł wolność innym narodom.

„Za naszą i waszą wolność”.

A co się utrwało w pamięci na tym olbrzymim szlaku?

Postaram się kolejno zebrać.

‘ty

Francja 1940

‘ty

Oto z pierwszej naszej kampanii francuskiej, na pamiątkę bitwy o Montbard - 16 czerwca 1940 r. - pomnik na grobie 8 żołnierzy 10 brygady kawalerii pancernej, z wykutym w kamieniu napisem w języku polskim i francuskim:

„Dla żołnierzy polskich, którzy polegli w bitwie o wolność”.

‘ty

Francja 1944

‘ty

Wysilek uczczenia pamięci żołnierza polskiego i jego udziału w bitwie normandzkiej koncentruje się na i wokoło wojskowego cmentarza, przy szosie z Caen do Falaise, wzdłuż której nacierała dywizja.

A więc:

polski cmentarz wojskowy w d'Urville_Langannerie - niemal

1000 grobów - na każdym krzyż kamienny z wrytym znakiem dywizyjnym i nazwiskiem poległego. Martwy kamień nagrobków ożywia gama kolorów, świeżych, wciąż odnawianych kwiatów - znak serdecznej troski okolicznych osiedli polskich, szczególnie Potigny. Na dziesięciolecie bitwy, staraniem i kosztem ludności prowincji Calvados, wzniesiono imponujący pomnik w postaci stylizowanego orła polskiego z opuszczonymi skrzydłami nad grobami poległych. Szara masa betonu, rozświetlona bardzo modernistycznie ujętym symbolem żołnierza ulatującego w nieśmiertelność!

W fundamencie pomnika wmurowano akt erekcyjny o treści następującej, według tekstu oryginalnego:

„W imię Boga Wszechmogącego

Działo się Roku Pańskiego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego, w dzień ósmego sierpnia, gdy prezydentem Republiki Francuskiej był René Coty, przewodniczącym francuskiego Zgromadzenia Narodowego Andrzej Le Troquer, wiceprezesem rady departamentu Calvados - Leonard Gille, gdy wodzem naczelnym Polskich Sił Zbrojnych był zwycięski w wiekopomnej pod Monte Cassino bitwie - drugiego Korpusu dowódca, generał broni Władysław Anders, dowódcą nieśmiertelnej spod Falaise Pierwszej Dywizji Pancerniej generał dywizji Stanisław Maczek, a prezesem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Francji - tejże dywizji major Marian Czarnecki, w dziesiątą rocznicę wszczęcia krwawych, ofiarnych i zwycięskich bojów, jakie Polska Dywizja Maczka - w szum srebrnych, husarskich skrzydeł praocjów swoich wsłuchana - na szlaku Caen, Falaise, Trun, Chambois, Mont Ormel, Abbeville, Heswin, Saint Omer, Ypres, Roulers, Thielt, Ruysselede, Gandawa, Breda, przez trzy miesiące nieustraszenie wiodła, gdy uwalniając wóczas od wroga ziemię francuską, belgijską, niderlandzką, a w roku następnym wdzierając się we wraże germańskie dzierżawy, wyrąbywała Dywizja nieukończoną i dziś jeszcze drogę do Polski, gdy kosztem 1289 poległych, 3874 rannych i 22 zaginionych swych towarzyszy pancernych, Dywizja rozgromiła potężne korpusy niemieckie, biorąc z górą 20.000 jeńca, budząc słowa podziwu brytyjskiego, sojuszniczego marszałka Montgomery of El Alamein, zdobywając obywatelstwo honorowe Gandawy i Bredy, a piękne miasto francuskie Abbeville, zgodnie z mieszkańców wola, za matkę chrzestną odtąd poczytując - zorganizowany dla upamiętnienia tych historycznych wydarzeń, pod przewodnictwem Leonarda Gille'a działający Komitet, ten oto pomnik, ze składek francuskiego i polskiego społeczeństwa ufundowany, przez artystów rzeźbiarzy Karola Gianferrari i Jakuba Bertoux wykuty, a przez architekta Piotra Bienvenu na cmentarzu wojskowym w Langannerie wzniesiony i przez kapelana Dywizji księdza Alfonsa Stopę uroczystie poświęcony, ku czci poległych na polu chwały bohaterskich żołnierzy Pierwszej Dywizji Pancerniej postawił i akt niniejszy - na wieczną rzeczy pamiątkę - sporządził, podpisał i zamurować zalecił.

Non omnis moriar.”

Cmentarz jest pod opieką rządu francuskiego i na jego budżecie, lecz to by nie wystarczyło, by mu nadać odpowiednio godną szatę. Działa wciąż inicjatywa zbiorowa ludności Calvadosu i kolonii polskich, która w roku 1960 doprowadziła do ukończenia ogrodzenia od strony szosy z piękną bramą wjazdową. Corocznie obchodzona sierpniowa uroczystość na cmentarzu, zbierająca przedstawicieli władz i społeczeństwa francuskiego, jak też liczne delegacje kolonii polskich we Francji ze sztandarami i delegacje byłych żołnierzy dywizji, nie pozwala zarosnąć chwastami zapomnienia pamięci tej najbardziej zażartej bitwy pancerniej w kampanii inwazyjnej.

I jakby obramowując pole bitwy pod Falaise - 2 dalsze pamiątki.

W Fontaine de Pin, w odbudowanym na miejscu zburzonego bombardowaniem kościoła, w przepięknym kościółku bardzo nowoczesnym, a autorstwa tego samego artysty

francuskiego, który projektował nasz pomnik na cmentarzu - tablica pamiątkowa ze znakiem polskiej dywizji pancерnej i 6 brygady piechoty kanadyjskiej dla uczczenia pamięci 2 oficerów i 19 szeregowych kanadyjskich i 2 oficerów i 57 żołnierzy polskich.

A w Chambois, w środku miasta, które było świadkiem dwudniowej ciężkiej walki, tablica pamiątkowa z napisem w języku francuskim: „Dla żołnierzy 10 pułku dragonów pierwszej polskiej dywizji pancерnej, poległych dla waszej i naszej wolności dnia 20 sierpnia 1944 r. w Chambois - w sławnej bitwie normandzkiej”. Szybki pościg dywizji poprzez północno_wschodnią Francję, pozostawił tylko trwały ślad w Abbeville nad rzeką Sommą w postaci nazwy ulicy: „route des Polonais” - droga polska i pomnika z kamienia, z kutym w żelazie orłem polskim z tablicą z napisem w języku francuskim:

„Route des Polonais”.

„Na pamiątkę uwolnienia Abbeville przez 1 polską dywizję pancerną, dowodzoną przez generała Maczka - 2 września 1944 r.” Belgia 1944.

Mimo szybkiego tempa pościgu dywizji poprzez Flandrię, szlak bitew dywizji roi się od pozostawionych śladów bitew i objawów wdzięczności ludności flamandzkiej. Otwiera je podpis dowódcy dywizji, w imieniu całej dywizji, w historycznej księdze pamiątkowej miasta Ypres - księdze, którą rozpoczyna karta z listopada 1918 r. z podpisem marszałka Focha.

W Pashendale:

pamiątkowa tablica wyzwolenia przez Polaków w sali recepcyjnej ratusza, a na cmentarzu wspólny odcinek grobów polskich i belgijskich żołnierzy, poległych w latach 1940_#1944.

Na tym to obszarze Ypres_Pashendale, na historycznym poboju z pierwszej wojny światowej 1914_#1918, gdzie to wojna tłamsiła się przez 4 lata na tym samym miejscu, gdzie sukcesy nie tylko już dywizji, ale całych korpusów i armii mierzyły się nie kilometrami, ale metrami zdobytych krwawo okopów, błyskawiczny pościg dywizji polskiej pancерnej przez kontrast miał największą wymowę.

W Roulers:

pamiątkowa tablica i nadanie jednemu z bulwarów nazwy „Polenplaats - 7 September 1944”.

A na cmentarzu, przy grobach poległych Polaków, tablica w języku flamandzkim i angielskim

„Naszym drogim polskim wybawicielom”.

Thielt, nieduże i nie najzamożniejsze miasto flamandzkie, w którym toczyły się ostre walki 24 pułku ułanów i 8 baonu strzelców przy akompaniamencie entuzjazmu wylegającej na ulice - mimo strat - ludności belgijskiej, chciało uwiecznić każdy moment tego pamiętnego dnia 8 września 1944 roku.

I tak:

w bramie przejściowej do katedry - na powale i ścianach - polskie orły i znaki dywizyjne.

Kaplica św. Stanisława na pamiątkę uwolnienia miasta i tablica pamiątkowa wmurowana w kapliczce na peryferii miasta, gdzie zaznaczył się manewr naszych czołgów.

W kilku miejscach na domach prywatnych wmurowane tablice z nazwiskami żołnierzy 24 pułku ułanów lub 8 baonu strzelców, którzy w tym właśnie miejscu w bitwie padli!

Pamiątkowa tablica wmurowana na ratuszu z napisem w języku flamandzkim i polskim: „na pamiątkę dnia 8 września 1944 roku, w którym 1 polska dywizja pancerna wkroczyła do Thielt, walcząc za waszą i naszą wolność”.

A na cmentarzu miejskim, uszeregowane wokół pomnika groby żołnierzy dywizji, poległych w walce o miasto.

Gdy zbierano szczątki poległych w Belgii, by je przenieść na jeden polski cmentarz wojskowy w Lommel, rada miejska miasta Thielt zaprotestowała i nie oddała swych „bohaterów, którzy stali się relikwią miasta”.

Gandawa uczciła uwolnienie północnej części miasta i zlikwidowanie baterii ciężkich

21275cm dział niemieckich, ostrzeliwujących miasto, piękną tablicą pamiątkową z orłem polskim i znakiem dywizyjnym, wmurowaną w sali recepcyjnej ratusza.

W St. Nicolas, tej bazie natarcia dywizji pancerniej na Axel_Hulst poza wmurowaną tablicą pamiątkową na ratuszu, adoptowany przez miasto 1 pułk pancerny otrzymał od społeczeństwa miasta sztandar, a od rady miasta prawo noszenia na ramieniu herbu miasta z św. Mikołajem.

A 9 baon strzelców otrzymał od księcia regenta belgijskiego honorowe sznury naramienne tzw.

„fourag~eres” i nazwę „flamandzki”.

Holandia 1944_#45 r.

W dziesięciolecie bitwy o Axel miasto uczciło pamięć żołnierza oswobodziciela pięknym nowoczesnym pomnikiem rannego gladiatora. Postać ulana z brązu spoczywa na marmurowym cokole z orłem polskim i napisem: „Dla żołnierza 1 polskiej dywizji pancerniej”.

W pięć lat później na bulwarze z nazwą „Polenplaats” poświęcono piękną ławkę, z odpowiednią tablicą, dla uczczenia pamięci dowódcy 9 baonu strzelców płka dra Z. Szydłowskiego, najbardziej popularnej postaci z dniwalk o to miasto.

W uroczym zakątku cmentarza groby poległych w walce o to miasto Polaków z pomnikiem z dwoma znakami dywizyjnymi i napisem w języku polskim i holenderskim „za waszą i naszą wolność”. A nad kanałem Axel_Hulst - w miejscu krwawej przeprawy - krzyż dragonów, na pamiątkę poległych w tej bitwie.

Breda - najbardziej polskie miasto w Holandii - i przez pamięć Polaków, którzy uwolnili to miasto i w nim zimowali w roku 1944_#45, nawiązując węzły przyjaźni i miłości z mieszkańcami i przez dużą ilość żołnierzy, którzy osiedlili się po wojnie - miasto, w którym przez szereg miesięcy nie znikają z okien domów i wystaw sklepowych napisy po polsku

„Dziękujemy Wam Polacy” - mnoży na każdym kroku ślady pamięci.

W sali recepcyjnej ratusza honorowa tablica na cześć 1 polskiej dywizji pancerniej, honorowego obywatela tego miasta. Tak. Specjalną uchwałą rady miejskiej nadano honorowe obywatelstwo wszystkim żołnierzom dywizji. Rada „uwzględniając, że ta polska dywizja przez swój wojskowy talent i brawurę, zasłużyła na niesplącalną wdzięczność ludności miasta Bredy, decyduje: nadać 1 polskiej pancerniej dywizji z wojsk sprzymierzonych, medal honorowy miasta Bredy w srebrze, umieścić jej nazwę w księdze honorowej miasta i nadać jej obywatelstwo honorowe miasta.”

Podczas uroczystości nadania tego zaszczytnego i jedyne w swym rodzaju wyróżnienia, wręczono dywizji księgę pamiątkową z podpisami przeszło 40.000 wdzięcznych mieszkańców. Księga ta obecnie jest złożona w Instytucie Generała Sikorskiego w Londynie.

W dziesięciolecie bitwy o Bredę odsłonięto pomnik. W przepięknym miejscu parku miejskiego „Wilhelmina Paark”, na marmurowej kolumnie z orłem polskim i napisem w języku holenderskim: „W podziękowanie naszym polskim wyswobodzicielom - 29 października 1944 r.” - dwa naturalistycznie ujęte orły w walce. A po drugiej stronie alei, na podmurowaniu z odpowiednio objaśniającą tablicą, zdobyty w walkach w mieście i ofiarowany przez dywizję miastu niemiecki czołg typu „Pantera”.

Obraz uzupełniają na dwu cmentarzach miejskich groby Polaków, poległych w bitwie o miasto, z nagrobkami z kamienia i pomnikami z napisami - przedmiot corocznego kultu ludności miasta.

Niemcy 1945 r.

Trudno się spodziewać, by pamięć niemiecka chciała zarejestrować i pielęgnować jakiegokolwiek ślady krwawych walk, zwycięstw polskich i okupacji północnej Fryzji przez

1 polską dywizję pancerną.

Bezstronna i beznamiętna historia zarejestruje jednak ten fakt dla potomności, że Polacy odnosili zwycięstwa tu w północno_zachodniej części Niemiec i okupowali ten szmat kraju niemieckiego przez przeszło dwa lata - nie bratając się z ludnością miejscową - ale i nie dopuszczając się żadnych gwałtów i nadużyć!

I zanotuje fakt, że przez dwa lata był taki „żywy” pomnik:

„Maczków”. Oto brytyjska administracja terenów okupowanych, zaskoczona masą Polaków wychodzących z obozów koncentracyjnych, z niewoli i z przymusowej pracy na roli i w zakładach przemysłowych na zachodzie Niemiec - ewakuowała miasto Haren nad rzeką Ems, znane z walk dywizji i oddała dywizji do dyspozycji. Tak powstało tu na zachodzie Niemiec

- miasto „Maczków” - na kilka lat czysto polskie, z polską ludnością i polskimi władzami administracyjnymi, przez które to miasto, dając chwilowy przytułek, jak przez etap, przeszła duża masa polskiej ludności, zanim rozproszyła się po całym niemal świecie.